

PROLOG

Port lotniczy na wyspie Santa Maria, Azory, rok 1951

Hudson Wallace stał przed budynkiem terminalu. Skórzana kurtka słabo chroniła go przed chłodem w tę mglistą, dżdżystą noc.

Na wprost widział niebieskawy blask lamp rozmieszczonych wzdłuż pasa startowego, a dalej snop białego światła i zielony błysk obracającej się wolno latarni lotniskowej.

Hudson wątpił, czy ktoś jest w powietrzu - nie przy takich gęstych i niskich chmurach - ale jeśli jest, niech Bóg ma go w swojej opiece. Port lotniczy z trzech stron otaczały góry, a sama wyspa była tylko niewielkim punktem pośrodku ciemnego Atlantyku. Nawet w 1951 roku znalezienie Santa Marii przy tak fatalnej pogodzie stanowiło nie lada wyzwanie, a gdyby nawet komuś się to udało, prawdopodobnie rozbiłby się o któryś ze szczytów, zanim zobaczyłby światła pasa startowego.

Ale dotarcie do wyspy to jedno, pomyślał Hudson, a opuszczenie jej to zupełnie co innego. Mimo deszczu i mgły chciał wystartować, i to jak najszybciej, bo doskonale wiedział, że pozostawanie na Santa Marii stało się bardzo niebezpieczne. Niestety, chociaż to on był pilotem i właścicielem stojącego na płycie samolotu Lockheed Constellation, decyzja o starcie nie należała do niego.

Znudzony beczynnym czekaniem, sięgnął do kieszeni kurtki po srebrną papierośnicę, wyjął z niej dunhilla i wetknął

go między wargi. Ignorując rozmieszczone co kilka metrów wyraźnie widoczne zakazy palenia, uniósł do twarzy zapalniczkę Zippo i zapalił.

Stał prawie sto metrów od najbliższego samolotu i węża paliwowego, a całe lotnisko było mokre, uznał więc, że ryzyko wywołania pożaru jest bliskie zeru. Prawdopodobieństwo, że komuś chciałoby się wyjść z ciepłego, suchego budynku terminalu, aby zwrócić mu uwagę, wydawało się jeszcze mniejsze.

Zaciągnął się głęboko, z wyraźną przyjemnością, i wolno wypuścił dym. Szary obłok się rozwiął, gdy drzwi terminalu otworzyły się za Hudsonem.

Z budynku wyszedł mężczyzna w źle dopasowanym ubraniu. Brązowy kapelusz opadał mu na oczy, częściowo zasłaniając okrągłą twarz, a kusa kurtka, spodnie z samodziąłu i cienkie wełniane rękawiczki bez palców sprawiały wrażenie znalezionych w magazynie resztek Armii Czerwonej. Mężczyzna wyglądał na ubogiego wieśniaka, ale Hudson wiedział, że jego pasażer wkrótce będzie bogaty. O ile dożyje lądowania w Ameryce.

- Jest szansa, że pogoda się poprawi? - spytał mężczyzna.

Hudson zaciągnął się dunhillem i wydmuchał dym, zanim odpowiedział.

- Na pewno nie dziś - mruknął, kręcąc przecząco głową. - Może być tak paskudnie nawet przez tydzień.

Jego pasażer był Rosjaninem i nazywał się Tarasów. Uciekł ze Związku Radzieckiego z dwoma kuframi z nierdzewnej stali, tak ciężkimi, jakby wypełniały je kamienie. Oba, dobrze zaryglowane i przymocowane łańcuchami do podłogi, stały teraz w samolocie Hudsona.

Wallace nie miał pojęcia, co w nich jest, ale niedawno powstała Centralna Agencja Wywiadowcza obiecała mu małą fortunę za dostarczenie kufrów i Tarasowa do Stanów Zjednoczonych. Przypuszczał, że Rosjaninowi zapłacili znacznie więcej za ucieczkę z kraju i zabranie kufrów ze sobą.

Do tej pory wszystko szło dobrze. Pewien amerykański agent zdołał przerzucić Tarasowa do Jugosławii, która wpraw-

dzie również należała do bloku komunistycznego, ale rządzący nią Tito nie kochał Stalina. Wystarczyła odpowiednio wysoka łapówka i Hudson mógł przylecieć własnym samolotem do Sarajewa, i odlecieć stamtąd z Tarasowem na pokładzie, zanim ktokolwiek zaczął zadawać niewygodne pytania.

Od tamtej pory podróżowali na zachód. Niestety wiadomość o ucieczce Tarasowa poszła w świat i między jednym a drugim lotem na zachód dokonano zamachu na Rosjanina. Przeżył, ale miał teraz pocisk w nodze i utykał.

Hudsonowi kazano dostarczyć go do Stanów jak najszybciej i potajemnie, nie podano mu jednak trasy. I dobrze, bo na pewno by się jej nie trzymał.

Ominął wszystkie większe miasta europejskie i wylądował na Azorach, żeby zatankować przed dalszym lotem bezpośrednio do Stanów. Miał dobry plan, ale nie wziął pod uwagę fatalnej pogody i strachu Tarasowa przed lataniem.

- Znajdą nas tu prędzej czy później - powiedział Hudson. Odwrócił się do Rosjanina. - Mają agentów na każdym lotnisku i w każdym porcie.

- Przecież mówił pan, że tutaj jesteśmy na uboczu - odparł Tarasów.

- Bo jesteśmy - potwierdził Hudson i znów zaciągnął się dunhillem. - Ale skoro nie namierzeli nas w żadnym ruchliwym miejscu, zaczną szukać na uboczu. Może nawet już to robią.

Nie wiedział, czy radzieccy agenci sprawdzają Azory. Ale dwaj Amerykanie i cudzoziemiec, którzy wylądowali prywatnym samolotem na Santa Marii i od trzech dni nie odzywali się do nikogo, mogli zwrócić uwagę.

- W pewnym momencie będzie pan musiał zdecydować, czego boi się bardziej - powiedział Hudson, wskazując głową stojący w mżawce samolot - lekkich turbulencji czy kulki w brzuchu.

Tarasów spojrzał na zachmurzone niebo, wzruszył ramionami i uniósł otwarte dłonie jak człowiek, który chce pokazać, że nie ma pieniędzy.

- Ale nie możemy lecieć w takich warunkach.
- Nie możemy lądować w takich warunkach - uściślił Hudson i wykonał ręką ruch naśladujący samolot podchodzący do lądowania. - Ale możemy wystartować - uniósł rękę - a potem skierować się na zachód. Tam nie ma gór. Jest tylko ocean... i wolność.

Tarasów pokręcił głową, ale Hudson widział, że jego upór słabnie.

- Sprawdziłem pogodę w Nowym Jorku - skłamał. Nie zrobił tego w obawie, że ktoś się domyśli celu ich podróży. - Będzie dobra przez najbliższe dwie doby, ale później...

Rosjanin wyraźnie się wahał, więc Hudson kuł żelazo, póki gorące.

- Albo wystartujemy teraz, albo utkniemy tu na tydzień.

Wyglądało na to, że jego pasażerowi nie odpowiada ani jedno, ani drugie. Spojrzał na ziemię, potem na srebrzystego constellation z czterema potężnymi silnikami tłokowymi i trzema smukłymi pionowymi statecznikami ogonowymi, wreszcie w deszcz i noc za nim.

- Przebijemy się? Da pan radę? - spytał.

Hudson rzucił papierosa na ziemię i rozgniół go butem. Dopiął swego.

- Dam - zapewnił.

Tarasów z ociąganiem skinął głową.

Hudson spojrział w stronę samolotu i zakręcił ręką młynka. Rozległ się ostry dźwięk rozrusznika, a z wydechu silnika numer trzy buchnął czarny dym. Świece zaiskrzyły i duży gwiazdowy silnik ożył. Po chwili wielkie śmigło wirowało z prędkością tysiąca pięciuset obrotów na minutę, rozpryskując krople deszczu. Kilka sekund później zbudził się do życia silnik numer jeden.

Hudson, mając nadzieję, że zdoła namówić Tarasowa do lotu, kazał swojemu drugiemu pilotowi, Charliemu Simpkinsowi, zostać w kabinie i utrzymywać maszynę w gotowości do startu.

- Chodźmy - powiedział.

Rosjanin wziął głęboki oddech i ruszył w kierunku czekającego samolotu. Był w połowie drogi, gdy huknął strzał. Odgłos rozniósł się po mokrym asfalcie. Tarasów zachwiał się, stracił równowagę i poleciał do przodu.

- Nie! - krzyknął Hudson.

Skoczył naprzód, złapał Rosjanina i poprowadził w stronę samolotu. Rozległ się drugi strzał. Ten pocisk chybił i zrykosztował od betonu w prawo.

Tarasów potknął się i upadł.

- Naprzód! - krzyknął Hudson, próbując go podnieść.

Trzeci pocisk trafił Hudsona w ramię i obrócił dookoła. Padł na ziemię i błyskawicznie się przetoczył. Był prawie pewien, że strzał padł z góry. Prawdopodobnie z dachu terminalu.

Krzywiąc się z bólu, wyciągnął colta .45 z kabury pod pachą. Obrócił się, wycelował w dach budynku i wypalił w kierunku snajpera.

Kiedy oddał cztery strzały, wydało mu się, że ktoś schyla się za krawędzią dachu. Strzelił jeszcze raz w tamtą stronę, znów chwycił Tarasowa i zaczął ciągnąć go po ziemi w stronę samolotu. Gdy dotarli do schodków przy dziobie maszyny, krzyknął:

- Na górę!

- Nie... dam rady - wyjącał Rosjanin.

- Pomogę panu - rzekł Hudson, podnosząc go. - Musi pan tylko...

Kiedy postawił Tarasowa na nogi, następny pocisk trafił Rosjanina i mężczyzna runął na ziemię twarzą w dół.

Hudson dał nura za schodki i zawołał w kierunku otwartych drzwi samolotu:

- Charlie!

Żadnej odpowiedzi.

- Charlie! Jak jest?

- Możemy startować! - odkrzyknął drugi pilot.

Hudson usłyszał, jak ostatni silnik nabiera obrotów. Chwycił Tarasowa i przetoczył na plecy. Rosjanin był bezwładny jak

szmaciana lalka. Ostatni pocisk trafił go w szyję. Niewidzące oczy mężczyzny patrzyły w ciemne niebo. Nie żył.

- Cholera - zaklął Hudson.

Połowa operacji się nie powiodła, wciąż jednak mieli stałowe kufry i ich nieznaną zawartość. CIA była wprawdzie tajną organizacją, ale przecież musiała mieć jakąś siedzibę. Hudson postanowił, że jeśli będzie musiał, to ją znajdzie i będzie się dobijał do drzwi, dopóki ktoś go nie wpuści i mu nie zapłaci.

Odwrócił się i jeszcze raz strzelił w kierunku terminalu. Wtedy zauważył światła dwóch samochodów pędzących ku niemu z drugiego krańca płyty lotniska. Nie łudził się, że to kawaleria.

Wbiegł po schodkach na górę, a gdy dał nura przez drzwi, pocisk zrykoszetował od gładkiego poszycia „connie”.

- Startuj! - krzyknął do Charliego.

- A co z naszym pasażerem?

- Za późno dla niego.

Charlie Simpkins przesunął dźwignie przepustnic do przodu, a Hudson zatrzaskał drzwi i zaryglował je w momencie, gdy samolot ruszył. Przez warkot silników usłyszał dźwięk pękającego szkła.

Odwrócił się i zobaczył, że drugi pilot zwisa bezwładnie nad środkową konsolą, podtrzymywany przez pas bezpieczeństwa.

Hudson pobiegł naprzód. Ledwo dał nura do kokpitu, dwa kolejne pociski trafiły wabinę.

Nie wstając z podłogi, sięgnął do góry i pchnął przepustnice naprzód. Gdy silniki zaryczały, wsunął się pod fotel pilota i naparł mocno na prawy ster. Samolot zaczął przyspieszać. Powoli nabierał prędkości i skręcał.

W metal za Hudsonem trafił następny pocisk, a potem jeszcze dwa. Oceniał, że już odwrócił samolot ogonem do terminalu. Wdrapał się na swój fotel i skierował maszynę na pas startowy.

Musiał jak najszybciej odlecieć. Na płycie lotniska nie było bezpiecznie. Samolot kołował we właściwym kierunku, a Hudson nie czekał na żadne pozwolenie. Dopchnął przepustnice do ograniczników i potężna maszyna zaczęła się rozpędzać.

Przez chwilę słyszał, jak pociski dziurawią poszycie samolotu, ale wkrótce znalazł się poza ich zasięgiem. Mknął po pasie startowym z coraz większą prędkością.

Z powodu kiepskiej widoczności i wybitej szyby z lewej strony musiał wyteżać wzrok, żeby widzieć czerwone światła na końcu pasa. Zbliżały się coraz szybciej.

Opuścił klapy o pięć stopni i sto metrów od końca asfaltu przyciągnął do siebie wolant. Dziób „connie” uniósł się, zastygł na długą, denerwującą chwilę i wreszcie poderwał do góry. Koła zawadziły o wysoką trawę za asfaltem.

Wznosząc się i skręcając na zachód, Hudson wciągnął podwozie i złapał za ramię drugiego pilota.

- Charlie? - Potrząsnął nim. - Charlie!

Simpkins nie zareagował. Hudson sprawdził mu tętno, ale go nie wyczuł.

- Niech to szlag - mruknął.

Kolejna ofiara. Podczas wojny, która skończyła się przed sześcioma laty, Hudson stracił więcej przyjaciół, niż potrafił zliczyć, ale zawsze z jakiejś przyczyny. Tutaj jej nie znał. Lepiej, żeby zawartość kufrów była warta śmierci dwóch ludzi, pomyślał.

Położył Simpkinsa z powrotem na jego fotelu i skoncentrował się na pilotowaniu. Boczny wiatr dawał mu się we znaki, turbulencje jeszcze bardziej. W gęstej, ciemnej mgle prawie nic nie widział.

Bez horyzontu ani czegokolwiek innego do wizualnej oceny pozycji samolotu nie mógł polegać na swoich odczuciach. Wielu pilotów uderzyło w ziemię w takich warunkach jak te, bo cały czas wydawało im się, że lecą prosto i poziomo. Jeszcze więcej, lecąc idealnie poziomo, doprowadziło do przeciągnięcia i wpadło w korkociąg, bo mieli wrażenie, że skręcają i spadają. Przypominało to złudzenie pijanego, że łóżko się obraca; wiesz, że tak się nie dzieje, ale nie możesz opanować tego uczucia.

Chcąc tego uniknąć, Hudson patrzył na przyrządy i pilnował, żeby skrzydła samolotu były poziomo. Piał się do bezpiecznego kąta pięciu stopni.

Na wysokości sześciuset metrów, pięć kilometrów od lotniska, pogoda się pogorszyła. Turbulencje trzęsły samolotem, gwałtowne prądy wstępujące i zstępujące groziły jego rozerwaniem, a deszcz siekł w przednią szybę i metal wokół Hudsona. Mimo strumienia zaśmigłowego o prędkości dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę, który sprawiał, że większość wody omijała wybite narożne okno, jej część wpadała do kokpitu. Hałas był dosłownie ogłuszający.

Hudson nie mógł w żaden sposób zapobiec dekompresji wnętrza kabiny, ale mógł się wznieść na wysokość czterech tysięcy metrów lub nawet nieco większą, zanim zimno uniemożliwi mu normalne funkcjonowanie. Sięgnął za fotel i dotknął zielonej butli z czystym tlenem; będzie mu potrzebna wyżej.

Następna fala turbulencji zatrzęsa maszyną, Hudson miał jednak nadzieję, że z wciągniętym podwoziem i czterema sprawnymi silnikami zdoła się przedrzeć przez burzę.

Constellation należał do najnowocześniejszych maszyn swojej epoki. Skonstruowany przez Lockheeda według pomysłu światowej sławy lotnika Howarda Hughesa, miał prędkość przelotową trzysta pięćdziesiąt węzłów i zasięg ponad cztery tysiące osiemset kilometrów. Gdyby zabrali Tarasowa trochę dalej na zachód, Hudson doleciałby do Nowej Fundlandii lub Bostonu bez międzylądowania.

Odwrócił się, żeby sprawdzić kierunek. Zbaczał na północ bardziej, niż zamierzał. Skorygował kurs i nagle dostał zawrotów głowy. Gdy przywrócił maszynę do poziomu, rozbłysła kontrolka ostrzegawcza silnika.

Generator w silniku numer jeden szwankował, a sam silnik pracował bardzo nierówno. Chwilę później zaczął przerywać silnik numer dwa i zaświeciła się kontrolka ostrzegawcza instalacji elektrycznej.

Hudson starał się skupić. Czuł się jak po narkotyku. Ścisnął postrzelone ramię. Bolało. Nie wiedział, ile stracił krwi.

Spojrzał na tablicę przyrządów. Sztuczny horyzont - wykorzystywany przez pilotów do utrzymywania skrzydeł w pozio-

mie podczas braku widoczności na zewnątrz - wariował. Żyroskopowy wskaźnik kursu też.

Z samolotem działo się coś złego, bardzo złego.

Hudson zerknął w górę na busolę, ostatnią deskę ratunku pilota w razie awarii innych przyrządów. Maszyna leżała w ostrym skręcie w lewo. Hudson spróbował wyrównać, ale przechylił się za bardzo w przeciwną stronę. Rozległ się sygnał ostrzegający o przeciągnięciu, bo prędkość spadła, a chwilę później rozbłysły chyba wszystkie kontrolki ostrzegawcze na tablicy przyrządów. Włączył się alarm ostrzegający o przeciągnięciu i sygnał ostrzegawczy podwozia.

Błyskawica przecięła niebo tak blisko, że niemal oślepiła Hudsona. Chwycił mikrofon radia, przestawił je na pasmo, które podała mu CIA, i zaczął nadawać.

- SOS, SOS, SOS. Tu...

Samolotem szarpnęło w lewo, potem w prawo. Niebo znów przecięła błyskawica i Hudsonowi zaiskrzyło tuż przed oczami. Porażony prądem przez radio, odrzucił mikrofon jak gorący ziemniak.

Gdy nieco ochłonął, wyciągnął rękę po mikrofon, który zwiślał pod panelem na przewodzie. Nie dosięgnął go, więc pochylił się mocniej do przodu i spróbował jeszcze raz. Chwycił mikrofon czubkami palców i przysunął do ust, gotowy do ponownego nadawania.

Spojrzał w górę w samą porę, by zobaczyć, jak chmury znikają, a horyzont wypełniają ciemne wody Atlantyku.

ROZDZIAŁ 1

Genewa, 19 stycznia 2011

Alexander Cochrane szedł cichymi ulicami Genewy. Już dawno zapadł zmierzch, było mroźno i prószył śnieg, ale przynajmniej nie wiało.

Cochrane naciągnął głębiej na czoło wełnianą czapkę, owinął się szczelnie paltem i wsunął ręce do kieszeni. Styczeń

w Szwajcarii na ogół był mroźny i śnieżny, ale jego nieodmienne to zaskakiwało.

Działo się tak, gdyż całe dnie spędzał dziewięćdziesiąt metrów pod ziemią w tunelach i dyspozytorni ogromnego akceleratora cząstek naładowanych nazywanego Wielkim Zderzaczem Hadronów albo LHC. Akcelerator mieścił się w ośrodku naukowo-badawczym Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych,

w skrócie CERN, od dawnej francuskiej nazwy Conseil Europeen pour la Recherche Nucleaire.

Temperatura w dyspozytorni LHC utrzymywała się na stałym poziomie dwudziestu stopni Celsjusza, zawsze paliło się światło, a w tle niezmiennie buczały generatory i pulsowała

energia. Kilka godzin na dole nie różniło się od kilku dni czy tygodni, zupełnie jakby czas nie mijał.

Ale oczywiście mijał i Cochrane często był zdumiony tym, jak inaczej wygląda świat po jego powrocie na powierzchnię. Gdy tego ranka szedł do ośrodka, była piękna słoneczna pogodą. Teraz nad miastem wisiały gęste, ciężkie chmury, a ulice

pokrywała kilkucentymetrowa warstwa śniegu, której nie było dwanaście godzin wcześniej.

Cochrane zmierzał przez pole bieli do stacji kolejowej. Ważniacy z CERN - fizycy i inni naukowcy - jeździli do pracy służbowymi samochodami z kierowcami i podgrzewanymi siedzeniami.

On nie był ani teoretykiem cząstek elementarnych, ani nikim utytułowanym. Uzyskał wprawdzie stopień magistra, specjalizował się w teorii elektromagnetyzmu, miał dwudziestoletnie doświadczenie w dziedzinie transferu energii i bardzo dobrze zarabiał, ale w CERN pierwsze skrzypce grali fizycy i inni naukowcy szukający podstawowych części składowych wszechświata. Uważali oni Cochrane'a za zwykłego mechanika. Byli więksi od niego. Nawet maszyna, którą się zajmował, była większa od niego. Chociaż akurat ona była większa od każdego.

Wielki Zderzacz Hadronów był największym na świecie urządzeniem badawczym. Jego koliste tunele ciągnęły się na przestrzeni dwudziestu siedmiu kilometrów ze Szwajcarii do Francji. Cochrane pomógł zaprojektować i skonstruować magnesy nadprzewodzące, które przyspieszały cząstki w tunelach. I jako pracownik CERN czuwał nad tym, żeby działały.

Zasilanie LHC wymagało ogromnych ilości energii, której większość zużywały magnesy Cochrane'a. Po schłodzeniu do temperatury minus dwustu siedemdziesięciu jeden stopni Celsjusza mogły one przyspieszać protony prawie do prędkości światła. Cząstki w LHC poruszały się tak szybko, że pokonywały dwadzieścia siedem kilometrów jedenaście tysięcy razy w ciągu sekundy.

Jedynym problem Cochrane'a był fakt, że awaria jednego magnesu wyłączała całe urządzenie na dni lub nawet tygodnie. Kilka miesięcy temu straszliwie się wkurzył, kiedy pewien podwykonawca zainstalował płytkę obwodu drukowanego niskiej jakości, która natychmiast się spaliła. Wciąż nie mieściło mu się to w głowie - maszyna za dziesięć miliardów dolarów unieruchomiona, bo ktoś chciał zaoszczędzić parę euro.

Naprawa uszkodzenia zajęła aż trzy tygodnie, a szefowie bez przerwy siedzieli mu na karku. Uznano, że to jego wina. Jak zawsze.

Mimo iż od tej pory wszystko szło dobrze, kierownictwo CERN nadal uważało magnesy za słabe ogniwo w systemie. W rezultacie Cochrane prawie mieszkał w ośrodku.

Zirytował się na myśl o tym, ale po chwili wzruszył ramionami. Już wkrótce to nie będzie jego problem.

Idąc przez śnieg do stacji kolejowej, uświadomił sobie, że ten śnieg spadł mu, nomen omen, jak z nieba. Pozostaną na nim ślady, a Cochrane chciał tego dzisiejszej nocy.

Gdy dotarł na peron, sprawdził godzinę. Pięć minut do następnego pociągu. Za pięć minut będzie w drodze do nowego życia, bez wątplenia znacznie bardziej satysfakcjonującego niż obecne.

- Alex? - usłyszał gdzieś z tyłu czyjś głos.

Odwrócił się i powiódł wzrokiem wzdłuż peronu. Na przeciwnym końcu dostrzegł mężczyznę, który szedł w jego stronę pod lampami halogenowymi.

- Dobrze myślałem, że to ty - powiedział, kiedy się zbliżył.

Cochrane rozpoznał Philippe'a Reviora, zastępcę szefa ochrony LHC. Poczuł ucisk w żołądku. Oby tylko nie stało się nic złego. Nie dziś. Nie tej nocy.

Wyjął komórkę, żeby sprawdzić, czy nie wzywają go z powrotem. Żadnej wiadomości. Żadnych nieodebranych połączeń. Co Revior tu robi, do diabła? - zastanawiał się w duchu.

- Co tu robisz? - spytał głośno, siląc się na swobodny ton. - Myślałem, że przygotowujecie się do jutrzejszego włączenia.

- My zrobiliśmy swoje - odparł Revior. - Nocna zmiana poradzi sobie z resztą.

Cochrane'a ogarnął niepokój. Mimo zimna zaczął się pocić. Podejrzywał, że Revior nie znalazł się tu przypadkowo. Wykryli coś? Wiedzą o nim?

- Czekasz na pociąg? - zapytał.

- Jasne - potwierdził wiceszef ochrony. - Kto jeździ samochodem w takich warunkach?

Kto jeździ samochodem w takich warunkach? Kilka centymetrów śniegu zimą to w Genewie nic nadzwyczajnego. Wszyscy jeżdżą w takich warunkach.

Cochrane zastanawia! się gorączkowo, co robić. Jednego był pewien: nie może pozwolić, żeby Revoir wsiadł z nim do pociągu. Nie tutaj, nie teraz.

Może by wrócić do LHC pod pretekstem, że coś zostawił? Spojrzał na zegarek. Za mało czasu. Był w pułapce.

- Pojadę z tobą - powiedział Revoir i wyciągnął piersiówkę. - Napijemy się.

Cochrane usłyszał nadjeżdżający pociąg. Spojrzał wzdłuż torów i w oddali zobaczył jego światła.

- Ja... eee... - zaczął.

Zanim dokończył, usłyszał za sobą kroki. Ktoś wchodził po schodach. Odwrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn w rozpiętych ciemnych płaszczach.

Przez chwilę myślał, że to ludzie Philippe'a, członkowie ochrony lub nawet policja, ale prawdę wyczytał z twarzy Revoira, który przyglądał się im podejrzliwie. Wieloletnie doświadczenie w ocenie zagrożeń bez wątpienia mówiło mu to, co Cochrane już wiedział: ci mężczyźni to problem.

Cochrane chciał znaleźć jakieś wyjście, by uniknąć tego, co się za moment stanie, ale jego umysł zachowywał się jak melasa na mrozie. Nim zdążył się odezwać, mężczyźni wyciągnęli krótkolufowe pistolety. Jeden wycelował w niego, drugi w Revoira.

- Myślałeś, że ci zaufamy? - zwrócił się do Cochrane'a ten pierwszy.

- O co chodzi? - zapytał zdezorientowany Revoir.

- Zamknij się - warknął drugi mężczyzna.

Jego towarzysz złapał Cochrane'a za ramię i przyciągnął bliżej.

- Jedziesz z nami - oznajmił. - Dopilnujemy, żebyś wysiadł na właściwej stacji.

Kiedy drugi bandyta się roześmiał, Revoir zaatakował. Wbił mężczyźnie kolano w krocze i zablokował go.

Cochrane zupełnie nie wiedział, co robić, ale kiedy zobaczył, że mierzący do niego mężczyzna kładzie palec na spuście, chwycił go za rękę i pchnął ją do góry. Pistolet wypalił, odgłos strzału rozniósł się w ciemności.

Cochrane nie miał wyboru. Natarł na mężczyznę, przewrócił go i zaczął się z nim szamotać na ziemi.

Cios na odlew w twarz zaskoczył go. Sekundę później dostał łokciem w żebra i potoczył się w bok.

Kiedy się podniósł, zobaczył, jak Revior wali bykiem drugiego bandytę, a potem rzuca się na mężczyznę, z którym on przed chwilą walczył.

Łoskot zaczął wypełniać tło, gdy zbliżający się pociąg wyjechał zza zakrętu niecałe pół kilometra od stacji. Cochrane już słyszał zgrzyt hamulców działających na stalowe koła.

- Alex! - krzyknął Revior.

Przeciwnik rozłożył go na łopatki i próbował wycelować w jego głowę. Philippe, nie mogąc odepchnąć ręki uzbrojonej w pistolet, przyciągnął ją do siebie, czym kompletnie zaskoczył przeciwnika, i zatopił zęby w przedramieniu.

Bandyta krzyknął z bólu i odruchowo szarpnął rękę do tyłu. Broń wypadła mu z dłoni i wylądowała w śniegu obok Cochrane'a.

- Zastrzel go! - krzyknął Revior, próbując przytrzymać napastnika.

Łoskot pociągu dudnił w uszach Cochrane'a. Serce mu waliło, kiedy podnosił pistolet.

- Zastrzel go! - powtórzył Revior.

Cochrane zerknął wzdłuż torów. Zostały mu tylko sekundy. Musiał wybierać. Wziął na muszkę napastnika, a potem opuścił lufę i nacisnął spust.

Głowa Reviora odskoczyła do tyłu, na zaśnieżony peron trysnęła krew.

Philippe Revior nie żył. Napastnik w szarym płaszczu chwycił ciało i ukrył w mroku za ławką, zanim czoło nadjeżdżającego pociągu minęło ścianę drzew na końcu stacji.

Cochrane poczuł silne mdłości, ale udało mu się je opanować. Wetknął pistolet za pasek spodni i zasłonił koszulą.

- Powinniście się wycofać - powiedział.

- Nie mogliśmy - odparł jego niedoszły zabójca. - Taka ewentualność nie wchodziła w grę.

Pociąg wjechał na stację, pęd powietrza poderwał śnieg do góry.

- To miało wyglądać na porwanie - zawołał Cochrane, przekrzykując hałas.

- I będzie - zapewnił mężczyzna.

Zamachnął się, uderzył Cochrane'a w skroń, powalając go na ziemię, i kopnął w żebra.

Pociąg się zatrzymał, a dwaj napastnicy chwycili Cochrane'a pod pachy.

Kiedy ciągnęli go w stronę schodów, kręciło mu się w głowie, był zdezorientowany i półprzytomny. Usłyszał jednak dwa strzały i okrzyki pasażerów wysiadających z prawie pustego pociągu.

Z tego, co działo się później, zapamiętał szybką jazdę na tylnym siedzeniu jakiegoś sedana i śnieg padający za oknem samochodu.

ROZDZIAŁ 2

Wschodni Atlantyk, 14 czerwca 2012

Wody wschodniego Atlantyku przetaczały się niskimi falami, gdy „Kinjara Maru” podążał na północ w kierunku Gibraltaru i wejścia na Morze Śródziemne. Statek płynął z szybkością

ośmiu węzłów, o połowę mniejszą od jego prędkości maksymalnej, ale najbardziej ekonomiczną.

Kapitan Heinrich Nordegrun stał w klimatyzowanej ste-

rowni i patrzył na ekran radaru. Pogoda była dobra, ruch niewielki.

Przed nimi nie było żadnych statków, a za nimi, w odległości dziesięciu mil morskich, tylko jeden supertankowiec. Supertankowce, większe nawet od amerykańskich lotniskowców, były zbyt duże, aby korzystać z Kanału Sueskiego lub Panamskiego. Z pełnym ładunkiem przekraczały pięćset tysięcy

ton. Ten jednak musiał być pusty, sądząc po tym, jak szybko płynął.

Nordegrun próbował wywołać go przez radio, bo lubił wiedzieć, kto mu towarzyszy, zwłaszcza na niezbyt bezpiecznych wodach. Wprawdzie u wybrzeży Afryki Zachodniej ryzyko było znacznie mniejsze niż po wschodniej stronie kontynentu, bli-

sko Somalii, ale rozmowy z innymi statkami częstokroć pozwalały uzyskać przydatne informacje.

Supertankowiec nie odpowiadał, co nie zmartwiło ani nie zdziwiło kapitana. Niektóre załogi rozmawiały, inne nie.

Nordegrun przestał myśleć o supertankowcu i spojrzął przez okno sterowni. Otwarte wody i spokojna noc sprzyjały żegludze.

- Zwiększ prędkość do dwunastu węzłów - rozkazał.

- Tak jest. - Sternik, Filipińczyk nazwiskiem Isagani Talan, wykonał polecenie kapitana.

„Kinjara Maru”, jak wiele innych jednostek handlowych, przypominał wieżę Babel. Zbudowany w Korei Południowej, zarejestrowany na Bahamach, należał do firmy japońskiej. Kapitan był Norwegiem, większość załogi stanowili Filipińczycy, a transportowali afrykańskie minerały dla chińskiej fabryki.

Ktoś postronny mógłby to uznać za obłąd, ale liczył się tylko fakt, że wykonawcy znali swoje obowiązki. Nordegrun pływał z Talanem od dwóch lat i ufał mu bezgranicznie.

Gdy statek przyspieszył, kapitan przeniósł wzrok z wyświetlacza radaru na monitor przed sobą. Urządzenie, choć umieszczone poziomo jak dawne stoły nawigacyjne, było nowoczesnym ekranem dotykowym o wysokiej rozdzielczości. Pokazywało wody wokół statku, jego pozycję, kurs i prędkość.

Z daleka wszystko wydawało się w porządku, ale kiedy Nordegrun stuknął w ekran i zrobił zbliżenie, zobaczył, że południowy prąd zepchnął ich czterysta pięćdziesiąt metrów z kursu.

Kapitan był perfekcjonistą.

- Dwa stopnie w lewo - polecił.

Talan siedział przy pulpicie sterowniczym przed monitorem komputera. Jego stanowisko w niczym nie przypominało tych na starych statkach. Nie musiał kręcić wielkim kołem, żeby zmienić kurs, ani obsługiwać telegrafu maszynowego, ciężkiej mosiężnej dźwigni, która sygnalizowała maszynowni, by zmieniła prędkość. Koło sterowe zastępowała mała stalowa piasta, a dźwignia przepustnicy przypominała samochodowy drążek zmiany biegów.

Kiedy dokonał korekty, sygnały elektroniczne dotarły do jednostek zawiadujących sterem i silników na rufie statku.

Lekka zmiana kursu była niewyczuwalna i niezauważalna gołym okiem, ale kapitan mógł ją obserwować na ekranie. Po kilku minutach statek wrócił na kurs i przyspieszył.

Zadowolony Nordegrun uśmiechnął się do sternika.

- Idealnie - powiedział. - Skoro dali nam ten bajerancki sprzęt, trzeba z niego korzystać.

- Tak jest - odrzekł Talan.

Kapitan zerknął na chronometr. Minęła dwudziesta druga i zaczęła się trzecia wachta. Spokojny, że statek jest w dobrych rękach, zwrócił się do oficera pokładowego.

- Przekazuję panu dowodzenie - oznajmił.

Zanim zszedł na dół, sprawdził pozycję supertankowca. Wielki statek zmienił kurs tak samo jak „Kinjara Maru” i - o dziwo - też przyspieszył do dwunastu węzłów.

- Dziwne - mruknął Nordegrun, wychodząc ze sterowni.

Znalazszy się na rufie, popatrzył spod przymrużonych powiek w mrok. Światła supertankowca podążającego ich śladem były niebieskawobiałe, zupełnie jak ksenonowe reflektory nowoczesnych luksusowych sedanów.

Nigdy przedtem nie widział takich na statku. Ale z drugiej strony, jeszcze kilka lat temu nikt nie myślał, że statek może być prowadzony przez komputer.

Nordegrun postanowił wrócić do swojej kabiny. Czekala tam na niego żona, którą poślubił przed dwoma laty i która pierwszy raz wybrała się z nim w rejs. Za tydzień, gdy dotrą do Egiptu, ona zejdzie na ląd i polecą z Kairu do domu, a „Kinjara Maru” popłynie dalej przez Kanał Sueski.

To będzie wspaniały tydzień, pomyślał. Prawdziwe wakacje bez brania urlopu.

Wszedł na klatkę schodową, zamknął za sobą włącz i zaczął zbiegać po stopniach. Kiedy dotarł na dolny pokład, światła na klatce schodowej przygasły. Kapitan spojrział w górę. Żarówki nad drzwiami wyglądały jak dogasające węgielki, a świetlówki na suficie zaczęły migotać.

Po chwili wszystko wróciło do normy, ale Nordegrun nie miał wątpliwości, że szwankuje generator. Odwrócił się i wbiegł po schodach na górę.

Światła znów na moment przygasły, a potem rozbłysły osłepiającym białym blaskiem. Świetlówki wydały dziwny dźwięk, popękały i z sufitu posypało się szkło. Żarówka na ścianie eksplodowała z głośnym hukiem. Na klatce schodowej zrobiło się niebiesko, po czym zapadła ciemność.

Nordegrun trzymał się poręczy, zaskoczony i zszokowany. Nigdy nie widział czegoś takiego. Poczul, że statek się przechyła, jakby ostro skręcał. Nie mając pojęcia, co się dzieje, kapitan wbiegł po schodach i popędził w kierunku dziobu. Lampy wybuchwały na całym statku.

Nordegrun poczul kłujący ból w szyi i szczęce. Stres, pomysłał. Reakcja „walcz albo uciekaj”, kiedy statkowi coś grozi.

Wpadł na mostek.

- Co się dzieje, do diabła?! - ryknął.

Ani Talan, ani oficer pokładowy nie odpowiedzieli. Talan krzyczał coś do interkomu, a oficer stukał gorączkowo w klawisze ręcznego sterowania, bo statek wciąż skręcał.

Nordegrun zobaczył, że wskaźnik położenia steru pokazuje pełne wychylenie w lewo. Chwilę później obraz zniknął z ekranu, a z innego komputera wystrzeliły iskry.

Niemal jednocześnie oficer pokładowy upadł na ziemię, trzymając się za głowę i jęcząc z bólu.

- Talan! - zawołał kapitan. - Biegnij na dół do mojej żony!

- Już! - odkrzyknął sternik i opuścił swoje stanowisko.

Nordegrun chwycił mikrofon radia okrętowego i wcisnął przycisk nadawania, ale aparat wydał tylko wysoki pisk. Sięgnął do drugiego radia i nagle poczul pieczenie w piersi.

Spojrzał w dół. Guziki jego kurtki żarzyły się na czerwono. Szarpnął jeden, ale oparzył sobie dłoń. Hałas w jego głowie osiągnął takie natężenie, że oszołomiony upadł na ziemię. Przytknął oczy i zobaczył pod powiekami setki migocących iskier, zupełnie jakby patrzył w niebo pełne wybuchających gwiazd.

Po chwili poczuł silny ból; miał wrażenie, jakby ktoś próbował wcisnąć mu oczy do czaszki.

Usłyszał w głowie trzask, z nosa pociekła mu krew.

Otworzył oczy i zobaczył, że sterownię wypełnia dym. Poczłgał się do drzwi, napał ramieniem na właz, otworzył go silnym pchnięciem i wy dostał się na zewnątrz. Hałas w jego głowie jeszcze się nasilił.

Nordegrun osunął się na pokład z twarzą zwróconą ku rufie. Dostrzegł, że supertankowiec wciąż płynie za nimi. Trzymał się w odległości dziesięciu mil morskich, ale teraz świecił o wiele jaśniej, jakby za sprawą ogni świętego Elma.

Kapitan, przerażony i oszołomiony hałasem, patrzył na to wszystko, ale narastający ból sprawiał, że nie był w stanie myśleć. Po chwili ból stał się potworny, wręcz niewyobrażalny. Nordegrun krzyknął, gdy jego ciało stanęło w płomieniach.

ROZDZIAŁ 3

Wschodni Atlantyk, 15 czerwca

Nad Atlantykiem wstawał świt. Kurt Austin stał na dziobie statku NUMA „Argo” i wycierał pot z twarzy miękkim ręcznikiem. Właśnie skończył pięćdziesiąt okrążeń wokół głównego pokładu. Tyle że pokład nie otaczał statku, więc aby zacząć następane okrążenie, po zakończeniu poprzedniego musiał wpadać do nadbudówki, wbiegać po dwóch kondygnacjach schodów,

 pędzić wzdłuż pawęży, zbiegać po schodach z drugiej strony i wypadać na dwór.

O wiele prościej byłoby pójść do siłowni, zaliczyć osiem kilometrów na ruchomej bieżni, a potem poćwiczyć na stepperze StairMaster. Byli jednak na morzu, a dla Austina morze oznaczało wolność, możliwość poznawania świata oraz brak tłoku, smogu i klaustrofobicznej niekiedy egzystencji w mieście. Tutaj mógł zobaczyć świt na horyzoncie, nie chciał więc na czas

 porannych ćwiczeń zamykać się w ciasnym pomieszczeniu bez okien, nawet klimatyzowanym.

Na poranny trening Kurt ubrał się jak zwykle w czarne spodnie od dresu i spłowiały szary T-shirt z logo NUMA. Miał metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, szerokie bary i kręcone srebrzystoszare włosy, które przy odpowiednim oświetleniu wyglądały prawie jak platynowe. Jego oczy, choć sam uważał je po prostu za niebieskie, miały niezwyklej odcień, co wielu osobom - zwłaszcza kobietom - bardzo się podobało.

Przed czterdziestymi urodzinami Kurt postanowił poświęcić więcej czasu ćwiczeniom fizycznym. Zawsze dbał o formę. Służba w marynarce wojennej i praca w tajnej jednostce ratowniczej CIA wymagały tego. Ale on chciał mieć w wieku czterdziestu lat najlepszą kondycję w życiu, lepszą niż jako trzydziestolatek i dwudziestolatek.

Zadanie nie było łatwe. Musiał naprawdę dużo ćwiczyć i kosztowało go to więcej wysiłku i bólu niż w młodszym wieku, ale już prawie osiągnął cel.

Ważył cztery i pół kilograma mniej niż przed rokiem, a kiedy wyciskał cięższą sztangę w leżeniu na ławce, czuł się silny jak w młodości, gdy wierzył, że może wszystko.

Kondycja fizyczna nadal była mu potrzebna. W NUMA naprawdę ostro dostawał w kość. Uczestniczył w trudnych akcjach ratunkowych, podczas których wiele razy go bito, strzelano do niego i topiono go. Prawdę mówiąc, zaczął mieć tego dość. W ubiegłym roku rozważał nawet powrót do pracy u swojego ojca, właściciela renomowanej firmy ratownictwa morskiego. Ale to oznaczałoby utratę niezależności, a Kurt Austin zawsze chodził własnymi drogami. Ostatecznie więc odrzucił ten pomysł.

Popatrzył na horyzont, którego barwa zmieniała się z ciemnobłękitnej na szaroniebieską. Światła przybywało, choć słońce jeszcze nie wzeszło. Odwrócił się w stronę prawej burty i przeciągnął, żeby rozluźnić mięśnie pleców, i wtedy dostrzegł cienką smugę dymu unoszącą się ku niebu.

Nie zauważył jej, kiedy biegał, bo było jeszcze ciemno, teraz jednak była wyraźnie widoczna.

Kurt zmrużył oczy i wytyczył wzrok, ale nie zdołał dostrzec źródła dymu.

Ruszył do schodów i po chwili wszedł na mostek.

Zastał tam kapitana „Argo”, Roberta Haynesa, który stał obok oficera wachtowego i wytyczał kurs na Azory, gdzie reprezentacja NUMA miała uczestniczyć w wyścigu mającym na celu wyłonienie najszybszej na świecie dwuosobowej łodzi podwodnej.

Do udziału w tym rejsie wyznaczono Kurta i jego partnera Joego Zawalę, w nagrodę za ich ciężką pracę podczas ostatnich przedsięwzięć. Joe już był na wyspie Santa Maria, gdzie czynił niezbędne przygotowania i - jak domyślał się Kurt - zawierał przyjaźnie, głównie z kobietami. Austin nie mógł się doczekać, kiedy do niego dołączy.

- Skończyłeś niszczenie moich pokładów? - zapytał Haynes, nie odrywając wzroku od mapy.

- Na razie tak - odrzekł Kurt. - Ale musimy zmienić kurs na jeden dziewięć zero.

Kapitan spojrział na Austina, a potem znów w dół na stół nawigacyjny.

- Uprzedzałem cię, Kurt, że jeśli coś ci wypadnie za burtę, będziesz musiał popłynąć po to wpław.

Kurt uśmiechnął się, ale sytuacja była poważna.

- Z prawej burty widać smugę dymu - wyjaśnił. - Coś się pali, a wątpię, żeby ktoś grillował.

Haynesowi natychmiast przeszła ochota do żartów. Pożar na morzu to bardzo groźne zdarzenie. Na statkach jest mnóstwo rur i przewodów wypełnionych łatwo palnymi płynami, takimi jak paliwo czy olej hydrauliczny. Często przewożą one niebezpieczne materiały: ropę, gaz ziemny, węgiel, chemikalia, a nawet takie metale jak magnez i aluminium, które się palą. I w przeciwieństwie do pożaru na lądzie nie ma dokąd uciec, chyba że opuści się statek, co jest ostatecznością dla każdego dowódcy.

Kapitan Haynes, świadomy zagrożenia, nie próbował nawet sprawdzić dokładności oceny Kurta. Odwrócił się do sternika.

- Zawracamy - polecił. - Kurs jeden dziewięć zero. Prędkość maksymalna.

Kiedy sternik wykonywał rozkaz, kapitan chwycił lornetkę i wyszedł na prawe skrzydło mostka. Kurt ruszył za nim.

„Argo” był blisko równika, a na tej szerokości geograficznej szybko robi się jasno. Kurt widział teraz dym bardzo wyraźnie, nawet bez lornetki. Gęsty i ciemny, unosił się pod niebo wąską pionową smugą, lekko skręcającą na wschód.

- Wygląda na towarowiec - powiedział Haynes i podał Austinowi lornetkę.

Kurt spojrział przez nią na średniej wielkości masowiec, który wydawał się dryfować.

- To dym z płonącej ropy - orzekł. - Spowija cały statek, ale najgęściejszy jest koło rufy.

- Pożar maszynowni - stwierdził kapitan. - Albo jednego z bunkrów.

Kurt też tak sądził.

- Odebrałeś jakieś wezwania pomocy? - spytał.

Haynes pokręcił przecząco głową.

- Żadnych. Tylko zwykłe rozmowy w eterze.

Kurt wiedział, że nawet gdyby ogień zniszczył instalację elektryczną, większość statków ma zapasowe obwody. Poza tym na każdej jednostce tej wielkości musi być kilka przenośnych radiotelefonów, radiopława alarmowa, a także radia w łodziach ratunkowych. Brak sygnału SOS ze stu pięćdziesięciometrowego płonącego statku wydawał się co najmniej dziwny.

„Argo” zakończył manewr zawracania i teraz stopniowo przyspieszał, płynąc prosto na dryfujący frachtowiec. Kurt ocenił odległość na niewiele ponad pięć mil morskich, mniej niż mu się początkowo zdawało. To dobrze, pomyślał.

Kiedy jednak dziesięć minut później popatrzył przez lornetkę na nadbudówkę masowca, dostrzegł kilka rzeczy, które sprawiły, że ogarnął go niepokój.

Po pierwsze, płomienie wydobywały się z luków na pokładzie, co oznaczało, że płonie cały statek, nie tylko maszynownia. Po drugie, frachtowiec miał wyraźny przechył na lewą burtę i dziób, to zaś wskazywało, że nabiera wody. I wreszcie po trzecie, jacyś dwaj mężczyźni ciągnęli trzeciego w kierunku relingu.

W pierwszej chwili Kurt pomyślał, że to ranny, może nawet nieprzytomny członek załogi. Kiedy jednak wlokący mężczyznę faceci puścili go, ten nie opadł bezwładnie na pokład. Potoczył się jak popchnięty, wstał i zaczął biec. Zrobił zaledwie trzy czy cztery kroki, zatrzymał się, zachwiał i upadł na twarz.

Austin przesunął lornetkę w prawo i zobaczył mężczyznę z karabinem szturmowym. Nie usłyszał strzału, ale dostrzegł błysk z lufy. Jeden, potem drugi.

Skierował lornetkę z powrotem na tego, który upadł - mężczyzna leżał nieruchomo na pokładzie.

Piraci, pomyślał. Frachtowiec był w większych tarapatach, niż sądził.

Kurt uświadomił sobie, że teraz płyną nie tylko na ratunek.

- Kapitanie - powiedział, opuszczając lornetkę. - Właśnie przybyło nam problemów.

ROZDZIAŁ 4

Na pokładzie „Kinjary Maru” Kristi Nordegrun zmagala się z ciemnością. Dzwoniło jej w uszach i łupało w głowie, jakby piła całą noc. Leżała na podłodze, a nogi miała niewygodnie podkurczone.

Nie mogła sobie przypomnieć, jak się tu znalazła, a tym bardziej, co się wydarzyło. Zdrętwienie nóg wskazywało, że leży w tej pozycji od dawna.

Niezdolna wstać, podciągnęła się do góry i oparła o ścianę, usiłując opanować zawroty głowy.

Po chwili uświadomiła sobie, że jest w najniższej części kwater załogi, kilka kondygnacji pod pokładem i blisko śródookręcia. Przyszła tu, bo umówiła się z mężem na spóźnioną ko-

lację w usytuowanej na tym poziomie mesie. Rozejrzała się, ale nie zobaczyła Heinricha. Zaniepokoiło ją to.

Musiała stracić przytomność jakiś czas temu, więc gdyby wszystko było w porządku, mąż na pewno już by ją znalazł. Pomyślała, że skoro go przy niej nie ma, coś niedobrego dzieje się ze statkiem i Heinrich, jako kapitan, wypełnia swoje obowiązki.

Kristi uzmysłowiła sobie, że czuje dym. Nie pamiętała eksplozji, ale statek z pewnością się palił. Mąż mówił jej, że na

niektórych wodach terroryści rozmieszczają miny, stanowiące poważne zagrożenie dla przepływających tamtędy statków.

Spróbowała wstać, nie zdołała jednak zachować równowagi. Upadła, przewracając stół z napojami w puszkach. Usłyszała w ciemności dziwny odgłos, jakby toczyły się kulki do gry.

Hałas trwał jeszcze kilka sekund, by zakończyć się kilkoma głuchymi stukami. Dopiero wtedy Kristi zorientowała się, co się stało: puszki odtoczyły się od niej, nabrały szybkości i uderzyły w przegrodę.

Nie mogła złapać równowagi, bo podłoga była ustawiona pod kątem. Statek miał przechył. Wpadła w panikę. Już wiedziała, że toną.

Doczołgała się do ściany, podpełzła wzdłuż niej do drzwi i pchnęła je. Uchyliły się, ale potem zastopowało je coś miękkiego. Kristi napała na nie ramieniem i otworzyła trochę szerzej. Próbując przecisnąć się na zewnątrz, uświadomiła sobie, że drzwi blokuje mężczyzna leżący za progiem.

Kiedy pchnęła mocniej, przesunął się i jęknął.

- Kim pan jest? - zapytała. - Jest pan ranny?

- Pani Nordegrun - zdołał wykrztusić.

Rozpoznała głos jednego z członków załogi, sympatycznego Filipińczyka. Mąż mówił o nim, że pewnego dnia będzie znakomitym oficerem.

- Pan Talan?

Filipińczyk usiadł.

- Tak - potwierdził. - Nic się pani nie stało?

- Nie mogę złapać równowagi - odparła. - Chyba toniemy.

Talan skinął głową.

- Ma pani rację. Musimy wydostać się ze statku.

- Co z moim mężem?

- Jest na mostku. Przysłał mnie po panią. Da pani radę dojść do schodów?

- Tak. Choćbym musiała się czołgać.

- Najlepiej będzie się czołgać - stwierdził Talan.

- Słuszna uwaga - przyznała Kristi. - Musimy się trzymać poniżej dymu.

Zanim poślubiła Heinricha, była pielęgniarką ratunkową. Jeździła do wypadków i pożarów, więc doskonale wiedziała, jak postępować w sytuacji zagrożenia. Dzięki temu teraz potrafiła zachować zimną krew.

Talan wziął Kristi za rękę i zaczęli pełznąć po podłodze. Po piętnastu metrach natrafili na innego członka załogi. Był nieprzytomny. Próbowali go ocucić, ale bez skutku.

Kristi położyła palce na jego przegubie i sprawdziła tętno.

- Nie żyje - powiedziała.
- Wiadomo, dlaczego umarł? - spytał Talan.
- Nie - odparła. - Nie widzę żadnych ran postrzałowych ani śladów duszenia. Może zatruł się oparami?

Dymu było tu więcej, ale jego gęstość nie wydawała się zabójcza. Zostawili martwego mężczyznę i poczołgali się dalej w stronę klatki schodowej. Dotarłszy tam, otworzyli pchnięciem drzwi. Ku uldze Kristi w korytarzu było mniej dymu. Zdolała wstać, przytrzymując się poręczy.

Kiedy zaczęli się wspinać, z góry padł na nich wąski snop światła. W korytarzu działały tylko niektóre lampy, więc Kristi najpierw pomyślała, że to oświetlenie awaryjne klatki schodowej. Blask był jednak jakby bardziej naturalny i wydawał się to przygasać, to rozjaśniać.

Dwa poziomy wyżej znajdowały się drzwi z szybą z hartowanego szkła, blask mógł zatem przenikać przez nią. Czyżby światło dzienne? - zastanawiała się Kristi. Nie, to niemożliwe, żeby już nastał ranek, przecież zeszła do mesy dobrze przed północą. Musi być jakieś inne wytłumaczenie.

Wspinała się dalej, próbując dotrzymać kroku Talanowi. Gdy dotarli do podestu na szczycie schodów, zobaczyła blask promieni słonecznych, przesłaniany chwilami przez kłęby dymu.

- Jest jasno - stwierdziła w osłupieniu.
- Musieliśmy być nieprzytomni wiele godzin - odrzekł Talan.

- I nikt nas nie znalazł? - zapytała głosem drżącym ze strachu.

Skoro nikt ich nie szukał przez te wszystkie godziny, musiało się wydarzyć coś bardzo złego.

Ruszyła naprzód, ale potknęła się i straciła równowagę. Talan podtrzymał ją i oparł o przegrodę.

- Proszę tu zostać - powiedział.
- Nic mi nie jest - wymamrotała.

Talan puścił ją i podszedłszy do drzwi, sprawdził, czy są gorące. Kristi zauważyła, że szyba jest odkształcona i przypomina stopiony wosk.

- W porządku - oznajmił Talan. - Nie ma już ognia.

Pchnął drzwi, a gdy otworzyły się ze skrzypnięciem, przestąpił próg i przywołał ją gestem.

Kristi dołączyła do niego i chwyciła się relingu.

Kiedy Talan patrzył w stronę dziobu, próbując ocenić stan statku, z dymu spowijającego rufę wyłonił się jakiś mężczyzna. Był potężnie zbudowany i ubrany na czarno.

Kristi, pewna, że członkowie załogi nie mieli czarnych strojów, zdziwiła się na jego widok, a gdy zobaczyła, że mężczyzna trzyma w dłoniach pistolet maszynowy, ogarnęło ją przerażenie.

Talan, który właśnie się odwrócił i zauważył uzbrojonego napastnika, pchnął ją na ziemię. W tym momencie nieznamy mężczyzna zaczął strzelać. Patrzyła bezradnie, jak pociski dziurawią pierś Talana. Poleciał do tyłu na reling i wypadł za burtę.

Kristi rzuciła się do drzwi i szarpnęła je, ale zanim zdążyła otworzyć, mężczyzna z pistoletem maszynowym znalazł się przy niej. Zatrzasnął drzwi stopą w ciężkim butcie.

- Nic z tego, kochanie - warknął. - Idziesz ze mną.

Próbowała się opierać, ale chwycił ją za kołnierz i postawił na nogi.

„Argo” płynął z prędkością trzydziestu węzłów, prując dziobem fale oceanu. Kurt Austin stał na skrzydle mostka i obserwował przez lornetkę płonący masowiec. Widział ludzi, którzy chodzili od luku do luku i do każdego wrzucali granaty lub ładunki wybuchowe.

- Dziwne - skomentował. - Wygląda na to, że chcą go zatopić.
- Z piratami nigdy nic nie wiadomo - odparł kapitan Haynes.

- To prawda - zgodził się Kurt - ale zwykle chodzi im o pieniądze. Jeśli pošłą statek na dno, nie będą mogli wziąć okupu ani sprzedać ładunku na czarnym rynku.

- Może zabiorą załogę ze sobą - spekulował Haynes.

Kurt znów popatrzył wzdłuż pokładu. Nadbudówka - nazywana przez niektórych marynarzy zamkiem - wznosiła się na rufie na wysokość pięciu pięter niczym apartamentowiec. Wyrastała dumnie w górę, ale płaski pokład dziobowy znajdował się tuż nad powierzchnią wody, brakowało około pół metra do zalania dziobu. Przez ogień i dym Austin niewiele więcej mógł zobaczyć.

- Widziałem, jak zastrzelili jednego nieszczęśnika - powiedział. - Może piraci przechwycili jakiegoś ważnego pasażera, a reszta jest do likwidacji. W każdym razie wątpię, żeby się poddali.

- Mamy trzy łodzie gotowe do zwodowania, jedną szybką motorówkę i nasze dwa tendry - odparł Haynes. - Chcesz tam popłynąć?

Kurt opuścił lornetkę.

- Chyba nie sądzisz, że będę się beczynnie przyglądał?

- To zejdź do zbrojowni - rzekł kapitan. - Wyposażają właśnie grupę abordażową.

Na masowcu „Kinjara Maru” przywódca bandy „piratów” włókł Kristi Nordegrun po pokładzie. Nazywał się Andras, ale jego ludzie nadali mu przyzwisko „Kosa”, bo lubił się bawić nożami.

- Dlaczego to robicie? - zapytała Kristi. - Gdzie jest mój mąż?

- Twój mąż? - zainteresował się Andras.

- Kapitan tego statku - wyjaśniła.

Andras pokręcił głową.

- Przykro mi, kochanie, ale możesz uważać się za wdowę.

Rzuciła się na niego i uderzyła w twarz. Równie dobrze mogłaby uderzyć w betonową ścianę. Andras otrząsnął się po ciosie, powalił Kristi na pokład i wyciągnął jedną ze swoich

ulubionych zabawek: składany nóż z trzynastocentymetrowym tytanowym ostrzem. Otworzył je i wysunął w jej kierunku.

- Jak mnie wkurzysz, to cię tym potnę - zagroził. - Rozumiesz?

Skuliła się, przerażona, i wolno skinęła głową.

W rzeczywistości Andras wcale nie zamierzał jej pociąć, bo z okaleczoną twarzą byłaby mniej warta, ale nie musiała tego wiedzieć.

Gwizdnął na swoich ludzi. Załoga „Kinjary Maru” nie żyła, a statek szedł na dno - ostatnia część operacji została wykonana. Nadszedł czas, żeby szczury opuściły tonący okręt.

Zebrał się wokół Andrasa, a jeden, niechlujny mężczyzna z żółtawymi zębami i blizną na górnej wardze, zainteresował się Kristi. Przykucnął i dotknął jej włosów.

- Ładna - stwierdził, pocierając w palcach jej złociste loki.

Ciężki but trafił go w skroń.

- Spieprzaj - burknął Andras. - Znajdź sobie własną zdobycz.

Z krwawym śladem na twarzy i zszokowaną miną Blizna czmychnął jak przepędzony pies.

- Co ze mną zrobicie? - spytała Kristi zaskakująco silnym głosem.

Andras uśmiechnął się obleśnie. Zamierzał się z nią zabawić, a potem sprzedać na czarnym rynku. Przyjemny dodatek w naturze do wynagrodzenia za tę robotę. Ale tego też nie musiała wiedzieć, więc zignorował jej pytanie.

Zamiast odpowiedzieć, odłożył nóż i przyklęknął obok Kristi. Skrępował jej ręce drutem, owijając go kilka razy wokół przegubów, a potem zakneblował ją kawałkiem materiału. Nie miał ochoty wysłuchiwać kolejnych głupich pytań.

Już miał ją podnieść, gdy z góry dobiegł okrzyk:

- Zbliża się jakiś statek! Wygląda na kuter albo rodzaj fregaty.

Andras uniósł głowę i rozejrzał się, ale przez gęsty dym nie mógł nic zobaczyć.

- Gdzie?! - ryknął. - Podaj kierunek!
- Zachód-północny zachód - odkrzyknął mężczyzna.

Andras wyteżył wzrok i po chwili zauważył nadpływający statek, zaniepokoiło go jednak coś zupełnie innego: wąski spieniony kilwater blisko kadłuba „Kinjary”. Popatrzył przez prześwity w dymie. Kilwater ciągnął się w kierunku dziobu masowca, gdzie zniknął w ciemnych kłębach.

Andras spojrzął w stronę dziobu, który był już ponad pół metra pod wodą.

Chwilę później tłusta mgła się rozwiała i z dymu wyłoniła się sztywnokadłubowa łódź pneumatyczna, sunąca po pokładzie masowca w górę. Na jej dziobie leżeli dwaj mężczyźni, którzy prowadzili ogień z karabinów M16.

Andras zobaczył, jak dwóch jego ludzi pada, a inny, trafiony w nogę, kuśtyka nieporadnie.

Łódź zatrzymała się nieopodal luku drugiej ładowni „Kinjary” i wyskoczyło z niej kilku mężczyzn w mundurach polowych. Jeden ze strzelców na dziobie - facet z charakterystyczną srebrzystą czupryną - zdjął dwóch następnych ludzi Kosy, po czym stoczył się na pokład i ukrył za otwartą pokrywą najbliższego luku.

Andras zaklął. Amerykanie. Skąd oni się wzięli, do cholery?

ROZDZIAŁ 5

Pokład frachtowca stał się polem walki. Pociski i puste łuski latały we wszystkie strony.

Andras zareagował błyskawicznie. Złapał Kristi i zaczął się cofać, wlokąc ją za sobą. Podejrzał, że Amerykanie nie zaatakowałyby tonącego statku z nieznaną im liczbą przeciwników na pokładzie, gdyby nie mogli liczyć na wsparcie. Jego ocena bardzo szybko okazała się trafna.

Z nadpływającego kutra dobiegł kategoryczny rozkaz:

- Rzućcie broń i poddajcie się!

Andras nie zamierzał tego robić. Doskonale zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, ale żył do tej pory tylko dzięki temu, że potrafił sobie radzić nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

Dotarł do jednego z żurawi przeladunkowych i chwyciłszy zwisający z niego hak, wsunął go pod drut owinięty wokół przegubów Kristi.

Włączył zasilanie i po chwili usłyszał odgłos pracującej pompy hydraulicznej. Zanim puścił Kristi, wyjął jej knebel z ust.

Spojrzała na niego ze strachem.

- Będziesz miała ochotę krzyczeć - powiedział. - Wierz mi. Przetawiał dźwignię, podnosząc żuraw, i zaczął go przesuwać nad pole walki, żeby wszyscy widzieli wiszącą na haku kobietę.

Kurt Austin kucał za stalową pokrywą luku. Jego pomysł, żeby okrążyć dziób masowca i skierować łódź prosto na pokład, pozwolił zaskoczyć piratów i błyskawicznie wyłączyć z akcji kilku z nich. Niestety przeciwników było dużo więcej, niż się spodziewał, co najmniej kilkunastu, może nawet dwudziestu. Ci, którzy ocalili i zdołali się ukryć, teraz go przygwoździli.

Wiedział, że wkrótce przybędą inne łodzie z „Argo” i zapewnią im przewagę liczebną, ale do tego czasu będzie ciężko.

Radio przy jego pasie zatrzeszczało.

- Kurt, zbliżamy się do rufy - odebrał meldunek z jednego z tendrów. - Na razie żadnego oporu.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo pociski zaczęły rykoszetować od pokrywy luku za nim. Pochylił się niżej i próbował zobaczyć, skąd nadlatują. Zanim zdecydował, co dalej robić, usłyszał kobiecy krzyk. Spojrzał w górę i zobaczył, że na żurawiu wisi drobna, na oko trzydziestokilkuletnia blondynka, zaczepona związanymi drutem rękami o hak.

Kilka sekund później przez hałas przebił się męski głos.

- Możemy przerwać to szaleństwo? - zawołał.

Kurt nie podniósł głowy, bo mógłby ją łatwo stracić, ale strzały wokół niego umilkły.

Zerknął na kobietę. Z jej poranionych przegubów spływała krew.

- Skoro się uciszyliscie, to teraz mnie wysłuchajcie - zadudnił głos. - Albo pozwolicie moim ludziom opuścić tę tonącą łajbę, albo podziurawię tę kobietę jak sito.

Kurt rozejrzał się. Zobaczył, że woda zaczyna wirować wokół jego kostek i wlewać się do jednego z otwartych luków ładowni.

Dziób był już całkowicie zatopiony; nad powierzchnię wystawało tylko kilka najwyższych punktów, niczym czubki drzew na polu zalanym przez powódź. Teraz woda zaczęła wypełniać ładownie i obciążenie przedniej części kadłuba szybko się zwiększało. Za kilka minut „Kinjara Maru” przestanie łagodnie osiadać i pogrzeży się w głębinach.

- Czekam! - krzyknął ukryty mężczyzna.
- Kurt? - dobiegł głos z radia. - Co chcesz zrobić?

Austin znów spojrzął na kobietę w górze.

- Zostańcie na pozycjach - odparł i zawołał do nieznanego mężczyzny: - W porządku. Zabierajcie się i wynoście stąd. - Potem rozkazał swoim ludziom: - Wstrzymajcie ogień, dopóki się nie ewakuują.

Prawie natychmiast usłyszał ruch; piraci się wycofywali.

- Czy ktoś go widzi? - szepnęła Kurt do mikrofonu. - Musi być gdzieś wysoko.

Ktoś najwyraźniej zaryzykował spojrzenie, bo rozległ się strzał.

- Nie podglądać! - krzyknął ukryty mężczyzna.
- Niech to szlag! - zaklął Kurt. - Kto dostał?

Przez chwilę nie było odpowiedzi, a potem usłyszał:

- Foster.

Ze złością potrząsnął głową.

- Trafieś następnego z moich ludzi - zawołał do niewidocznego mężczyzny. - Przysięgam, że umrzesz na tym statku!

- Chciałbyś!

Woda sięgała Kurtowi już do ud. Przypominało to przyływ, tylko działo się o wiele za szybko. Środek ciężkości statku nieustannie się przemieszczał, a w rezultacie zwiększał się przechył. Luźne przedmioty zaczęły zsuwać się po pokładzie w stronę Austina.

Znów spojrzął w górę na kobietę. Musiała straszliwie cierpieć. Miał ochotę zastrzelić drania, który zawiesił ją na haku żurawia. Pieprzony sadysta, zżył się w duchu.

Z prawej burty masowca rozległ się warkot dużych silników przyczepnych. Po chwili przeszedł w jednostajny ryk i wyglądająca na ogołoconą ze wszystkich zbędnych elementów motorówka zaczęła się oddalać od statku.

- Ruszamy! - rozkazał Kurt swoim ludziom.

Natychmiast wkroczyli do akcji.

- Hawthorne oberwał - zameldował ktoś.

- Zajmijcie się nim - polecił Austin. - Zabierzcie jego i Fosterę do łodzi.

- A co z załogą?

- Wątpię, żeby zostawili kogoś przy życiu - odparł Kurt. - Zresztą i tak nie zdążycie tego sprawdzić.

Statek przechylił się dziesięć stopni na dziób i gruby łańcuch zaczął sunąć ku niemu jak wielki metalowy wąż.

Austin zrobił unik. Żelastwo dotarło do otwartego luku i wpadło do ładowni, grzechocząc złowrogo ogniwami.

- Zejdźcie ze statku - rozkazał Kurt.

- A ty? - zapytał jeden z jego ludzi.

- Idę po kobietę.

ROZDZIAŁ 6

„Kinjara Maru” tonął, a Kurt szedł w górę po pochyłym pokładzie zalanym wodą, ropą i szlamem.

Dobrnąwszy do drabiny prowadzącej na żuraw, wspiął

się na nią i trzymając się poręczy, dotarł do kabiny operatora dźwigu.

W fotel operatora był wbity składany nóż z czarną rękojeścią i tytanowym ostrzem. Drobnym podarunkiem od bandyty, który

zawiesił kobietę na haku. Kurt wyszarpnął nóż, złożył go i wsunął do kieszeni.

Odwrócił się do panelu sterowniczego i sprawdził zasilanie. Na szczęście wszystkie kontrolki się świeciły.

- Niech pani się trzyma - zawołał do kobiety i natychmiast uświadomił sobie, że ona nie ma się czego trzymać. Ale przecież „Niech pani tam wisi” zabrzmiałoby okropnie.

Kurt, jak każdy doświadczony ratownik morski, doskonale znał się na żurawach. Chwycił odpowiednią dźwignię i przesunął we właściwą stronę. Ramię dźwigu zaczęło się cofać, lecz po chwili stanęło w miejscu. Kobieta zakotłosała się jak waha-

dło, a kilka sekund później rozbłysła kontrolka ostrzegawcza hydrauliki.

Dopiero wtedy Austin zauważył czerwony płyn ściekający po ramieniu żurawia. Przewód hydrauliczny został przecięty. Teraz drobnym podarunkiem w postaci noża z czarną rękojeścią i tytanowym ostrzem nabrał sensu. Kurt wyobrażał sobie, jak bandyta się śmieje.

Zatrzeszczało jego radio.

- Opuściliśmy statek, ale widzimy górną krawędź pletwy sterowej - usłyszał. - Masz mało czasu.

Kurt spojrział w stronę dziobu. Jedna czwarta kadłuba była zanurzona, wszędzie pływały śmiecie. Zostało mu najwyżej kilka minut.

Nie miał wyboru - zostawił karabin, wszedł na ramię dźwigu i zaczął pełznąć w stronę haka. Poruszał się z najwyższym trudem, bo metal był śliski od smaru, ropy i oleju hydraulicznego.

Za jego plecami stalowe beczki potoczyły się z dudnieniem po pokładzie. Jedna uderzyła w coś, zaiskrzyła i eksplodowała.

Podmuch pchnął Kurta w bok. Stopy ześlizgnęły mu się z ramienia dźwigu i przez chwilę myślał, że spadnie, ale jakoś zdołał się utrzymać.

- Proszę się pospieszyć - usłyszał błagalny jęk kobiety zawieszona na haku.

Robił, co mógł, żeby nie spaść. Zerknął za siebie. Ogień ogarnął kabinę, w której był zaledwie przed chwilą. Miał szczęście, że ją opuścił.

Rozhuśtał się, wyrzucił nogi do góry i zaczepił stopą o ramię żurawia. W dole nastąpiła słabsza eksplozja wtórna. Kurt poczuł zapach paliwa i zobaczył przez czarny dym, jak płomień rozprzestrzeniają się na wodzie, a gdy znów ruszył naprzód, uderzyła w niego fala gorąca.

Pokonał ostatnie trzy metry i dotarł do miejsca, gdzie wisiała kobieta. Drut owinięty wokół nadgarstków wrzynał się jej w skórę. Ręce miała czerwone od spływającej krwi, twarz trupiobłądą.

Chwycił ją za ramiona i spróbował podciągnąć do góry, ale nie miał oparcia. W dodatku znad trzaskającego w dole ognia unosiły się gorące wiry powietrzne. Statek zadrżał, kiedy coś w środku się urwało i jeden z silników czy może ładunek przebieścił się gwałtownie.

- Kurt, ta łajba tonie - usłyszał przez radio. - Lada chwila pójdzie na dno.

Wiem, pomyślał i znów złapał kobietę za ramiona.

- Niech się pani podciągnie - poprosił.

- Nie mogę - wykrztusiła przez łzy. - Mam wyrwany bark.

W tej sytuacji Kurt mógł zrobić tylko jedno.

Wyjął z kieszeni nóż, otworzył go i wsunawszy ostrze pod drut krępujący nadgarstki kobiety, pociągnął. Nie chciał jej zranić, ale miał naprawdę mało czasu. Na szczęście drut puścił od razu i kobieta runęła do oceanu.

Kurt odepchnął się i skoczył za nią.

Otoczyły go dym i ogień. Wpadł do wody, uderzył nogą w coś pod powierzchnią, a kiedy się wynurzył, zobaczył kobietę tuż przed sobą. Utrzymywała się na powierzchni, ale miała tak poranione ręce, że nie mogła pływać. Chwycił ją i odholował od pływającej ropy.

Po chwili poczuł, jak wirująca woda ciągnie go za stopy niczym powrotny prąd przyboju przy plaży, i uświadomił sobie, że znacznie większe zagrożenie stanowi tonący statek. Spojrzał w kierunku rufy. Sterczała do góry jak rufa tonącego „Titanica”. Dziób był już głęboko pod wodą.

Kurt złapał kobietę za zdrowe ramię i zaczął z nią pływać. Wiedział, że kiedy rufa zniknie w głębinie, wessie za sobą wszystko w promieniu trzydziestu metrów. Jeżeli nie zdołają odpłynąć na taką odległość, oboje utoną.

Austin zdawał sobie sprawę, że nie mają szans zdążyć i może ich uratować tylko cud. Nie zamierzał jednak zrezygnować i cud nastąpił: zjawiała się szalupa z „Argo” i zatrzymała obok nich.

Mężczyźni na pokładzie łodzi wyłowili kobietę, dosłownie wyszarpując ją z wody. Kurt sam wciągnął się przez burtę i ciężko upadł na rufę. Spojrzał w górę i zobaczył, jak „zamek” - pięciopiętrowa nadbudówka z kwaterami załogi, mostkiem i masztami antenowymi - wali się na nich pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Sternik też to zauważył. Pchnął przepustnicę do oporu i łódź wyrwała do przodu niczym ogier spięty ostrogami.

Nadbudówka frachtowca uderzyła w wodę zaledwie kilka metrów za nimi.

Kilka sekund później „Kinjara Maru” zniknął pod powierzchnią oceanu.

Kurt spojrział na kobietę. Była ubrudzona sadzą i ropą, bark miała złamany lub zwichnięty, nadgarstki pokaleczone drutem, który się w nie wrzynał, oczy opuchnięte i prawie tak czerwone jak krew na jej ubraniu.

- Mamy lekarza na pokładzie - powiedział Austin. - Opatrzy pani rany, jak tylko dopłyniemy.

Skinęła głową. Była kompletnie wyczerpana i cała obolała, ale żyła.

- Do „Argo”? - zapytał sternik.
- Chyba że masz inny pomysł - odparł Kurt.
- Nie, szefie - rzekł sternik i wziął kurs na „Argo”.

Dziesięć minut później byli na pokładzie „Argo”. Lekarz okrętowy zajął się raną kobietą, a Kurt wszedł na mostek.

Statek już przyspieszał i zmieniał kurs.

- Kiepsko wyglądasz - zauważył kapitan Haynes. - Dlaczego nie jesteś w izbie chorych?

- Bo nie jestem chory - odparł Austin.

Kapitan przyjrzał mu się, po czym rzekł:

- Niech ktoś da temu facetowi ręcznik. Zamoczy mi cały mostek.

Chorąży rzucił mu ręcznik i Kurt wytarł twarz i włosy.

- Damy radę ich dogonić? - spytał.

Haynes zerknął na ekran radaru.

- Są szybsi od nas, wyciągają czterdzieści węzłów. Ale taką małą łodzią nie przyplynęliby aż z Afryki. Założę się o kolację ze stekami, że kierują się do jakiegoś statku-bazy.

Kurt skinął głową. W ostatnich latach piraci stali się bardziej wyrafinowani. Chociaż większość nadal wyruszała z małych osad wzdłuż wybrzeży biednych krajów Trzeciego Świata,

część miała statki, które zabierały ich w morze. Statki-bazy zamaskowane jako stare frachtowce czy fregaty.

Chowali swoje podrasowane motorówki pod pokładem i odbywali półlegalne rejsy, by ukryć ich prawdziwy cel. Kurt nieraz słyszał opinię, że można by z łatwością wyłapać piratów, gdyby ktoś po prostu szukał frachtowców, które zawsze wyładowują towary, nigdy żadnych nie biorąc. Ale kupcy byli za sprytni, żeby pytać o pochodzenie dostaw, na których robili dobre interesy.

- Jest coś na radarze? - zapytał Kurt.

- Jeszcze nic - odparł kapitan.

Austin odłożył ręcznik, sięgnął po lornetkę Haynesa i popatrzył w kierunku celu.

Samej uciekającej łodzi nie zdołał zobaczyć, ale jej pozycję wskazywał długi spieniony kilwater, który zostawiała za sobą. Od „Argo” dzieliło ją pięć mil morskich i oddalała się, jednak mogła się znaleźć poza zasięgiem radaru dopiero za kilka godzin, a do tego czasu...

Niespodziewany błysk zaskoczył Kurta i na moment oślepił. Chwilę potem zobaczył, jak szczątki łodzi rozpryskują się na wszystkie strony.

- Co się, do diabła, dzieje?...

Kilka sekund później dotarł do nich dźwięk. Niski pojedynczy huk jak wystrzał ogromnego fajerwerku. Łódź piratów zniknęła, unicestwiona przez jedną silną eksplozję.

ROZDZIAŁ 7

Austin siedział w kabinie telekomunikacyjnej „Argo” od ponad godziny. Przez ostatnie czterdzieści minut rozmawiał z dyrektorem NUMA Dirkiem Pittem.

Kurt był w dobrych stosunkach z Pittem, poznał go, kiedy ten jeszcze pracował w terenie. Biorąc pod uwagę rodzaj operacji, jakie często przeprowadzał Zespół Specjalny NUMA, dobrze było mieć szefa, który „już to przerabiał”. Wraz z przejsciem do centrali Pitt został wciągnięty w wir polityki, ale nie zapomniał, na czym polega prawdziwa robota.

Kiedy teraz „Argo” patrolował szeroki krąg w pobliżu miejsca zatonięcia „Kinjary Maru”, Kurt wyjaśniał Dirkowi, co wiedzą, a czego nie. Dyrektor zadawał pytania. Na niektóre z nich Austin nie potrafił odpowiedzieć.

- Najdziwniejsze jest to - powiedział - że zatopili statek, zamiast zatrzymać go jako zdobycz. I zabili załogę. To wyglądało bardziej na atak terrorystyczny niż akt piractwa.

Płaskoekranowy monitor na ścianie pokazywał twarz Pitta, która na chwilę zastygła w wyrazie zamyślenia.

- I nie znaleźliście statku-bazy? - spytał dyrektor.

- Pokonaliśmy pięćdziesiąt mil morskich w kierunku ich ucieczki - odparł Kurt. - Potem jeszcze pięć na południe i dzie sięć z powrotem na północ. Radar niczego nie pokazał.

- Może ich kurs był fałszywym tropem. Odciągali was, dopóki nie oddalili się na pewną odległość - zasugerował Pitt.

- Rozważaliśmy taką możliwość - przyznał Kurt. - Mogli mieć zapasowe paliwo na powrót do brzegu. To wyjaśniałoby eksplozję.

- Ale nadal nie wiemy, co robili na frachtowcu. Może wzięli zakładników?

- Wątpię - odparł Kurt. - Jest z nami żona kapitana, którą zostawili, żeby nas zatrzymać. Twierdzi, że nie widziała nikogo niezwykłego na pokładzie. Gdyby liczyli na okup, właśnie ona wydawała się najlepszą kandydatką.

Pitt opuścił wzrok i przez chwilę pocierał dłonią podbródek, po czym znów spojrział na wprost.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał.

Kurt przedstawił mu swoją teorię.

- Przeprowadziliśmy z ojcem mnóstwo akcji ratowniczych - zaczął. - Statki toną z wielu powodów, ale są celowo zatapiające tylko z dwóch: żeby dostać odszkodowanie od ubezpieczyciela albo ukryć coś na pokładzie. Kiedyś znaleźliśmy faceta z raną postrzałową w głowę, ale wciąż przypasanego do siedzenia łodzi. Okazało się, że zabił go partner i zatopił łódź w nadziei, że to się nie wyda. Nie spodziewał się, że towarzystwo ubezpieczeniowe postanowi wydobyć wrak, aby go sprzedać.

- Uważasz, że ta sprawa jest podobna?

Kurt skinął głową.

- Zabicie załogi, zatopienie statku. Ktoś próbuje coś zataić.

Pitt się uśmiechnął.

- Właśnie dlatego zarabiasz kupę forsy, Kurt.

- Ja? - prychnął Austin. - W takim razie wolę nie wiedzieć, ile płacisz innym.

- To marne grosze - przyznał Pitt - ale i tak o wiele więcej, niż admirał płacił mnie, kiedy zaczynałem.

Kurt roześmiał się na myśl o tym. Dirk powiedział mu kiedyś, że jego pierwsza miesięczna pensja w NUMA nie wystarczyłaby na pokrycie kosztów leczenia złamanej ręki, a przecież tylko w tamtym miesiącu kilka razy ryzykował życie. Ale żaden z nich nie robił tego dla pieniędzy.

- Kristi Nordegrun - podjął Austin - ta kobieta, która przeżyła, mówi, że nie wie, co się stało. Pamięta tylko, że światła zamigotały i zgasły, zaczęło jej dzwonić w uszach, przewróciła się i straciła przytomność. Przypuszcza, że minęło co najmniej osiem godzin, zanim się ocknęła. Wciąż jest zdezorientowana i nie może chodzić bez trzymania się czegoś.

- Co to mogło być? - zapytał Pitt.

- Nie wiem - odparł Kurt. - Może jakiś środek porażający układ nerwowy albo gaz anestezjologiczny. Tak czy inaczej, to kolejna rzecz, która sugeruje, że to nie byli zwykli piraci.

Pitt zgodził się z nim.

- Co zamierzasz? - spytał.

- Zanurkować i się rozejrzeć - odpowiedział Kurt. - Spróbuję ustalić, co chcieli przed nami ukryć.

Pitt zerknął na mapę na ścianie. Pozycję „Argo” oznaczała staromodna pineska.

- O ile się nie mylę, w tym miejscu głębokość dochodzi do pięciu kilometrów. Macie jakiegoś ROV-a na pokładzie?

- Niestety nie. Nie mamy niczego, co może zejść tak głęboko. Ale Joe ma „Barracudę” na Santa Marii. Mógłby ją zmodyfikować i wrócilibyśmy tu za kilka dni, najdalej za tydzień.

Pitt pokiwał głową, jakby rozważał propozycję, ale Kurt wy czuł, że to bardziej podziw dla jego bojowej postawy niż zgoda na tę wyprawę.

- Zasłużyłeś na odpoczynek - powiedział wreszcie dyrektor. - Płyn na Azory. Skontaktuj się ze mną, kiedy tam dotrzesz. Przez ten czas przemyślę sprawę.

Kurt znał ten ton głosu szefa. Pitt nigdy niczego nie wykluczał z góry, ale prawdopodobnie miał własny pomysł na długo przed rozmową z nim.

- W porządku - rzekł Austin.

Zakończyli rozmowę i twarz Pitta zniknęła z ekranu, zastąpiło ją logo NUMA.

Kurt był prawie pewien, że na frachtowiec nie napadli zwykli piraci, nie mógł jednak wykluczyć, że się myli. Mogło być

tak, że piraci po prostu starali się zatrzeć ślady. Może zabrali gotówkę lub inne wartościowe przedmioty. Może w czasie napadu zabili tylko kilku członków załogi, a potem postanowili zastrzelić resztę i zatopić statek, żeby to nie wyszło na jaw. Nie, ten scenariusz nie wyjaśniał wszystkiego.

Dlaczego podpalili statek? Przecież dym mógł ich zdradzić i właśnie tak się stało. Łatwiej byłoby zalać masowiec i posłać go na dno bez eksplozji.

A sami napastnicy? Ostatnio piraci grasowali na całym świecie. Byli to przeważnie mieszkańcy biednych krajów, którzy widzieli mijające ich bogactwa na wspaniałych statkach i postanawiali zdobyć część dla siebie. Jednak mężczyźni, których Kurt widział na „Kinjarze Maru”, nie wyglądali na zwykłych piratów. Bardziej na najemników.

Spojrzał na składany nóż leżący teraz na stole obok niego, zabójczą broń o tytanowym ostrzu. Ten nóż też nie był zwykły.

Kurt przypomniał sobie aroganckie słowa przywódcy napastników i jego głos. To nie był głos biednego zachodnioafrykańskiego pirata. Co dziwniejsze, Austin miał wrażenie, że już kiedyś go słyszał.

ROZDZIAŁ 8

Kontynent afrykański leży na skrzyżowaniu oceanów, ale mimo tego położenia zawsze był dla kupców bardziej blokadą drogową niż arterią. Ogromny obszar i niegościnne środowisko naturalne - od piasków Sahary na północy i Kalahari na po-

łudniu po nieprzebyte dżungle w rozległej środkowej części - uniemożliwiały podróże handlowe.

Kiedyś statki, które odbywały rejsy między Europą a Azją, musiały pokonać dziesięć tysięcy mil morskich, żeglując wokół Afryki po jednych z najbardziej zdradliwych wód na świecie i mijając cypel nazywany Przylądkiem Dobrej Nadziei, choć

jego pierwotna nazwa - *Cabo de Tormentas*, Przylądek Burz - była bardziej trafna.

Budowa Kanału Sueskiego uczyniła takie rejsy zbędnymi, ale nie przybliżyła Czarnego Lądu do nowoczesnego świata. Wręcz odwrotnie. Teraz statki mogły po prostu „ściąć zakręt”,

przeplłynąć Suez, by wkrótce znaleźć się w drodze na Bliski Wschód, do Azji czy do Australii.

Międzynarodowy handel rozkwitał, a Afryka gniła jak odebrane warzywa pozostawione w porcie na palącym słońcu.

W głębi lądu ludność dziesiątkują głód i epidemie, a kraje wzdłuż wybrzeży to jedno z miejsc największego bezprawia

na świecie. W Somalii panuje anarchia, w Liberii, Sierra Leone i na Wybrzeżu Kości Słoniowej jest niewiele lepiej.

Problemy Liberii stały się powszechnie znane, gdy jeden przywódca za drugim tracili władzę wśród skandali i korupcji,

a kraj pogrążał się w coraz większym chaosie. Podobnie było na Wybrzeżu Kości Słoniowej.

Historia Sierra Leone jest jeszcze gorsza. Do niedawna kraj ten uważano za bardziej niebezpieczny niż Afganistan i biedniejszy niż Haiti i Etiopia. W pewnym momencie Sierra Leone było tak słabe, że mało brakowało, a opanowałyby je niewielka grupa południowoafrykańskich najemników.

Ta prywatna organizacja militarna o nazwie Executive Outcomes, działająca na „zaproszenie” ówczesnego reżimu, rozgromiła znacznie liczniejsze siły rebeliantów, którzy grozili przejęciem kopalń, głównego bogactwa kraju w owym czasie.

Najemnicy zajęli się potem ochroną kopalń i zarządzaniem nimi, doprowadzając do czterokrotnego wzrostu produkcji, ale dużą część zysków brali dla siebie.

W tym okresie wypłynął Djemba Garand, rodowity Sieraleończyk, ale wyszkolony przez południowoafrykańskich najemników. Został głównodowodzącym armii i dbał, żeby jego oddziały były zdyscyplinowane i przyzwoicie uzbrojone.

Gdy tylko nadarzyła się okazja, Djemba zdobył władzę w bezkrwawym przewrocie. W następnych latach umocnił swoją pozycję, podniósł poziom życia społeczeństwa i zyskał poważną aprobatę Zachodu. Jego reżim był przynajmniej stabilny, chociaż nie demokratyczny.

Jakby dla podkreślenia swojej aprobaty, zachodni politycy przestali nawet pytać o Nathaniela Garanda, brata Djemmy i gorącego zwolennika demokracji, który od trzech lat gnął w jednym z krajowych więzień.

Djemba uważał uwięzienie własnego brata za najgorszy moment w swoim życiu. Zarazem jednak był przekonany, że musi to uczynić. Kiedy tylko wydał odpowiedni rozkaz, zniknęły wszelkie jego obawy, że nie zdoła zrobić dla swojego kraju tego, co jest konieczne. Takie państwa jak Sierra Leone nie są przygotowane do demokracji, ale pod silnymi rządami pewnego dnia mogą do niej dojść.

Stojąc na marmurowej podłodze swojego pałacu, Djemma wyglądał jak każdy afrykański dyktator. Nosił wojskowy mundur z kilogramem medali na piersi, drogie okulary przeciwsłoneczne i szpicrutę, którą zwykł uderzać w płaskie powierzchnie, ilekroć uznał, że jego zdanie jest traktowane za mało poważnie.

Kilka razy widział film *Patton* i szczerze podziwiał amerykańskiego generała. Intrygowało go, że Patton uważał się za nowe wcielenie Hannibala, gdyż słynny kartagiński wódz i jego dokonania żywo interesowały Djemę Garanda.

Hannibal był ostatnim Afrykaninem, który miał szansę zawładnąć światem. Przebył Alpy ze swoją armią i słoniami, przez lata pustoszył ziemie cesarstwa rzymskiego, pokonując legion za legionem, a nie odniósł ostatecznego zwycięstwa tylko dlatego, że nie miał machin oblężniczych do zaatakowania stolicy imperium.

Od tamtej pory wojnom, przewrotom i wszystkim innym dramatycznym wydarzeniom na kontynencie afrykańskim reszta świata tylko się przyglądała. Nawet najkrwawsze konflikty zbrojne czy najstraszliwszy głód nie budziły wśród mieszkańców pozostałych kontynentów większych emocji, martwiono się jedynie o w miarę regularny dopływ surowców z Czarnego Łądu.

Po krótkim okresie pobrząkiwania szabelką nowi dyktatorzy skwapliwie zgadzali się na te same warunki co ich poprzednicy: większość profitów dla nich i ochłapy dla ubogich. Dopóki interes się kręcił, świat nie miał powodu do niepokoju.

Djemma Garand zamierzał rządzić inaczej. Jeździł wprawdzie opancerzonym rolls-royce'em w eskorcie hummerów z karabinami maszynowymi, ale przysiągł sobie, że będzie kimś więcej niż typowym afrykańskim despotą. Chciał sprawić, aby jego narodowi powodziło się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Jednak do osiągnięcia tego celu nie wystarczyły tylko reformy wewnętrzne; konieczne będzie umocnienie pozycji Sierra Leone na arenie międzynarodowej. A to z kolei wymagało zdobycia broni o zasięgu międzykontynentalnym, współczesnej wersji słoni Hannibala.

I on taką broń już prawie miał.

Usiadł za wielkim mahoniowym biurkiem, położył okulary przeciwsłoneczne w rogu blatu i czekał na telefon. Po kilku minutach kontrolka się zaświeciła.

Spokojnie, bez pośpiechu, podniósł słuchawkę.

- Mam nadzieję, że usłyszę dobre wiadomości, Andras - powiedział, nie tracąc czasu na powitania.

- Różne - odparł wyraźnie poirytowany głos.

- Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem - rzekł Djemma. - Czekam na wyjaśnienia.

- Pańska broń nie zadziałała tak, jak powinna - oznajmił Andras. - Zniszczyła urządzenia nawigacyjne i większość sterowniczych, ale statek płynął dalej z niepełną mocą i połowa załogi przeżyła, a konkretnie, ci uwięzieni pod pokładem. Ten wynalazek nie spełnia pańskich oczekiwań.

Djemma z trudem panował nad irytacją. Nie spodobało mu się, że jego projekt, jego broń masowej zagłady, znów zawiodła.

Zasłonił dłonią mikrofon, przywołał gestem swojego asystenta i sięgnąwszy po kawałek papieru, napisał na nim jakieś nazwisko.

- Przeprowadź go do mnie - polecił, wręczając kartkę mężczyźnie. - Ilu członków załogi ocalało? - powiedział do słuchawki.

- Około połowy-odparł Andras.

- Mam nadzieję, że już nie żyją.

- Tak - potwierdził Andras. - Zginęli.

Lekkie wahanie w jego głosie zaniepokoiło Djemmę, ale pytał dalej.

- Co z ładunkiem?

- Został zabrany i jest w drodze do pana.

- A statek?

- Rdzewieje na dnie.

- Więc czego mi nie mówisz? - burknął Djemma, zmęczony wyciąganiem informacji od swojego najlepiej opłacanego człowieka.

Andras odchrząknął.

- Ktoś próbował nas zatrzymać - oznajmił. - Amerykanie, prawdopodobnie komandosi SEAL. Podejrzewam, że pańska tajemnica się wydała.

Djemma rozważył tę sugestię i odrzucił ją. Gdyby był jakiś przeciek, zatrzymano by ich przed atakiem. To nie byli komandosi, uznał, tylko zwykła grupa ratownicza z kilkoma sztukami broni.

- Poradziłeś sobie z nimi?

- Uciekłem i zatarłem ślady - odparł Andras. - Więcej nie mogłem zrobić.

Djemma był szczerze zdumiony. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby przeciwnik Kosy przeżył.

- Czy przypadkiem nie chcesz oszczędzić mi szczegółów? - spytał.

- Niestety nie. To byli twardziele. Powinien się pan dowiedzieć, kto to był.

Djemma skinął głową. Nareszcie się zgodzali.

- A co z pańską operacją „Pyton”? - zagadnął Andras. - To nadal aktualne?

Projekt operacji „Pyton” był po prostu genialny, a w każdym razie Djemma, który sam go obmyślił, tak sądził. Jeżeli się powiedzie, zapewni jego krajowi nieskończone bogactwo, stabilizację i dobrobyt. Jeśli jednak zakończy się fiaskiem... Wolał o tym nie myśleć, ale skoro jego broń nie działała zgodnie z planem, istniało niebezpieczeństwo porażki.

- Nie można tego dłużej odkładać - odparł.

- Chce pan, żebym pomógł? - zapytał Andras. Jego głos ociekał cynizmem.

Nie zaskoczyło to Djemmy. Andras jasno dał mu do zrozumienia, że uważa projekt „Pyton” za szaleństwo. A za jeszcze większe to, że dyktator powierzył jego realizację własnej armii. Ale Andras był obcy, nie znał żołnierzy Djemmy tak dobrze, jak ich dowódca.

Djemma się uśmiechnął. Był pewien, że Andras nie przepuści takiej okazji. Za dotychczasowe usługi dostał ogromne kwoty, ale pieniędzy zawsze było mu mało.

- Tam, gdzie dorastałem - powiedział dyktator - stare kobiety mawiały, że wąż w ogrodzie to dobra rzecz, bo zjada szczury, które pożerają zbiory. Ale wąż w domu to niebezpieczeństwo. Zabije swojego pana, zje dziecko i dom pogrąży się w smutku. - Milczał chwilę, a potem dodał: - Dostaniesz swoją zapłatę, Andras. Sowiłą, taką, że wystarczy ci na zakup jakiegoś małego kraju. Ale jeśli kiedykolwiek postawisz stopę w Sierra Leone, każę cię zabić, a twoje szczątki rzucę psom na moim dziedzińcu.

W słuchawce rozległ się cichy śmiech.

- ONZ myli się co do pana - stwierdził Andras. - Pan jest bezwzględny. Afryce przydałoby się więcej takich ludzi jak pan, nie mniej. Ale dopóki pan płaci, będę dla pana pracował. Niech panu nie zabraknie pieniędzy, na co według gazet się zanosi. Nie chciałbym odbierać mojego wynagrodzenia w mniej przyjemny sposób.

Rozumieli się. Kosa nie bał się Djemmy, mimo że powinien. Ale on nie bał się niczego. Właśnie dlatego Djemma go wybrał.

- Płyn na Santa Marię - polecił. - Przekażę ci dalsze instrukcje, kiedy tam dotrzesz.

- A co będzie, jeśli ktoś zechce się przyjrzeć wrakowi „Kinjary Maru”?

- Mam plan na wypadek takiego obrotu sprawy.

Andras znów się roześmiał.

- Plany na wszystko - skomentował sarkastycznie. - Niech pan mnie nie rozśmiesza, Garand. Powodzenia w realizacji pańskich szaleńczych planów, nieustraszony przywódco. Będę trzymał za pana kciuki.

Djemma odłożył słuchawkę i wypił łyk wody z kryształowej szklanki stojącej na blacie. Podniósł wzrok, gdy drzwi jego gabinetu się otworzyły.

Wrócił asystent. Za nim do pomieszczenia weszli dwaj członkowie ochrony osobistej Djemmy, prowadzący między sobą białego mężczyznę, który nie wyglądał na zachwyconego, że go tu wezwano.

Ochroniarze i asystent wyszli i dwuskrzydłowe drzwi gabinetu zamknęły się z głuchym odgłosem. Djemma wstał z za biurka.

- Panie Cochrane - powiedział do białego mężczyzny. - Pańska broń znowu zawiodła.

Alexander Cochrane nie spuścił wzroku. Patrzył na dyktatora wyzywająco, niemal bezczelnie, jak niesforny syn na ojca, który zrugął go za kolejną psotę.

Djemmy to nie obchodziło. Albo będzie sukces, albo konsekwencje. Usiadł w swoim fotelu i wskazał gościowi krzesło po drugiej stronie biurka.

ROZDZIAŁ 9

Cochrane siadał naprzeciwko Djemmy z najgorszym ze złych przeczuc, jakie pamiętał.

Od półtora roku mozolił się nad skonstruowaniem broni energetycznej o niewiarygodnej mocy. Projekt zakładał wykorzystanie magnesów nadprzewodzących, takich jak te, które zastosowano w Wielkim Zderzaczu Hadronów. Według założeń broń miała wystrzeliwać wąską wiązkę różnych naładowanych cząstek z prędkością bliską prędkości światła. Po dotarciu do

celu wiązka ta niszczyłaby elektronikę, komputery i inne zespoły obwodów elektrycznych.

Odpowiednio wyregulowana broń mogłaby działać jak gi-

gantyczna mikrofalówka: podgrzewać materię organiczną, smażyć cele od środka i zapalać je nawet przez betonowe ściany.

Mogłaby strącać atakujące samoloty z odległości trzystu

kilometrów lub nawet większej i zmiatać z powierzchni ziemi zbliżające się armie niczym wąż ogrodowy mrówki.

Na ostatecznym poziomie rozwoju mogłaby unicestwiać całe miasta, i to nie jak bomba atomowa - wysoką temperaturą czy siłą eksplozji, lecz precyzyjnie niczym skalpel chirurga usuwać jeden kwartał domów za drugim. Mogłaby zabijać mieszkańców lub zostawiać ich przy życiu, wedle woli Cochrane'a albo Djemmy. A odpowiednio zaprogramowana mogłaby uczynić z miasta miejsce nie do zamieszkania, unicestwiając w ciągu sekund całą współczesną technikę. Bez komputerów, telefonów

, prądu i bieżącej wody każde nowoczesne miasto bardzo szybko pograżyłoby się w chaosie.

Aby jednak to wszystko było możliwe, broń musiała działać, a dotychczasowe wyniki nie nastrajały optymistycznie.

- Mówiłem panu, że potrzebne są dalsze próby - tłumaczył Cochrane.

- Ta powinna być ostatnia - rzekł Djemma.

- Co się stało z tamtą łodzią?

- Ze statkiem - poprawił dyktator.

- Statek, łódź... Dla mnie to to samo.

- Niepokoi mnie pański brak precyzji - odparł Djemma z wyraźnym podtekstem. - Dziewięćdziesięcioletnik to nie łódź.

- Więc co się z nim stało? - spytał Cochrane, zniecierpliwiony protekcyjnością dyktatora, który zachowywał się, jakby zlecił mu montaż telewizora z gotowych części.

- „Kinjara Maru” poszedł... jak wy, Amerykanie, mówicie na dno morza? A tak, „do kuferka Davy’ego Jonesa”.

- A ładunek? - drążył Cochrane. Wiedział, że nic się nie poprawi bez tego ładunku.

- Sto ton metrycznych YBCO z domieszką tytanu - sprecyzował Djemma. - Został zabrany, tak jak pan chciał.

Cochrane odetchnął z ulgą.

- To dobra wiadomość.

- Nie! - krzyknął Djemma i trzasnęła szpicrutą w blat biurka. - Dobra wiadomość byłaby taka, że pańska broń całkowicie unieruchomiła statek i zabiła całą załogę. Tymczasem masowiec płynął dalej, a część marynarzy przeżyła i musieliśmy się nimi zająć.

Cochrane, choć przyzwyczajony do humorów dyktatora, aż podskoczył na trzask szpicruty. Nie stracił jednak pewności siebie.

- No i co? - zapytał.

- To, że nasi ludzie zostali odkryci - odparł Djemma. - Wtrącili się jacyś Amerykanie. Wszystko przez pański brak precyzji.

Cochrane poprawił się na krześle. Nie podobała mu się ta rozmowa, ale nie czuł strachu, był bowiem pewien, że dyktator zachowa go przy życiu, dopóki nie będzie miał sprawnej broni energetycznej.

On zaś bardzo umiejętnie się zabezpieczał. Dopilnował, żeby jego zniknięcie wyglądało na porwanie - chciał przecież móc kiedyś wrócić do uprzemysłowionego świata - a do konstruowania broni dla Djemmy zabrał się w odpowiedni sposób. Wszystkie prace przygotowawcze wykonał sam i osobiście nadzorował realizację projektu. Był niezbędny dla powodzenia przedsięwzięcia, więc Djemma nie mógł mu nic zrobić, chyba że straciłby nadzieję na skonstruowanie ostatecznej wersji broni.

Świadomy tego, wyjaśniał cierpliwie:

- Dostrojenie systemu wymaga czasu. Myśli pan, że akcelerator buduje się od zera, a potem tylko przestawia włącznik i patrzy, jak działają? Oczywiście nie. Potrzebne są całe miesiące testów i kalibracji, zanim przeprowadzi się nawet najbardziej podstawowy eksperyment.

- Miał pan całe miesiące - zauważył Djemma. - I nie chcę już żadnych eksperymentów. Następną próbą będzie na pełną skalę.

- Broń nie jest jeszcze gotowa - zaprotestował Cochrane.

Dyktator spiorunował go wzrokiem.

- To niech lepiej będzie - ostrzegł. - Bo inaczej spłonie pan razem ze mną, kiedy po nas przyjdą.

Cochrane zaniemówił ze zdumienia. Dlaczego mieliby spłonąć? Przecież Djemma cały czas twierdził, że zamierza sprzedać broń światowym mocarstwom. Nie jednemu, lecz wszystkim. Niech ją wycelują w siebie nawzajem, tłumaczył, tak jak mieli wycelowane pociski z głowicami jądrowymi przez blisko pół wieku. Mocarstwa nigdy jej nie użyją, a oni dwaj będą bogaci. Nic im nie grozi. I nie ma pośpiechu.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Cochrane, gdy odzyskał głos.

- To, że zamierzam coś innego, niż panu powiedziałem - odparł Djemma. - Proszę mi wybaczyć, że oszukałem tak honorowego człowieka.

Sarkazm w głosie Djemmy był wyraźny, więc Cochrane, którego skusiło bogactwo i choćby potajemna sława, poczuł się gorzej niż kiedykolwiek w CERN.

Djemma sięgnął po teczkę z jakimiś aktami i zaczął je kartkować.

- Przybył pan do mojego kraju ze starannie ułożonym planem - powiedział. - Zamierzał pan skonstruować broń masowej zagłady, sprzedać ją, zdeponować miliony w bankach na Bahamach i w Szwajcarii, a później wrócić do światowego życia i opowiadać bajeczki o swoich ciężkich przejściach i brawurowej ucieczce. Innymi słowy, chciał pan zjeść ciastko i mieć ciastko.

- Zawarliśmy umowę - wykrztusił Cochrane.

- Umowę można renegocjować - odparł afrykański przywódca. - A pan mi to ułatwił.

Wyjął z teczki fotografię i przesunął ją po blacie w stronę Cochrane'a. Przedstawiała leżące na śniegu zwłoki Philippe'a Reviora, a w małym okienku w prawym górnym rogu widać było pistolet umieszczony na białej tkaninie.

- Jest pan mordercą, panie Cochrane.

Cochrane zaczął się wiercić.

- Niech pan nie próbuje zaprzeczać - ciągnął Djemma - bo taka jest prawda. Tylko z powodu korzystnego dla pana rozmieszczenia kamer monitorujących świat jeszcze jej nie zna. Ale ja mam pistolet z pańskimi odciskami palców. Jeśli więc spróbuje pan mnie wykiwać i uciec albo nadal będzie się ociągał, dopilnuję, żeby prawda wyszła na jaw.

Cochrane milczał dłuższą chwilę. Był w pułapce i doskonale o tym wiedział. Jeżeli nie spełni oczekiwań Djemmy, przyjdzie mu pożegnać się z życiem.

- Nigdy bym pana nie wykiwał - rzekł wreszcie. - Doprowadzenie tego projektu do końca zbyt wiele dla mnie znaczy.

- A jednak pan zawiódł - przypomniał dyktator.
- Tylko jeśli chodzi o pański harmonogram. Trzeba go zmienić.

Djemma pokręcił głową.

- To nie wchodzi w grę.

Cochrane spodziewał się takiej odpowiedzi. Musiał zagrać w otwarte karty.

- Rozumiem - rzekł - i zrobię, co będę mógł. Ale jeśli mam zwiększyć moc broni w krótszym czasie, muszę mieć lepsze materiały i będę potrzebował dodatkowej pomocy.

Djemma uśmiechnął się, jakby słowa Cochrane'a sprawiły mu frajdę.

- Wreszcie pan przyznał, że obiecał mi więcej, niż jest w stanie zapewnić - powiedział. - To zadanie pana przerasta.

- To nie tak - zaprotestował Cochrane. - System jest...

- Miał pan półtora roku i każdego dolara, o jakiego pan prosił - przerwał mu Djemma. - Te dolary można było przeznaczyć na żywność i mieszkania dla mojego narodu.

Cochrane pomyślał o ogromnym pałacu dyktatora, wzniesionym z importowanego kamienia i marmuru. Pozłacane armatury kłuły w oczy w każdej łazience. A co z dolarami przeznaczonymi na jego budowę? - miał ochotę zapytać. Nie zrobił tego jednak, bo teraz czuł nie tylko dyskomfort, lecz również strach.

- To wyjątkowo skomplikowana maszyna - powiedział. - Jej prawidłowe ustawienie może wymagać pomocy.

Djemma przeszył go wzrokiem i odparł:

- Dostanie pan wszystkie potrzebne materiały i otrzyma niezbędną pomoc. Proszę wracać do pracy.

ROZDZIAŁ 10

Wyspa Santa Maria, Azory, 17 czerwca

Mieszkańcy Vila do Porto zauważyli zgrabny statek „Argo” tuż po południu czasu lokalnego. Ponieważ został zbudowany dla Straży Przybrzeżnej z przeznaczeniem do służby ratowniczej i patrolowej, wyglądał jak mały okręt wojenny: długi, smukły, kanciasty.

Dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej taką jednostkę, czy raczej jej ówczesny odpowiednik, obserwowano by z ulic i wież Forte de Sao Bras.

Fort, wzniesiony w XVI wieku i uzbrojony w działa umieszczone wysoko na mocnych kamiennych murach, był teraz bazą portugalskiej marynarki wojennej. Kwaterował tu personel i urzędowały lokalne władze, chociaż bardzo niewiele okrętów odwiedzało wyspę regularnie.

Kiedy „Argo” rzucił kotwicę na redzie portu, Kurt Austin myślał o akcie piractwa, którego niedawno był świadkiem, i o tym, że takich zdarzeń jest na świecie coraz więcej. Wątpił, żeby umocnione forty znów okazały się potrzebne, uważał jednak, że najwyższy czas połączyć siły i zacząć zwalczać piractwo na poziomie międzynarodowym.

Zatopienie „Kinjary Maru” wstrząsnęło środowiskiem ludzi związanych z morzem, ale obawiał się, że emocje opadną, zanim zostaną podjęte konkretne działania, i sytuacja się nie zmieni.

Zatopienie „Kinjary Maru” wstrząsnęło środowiskiem ludzi związanych z morzem, ale obawiał się, że emocje opadną, zanim zostaną podjęte konkretne działania, i sytuacja się nie zmieni.

Zatopienie „Kinjary Maru” wstrząsnęło środowiskiem ludzi związanych z morzem, ale obawiał się, że emocje opadną, zanim zostaną podjęte konkretne działania, i sytuacja się nie zmieni.

Zatopienie „Kinjary Maru” wstrząsnęło środowiskiem ludzi związanych z morzem, ale obawiał się, że emocje opadną, zanim zostaną podjęte konkretne działania, i sytuacja się nie zmieni.

Z drugiej strony, wątpił, aby akurat ten napad był dziełem zwykłych morskich rozbójników, martwiła go więc reakcja reprezentantów Interpolu, towarzystwa ubezpieczeniowego i kilku stowarzyszeń antypirackich, którym relacjonował wydarzenia sprzed dwóch dni.

Wszystkie pytania ukierunkowywali na piractwo i wyraźnie ignorowali uwagi Kurta, że piraci nie zatapiają statków, które mogą ukraść, ani nie zabijają załóg, za które mogą wziąć okup.

Im dłużej zastanawiał się nad tym wszystkim, tym bardziej był przekonany, że w przypadku „Kinjary Maru” chodziło o coś więcej niż rabunek czy choćby zacieranie śladów.

Miał przeczucie, że działo się coś znacznie poważniejszego i dzisiejsi sceptycy prędzej czy później będą musieli przyjąć to do wiadomości.

Po zakotwiczeniu „Argo” kapitan Haynes dał większości załogi pozwolenie zejścia na ląd. Mieli spędzić na Santa Marii dwa tygodnie, żeby Kurt i Joe mogli skończyć próby i wziąć udział w wyścigu łodzi podwodnych. Przez ten czas na pokładzie miało pozostawać tylko kilku członków załogi, zmieniając się co kilka dni.

Kapitan poradził swoim ludziom, żeby unikali kłopotów, bo wyspiarze, choć znani z uprzejmości, nie znoszą awanturników i zatrzymali już wielu krewkich przybyszów, łącznie z marynarzami samego Krzysztofa Kolumba.

Idąc do warsztatu, w którym przygotowywano „Barracudę”, Kurt zastanawiał się, jak też radzi sobie na Santa Marii jego przyjaciel Joe Zaval. Był on wprawdzie praworządnym obywatelem, ale lubił się powyglupiać i uczestniczył w życiu towarzyskim, gdziekolwiek przebywał.

Nie zastawszy Joego w warsztacie, zapytał o niego ochroniarza. Ten roześmiał się i odparł:

- Przyszedł pan w samą porę, żeby zobaczyć, jak Zaval walczy. W ośrodku rekreacyjnym, jeśli jeszcze nie został znokautowany.

Kurt dowiedział się, jak tam trafić, i pobiegł we wskazaną stronę.

W środku skierował się do dużej sali gimnastycznej, z której dochodziły odgłosy wydawane przez podniecony tłum.

Otworzył drzwi i zobaczył kilkaset osób na trybunach wokół ringu. Sala nie przypominała Madison Square Garden, ale była pełna.

Na dźwięk gongu ludzie wstali z miejsc. Krzyczeli i tupali, aż budynek się trząsał. Kurt usłyszał szuranie nóg po brezentach, a potem „łup! łup!” towarzyszące wymianie ciosów w rękawicach bokerskich.

Dotarł do końca przejścia i mógł obserwować walkę. Joe Zavała był w czerwonych spodenkach. Jego krótkie czarne włosy prawie całkowicie zasłaniał kask, a gdy Joe poruszał się lekko po ringu, tors i opalone, dobrze umięśnione ramiona lśniły od potu.

Za przeciwnika miał ucieleśnienie nordyckiego Thora w czarnych spodenkach. Niebieskooki blondyn o wyrzastych rysach i wroście co najmniej metr dziewięćdziesiąt poruszał się znacznie mniej zgrabnie niż Joe, ale jego ciosy były jak gromy.

Zavała zrobił jeden unik, potem drugi i się cofnął. Przez chwilę przypominał mistrza wagi średniej Oscara De La Hoyę, z czego na pewno byłby dumny, gdyby o tym wiedział. Ruszył naprzód, wyprowadził kilka ciosów, które okazały się nieskuteczne, i przestał wyglądać jak gwiazdor wagi średniej, bo zainkasował potężny prawy sierpowy w skroń.

Tłum wstrzymał oddech, zwłaszcza kobiety w pierwszym rzędzie. Joe zachwiał się, chwycił lin i uśmiechnął do rozemocjonowanych pań. Potem odwrócił się i walczył, dopóki nie zabrzmiał gong kończący rundę.

Kiedy wrócił do swojego narożnika, Kurt już tam czekał.

Trener podał Joemu wodę i sole trzeźwiące.

Między głębokimi oddechami i kilkoma łykami wody Zavała wysapał:

- Wreszcie się zjawieś.

- Owszem - rzekł Kurt. - Widzę, że go wykańczasz. Jeśli dalej będzie cię tak walił, niedługo zabraknie mu siły w rękach.

Joe wypłukał usta i spojrzał na przyjaciela.

- Robię z nim dokładnie to, co chcę - zapewnił.

Kurt przytaknął, jednak bez przekonania. Joe boksował w szkole średniej, w college'u i podczas służby w marynarce wojennej, ale to było dawno.

- Przynajmniej masz fanki. - Kurt wskazał głową pierwszy rząd, w którym siedziały kobiety w różnym wieku, od młodych dziewcząt z kwiatami we włosach, przez kilka rówieśniczek Joego, po dwie starsze panie, ubrane zdecydowanie zbyt elegancko na taką imprezę. - Niech zgadnę. Walczysz w obronie ich wspólnego honoru.

- Nic z tych rzeczy - zaprzeczył Joe, zanim trener zmoczył jego ochraniacz na zęby i włożył mu go z powrotem do ust. - Przejechaem coś krowę.

Zadźwięczał gong. Zavala wstał, uderzył jedną rękawicą w drugą i ruszył do walki.

Ta runda niewiele różniła się od poprzedniej. Joe unikał trafień i posłał kilka ciosów na korpus Thora. Równie dobrze mógłby walić w kamienną ścianę. Kiedy wrócił, był wyraźnie wypompowany.

- Przejechałeś czyjaś krowę? - upewnił się Kurt.

- Właściwie to na nią wpadłem - wydyszał z trudem Joe.

- To była krowa boga piorunów? - spytał Kurt, wskazując głową przeciwnika Joego.

- Nie. Jednego z obecnych tu hodowców.

Kurt nic z tego nie rozumiał.

- Co ma potraconą krowa do walki bokserskiej?

- Tutaj są przepisy - wyjaśnił Joe - ale nie ma płotów. Krowy łążą wszędzie, wychodzą na drogę i tak dalej. Jeśli potracisz krowę w nocy, to jej wina. Ale jeśli zrobisz to w dzień, twoja. Ja wpadłem na jedną o zmierzchu. To jest, eee... *una zona gris*, szara strefa.

- I musisz walczyć o życie jak wrestler w stalowej klatce? - zaszotał Kurt.

- Czy to wygląda na walkę o życie? - spytał Joe.

- No cóż...

- Facet, którego krowę potrafiłem, jest właścicielem tej sali gimnastycznej. Ten Skandynaw naprzeciwko przeniósł się tutaj i rok temu został lokalnym amatorskim mistrzem. Wyspiarze go lubią, ale woleliby innego czempiona, bardziej podobnego do nich.

Kurt się uśmiechnął. Joe miał latynoskie pochodzenie, więc znacznie mniej różnił się wyglądem od wyspiarzy niż jasnowłosa Thor.

Rozległ się gong. Joe rozpoczął rundę od prób wejścia w zasięg długich rąk Skandynawa. Było to niebezpieczne, ale chociaż zainkasował kilka ciosów, nie poddawał się, a Skandynaw zaczął wyraźnie zwalniać.

Podczas następnej przerwy Kurt zmienił temat.

- Musimy pogadać o „Barracudzie” - zagaił.

- A konkretnie?

- Da się nią zejść na głębokość pięciu tysięcy metrów?

Joe pokręcił przecząco głową.

- To nie batysfera, Kurt. Została skonstruowana do rozwijania dużych prędkości.

- A mógłbyś ją przystosować do tego zadania?

- Jasne. Umieszczając ją wewnątrz batysfery.

Austin westchnął, rozczarowany. Zawała był technicznym geniuszem, ale nawet on nie mógł zmienić praw fizyki.

Joe wyplukał usta i spytał:

- Co takiego chcesz zobaczyć na dnie Atlantyku?

- Słyszałeś, co się stało?

- Tak. Jakiś tonący statek o mało cię nie przygniótł.

- Zgadza się. Chciałbym mu się lepiej przyjrzeć, kiedy spoczywa bezpiecznie na dnie.

Zadźwięczał gong i Joe wstał.

- Może być sposób - powiedział z błyskiem w oku, zanim ruszył na środek ringu.

Ociągał się zbyt długo i Thor natarł na niego jak rozjuszony byk.

- Uważaj! - krzyknął sekundant Zavali.

Joe odwrócił się, uchylił, zasłonił i potężny sierpowy ześliznął się po jego gardzie. Ale następne ciosy sięgnęły celu. Joe cofnął się na liny w defensywie, gdy przeciwnik okładał go z prawej i lewej.

Kurtowi zrobiło się głupio, bo rozproszył przyjaciela i towarzyska walka zmieniła się w jednostronną mlóckę. Gdyby to był wrestling, złapałby składane krzesło i walnął nim Thora. Przypuszczał jednak, że w boksie to niedozwolone.

Rękawice Thora wydawały głuchy odgłos, gdy uderzały w ramiona, żebra i głowę Joego.

- Zmęcz go obroną na linach! - krzyknął Kurt, bo tylko taka rada przysłała mu do głowy.

Jego słowa zagłuszył ryk tłumu. Czirliderki Joego wstrzymały oddech. Starsze kobiety odwróciły wzrok, jakby nie mogły patrzeć na to, co się dzieje.

Zavala miał niewielkie pole manewru, więc nadal się zasłaniał, nie mógł nawet rozewrzeć ramion i zastosować klinca. Kurt spojrział na zegar. To była ostatnia runda, ale do końca została jeszcze ponad minuta.

Wyglądało na to, że Joe nie dotrwa do gongu. Wtedy nadarzyła się okazja. Kiedy Skandynaw wyprowadził następny cios, odsłonił się.

Joe momentalnie opuścił przedramię i uderzył hakiem. Thor dostał w podbródek i głowa odskoczyła mu do tyłu. Najwyraźniej nie spodziewał się ze strony Joego niczego poza obroną. Przewrócił oczami i zatoczył się do tyłu.

Zavala ruszył naprzód, poprawił z prawej i posłał Thora na deski.

Zaskoczony tłum wydał okrzyk zdziwienia. Czirliderki Joego pisnęły z radości jak nastolatki na widok Beatlesów. Sędzia zaczął liczyć.

Skandynawski olbrzym podniósł się na czworaki przy słowie „cztery”, a Joe tańczył na ringu niczym Sugar Ray Leonard. Przy „sześć” Thor złapał się lin i podciągnął do góry, co trochę zepsuło Joemu humor. Przy „osiem” Thor wstał zupełnie przytomny i Joemu całkiem zrzęda mina.

Sędzia chwycił Thora za rękawice, gotowy wznowić walkę.

I wtedy rozległ się gong.

Walka się skończyła. Została uznana za nierozstrzygniętą. Nikt nie był zadowolony, ale wszyscy wiwatowali.

Piętnaście minut później, splaciwszy dług wobec społeczeństwa, rozdawszy kilka autografów i otrzymawszy kilka nowych numerów telefonu, Joe Zavala siedział z Kurtem w szatni i przykładał torbę z lodem do oka.

- To cię oduczy przejeżdżania czyichś krów - powiedział Austin, patrząc na poobijaną twarz przyjaciela.

- Kiedy następnym razem będę walczył - odparował Joe - usiądź w ostatnim rządzie. Albo lepiej znajdź sobie co innego do roboty.

- O czym ty mówisz? - ironizował Kurt. - Myślałem, że dobrze ci poszło.

Joe się roześmiał. Sarkastyczne komentarze Austina zawsze go bawiły. Przeniósł worek z lodem na kark, a Kurt zaczął mu relacjonować wydarzenia na pokładzie „Kinjary Maru”.

Gdy Austin skończył, Joe zapytał:

- I co? Włączył ci się alarm w głowie?

- Trzy alarmy - uściślił Kurt.

- To zabawne - powiedział Joe - bo ja słyszę teraz w głowie taki sam dźwięk. Ale chyba z innego powodu.

Kurt się roześmiał.

- Chcę się tylko rozejrzeć - rzekł. - Jak uważasz, będziemy mogli wykorzystać „Barracudę”?

- Jest pewien sposób - odparł Zavala. - Ale wyłącznie jako ROV-a. Nie miałbym zaufania do przeróbek. Bałbym się, że nie

zapewnią bezpieczeństwa na takiej głębokości. Poza tym i tak nie byłoby dla nas miejsca.

- Jaki masz pomysł?

- Moglibyśmy zbudować mały kadłub zewnętrzny i umieścić „Barracudę” w środku - zaczął Joe. Mówiąc, już widział tę konstrukcję w wyobraźni. Na ogół projektował intuicyjnie. Robił obliczenia tylko na poparcie tego, co już wiedział. - Wypełnimy ten przedział nieściśliwą cieczą lub azotem pod bardzo wysokim ciśnieniem. Potem zalejemy wewnątrz samej „Barracudy” albo też wytworzymy w niej ciśnienie kilku atmosfer. Trzystopniowy gradient powinien pomóc wyrównać siły. Ani zewnętrzny, ani wewnętrzny kadłub nie musiałyby wytrzymać całego ciśnienia.

- A co z przyrządami i sterami?

- To akurat nie problem. Wszystko, co umieścimy w środku, jest wodoodporne i niewrażliwe na wysokie ciśnienie.

- Brzmi nieźle - stwierdził Kurt.

Wtedy Joe zdetonował bombę.

- Jest jednak inny problem.

Kurt zmrużył oczy.

- Jaki?

- Dirk dzwonił do mnie, zanim się zjawileś.

- I?

- Powiedział, żebym absolutnie nie dał ci się namówić na nic lekkomyślnego.

- Lekkomyślnego?

- Zna nas aż za dobrze - odparł Joe. - Sam był ryzykantem, więc doskonale wie, co chodzi po głowie podobnym do niego.

Kurt przytaknął z lekkim uśmiechem.

- Fakt. Z drugiej strony, określenie „lekkomyślne” daje nam dużą swobodę działania.

- Czasami mnie przerażasz - powiedział Joe. - Ale podoba mi się twój tok myślenia.

- Narysuj plany - poprosił Kurt. - Wyścig jest za dwa dni. Potem będziemy wolni.

Joe się uśmiechnął. Spodobało mu się to wzywanie. I chociaż obawiał się gniewu Dirka Pitta w wypadku zniszczenia przez nich wartej milion dolarów „Barracudy”, był pewien, że on i Kurt wystarczająco zasłużyli się dla NUMA, by im to darować.

Poza tym, jeśli opowieści, które słyszał, były prawdziwe, Dirk zniszczył kilka bardzo kosztownych zabawek admirała Sandeckera. Jak więc mógłby być naprawdę zły?

ROZDZIAŁ 11

Przegrody na statku NUMA „Matador” były tak nisko, że każdy o wzroście powyżej metra osiemdziesięciu musiał się przed nimi garbić, aby nie uderzyć się boleśnie w głowę. W przypadku Paula Trouta zgarbienie się nie wystarczało. Miał dwa metry

i trzy centymetry wzrostu, szerokie bary i długie nogi, ilekroć więc dochodził do wodoszczelnych drzwi w jakiejś grodzi, musiał się niemal zginać w pół, żeby przejść przez nie bez kontuzji.

Ten zapalony wędkarz, który kochał otwarte przestrzenie, nie był stworzony do poruszania się w ciasnych pomieszczeniach na współczesnym statku. Ale że spędzał dużo czasu na różnych jednostkach pływających, tysiące razy wciskał się do małych przedziałów wypełnionych maszynami i wyginał kręgosłup jak precel, żeby zmieścić się w tej czy innej łodzi podwodnej albo po prostu w wąskim korytarzu pod pokładem.

Kiedy indziej poszedłby przez odkryty główny pokład wzdłuż całej długości statku, lecz „Matador” operował u wybrzeży Falklandów na południowym Atlantyku, a na półkuli południowej właśnie zaczynała się zima.

Paul precyzyjnie przeszedł przez kolejny właz i dotarł do bardziej przestronnego przedziału. Zajrzał do środka. Jedynymi źródłami światła w pomieszczeniu były wskaźniki, podświetlone klawiatury i trzy płaskoekranowe monitory o wysokiej rozdzielczości.

Przed monitorami siedziało dwóch mężczyzn o wyglądzie typowych roztargnionych naukowców, a między nimi, na podświetlonej tafli szkła z zaznaczoną siatką, stała zgrabna kobieta

z rękami rozpostartymi na boki, jakby balansowała na linie. Na oczach miała wizjer, który przytrzymywał jej płomiennorude włosy jak opaska. Z rękawic na jej dłoniach i butów na nogach odchodziły przewody biegnące do dużego komputera stojącego za nią.

Paul uśmiechał się, obserwując swoją żonę Gamay. Wyglądała jak baletnica-robot.

Obróciła głowę w prawo i obraz na monitorach przesunął się w tę samą stronę. Jasny blask oświetlił gładką, pokrytą osadem powierzchnię z dużą dziurą o poszarpanych krawędziach.

- Panowie - powiedziała Gamay - oto otwór po pocisku Exocet, który zatopił wasz dumny okręt.

- Nie wygląda to tak źle - odparł z wyraźnym brytyjskim akcentem mężczyzna z gęstą brodą.

„Sheffield”, pierwsza brytyjska ofiara wojny o Falklandy, został trafiony pociskiem produkcji francuskiej, który nie eksplodował, lecz wywołał pożar na całym okręcie.

Jednostka utrzymywała się na wodzie jeszcze przez sześć dni, by zatonać podczas próby odholowania jej do portu.

- Cholerni Francuzi - mruknął drugi Anglik. - Zemścili się na nas za Trafalgar i Waterloo.

Brodacz się roześmiał.

- Z drugiej strony, zadali sobie sporo trudu, żeby nam pokazać wady tych pocisków - zauważył - chociaż wolałbym, żeby trochę bardziej uważali, komu je sprzedają. - Wskazał dziurę. - Może pani wprowadzić to do środka?

- Jasne.

Gamay poruszyła prawą ręką i zacisnęła palce na niewidzialnej dźwigni sterowniczej. Chwilę później osad nieco się unióśł i kamera zaczęła się zbliżać do wyrwy w kadłubie okrętu.

Paul zerknął na jeden z wyświetlaczy na ścianie. Na wizualizacji przypominającej grę komputerową First Person Shooter zobaczył to, co Gamay widziała w swoim wizjerze: panel sterowniczy i różne wskaźniki pokazujące głębokość, ciśnienie i temperaturę oraz orientację w poziomie i pionie.

Drugi ekran pokazywał widok z niewielkiej odległości za pilotowanym przez nią urządzeniem. Ten obraz również przypominał grę komputerową: mały, niemal człekokształtny robot posuwał się naprzód w kierunku rozerwanego poszycia kadłuba.

- Odłączam „pępowinę” - oznajmiła Gamay.

Urządzenie, znacznie mniejsze niż standardowy ROV i podobne bardziej do ludzkiej postaci niż do pojazdu podwodnego, miało długą i skomplikowaną nazwę - Zrobotyzowany Zaawansowany Człekokształtny Podwodny Bezprzewodowy Eksplorator. A że jej angielski skrót brzmiał RAPUNZE, zespół testowy ochrzcił małą postać „Rapunzelem”. Kiedy robota odłączano od powierzchni, tak jak teraz, mówiono, że „idzie w tango”.

„Rapunzel” mógł być spuszczone z półtorakilometrowej „smyczy”, która łączyła go z „Matadorem”, i operować samodzielnie w otoczeniu, gdzie kable, przewody i inne tego typu „ogony” bywały niebezpieczne. Zasilanie urządzenia stanowiły akumulatory wystarczające na trzy godziny, a napęd - wirnik pompy odśrodkowej umieszczony w jego „brzuchu”. Przeguby kardanowe umożliwiały mu obracanie się o trzysta sześćdziesiąt stopni w dowolną stronę i poruszanie się we wszystkich kierunkach.

Ponieważ miał kształt ludzkiej postaci, mógł się zginać i docierać do miejsc niedostępnych dla normalnego ROV-a. Mógł się nawet kurczyć, wciągając ramiona i nogi, wtedy zaś wyglądał jak piłka plażowa z lampą i kamerą na wierzchu.

Zastosowanie wizjera do rzeczywistości wirtualnej i butów oraz rękawic z funkcją sprzężenia zwrotnego umożliwiało operowanie „Rapunzelem” tak, jakby człowiek był na dole i sam wykonywał pracę. Konstruktorzy urządzenia mieli nadzieję, że zrewolucjonizuje ono pracę ratownictwa morskiego, pozwalając uniknąć wysyłania nurków do wraków uważanych za niebezpieczne lub spoczywających na zbyt dużej głębokości.

Badanie „Sheffielda” miało być debiutem „Rapunzela”, ale zaczęło się niedobrze. Na jednej z klawiatur i w wirtualnym

kokpicie błyskała czerwona kontrolka ostrzegawcza. „Pępowina” się nie odłączyła.

- Spróbuję jeszcze raz - powiedziała Gamay i zresetowała sekwencję.

Paul wszedł do pomieszczenia.

- Nie chcę wam przerywać - powiedział - ale „Rapunzel” musi wrócić do domu na kolację.

- Czy to mój wspaniały mąż? - zapytała Gamay, nadal manipulując wirtualnymi przyrządami.

- We własnej osobie. Nadciąga sztorm - wyjaśnił Paul. - Musimy uszczelnić statek i wziąć kurs na północ, zanim rozpełta się piekło.

Gamay opuściła ręce. Nie miało to znaczenia, bo „pępowina” nie chciała się odłączyć, a nie mogli wysłać „Rapunzela” do wraku z przyczepionymi przewodami. Wcisnęła kilka przełączników i gdy na ekranie pojawiła się ikona z napisem „Autopowrót”, wirtualna dłoń Gamay dotknęła ją.

„Rapunzel” zaczął się oddalać od „Sheffielda”, a potem unosić. Diody na rękawicach i butach Gamay zgasły. Zdjęła wizer, zamrugła i spojrzała na męża. Ruszyła w jego kierunku, ale zachwiała się i niemal straciła równowagę.

Paul złapał ją i podtrzymał.

- Nic ci nie jest?

- Nie - odparła. - Po prostu wychodzenie z tego jest trochę dezorientujące.

Zamrugła jeszcze kilka razy, jakby starała się skupić na rzeczywistym świecie, a potem uśmiechnęła do męża.

Odwzajemnił uśmiech, jak zwykle szczęśliwy i dumny, że znalazł taką piękną, odpowiednią dla siebie kobietę.

- Jak było? - spytał.

- Zupełnie jak na dole. Z tą różnicą, że nie jestem mokra i zmarznięta i mogę zjeść z tobą lunch, kiedy „Rapunzel” odbywa piętnastominutową podróż powrotną z dna.

Wspięła się na palce i pocałowała go.

Jeden z Anglików odkasznął.

Odwróciła się do nich.

- Myślę, że „Rapunzel” bardzo nam się przyda - powiedziała. - Usuniemy defekty podczas sztormu, a potem opuścimy go na dół i spróbujemy znowu.

- Nic z tego - zaprotestował Paul. - Przynajmniej do paździenika.

- Zrobiło się dla ciebie za zimno, co, stary? - skomentował brodac. - Kiedy byłem chłopakiem, pływaliśmy w takich warunkach motorówką.

Paul nie wątpił, że Anglik mówi prawdę - przez ćwierć wieku służył w Królewskiej Marynarce Wojennej i był na „Sheffieldzie”, kiedy okręt został trafiony.

- Tale. nie cierpię zimy - odparł. - Bierzemy kurs na północ. Gdy zostawimy sztorm za sobą, przyleci po was helikopter. Pewnie wróćcie do Anglii. Dopilnuję, żeby mieli herbatę na pokładzie.

- To miło z twojej strony - powiedział brodac.

Anglicy wstali.

- Zobaczyliśmy to, co nas interesowało - odezwał się ten bez zarostu. - Ale chętnie skorzystalibyśmy z zaproszenia, kiedy tu wróćcie.

- Oczywiście - zapewniła Gamay.

Pożegnali się, wyszli z pomieszczenia i ruszyli korytarzem, poruszając się z dużo większą łatwością niż Paul kilka minut wcześniej.

Kiedy tylko zniknęli z pola widzenia, Gamay popatrzyła podejrzliwie na męża i zapytała:

- Wynosimy się stąd z powodu sztormu, który nadejdzie dopiero za kilka dni?

- Nie, ale uznałem, że to dobra wymówka - odparł.

- Co jest grane? Tylko nie kręć, bo będziesz dziś spał sam.

- Chodzi o ten masowiec, który zatonął dwa dni temu. Kurt tam był, uratował nawet żonę kapitana.

- No jasne - mruknęła. - On zawsze w coś się pakuje.

Paul uśmiechnął się i skinął głową na znak, że podziela zdanie żony. Kurt Austin miał wręcz niewiarygodne szczęście do

trafiania na grubsze sprawy. A on i Gamay często pomagali mu je rozwiązywać. Wyglądało na to, że teraz nie będzie inaczej.

- Prasa nie wie wszystkiego o tym zatonięciu - powiedział.
- To znaczy? - zainteresowała się Gamay.
- Piraci zabili załogę i zatopili statek.
- To nie pasuje do piratów.
- Właśnie. Kurt i Dirk też tak sądzą i zdołali przekonać do swojej wersji nawet towarzystwo ubezpieczeniowe, które wyraziło zgodę na szczegółowe dochodzenie. Kurt poprosił nas, żebyśmy wzięli „Rapunzela” i rozejrzeli się po wraku.

Gamay ściągnęła rękawice i usiadła, żeby zdjąć buty.

- Nie widzę problemu. Dlaczego masz taką minę, jakbyś się czegoś obawiał?

- Bo zdaniem Dirka ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby ukryć, co zaszło na tamtym statku. Jeśli Dirk ma rację, a zwykle ją miewa, ktokolwiek to jest, może nie być zadowolony, że wędzimy.

Gamay wzięła męża za rękę.

- Myślisz, że uda ci się wprowadzić „Rapunzela” do wnętrza zatopionego statku? - spytał.

- Wolałabym zakończyć próby - odparła - ale tak, myślę, że jakoś sobie poradzę.

ROZDZIAŁ 12

„Barracuda”, mknąc trzydzieści metrów pod powierzchnią morza, wyglądała bardziej jak płaszczka niż jak łódź podwodna.

Miała wielkość kompaktowego samochodu i lśdinowaty dziób z lekkim zaokrągleniem na samym końcu.

Hydrodynamiczny kształt sprawiał, że woda opływała ją

gładko ze wszystkich stron, co zwiększało przyspieszenie oraz prędkość maksymalną.

Pokrywające poszycie z nierdzewnej stali mikroskopijne rowki w kształcie litery V - podobne do tych na kadłubach jach-

tów wyścigowych - zmniejszały opór, dodatkowo zwiększając prędkość.

Ponieważ „Barracuda” miała być wykorzystywana w ratownictwie morskim, w schowku u nasady każdego skrzydła umieszczono odpowiedni sprzęt: palniki do cięcia, chwytaki i inne narzędzia. Prawdę mówiąc, konstrukcyjnie przypominała

bardziej niewidoczny dla radarów myśliwiec niż łódź podwodna, tyle tylko, że nie potrafiła latać.

Kurt siedział za sterami, a Joe tuż za nim, monitorując wszystkie systemy, i pędzili pod wodą z prędkością ponad trzydziestu węzłów. Zawała twierdził, że „Barracuda” może wyciągnąć nawet czterdzieści pięć, ale wtedy akumulatory szybko by się wyczerpa-

ły. Aby pokonać liczącą pięćdziesiąt mil morskich trasę wyścigu, nie mogli przekraczać trzydziestu czterech węzłów.

- Zbliżamy się do punktu zmiany zanurzenia - zameldował Joe.

Rywalizacja nie polegała na zwykłym ściganiu się łodzi w poziomie. Trzeba było wykonywać rozmaite manewry: zmieniać zanurzenie i kurs, przepływać slalomem między pylonami, okrążać jedną boję i mknąć do następnej.

Zawody składały się z trzech etapów. Zwycięzca każdego z nich otrzymywał sto tysięcy dolarów, a ostateczny triumfator - dziesięć milionów.

- Jesteś w stanie uwierzyć, że najlepsza załoga zgarnie dziesięć melonów? - zapytał podekscytowany Joe.

- Chyba wiesz, że jeśli wygramy, forsa trafi do NUMA - odparł Kurt.

- Nie musiałeś mi o tym przypominać. Rozmarzyłem się i było tak pięknie. Kupiłem sobie ranczo w Midland i pikapa wielkości koparki.

Kurt się roześmiał. Rozwahał przez chwilę, co mógłby robić, mając pięć milionów dolarów, i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nadal robiłby dokładnie to, co teraz. Pracowałby w NUMA. Zwiedzał świat. Od czasu do czasu uratował ocean albo dwa.

- Powiedz mi, kto wyklada te pieniądze, bo zapomniałem - poprosił.

- Afrykańska Korporacja Morska - odparł Joe. - Są mocno zaangażowani w wiercenia na szelfie kontynentalnym.

Kurt skinął głową. Podejrzewał, że celem zawodów jest wybranie łodzi podwodnych, w których można operować szybko, bezpiecznie i niezależnie na głębokościach do trzystu metrów. Zyski osiągnięte dzięki posiadaniu takich łodzi bardzo szybko przekroczą dziesięć milionów, które korporacja przeznaczyła na nagrodę dla zwycięzcy.

Mimo to i mimo że nie dostałby tych pieniędzy, chciał wygrać.

- Za piętnaście sekund zacznij schodzić na siedemdziesiąt pięć metrów - polecił Joe.

Kurt wpisał na klawiaturze podaną głębokość i przeniósł palec nad klawisz „Enter”. Mógłby zmienić zanurzenie ręcznie, ale komputer był bardziej precyzyjny.

- Trzy... dwa... jeden... teraz.

Wcisnął „Enter” i usłyszał ciche buczenie małej pompy, która tłoczyła olej z rufy na dziób. Wkrótce dziób zrobił się cięższy i opadł w dół. Bez potrzeby nabierania wody, przestawiania sterów głębokości czy regulowania mocy nurkowali „Barracudą”, nie tylko nie tracąc prędkości, ale nawet lekko przyspieszając.

W miarę ubywania światła kolor wody wokół nich zmieniał się z akwamarynowego w granatowy. Na górze był piękny słoneczny dzień i panowało wysokie ciśnienie.

- Jak nam idzie? - zapytał Kurt.

- Cztery mile morskie do nawrotu - odparł Joe.

- A rywale?

To był wyścig na czas, więc łodzie startowały co dziesięć minut, żeby nie dochodziło do kolizji. Wyprzedzili już jedną, a przed sobą mieli następną, do której się zbliżali.

- Gdyby próbowali nas blokować, staranujemy ich i po rzęku - rzekł Zavala, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Kiepski pomysł - skomentował Kurt. - To nie NASCAR, dostalibyśmy za taki manewr sporo punktów karnych.

Joe mruknął coś niewyraźnie i zaczął stukać w klawiaturę.

- Według telemetrii - powiedział po chwili - XP-4 jest pół mili morskiej przed nami. Powinniśmy zobaczyć jej tylne światła za jakieś dziesięć minut.

Kurt skinął głową. Następną zmianę zanurzenia czekała ich za siedem minut. Mieli się wzniesć nad grzbiet podwodnej góry stołowej i płynąć dalej wzdłuż jej wierzchołka na głębokości czterdziestu pięciu metrów.

- Łatwiej wyprzedza się ludzi, którzy cię widzą - stwierdził. -1 ma się wtedy zdecydowanie większą frajdę.

Siedem minut później skierował „Barracudę” w górę. Kiedy przemknęli nad grzbietem i wyrównali na czterdziestu pięciu metrach, zatrzeszczało radio.

- ...my prob... z elektry... akumulatory... system nie dzia... - dobiegło z głośnika.

Wiadomość nadaną na niskiej częstotliwości trudno było zrozumieć, ale uruchomiła dzwonki alarmowe w głowie Kurta.

- Zrozumiałeś to? - spytał przyjaciela.
- Częściowo - odparł Joe. - Zdaje się, że ktoś ma problemy.

Wszystkie łodzie podwodne wyposażono w radia niskiej częstotliwości, dzięki którym zawodnicy mogli łączyć się z sędzią i jednostkami ratowniczymi za pośrednictwem boi przekaznikowych rozmieszczonych wzdłuż trasy wyścigu. Ten sygnał był jednak tak słaby, że Kurt nie wiedział, ani kto nadał wiadomość, ani co chciał przekazać.

- Zdaje się, że chodziło o problemy z elektryką - zgadywał.
- Chyba tak - potwierdził Joe.
- Wywołaj go.
- Już się robi - odparł Zavala i po chwili nadał przez radio: - Do załogi zgłaszającej problemy. Źle was słyhać. Proszę powtórzyć.

Mijały kolejne sekundy, a oni nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Kurt był coraz bardziej zaniepokojony. Większość łodzi uczestniczących w wyścigu miało eksperymentalną konstrukcję, co znacznie zwiększało prawdopodobieństwo awarii. W jednych zastosowano akumulatory litowo-jonowe, które w pewnych okolicznościach mogą się zapalić, inne wyposażono w nietypowe silniki elektryczne, jeszcze inne miały kadłuby z cienkich polimerów.

- Do załogi zgłaszającej problemy - powtórzył Joe. - Tu „Barracuda”. Proszę powtórzyć wiadomość. Przekażemy ją na powierzchnię.

Kurt zobaczył z przodu pęcherze powietrza. To musiał być kilwater XP-4. Całkiem o nim zapomniał i teraz płynął prosto na jego rufę. Gdy odbił w lewo, zauważył, że pęcherze powietrza unoszą się łukiem w przeciwną stronę. To nie miało sensu, chyba że...

- Przed nami XP-4 - powiedział do Joego.
- Jesteś pewien?
- Tak, ale na wszelki wypadek sprawdź GPS.

Joe wykonał polecenie i po chwili zameldował:

- To XP-4. Jesteśmy dokładnie nad nim.
- Dlatego go nie widzę - powiedział Kurt.

Zawała nadał kolejny komunikat:

- XP-4, słyszysz mnie? To ty zgłaszasz problemy?
- Z radia dobiegły jakieś trzaski, a potem zapadła cisza.
- Jeśli teraz skręcimy, przegramy - zauważył Joe.

Kurt wahał się zaledwie kilka sekund.

- Zapomnij o wyścigu - odparł i zatoczył „Barracudą” sze-roki łuk w prawo.

Potem zwolnił, przeszedł na ręczną obsługę sterów głębokości, włączył reflektory i zaczął szukać pęcherzy powietrza.

- Z czego wykonano XP-4? - spytał Zawałę, który wiedział o rywalach dużo więcej niż on.

- Z nierdzewnej stali, tak jak naszą łódź - usłyszał w od-powiedzi.

- Może magnetometr pomoże go znaleźć. Pół tony stali po-winno dać nam odczyt.

Kurtowi wydało się, że dostrzega strumień pęcherzy powie-trza. Skręcił, żeby popłynąć za śladem prowadzącym łukiem w dół. Za jego plecami Joe włączył magnetometr.

- Coś jest nie tak - oznajmił po chwili.
- W czym problem? - spytał Austin.
- Sam zobacz.

Joe wcisnął przełącznik i centralny ekran na panelu wy-świetlacza przed Kurtem się zmienił. Linie azymutu i gęstości pola magnetycznego powinny tworzyć stosunkowo jasny ob-raz, tymczasem niektóre wypiętrzały się spiczasto i opadały, a wskaźnik kierunku wirował jak igła kompasu.

- Co się dzieje, do cholery? - mruknął Austin.
- Nie mam pojęcia.

Z radia znów dobiegły trzaski, ale tym razem przebił się przez nie czyjś głos.

- ...ciągle problemy... dym w kabinie... prawdopodobnie pożar instalacji elektrycznej... wyłączamy wszystkie systemy... proszę...

Głos nagle umilkł, co zmroziło Kurtowi krew w żyłach.

Spojrzał przez pleksiglasową przednią szybę „Barracudy” i zwolnił jeszcze bardziej. Kiedy prędkość małej łodzi podwodnej spadła, opuścił dziób i ustawił ją niemal pionowo, dziobem w dół.

Schodząc wolno coraz niżej, lustrował dno. Na głębokości czterdziestu pięciu metrów światło z powierzchni jeszcze dociera pod wodę, ale widoczność nie przekracza piętnastu metrów.

Poprawiały ją reflektory „Barracudy”. Ponieważ woda morską rozprasza i szybko pochłania dłuższe fale świetlne, Joe zainstalował specjalne żarówki, które świeciły w jasnej części widma widzialnego. Gdy „Barracuda” zbliżyła się do dna, Kurt zauważył w żółtozielonym blasku reflektorów wyżłobienie w piaszczystym osadzie.

Skręcił, żeby popłynąć wzdłuż niego.

- Tam - powiedział Joe.

Austin spojrzał we wskazanym kierunku. Przed nimi leżał na boku cylindryczny stalowy obiekt przypominający klasyczną łódź podwodną. Widniało na nim oznaczenie „XP-4” namalowane dużymi czarnymi literami.

Kurt okrążył łódź i dotarł do punktu, z którego widoczna była osłona kokpitu. Z rufy wydobywały się pęcherze powietrza, ale kabina wydawała się nietknięta.

Zgasił reflektory i próbował zawisnąć obok, co utrudniał dość silny prąd.

- Daj im sygnał - polecił przyjacielowi.

Kiedy on usiłował utrzymać „Barracudę” na pozycji, Joe chwycił latarkę ołówkową, wycelował ją przez szybę w XP-4 i nadał wiadomość alfabetem Morse’a.

Kurt dostrzegł w środku jakiś ruch, a potem nadeszła odpowiedź.

- Całk... brak... zasil... elektr... - przetłumaczył Joe.

Kurt poczuł, że znów dryfują, więc włączył prąd.

- Muszą mieć tlen - powiedział, przypominając sobie zasady bezpieczeństwa ustalone przez organizatorów zawodów. - Mogą otworzyć osłonę kokpitu?

Joe przekazał pytanie. Odpowiedź rozviała te nadzieje.

- Osłona... elektr... zablokowana.

- Elektryczne otwieranie osłony? - zdziwił się Kurt i spojrział w tył na Zawałę.

- Nasza jest otwierana ręcznie - uspokoił go Joe.

- Tylko się upewniam.

Joe uśmiechnął się i spytał:

- Możemy ich wziąć na hol?

- Wygląda na to, że będziemy musieli - odparł Kurt. - Użyj haka.

Za jego plecami Joe uruchomił system chwytakowy i po chwili z panelu na prawym skrzydle „Barracudy” wyłoniło się złożone metalowe urządzenie. Kiedy zostało zablokowane w odpowiedniej pozycji, rozłożyło się, tworząc długie ramię z chwytakiem na końcu.

W tym momencie Kurt zauważył, że oddalają się od XP-4.

Znów włączył pędniki i „Barracuda” skręciła ku rufie łodzi, gdzie z kadłuba wystawał uchwyt. Kurt i Joe zamierzali zaczepić za ten uchwyt hak żurawia i wyłowić XP-4 z morza.

- Może to podwyższy nam ocenę w kategorii ratownictwa - powiedział Zawała.

- Najpierw trzeba go złapać - odrzekł Kurt.

Joe skierował chwytak w stronę uchwyty, ale nie trafił w niego. Kurt skorygował ich pozycję i Zawała spróbował jeszcze raz. Również bez rezultatu.

- Coś jest nie tak - stwierdził.

- Jasne, z twoim celowaniem - mruknął Kurt.

- Raczej z twoim sterowaniem - odciął się Joe.

Kurt musiał przyznać mu rację. Za każdym razem, gdy skontrolował działanie prądu, „Barracuda” zdawała się znów przemieszczać. Zerknął przez szybę na osad, żeby lepiej rozpoznać się w prądzie.

- Kurt, patrz tam... - zaczął Joe.

Kurt zignorował go. Coś było zdecydowanie nie w porządku. Jeśli wzrok go nie mylił, „Barracuda” dryfowała w kierunku przeciwnym niż prąd. Co jeszcze dziwniejsze, XP-4 też się poruszał, chociaż wolniej.

- Kurt - powtórzył Joe.
- O co chodzi?
- Obejrzyj się za siebie.

Austin obrócił łódź o kilka stopni i popatrzył w tył. Dryfowali w stronę czegoś w rodzaju klifu. Na mapach morskich wyglądało to jak głęboka okrągła depresja ze wzniesieniem pośrodku: kaldera czynnego tysiące lat temu wulkanu.

Na myśl, że uszkodzony XP-4 z dwoma mężczyznami uwięzionymi w środku może spaść poza krawędź kaldery Kurt zapomniał o dziwnym ruchu obu łodzi. Chciał tylko chwycić XP-4 i wynieść się stąd.

Parł naprzód, dopóki nie znaleźli się dziób w dziób z XP-4. Joe raz po raz uderzał chwytakiem w mały uchwyt, ale nie mógł go złapać. Osad zaczął wirować wokół nich, kiedy Kurt zwiększył moc pędników.

Dotarli do miejsca, gdzie teren zaczął opadać.

Cokolwiek się działo, byli ciągnięci w kierunku kaldery. Pompując przepustnicą, Kurt dawał pełną moc i blokował XP-4, żeby ich zatrzymać.

XP-4 zaczął się obracać i przesuwac po dziobie „Barracudy”. Kaldera ziała tuż za nimi.

- Teraz albo nigdy, Joe.

Zawala spróbował jeszcze raz. Ramię wyciągnęło się i chwytak zacisnął się na haku.

- Mam go - zameldował Joe.

XP-4 dotarł do krawędzi i zaczął spadać; Kurt nie miał wyjścia, musiał pozwolić „Barracudzie” pójść na chwilę w jego ślady. Gdyby przyspieszył, ramię by się wygięło i złamało pod ciężarem ładunku.

Zsunęli się z krawędzi i podryfowali w ciemność. Kurt od-
dał dziób „Barracudy” od XP-4. Chwytnak obrócił się i skiero-
wał w tył. Obie łodzie przechyliły się na bok, gdy Austin stop-
niowo zwiększył moc głównego pędnika.

„Barracuda” powoli odholowała XP-4 od ściany kaldery
i zaczęła się prostować. Obie łodzie nadal jednak opadały, cią-
gnięte przez jakąś niewidzialną siłę w stronę wulkanu.

- Wciąż opadamy - powiedział Joe.

Kurt też to widział i nie potrafił tego wyjaśnić.

- Może nabrali wody i łódź zrobiła się za ciężka - speku-
lował.

Zwiększył moc do prawie maksymalnej, co spowolniło opa-
danie. Wkrótce zaczęli nabierać prędkości, potrzebnej im, by
się wznieść.

Jakiś kształt wyłonił się z przodu. Przed nimi zamajaczyła
trzydziestometrowa skalna kolumna, która wyrastała ze środka
kaldery jak komin. Gdyby Kurt musiał zgadywać, powiedziałby,
że to wulkaniczny „korek”, który ostygł i stwardniał, kiedy wul-
kan przestał być czynny. Problem polegał na tym, że przeszkoda
znajdowała się dokładnie na ich kursie.

- Mam opróżnić zbiorniki balastowe? - zapytał Joe.

- Nie, zgubimy ich - odparł Kurt. Dał pełną moc i wolno
podniósł dziób.

Zbliżali się do skalnej kolumny zdecydowanie za szybko.
Austin miał wrażenie, że skalna wieża przyciąga ich jak czar-
na dziura. A z ciężarem na hoku byli niezdolni do wznoszenia
z prędkością większą niż minimalna.

- No, dalej - mruknął Kurt. - W górę, do cholery!

Kierowali się prosto na przeszkodę, niczym samolot na
ścianę urwiska. Całe światło z powierzchni zasłaniała skała.
Wznosili się, ale zbyt wolno. Wyglądało na to, że uderzą czoło-
wo w kolumnę.

- No, dalej - powtórzył Austin.

- Kurt? - odezwał się Joe z ręką na włączniku systemu ba-
lastowego.

- No dalej, ty... Nagle znów zobaczyli światło i w ostatniej chwili wzniesli się nad wieżę. Kurt wypoziomował, żeby zwiększyć prędkość.

- Chyba obtarliśmy lakier - powiedział.

Za jego plecami Joe odetchnął z ulgą.

- Spójrz na magnetometr - doradził.

Kurt go zignorował, dodał więc:

- Wskazuje w kierunku rufy. Dokładnie w tamtą skalną wieżę. To jakieś silne pole magnetyczne.

Kiedy indziej Kurt uznałby to za interesujące, ale przed nim, w żółtozielonym blasku reflektorów, rozciągał się taki widok, że z trudem wierzył własnym oczom.

Z dna oceanu wyrastał maszt wielkiego statku, niczym samotne, pozbawione gałęzi drzewo. Dalej spoczywał kuter rybacki, a na lewo od niego leżało coś podobnego do kadłuba starego trampa.

- Joe, widzisz to? - zapytał.

Zavala zmienił pozycję, żeby lepiej widzieć, a Kurt doprowadził „Barracudę” nad trzy wraki. Gdy to zrobił, zobaczyli kilka następnych. Towarowce o wyglądzie starych statków Liberty rdzewiały pod cienką warstwą alg i osadu. Wszędzie wokół nich walały się kontenery, jakby wyrzucone za burtę jakiegoś frachtowca na chybił trafił.

Kurt zauważył skrzydło małego samolotu i cztery czy pięć innych obiektów, niemożliwych do rozpoznania, lecz będących niewątpliwie dziełami człowieka.

- Co to za miejsce? - zastanawiał się głośno.

- Jakies cmentarzysko wraków - odrzekł Joe.

- Co one tu robią?

Zavala pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.

Przełynęli nad wrakami. Za cmentarzyskiem dno oceanu wyglądało zwyczajnie: osad i muł, rośliny morskie, tu i ówdzie barwne koralowce.

Kurt chętnie by zawrócił, ale uświadomił sobie, że mają ważniejsze spotkanie na powierzchni, i skierował „Barracudę” w górę. Dno zaczęło się wolno oddalać.

Zanim reflektory przestały je oświetlać, Kurt dostrzegł jeszcze jeden wrak: kadłub dużego samolotu zagrzebany częściowo w mule. Długa wąska kabina kończyła się charakterystycznym ogonem z trzema pionowymi statecznikami.

Od razu rozpoznał samolot. Kiedy był chłopcem, zbudowali z ojcem model takiej maszyny, który Kurt z przyjacielem rozrywali potem na kawałki fajerwerkami.

Samolot o smukłym kształcie i ogonie z trzema pionowymi statecznikami nazywał się Lockheed Constellation.

ROZDZIAŁ 13

Nowy Jork, 19 czerwca

Nowojorskie biura Towarzystwa Żeglugowego Shokara mieściły się w nowoczesnym budynku ze szkła i stali w centrum Manhattanu. Shokara, międzynarodowy armator stu siedemnastu statków handlowych, kierowała swoją flotą z dyspozytorni na czterdziestym szóstym piętrze, podejmowała ewentualnych klientów na czterdziestym siódmym, a księgowość prowadziła na czterdziestym ósmym. Czterdzieste dziewięte piętro, zarezerwowane dla VIP-ów i dyrekcji firmy, zwykle stało puste, jeśli

nie liczyć ekip sprząających, które utrzymywały pomieszczenia urządzone w stylu feng shui w nieskazitelnej czystości.

Ale w tym tygodniu było inaczej. W nowojorskiej siedzibie firmy zjawił się Haruto Takagawa, prezes i naczelny dyrektor

Shokary. Z tej przyczyny poziom zarówno aktywności, jak i bezpieczeństwa znacznie wzrosły.

Takagawa planował spędzić w Nowym Jorku cały miesiąc, by nacieszyć się Broadwayem, nocnym życiem i wspaniałymi muzeami. Ale głównym celem jego wizyty były spotkania z maklerami giełdowymi i członkami Komisji Papierów Wartościowych i Giełd. Miał nadzieję, że pod koniec miesiąca wprowadzi Shokarę na giełdę nowojorską w drodze oferty niepublicznej, aby zwiększyć kapitał i założyć nową filię, Shokara New York, która zacznie wykonywać przewozy między Stanami Zjednoczonymi a Europą.

Nadal zamierzał zrealizować to wszystko, lecz przez większość minionego tygodnia zajmował się następstwami pirackiego ataku i zatopienia jednego z jego statków, „Kinjary Maru”.

Sytuacja była trudna z dwóch powodów. Po pierwsze, atak nastąpił w bardzo niefortunnym momencie, tuż przed zaplanowanymi posunięciami biznesowymi, a po drugie, zgłoszona trasa „Kinjary Maru” wiodła z Singapuru do Australii, a nie z Afryki do Hongkongu i teraz towarzystwo ubezpieczeniowe twierdziło, że polisa jest nieważna, gdyż statki płynące wzdłuż wybrzeży Afryki porywano o wiele częściej niż jednostki zmierzające z Azji do Perth czy Sydney.

Takagawa był pewien, że dogada się z towarzystwem ubezpieczeniowym. Opuści procent czy dwa z kwoty odszkodowania i za kilka dni nikogo w Nowym Jorku jego zatopiony statek nie będzie obchodził bardziej niż ciężarówka z przebitą oponą. Takie rzeczy się zdarzają.

Problem stanowiło to, że chiński kupiec żądał zwrotu pieniędzy za stracony ładunek. Sprawa była nieprzyjemna z wielu przyczyn, głównie jednak ze względu na sam ładunek.

Do tej pory Shokarę obowiązywały japońskie przepisy, ale zamiar otwarcia filii w Stanach Zjednoczonych wymagał od Takagawy przestrzegania amerykańskiego prawa, które zabraniało transferu określonych technologii do innych krajów, a pewne materiały na pokładzie „Kinjary Maru” zaliczały się do tej kategorii.

Takagawa nie mógł dopuścić do przecieku tej informacji. Gdyby do niego doszło, jego pobyt w Nowym Jorku stałby się tylko kosztownym urlopem.

Rozmyślenia prezesa przerwał dźwięk interkomu.

- Panie Takagawa - powiedziała jego sekretarka - w holu na parterze są dwaj mężczyźni, którzy chcą się z panem spotkać.

Takagawa nie pytał, czy byli umówieni, bo gdyby byli, wpuszczono by ich na górę.

- Co to za jedni?

- Są z amerykańskiej Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Chcą z panem porozmawiać o „Kinjarze Maru”.

NUMA. Takagawa znał Agencję nie tylko dlatego, że jej pracownicy zauważyli atak piratów na jeden z jego statków i próbowali interweniować. Wiedział o NUMA wszystko od czasu pewnego incydentu, który miał miejsce dziesięć lat temu.

W przeciwieństwie do innych japońskich armatorów darzył pracowników Agencji ogromną sympatią, ale teraz nie mógł się zgodzić na spotkanie.

- Proszę im przekazać - polecił sekretarce - że nie mogę rozmawiać na ten temat.

Interkom zamilkł, a Takagawa włączył monitor, który umożliwiał mu obserwację recepcji w holu.

Przy ladzie stali dwaj młodzi mężczyźni w garniturach. Sprawiali wrażenie bardzo energicznych i gorliwych. Wyglądali bardziej na prawników lub księgowych z dyplomami jakiegoś uniwersytetu Ivy League niż na nieustraszonych śmiałków, z którymi miał do czynienia przed dziesięcioma laty. Ale mogli chcieć rozmawiać z nim o „Kinjarze Maru” tylko z jednego powodu, więc dlaczego nie przysłać prawników?

Sekretarka znów się odezwała.

- Mówią, że mogą czekać nawet cały dzień, jeśli będzie trzeba, ale muszą się z panem zobaczyć.

- Mogą czekać do końca świata - odparł Takagawa. - Nie zamierzam z nimi rozmawiać. Niech ochrona wyprowadzi ich z budynku.

Wyłączył monitor i wrócił do pracy. Pomyślał, że NUMA może być dla niego poważnym problemem. Dobrze wiedział, że Agencja może być problemem dla każdego, jeśli zechce.

ROZDZIAŁ 14

Wschodni Atlantyk, 20 czerwca

Dwadzieścia cztery godziny po odkryciu cmentarzyska wraków Kurt Austin stał przy relingu z lewej burty „Argo”. Statek utrzymywał pozycję w pobliżu podwodnej kaldery, która o mało nie wchłonęła XP-4 i „Barracudy”.

Zbliżał się wieczór. Morze wyglądało spokojnie, było gład-

kie, prawie oleiste, jakby późnopołudniowe słońce usypiało je niczym lwa na afrykańskiej sawannie.

Kurt wpatrywał się w horyzont i rozmyślał o wydarzeniach ostatnich kilku dni. Po zgłoszeniu odkrycia on i Joe dostali publiczne podziękowania od portugalskich władz. A potem, nieoficjalnie, zabroniono im nie tylko ruszać lub zabierać co-

kolwiek z podwodnego cmentarzyska, ale nawet wracać w to miejsce, zupełnie jakby byli wandalami czy złodziejami.

Portugalczyki twierdzili, że to zwykłe środki ostrożności ze względów bezpieczeństwa. Kurt to rozumiał. Zmienne właściwości magnetyczne obszaru wokół skalnej wieży utrudniały podwodną żeglugę. Gdy siła pola magnetycznego rosła, łodzie podwodne o stalowych kadłubach - a taki miała „Barracuda” -

były dosłownie ciągnięte ku skale jak na linie. Im bliżej kolumny, tym trudniejsze stawały się zmagania z tym przyciąganiem.

Kurt miał okazję tego doświadczyć. Kiedy znalazł się w punkcie, gdzie prąd i przyciąganie magnetyczne działały w tym samym kierunku, niewiele brakowało, a uderzyłby w kolumnę. XP-4 mia-

ła poważne problemy z elektryką, a jej sternik i nawigator wciąż skarżyli się na bóle głowy i zaburzenia widzenia.

Rejon cmentarzyska wraków wydawał się fascynujący i jednocześnie zagadkowy, toteż już snuto rozmaite teorie mające wyjaśnić tajemnicę tego miejsca.

Portugalski rząd nie miał powodu ich dementować. Mogły przecież przyczynić się do wzrostu liczby turystów odwiedzających Santa Marię, a wpływy z turystyki były głównym źródłem dochodu tej małej wyspy.

Napływ ludzi już się zaczął. Nazajutrz po odkryciu w rejonie znaleziska był tylko „Argo”, teraz dołączyły do niego trzy inne tendry, a następnego dnia miało przy płynąć kolejnych dziesięć statków, wszystkie pełne turystów pragnących zobaczyć podwodne cmentarzysko.

Biura turystyczne reklamowały wycieczki na Santa Marię, prasa obszernie pisała o odkryciu, a amatorski film na YouTube obejrzało już ponad milion osób.

Kurt podejrzewał, że za kilka dni będzie świadkiem istnej wolnej amerykanki, kiedy setki turystów w jaskrawych kostiumach kąpielowych zaczną nurkować z fajką, wyobrażając sobie, że przeżywają „prawdziwą” przygodę.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos zbliżających się kroków. Odwrócił się i zobaczył Joego Zawalę, który niósł dwie oszronione butelki.

- Bohemia - oznajmił Joe, podając mu jedną. - Najlepsze piwo w Meksyku.

Kurt wziął butelkę i z przyjemnością napił się zimnego piwa.

- Skąd to masz? - spytał.

- Z prywatnego zapasu kapitana - odparł Joe. - Miało być na uczczenie naszego zwycięstwa.

- I kapitan pozwolił ci wziąć je wcześniej?

Zawala skinął głową.

- To zły znak - stwierdził Kurt. - Zamierzają nas rozstrzelać o zmierzchu?

- Nie, ale zostaliśmy wykluczeni z wyścigu.

Kurt się skrzywił. Zasady zasadami, ale zatrzymanie się w celu udzielenia pomocy rywalowi wydawało się dobrym powodem do zrobienia wyjątku.

- Jakie to uczucie stracić dziesięć milionów dolców? - zapytał Joe.

Kurt się zastanowił. Mieli ogromne szanse na wygranie zawodów, lecz ani przez chwilę nie żałował, że złamali przepisy, tym samym tracąc forszę. Pociągnął następny łyk z butelki, oparł się plecami o reling i odparł:

- No cóż, teraz naprawdę się cieszę, że i tak NUMA dostalaby te pieniądze.

Joe się roześmiał, po czym obaj odwrócili się na odgłos nadlatującego helikoptera. Patrzyli, jak szary super lynx MK 95 podchodzi do „Argo” od wschodu. Kiedy się zbliżył, zobaczyli na jego boku godło portugalskiej marynarki wojennej.

Śmigłowiec zawisnął nad rufą i zaczął się opuszczać na lądowisko.

Do Kurta i Joego podszedł jeden z członków załogi statku.

- Kapitan zaprasza panów do siebie - oznajmił.

- Powiedział, po co? - zapytał Kurt.

Załogant chwilę się wahał, zanim odparł:

- W związku z naszymi gośćmi.

Przytrzymał im drzwi. Najwyraźniej nie mógł albo nie chciał zdradzić nic więcej.

Joe spojrzał na przyjaciela.

- To przez ciebie.

Kurt uniósł brwi.

- Dlaczego uważasz, że to moja wina?

- Bo zawsze tak jest.

Załogant przestąpił nerwowo z nogi na nogę i wymamrotał:

- Kapitan prosił o niezwłoczne przyjście.

Kurt skinął głową i powiedział do Zawali:

- Mówiłem ci, że to zimne piwo to zły znak.

- Przynajmniej jesteśmy na własnym statku - odparł Joe. -
Tutaj nie mogą nas wyrzucić za burtę.

To się jeszcze okaże, pomyślał Kurt.

Kilka minut później Kurt, Joe, kapitan Haynes oraz portugalscy goście - dwaj wysocy oficerowie marynarki wojennej i gubernator Azorów - siedzieli wokół małego stołu konferencyjnego w niewielkiej kabinie. Jak wszystkie pomieszczenia na „Argo”, kabina była funkcjonalnie urządzona i racjonalnie wykorzystana, ale z siedmioma osobami w środku wydawała się nieco klaustrofobiczna.

Kapitan dokonał prezentacji.

- Panowie, przedstawiam wam wiceadmirała Alexandre'a Siennę z portugalskiej marynarki wojennej, który został wyznaczony przez swoich dowódców do nadzorowania miejsca odkrycia.

Po uściskach dłoni i wymianie uprzejmości admirał Sienna zwrócił się do Austina i Zawali.

- Mój rząd uważa, że wasze odkrycie będzie miało ogromne znaczenie dla nauki - zaczął. - Portugalia jest wam winna wdzięczność.

Więc niech ją okaże, pomyślał Kurt.

- Bez próbek nie wiemy, co znaleźliśmy - powiedział głośno. - To prawdopodobnie po prostu ogromny kawał namagnetyzowanego żelaza w kraterze dawno wygasłego wulkanu. Przyznaję, że miejsce jest niezwykle, ale...

- Zapewniam pana, *señor* Austin, że jest więcej niż niezwykle - wszedł mu w słowo admirał. - Czy zauważył pan samoloty przelatujące nad rejonem odkrycia kilka razy dziennie?

Kurt skinął głową. Widział portugalskie oriony P-3. Przypuszczał, że mają oko na „Argo” i inne statki, jakby wejście na pokład kilku członków personelu bazy morskiej Forte de Sao Bras nie wystarczyło.

- Do badania tego magnetyzmu używamy najnowocześniejszych przyrządów - ciągnął admirał. - To, co już udało nam

się ustalić, wprawi pana w zdumienie. Okazało się, że siła pola magnetycznego w tym rejonie nieustannie się zmienia. W jednym momencie wystarczyłaby do uniesienia kilkuset ton, godzinę później ledwo przekracza wartość przyciągania ziemskiego, a po kilku następnych godzinach jest większa niż kiedykolwiek.

To rzeczywiście zdumiało Kurta i zarazem mogło wyjaśniać, dlaczego manewrowanie wokół wieży ze skały wulkanicznej jest takie trudne. Wiedział jednak, że ferromagnetyzm nie zmienia się tak często i tak znacząco. Dlatego można wydobywać kamienie, używać ich jako magnesów i siadać na nich. Niektóre magnesy mogą się rozmagnesować, ale na pewno nie tak, jak to opisał admirał.

- Co pan sugeruje? - spytał.

- Będziemy musieli przeprowadzić dalsze badania, żeby się upewnić - odparł Sienna - ale moi naukowcy przypuszczają, że odkryli panowie występujący w stanie naturalnym... - urwał na chwilę, szukając odpowiedniego słowa - ...materiał przewodzący. I że w specyficznych warunkach geologicznych, prawdopodobnie związanych z podziemnymi ruchami magmy lub ze zmianami w polu magnetycznym Ziemi, ta wieża ze skały i metalu zostaje energicznie naładowana. Wtedy oddziałuje z niewiarygodną siłą magnetyczną na obiekty wokół niej.

- Energicznie - powtórzył Joe. - Podoba mi się to określenie. O mało nas nie przyciągnęła podczas jednej z tych energetycznych zmian.

- No właśnie - rzekł admirał. - Wydaje się, że właśnie takie zjawisko zachodzi. Nasi eksperci uważają, że ta magnetyczna struktura mogła przyciągnąć wszystkie statki i inne obiekty spoczywające w kalderze.

Kurt poczuł się, jakby zaczęli mówić o UFO.

- Mówi pan poważnie czy żartuje? - spytał. - Zanim wydostaliśmy się z kaldery z XP-4 na holu, widziałem na dnie statki towarowe i co najmniej dwa samoloty. Mam uwierzyć, że ta „magnetyczna struktura” przyciągnęła je jak syreni śpiew z mitologii greckiej?

Admirał wyglądał na oburzonego zuchwałością Kurta. Kapitan Haynes był nie mniej zbulwersowany.

Joe nachylił się do przyjaciela i szepnął:

- Pamiętaj o wyrzuceniu za burtę i o pływaniu wśród *los tiburones*.

Kurt wziął głęboki oddech.

- Przepraszam, panie admirale - powiedział - ale martwi mnie, że miejsce, które wzbudza ogromne zainteresowanie naukowców i które powinno się rzetelnie zbadać, jest zamieniane w park rozrywki. Takie fantastyczne teorie utrudniają zadanie naukowcom z prawdziwego zdarzenia.

Admirał pokiwał głową.

- Może ma pan rację - rzekł - ale zapewniam, że zmierzone już przez nas siły elektromagnetyczne są... właśnie fantastyczne.

Kurt, chociaż świadomy, że admirał zarzuca na niego przyręte, nie mógł się powstrzymać od połknięcia jej.

- Do czego pan zmierza? - spytał.

- Wie pan, co to są nadprzewodniki?

- Mniej więcej. - Kurt nie był już pewien, czy wie cokolwiek. - To materiały, które przewodzą prąd elektryczny bez żadnego oporu. Stale słyszę, że pewnego dnia znajdą zastosowanie w magnetycznie lewitujących pociągach i podobnych konstrukcjach.

Admirał skinął głową i spojrzał na kapitana Haynesa, oddając mu głos. Kurt odniósł wrażenie, że dwaj mężczyźni rozmawiali na ten temat wcześniej, być może nie sami.

- Nadprzewodniki mają bardzo szerokie zastosowanie - zaczął Haynes. - Dzięki swoim właściwościom doskonale sprawdzają się w rozmaitych urządzeniach elektronicznych, od komputerów po silniki samochodowe, które na przejechanie stu kilometrów potrzebują odpowiednika niespełna pół litra benzyny. Pewien projekt badawczy wykazał, że zastąpienie amerykańskiej sieci elektrycznej nadprzewodnikami zmniejszyłoby ilość energii potrzebnej do oświetlenia kraju o czterdzieści

procent. Można byłoby zamknąć co najmniej pięćset elektrowni opalanych węglem, które zanieczyszczają środowisko.

- Nie wiedziałem, że jesteś ekspertem w dziedzinie nadprzewodników, kapitanie - skomentował Kurt, siłąc się na ton pozbawiony sarkazmu.

- Nie jestem - odparł Haynes. - Ale przez ostatnie trzy godziny rozmawiałem na ten temat z obecnym tu admirałem Sienną i pracownikami NUMA, a oni przekazali mi najważniejsze informacje.

- Świetnie - ucieszył się Kurt. - W takim razie wytłumacz mi coś. O ile dobrze zrozumiałem, zastosowanie nadprzewodników mogłoby się przyczynić do zmniejszenia globalnego ocieplenia. Dlaczego więc nie są powszechnie używane? Co stoi na przeszkodzie?

- To, że większość nadprzewodników działa tylko w bardzo niskich temperaturach - wyjaśnił kapitan. - Trzeba je schładzać ciekłym azotem lub czymś podobnym, żeby uzyskać efekt nadprzewodnictwa.

- A w wypadku sieci elektrycznej to się po prostu nie opłaca - domyślił się Kurt.

- Owszem - potwierdził Haynes - tak samo jak w przypadku innych zastosowań praktycznych.

- Więc dlaczego w ogóle rozmawiamy o nadprzewodnikach?

- Ponieważ - wtrącił się admirał Sienna - pan i pański przyjaciel mogliście odkryć stop, który ma właściwości nadprzewodnika już w temperaturze pokojowej.

Teraz wszystko nabrało sensu. Żadnych próbek. Żadnych oględzin. Portugalscy marynarze na „Argo” i portugalska łódź patrolowa na morzu.

- Jeśli właśnie taki stop mamy na dole - oznajmił Haynes - to po przeanalizowaniu, zsyntetyzowaniu i skierowaniu do masowej produkcji może być wart setki miliardów.

Kurt już chciał się zgodzić z kapitanem, ale uświadomił sobie, że nawet nadprzewodnik potrzebuje źródła zasilania.

- A skąd pochodzi energia? - spytał.
- Azory to dawny archipelag wulkaniczny - przypomniał wszystkim Sienna. - Pod kalderą mogą się przelewać miliardy ton magmy i wytwarzać silne pole magnetyczne.
- Na tyle silne, żeby ściągać statki i samoloty na dno morza? - spytał Kurt.
- Akurat tego nie jesteśmy pewni - odparł admirał. - Ten rejon trochę przypomina Trójkąt Bermudzki. Nie wiemy, co się wydarzyło, ale podejrzewamy, że leżące na dnie statki, kontenery i samoloty zatoniły na północny zachód od kaldery. Jest tam prąd, który płynie łagodnie między dwoma podwodnymi łańcuchami górskimi, a w zwężeniu przesmyku przybiera na sile i prowadzi do krawędzi urwiska.

Kurt odtworzył w myślach podwodne cmentarzysko. Wszystko, co widzieli na dnie - zatopione statki, samoloty, kontenery i inne rupiecie - leżało po północno-zachodniej stronie skalnej wieży.

- Jeśli dobrze pana zrozumiałem - powiedział - uważa pan, że połączone siły prądu i magnetyzmu wystarczyły do przyciągnięcia tego złomu.

Admirał potwierdził skinieniem głowy.

- Więc czego oczekuje pan od nas?
- Jesteśmy w trudnej sytuacji - odparł Sienna. - Te wody to terytorium sporne między moim krajem i Hiszpanią. Walka o nie toczy się od czasów Kolumba, od ponad pięciuset lat. Ponieważ kaldera leży więcej niż dwanaście mil morskich od najbliższej azorskiej masy lądu, znajduje się w spornej strefie. Wszelkie kwestie związane z rybołówstwem i wieloma innymi sprawami regulują odrębne umowy. Zawarliśmy nawet porozumienie dotyczące ewentualnego odkrycia ropy.

Kurt domyślał się, co może stanowić problem.

- Ale nie ma w nim ani słowa o podwodnym górnictwie ani o odkryciu nowych stopów - dodał admirał, potwierdzając jego przeczucie.
- Więc już się o to spieracie - rzekł Kurt.

- Prowadzimy rozmowy - uściślił Sienna. - Ale mój rząd jest skłonny wysłać w to miejsce jeden z naszych najlepszych okrętów wojennych, fregatę klasy Vasco da Gama „Corte Real”. Hiszpanie mają identyczny zamiar.

- W takim razie się wycofamy - oznajmił Kurt. - Proszę mi dać znać, kiedy się dogadacie. Pewnie znajdzie mnie pan wtedy w domu starców.

Admirał z trudem panował nad irytacją. Najwyraźniej jemu poczucie humoru Austina się nie podobało.

- *Tiburones* - przypomniał Joe przyjacielowi.

- Sprawa prawdopodobnie zakończy się w sądzie - rzekł Sienna. - Chyba że... - zawiesił głos.

Kurt wziął głęboki oddech.

- Chyba że co?

- Chyba że neutralna organizacja o światowej renomie zechce czuwać nad tym miejscem i koordynować wstępne badania, kiedy my będziemy omawiać z Hiszpanami szczegóły.

Kurt spojrzał na Haynesa. Kapitan skinął głową.

- Już o tym rozmawiałem z dyrektorem. Zgadza się.

- Wielu ludzi chce zobaczyć to miejsce - ciągnął admirał. - Zgłosiły się już dziesiątki naukowców, którzy chcieliby przeprowadzić tu badania. Ale trzeba ustalić zasady i ich przestrzegać. Gdybyście nam w tym pomogli...

Kurt zwrócił się do kapitana Haynesa:

- To zależy od ciebie i Dirka, nie od nas. Zrobimy, co każecie.

- Wy odkryliście to miejsce - zauważył Sienna. -1 jesteście dobrze znani dzięki swoim wcześniejszym dokonaniom, takim jak odnalezienie posągu *Żeglarza*, ujawnienie prawdy o błękitnej meduzie i powstrzymanie epidemii, która groziła światu w zeszłym roku. Byłoby dobrze, gdybyście tu byli. Wszystkie strony uszanowałyby waszą obecność.

- Chce pan zrobić z nas administratorów - stwierdził Kurt, nie potrafiąc ukryć niechęci do tego planu.

- Moi oficerowie i ja zajmujemy się papierkami i logistyką - obiecał Haynes. - Ty i Joe będziecie pilnować porządku.

- Mamy dbać o dyscyplinę? - zapytał Kurt.

Kapitan się uśmiechnął.

- Całkowita przemiana, co?

Kurt zerknął na mapę na ścianie. Pięćset mil morskich na wschód od ich pozycji Troutowie przygotowywali się do nurkowania do „Kinjary Maru”.

Zatopienie masowca nie dawało mu spokoju i po wykluczeniu „Barracudy” z wyścigu miał nadzieję tam wrócić i wziąć udział w tym nurkowaniu. Ale wyglądało na to, że nic z tego nie wyjdzie.

Utknęli tutaj na dobre. A skoro tak, to uznał, że lepiej rządzić i bawić się w biurokrację, niż próbować z nią walczyć.

Odwrócił się do Joego.

- Co pan na to, panie Zawała? - spytał.

- Wiesz, że zawsze jestem z tobą - usłyszał w odpowiedzi.

Kurt podjął decyzję. Z Joem i kapitanem Haynesem na pokładzie przynajmniej nie będzie robić tego sam.

- W porządku - oznajmił. - Wchodzę w to.

ROZDZIAŁ 15

Moskwa, 21 czerwca

Katarina Łuska wróciła do budynku Ministerstwa Nauki po przerwie na lunch, którą spędziła w jednym ze wspaniałych moskiewskich parków. Przechadzka sprawiła jej ogromną przyjemność, bo chociaż temperatura w słońcu dochodziła do trzydziestu stopni, wiał lekki wietrzyk i nie było duszno.

Nie chciało się wierzyć, że za trzy miesiące spadnie pierwszy śnieg, a sześć tygodni później będzie trzydzieści stopni mrozu i wychodzenie na dwór przestanie być przyjemne.

Ciesz się tym, dopóki możesz, pomyślała.

Dbająca o sylwetkę Katarina była zgrabna i miała miły uśmiech, ale dość pospolitą urodę. Należała do kobiet, które nie skupiają na sobie uwagi, gdy wchodzi do pokoju, lecz po

jakimś czasie otacza je gromadka wielbicieli, oczarowanych ich energią i urokiem osobistym.

Trzydziestojednoletnia Katarina właśnie zrobiła doktorat z zaawansowanych systemów energetycznych i stała się pełnoprawnym członkiem Akademii Nauk. Jej komórka opracowywała strategię na wypadek, gdyby kiedyś wyczerpały się rosyjskie złoża ropy i gazu ziemnego. Według szacunków powinny wystarczyć jeszcze na pięćdziesiąt do stu lat, więc wszyscy członkowie zespołu wiedzieli, że ich praca nie jest zbyt pilna.

Miało to sporo plusów. Nikt im nie przeszkadzał, nikt się nie wtrącał. Stanowili jedną z niewielu grup w Zarządzie Naukowym, które mogły prowadzić badania czysto naukowe.

Katarina była zadowolona, że nie konstruuje broni i nie skazają środowiska. Nie pracowali dla żadnej korporacji, która dzięki ich osiągnięciom zarobiłaby miliardy i dała niewiele w zamian.

Taki układ zapewniał jej wolność i czyste sumienie. Mimo to w głębi duszy czuła dziwny niepokój, który sprawiał, że nawet w taki piękny dzień z niechęcią wracała do pracy.

Niepokój Katariny nasilił się, gdy dotarła do swojego pokoju i zastała tam dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach.

Jeden, z szeroką twarzą, spłaszczonym nosem i wyraźnym popołudniowym zarostem, stał jak posąg, opierając się o ścianę. Drugi, łysy i krępy, siedział za jej biurkiem.

- Proszę usiąść - powiedział Łysol.
- Kim jesteście? - zapytała. - Co robicie w moim...
- Jesteśmy z FSB - wszedł jej w słowo Łysol.

To nigdy nie wróżyło nic dobrego.

Katarina usiadła niechętnie naprzeciwko mężczyzny i poczuła się dziwnie po tej stronie własnego biurka.

- Nazywa się pani Katarina Łuska - stwierdził Łysol, po czym wskazał swojego płaskonosego towarzysza przy ścianie. - To jest major Siergiej Komarow.

Katarina czekała, ale Łysol się nie przedstawił. Zaczęła się bać. Nawet we współczesnej Rosji wizyta FSB mogła się skończyć bardzo źle.

Tyle że ona nie miała zielonego pojęcia, czym mogła narazić się rządowi. Nie zajmowała się polityką, nie popełniła żadnego przestępstwa, sumiennie wykonywała swoją pracę i regularnie płaćca podatki. Lata temu reprezentowała nawet Rosję w łyżwiarstwie figurowym na zimowych igrzyskach olimpijskich. A chociaż nie zdobyła medalu, spisała się w świetnie, zajmując czwarte miejsce mimo naderwanego więzadła kolanowego.

- Czego chcecie? - zapytała. - Nie zrobiłam nic złego.

Łysol zignorował jej pytanie.

- Pani brat był spadochroniarzem - powiedział.
- Tak - potwierdziła. - Zginął dwa lata temu.
- Szkoda. Był lojalnym żołnierzem. Robił to, czego oczekiwano od niego ojczyzna - w głosie Łysłola zabrzmiała nuta szczerzego szacunku. Mężczyzna pochylał się do przodu, złączył końce palców i spojrzał Katarinie w oczy. - Wiemy, że pani też jest lojalna. I chcemy, żeby pani coś zrobiła dla naszej ojczyzny.

Jego pierwsze zdanie trochę rozwiało obawy Katariny, ale drugie znów je nasiliło.

- Jestem tu tylko naukowcem niższego szczebla - odparła. - Co mogę zrobić oprócz rzetelnego wykonywania mojej pracy?

- Coś, do czego przyda się pani wykształcenie, wysportowanie i dawna sportowa sława.

Łysol podsunął jej przez biurko teczkę z aktami.

- Nurkuje pani - podjął, zanim zdążyła do niej zajrzeć. - W Morzu Czarnym, co roku.

To była prawda. Taicie miała hobby. Skinęła głową.

- Więc poradzi pani sobie. - Łysol wskazał teczkę. - Proszę to otworzyć.

Otworzyła teczkę i zajrzała do środka. Zawierała zdjęcia przedstawiające jakieś wyspy i statki oraz kilka wycinków prasowych. Katarina zorientowała się, że patrzy na zbiór informacji o dziwnym odkryciu na Azorach. Parę dni wcześniej rozmawiała o nim z kolegami.

- Chcemy, żeby się pani tam wybrała - oznajmił Łysol.

Wyobrazila sobie plaże, słońce i proste wakacyjne przyjemności na wyspach. Nagle praca dla FSB wydała jej się całkiem atrakcyjna.

- Chcacie, żeby zbadala to odkrycie?
- Tak - potwierdził. - A ściślej mówiąc, żeby wyglądało na to, że pani to robi.

Jej niepokój powrócił.

- Co naprawdę mam robić?

- Proszę spojrzeć na ostatnią stronę.

Katarina przerzuciła luźne kartki i znalazła ostatnią. Zobaczyła na niej trzy czarno-białe zdjęcia. Jedno przedstawiało ogorzałego starszego mężczyznę. Fotografia wyglądała na wiekową, jak zdjęcie jej babci. Kolor lekko wyblakł, ubranie było kiepsko uszyte i zgrzebne. Druga fotografia pokazywała dwa kufry z nierdzewnej stali, a trzecia samolot śmigłowy. Katarina zauważyła charakterystyczny ogon z trzema pionowymi statecznikami.

- Ten mężczyzna to Władimir Tarasów - wyjaśnił Łysol. - Były żołnierz Armii Czerwonej. Walczył przeciwko carowi i w drugiej wojnie światowej, ale zdradził nas w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym.

- Co zrobił? - zapytała. Tarasów wyglądał jak spracowany rolnik, który spędził zbyt wiele lat w polu. Wydawał się nieszkodliwy.

- Próbował uciec z własnością Związku Radzieckiego, która teraz należy do Rosji.

- Jakiego rodzaju własnością? - spytała i natychmiast tego pożałowała, widząc lodowate spojrzenie Łysola.

Przez chwilę w milczeniu mierzył ją wzrokiem, ale gdy wreszcie się odezwał, jego głos był zaskakująco łagodny.

- Oczywiście zna pani historię Anastazji Mikołajewny.

- Anastazji? Córki cara Mikołaja?

Łysol przytaknął.

- Kiedy Mikołaj II został rozstrzelany za zbrodnie przeciwko narodowi, cała rodzina podzieliła jego los: żona, syn Aleksy oraz córki Olga, Tatiana, Maria i Anastazja. Razem z nimi śmierć poniosły jeszcze cztery inne osoby.

Katarina była kompletnie zdezorientowana. O co mu chodzi? - zastanawiała się. Co może łączyć córkę cara z odkryciem na Azorach?

- Przez wiele lat niektórzy twierdzili, że Anastazja przeżyła - dodał Łysol.

Wiedziała o tym. Trudno byłoby nie wiedzieć.

- Słyszałam, że pewna kobieta podawała się za nią.

- A tak - odrzekł Łysol. - Niemka cierpiąca na urojenia. Ale nie ona jedna, były takich tuziny. Może z powodu tego, co się naprawdę wydarzyło podczas egzekucji.

Przerwał na chwilę, ale zanim Katarina spytała, co się wydarzyło, wyjaśnił:

- Ludzie, którzy wydali rozkaz egzekucji, obawiali się, że zwolennicy Romanowów dowiedzą się o śmierci cara i jego rodziny, zanim oni zdążą umocnić swoją władzę. Puszczano więc w obieg opowieści, że carska rodzina została ulokowana w bezpiecznym miejscu dla ochrony przed motłochem. Zabitych pochowano oddzielnie, z dala od miejsca egzekucji, żeby nikt nie podejrzewał, co zaszło. Szczątki Anastazji i jej brata Aleksego odkryto niedawno, a ich tożsamość potwierdziły badania DNA.

- Ale co to ma wspólnego z amerykańskim samolotem pośrodku oceanu?

- Romanowowie do ostatniej chwili łudzili się, że uda im się przekupić oprawców i odzyskać wolność. Wprowadzono ich do pokoju, ustawiono w szeregu i zastrzelono z bliskiej odległości. To niewiarygodne, ale niektórzy przeżyli pierwszą salwę, a nawet drugą.

Katarina знаła tę część historii.

- Mieli zaszyte w ubraniach klejnoty i małe płytki ze stopionego złota.

Major Komarow wreszcie odszedł od ściany.

- Bardzo kosztowne kamizelki kuloodporne - odezwał się po raz pierwszy.

- Tak - potwierdził Łysol. - Zostali w końcu zabici strzałami w głowę i bagnetami, ale strażnicy byli w szoku. Nikt nie wiedział, skąd się wzięły te skarby, bo uważano, że cały majątek cara skonfiskowano. Zaczęto szukać i służący, któremu darowano życie, zaprowadził żołnierzy do kufrów pełnych klejnotów i monet. Ale zanim te kosztowności dotarły do bolszewików, zniknęły. Trzydzieści lat później uciekinier, który był

jednym z tamtych żołnierzy, wykopał je z kryjówki i próbował zabrać do Ameryki.

Teraz zrozumiała.

- Tarasów.

Łysol skinął głową.

- Amerykanie chętnie by go przyjęli, ale nie mogli zrobić tego oficjalnie, więc postanowili potajemnie ściągnąć Tarasowa do Stanów. Wysłali po niego człowieka nazwiskiem Hudson Wallace, agenta, który pracował dla nich jako wolny strzelec. Własnym samolotem przyleciał do Sarajewa, gdzie przebywał Tarasów, i zabrał go stamtąd.

- Co to ma wspólnego z odkryciem na Azorach? - chciała wiedzieć Katarina, coraz bardziej zaintrygowana.

Łysol uśmiechnął się szeroko i jego okrągła twarz zmarszczyła się jak pysk psa.

- Wallace nie mógł dolecieć z Sarajewa do Stanów Zjednoczonych bez międzylądowania. Jego samolot nie miał takiego zasięgu.

- I zrobił postój na Azorach - zgadła.

- Większość naszych agentów obserwowała niebo nad Paryżem, Londynem i Madrytem, ale jeden z moich bardziej przewidujących poprzedników domyślił się, że Wallace wybierze mniej oczywiste miejsce na tankowanie. Przyjazne i na uboczu. Wysłał wiadomość do naszych agentów na Santa Marii. Duży srebrny samolot Wallace'a wylądował tam kilka godzin później. Kiedy Wallace i Tarasów usiłowali uciec, nasi agenci otworzyli do nich ogień. Tarasowa zabili, natomiast Wallace zdołał dotrzeć do swojej maszyny i wystartować prosto w burzę.

- Niefortunnie - wtrącił major Komarow.

- Bardzo - zgodził się z nim Łysol. - Wallace nie doleciał do Stanów - kontynuował. - Ani do Nowej Fundlandii czy do Kanady. Dokładnie po dziewięciu minutach nadał sygnał SOS, a potem spadł do Atlantyku. Jakimś cudem przeżył. Uratowali go tydzień później portugalscy rybacy. Opowiedział dziwną historię o interferencji elektromagnetycznej, awarii wszystkich

przyrządów i nagłej utracie zasilania elektrycznego. My, naturalnie, nie uwierzyliśmy w to.

- Waszym zdaniem się nie rozbił? - spytała Katarina.

Łysol uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z jej zainteresowania.

- Przez lata uważaliśmy to za kłamstwo - odparł. - Wymyślone przez niego albo przez CIA. Stany Zjednoczone w ogóle nie szukały samolotu, a my go nie odnaleźliśmy. Wydawało się to dobrą wymówką do zamiecienia całej sprawy pod dywan. Ale teraz myślimy inaczej.

Uniosła pytająco brwi.

- Proszę spojrzeć na dolne zdjęcie - powiedział Łysol.

Popatrzyła na ciemną, niewyraźną fotografię. Przez chwilę nie mogła się zorientować, co przedstawia. A potem rozpoznała trzy metaliczne pionowe stateczniki wystające z osadu. Połączone z czymś, co musiało być kadłubem samolotu.

- To jest maszyna Hudsona Wallace'a - oznajmił łysy oficer z Federalnej Służby Bezpieczeństwa. - Wygląda na prawie nietkniętą.

Katarina podniosła wzrok.

- Niesamowite - skomentowała.

- Właśnie - zgodził się Łysol. -1 chcemy, żeby się pani tam wybrała. Będzie pani udawać, że chce zbadać ten dziwny magnetyzm, który odkryli ci Amerykanie. A gdy nadarzy się okazja, sprawdzi pani samolot. Jeśli kufry nadal są w środku lub gdzieś w pobliżu, wydobędzie je pani i zabierze z powrotem do Rosji.

Katarina miała mieszane uczucia. Z jednej strony, pochlebiało jej, że została wybrana do wykonania tak ważnego zadania. Jednocześnie jednak dręczył ją niepokój. Dlaczego wybór padł akurat na nią?

- Mogę zapytać, dlaczego nie wyślecie zawodowego agenta?

- Jest pani znaną przedstawicielką środowiska naukowego - wyjaśnił Łysol. - Wiele razy była pani za granicą i zawsze działała legalnie. Wysyłając panią, zamiast jakiegoś agenta pod

przykrywką, znacznie zmniejszy prawdopodobieństwo powstania podejrzeń.

- A jeśli się nie zgodzę? - zapytała ostrożnie.

Łysol popatrzył na nią zmrużonymi oczami. Nad ramieniem poczuła obecność majora Komarowa. Oni wcale nie prosili jej o zgodę. FSB rzadko prosiła.

- W razie potrzeby potrafimy być barbarzyńcami - powiedział Łysol. - Ale w tym wypadku nie ma potrzeby. Pani chce to zrobić. Chce się sprawdzić. Widzę to w pani oczach.

Jeszcze raz spojrzała na zdjęcia. Poczowała dziwną mieszaninę strachu i podniecenia. Tak bardzo przypominało to przyływ adrenaliny przed zawodami, że aż się przeraziła. Zdawała sobie sprawę, że odmowa nie wchodzi w rachubę, ale to nie miało znaczenia.

Łysy oficer z Federalnej Służby Bezpieczeństwa miał rację. Chciała to zrobić.

ROZDZIAŁ 16

Wschodni Atlantyk, 22 czerwca

„Matador” rozpoczął poszukiwania wraku poprzedniego dnia, bezpośrednio po dotarciu w rejon zatonięcia „Kinjary Maru”. Prowadził je w sposób umożliwiający obserwację dna oceanu, przemierzając dziesięciomilowy odcinek tam i z powrotem wzdłuż równoległych pasów. W NUMA nazywano to „koszeniem trawnika”. Dzięki dokładnym informacjom o miejscu za-

tonięcia masowca oraz dobrej znajomości prądów w tym rejonie udało się znaleźć wrak w niespełna dwanaście godzin. Gdy został zlokalizowany, jego położenie naniósł na mapy dwa głębokozanurzeniowe ROV-y. Następnie odpowiednie dane oraz zdjęcia wprowadzono do komputera wyposażonego w specjalny program do tworzenia trójwymiarowych modeli. Pozwo-

liło to załodze „Matadora” obejrzeć wrak i opracować plan jego zbadania jeszcze przed zanurkowaniem do niego.

Do tego zadania doskonale nadawał się „Rapunzel”, ale pojawił się pewien problem.

- Nikt nie wziął ze sobą przedłużacza?! - pieklił się Paul Trout.

- Nie spodziewaliśmy się wyprawy na głębokomorski połów - powiedziała Gamay swoim najbardziej uspokajającym tonem. Znała męża wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że zwykle panuje nad emocjami, ale kiedy już wpadnie w gniew, nielatwo go okiełznać.

- Zestaw głębokowodny jest w drodze - dodała. - Będzie tu pojutrze, a na razie...

- Statek spoczywa w połowie wysokości dość stromego zbocza - przerwał jej Paul. - Dirk chce, żebyśmy pobrali próbki, zanim zsunie się niżej.

Oboje wiedzieli, co to znaczy. Mimo niebezpieczeństwa będą musieli dotrzeć do wraku łodzią podwodną.

- Możemy połączyć „Rapunzela” z łodzią podwodną i sterować nim bezprzewodowo, kiedy będziemy na dole - zaproponowała Gamay.

- Płynę z tobą - oznajmił Paul.

- Ledwo się zmieścisz - odparła.

- Więc będzie trochę ciasno, ale mnie to nie przeszkadza. Lubię być blisko ciebie.

Trzy godziny później batyskaf „Grouper” wisiał nad wrakiem, a „Rapunzel”, przymocowany do zewnętrznego kadłuba, ładował swoje akumulatory. Troutowie leżeli obok siebie na brzuchach jak dzieci podczas jazdy na sankach. Paul sterował „Grouperem”, Gamay przygotowywała „Rapunzela” do wykonania zadania.

W batyskafie zrobiło się bardzo zimno, gdy temperatura głębokowodnych prądów wokół niego spadła do kilku stopni powyżej zera. Z powodu zimna i ciasnoty Paul był cały zdrętwiały.

- Czuję się jak w Maine w listopadzie - powiedział.

- Przynajmniej nie pada - pocieszyła go Gamay. - Gdyby w środku pojawiła się woda, mielibyśmy spory problem.

Paul powiódł wzrokiem po ciasnym wnętrzu. „Grouper” był najmocniejszym głębokomorskim pojazdem NUMA. Mógł schodzić na ponad siedem tysięcy metrów, pięć tysięcy to był dla niego zwykły spacer.

- Nic nam nie grozi - zapewnił.

- Wiem - odparła Gamay. - Choć zastanawiam się nad naszym szczęściem.

Zbliżali się do kadłuba zatopionego statku. Paul zwolnił do tempa pływania.

- Co masz na myśli? - spytał żonę.

- Kurt i Joe siedzą na jakiejś plaży, w blasku słońca i nowo zdobytej sławy, i pewnie pożerają wzrokiem wszystkie piękne kobiety wokół nich.

- Ja pożeram wzrokiem jedną piękną kobietę - rzekł Paul z uśmiechem. - I jak tu skończymy, to ją pocałuję.

- Naprawdę? - zapytała kokieterycznie. - Nie pożałujesz.

Kaszlnięcie w interkomie przypomniało Paulowi, że inni ich słuchają i monitorują wszystko w batyskafie.

Poczuł, jak się czerwieni, i nie wiedział, co powiedzieć. Gamay zawsze potrafiła zbić go z tropu. Ale między innymi za to ją kochał.

- Paul, masz przyspieszone tętno - dobiegł czyjś głos przez interkom.

- Jesteśmy już przy wraku - odparł Paul, siłąc się na rzeczowy ton. - Posuwamy się wzdłuż lewej burty.

Skierował „Groupera” w górę i nad pokład „Kinjary Maru”. Masowiec, mocno przechylony na burtę, opierał się nią o zbocze. Wielkie luki stały otworem, ryby pływały tu i tam, ale morze jeszcze nie wzięło statku w posiadanie.

Widok wywarł na Paulu dziwne wrażenie. Większość badanych przez nich wraków było starych, pokrytych osadem, pąklami i roślinami morskimi. „Kinjara Maru”, poczerniała tylko tam, gdzie osmalił go ogień, wyglądał, jakby znajdował się w niewłaściwym miejscu.

- Wszystkie luki ładunkowe są otwarte - powiedział Paul.

- Kurt mówił, że piraci wrzucali granaty do ładowni - przypomniała mu Gamay.

- Nie musieli otwierać wszystkich, żeby zatopić statek - zauważył.

- Może czegoś szukali?

Wydawało się to sensowne, chociaż Paul nie miał pojęcia, czego piraci w motorówkach mogli szukać na masowcu.

- A może po prostu chcieli, żeby szybciej zatonął - odparł. - Gdy tylko woda zaczęła się wlewać przez luk dziobowy, los statku był przesądzony.

- Wracamy więc do wątku próby ukrycia czegoś - powiedziała Gamay.

Jak dotąd, właściciel statku i towarzystwo ubezpieczeniowe nie byli chętni do współpracy. Wyraźnie nie mieli ochoty ujawnić treści manifestu okrętowego ani nawet potwierdzić rodzaju ładunku na pokładzie. Reakcja co najmniej dziwna.

- Armator nadal się nie odezwał? - spytał Paul kontrolera.

- Nie - usłyszał w odpowiedzi.

- Ten statek to praktycznie wrak - stwierdził. - Jeśli go uratujemy, ładunek będzie nasz.

- Wątpię, czy Dirk przyzna na to budżet - odparła Gamay. - Ale nie ma przeszkód, żebyśmy zajrzeli do środka. Znajdźmy jakiś otwór i spróbujmy wprowadzić tam „Rapunzela”.

Paul skierował batyskaf ku rufie masowca. Były tam kwatery załogi i sterownia, częściowo zniszczone przy uderzeniu w dno morza, gdy odpadła jedna trzecia nadbudówki.

- To wygląda na przekrój poprzeczny - zauważył Paul.

- Co może być dla nas korzystne - powiedziała Gamay. - Nie ma to jak łatwy dostęp.

Paul zaczerwienił się, niepewny, czy jego żona zdawała sobie sprawę z dwuznaczności tych słów. Zatrzymał „Groupera” w zawisie pięć metrów od pozostałości mostka. Chwilę później „Rapunzel” był w wodzie i zmierzał w stronę dziury ziejącej w ścianie nadbudówki.

Paul włączył automatycznego sternika, żeby utrzymać batyskaf na pozycji, i odwrócił się do Gamay. Leżała płasko w rufowej części „Groupera”.

Na twarzy miała znajomy wizer, a na dłoniach

i stopach okablowane rękawice

- Jak idzie? - zapytał.

- Dziwnie się czuję w tej pozycji - odparta. - Przyzwyczyłam się do robienia tego na stojąco.

Zadzwijał interkom.

- Paul, znów masz przyspieszone tętno. Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest - odpowiedział i zasłonił mikrofon interkomu. - Kochanie, mogłabyś uważać na to, co mówisz, dopóki nie wrócimy na górę?

- Przepraszam - powiedziała z uśmiechem.

Paul odwzajemnił uśmiech, chociaż dobrze wiedział, że Gamay się z nim drażni. Niewiele rzeczy sprawiało jej większą frajdę niż burzenie jego powściągliwości człowieka pochodzącego z Nowej Anglii.

Wyrzwał na zewnątrz i patrzył, jak mała mechaniczna postać dociera do zniszczonego mostka i znika w środku. Na monitorze wielkości smartfona obserwował to samo co Gamay w wizjerze: widok przed oczami „Rapunzela”, który zapuszczał się w głąb statku. W rogu sterowni coś leżało.

- Czy to martwy człowiek? - zapytał Paul.

- Na to wygląda - odrzekła Gamay.

- Co się z nim stało?

„Rapunzel” zbliżył się do zwłok.

- Chyba się spalił - powiedziała po chwili Gamay. - Ale coś tu się nie zgadza...

Kamery „Rapunzela” przesunęły się po pomieszczeniu. Ściany były czyste, szara farba nienaruszona. Nawet fotel, przy którym leżał martwy mężczyzna, wydawał się cały.

- Ani śladu pożaru - stwierdził Paul.

- Zabrzmi to nieprzyjemnie - uprzedziła Gamay - ale muszę pobrać próbkę.

„Rapunzel” ruszył naprzód i wysunął małą wiertarkę z rurą ssącą. Wiertło dotknęło uda mężczyzny, zawinowało i wyrwało pięciocentymetrowy kawałek ciała. System próżniowy wciągnął próbkę do hermetycznego pojemnika.

- Wprowadzam go dalej w głąb statku - oznajmiła Gamay.

Podczas gdy ona sterowała „Rapunzelem”, a automatyczny sternik utrzymywał „Groupera” na stanowisku, Paul nie miał nic do roboty.

Nuda na głębokości pięciu tysięcy metrów. To gorsze, niż być uwięzionym w samolocie pasażerskim.

Zadzwiećczał interkom.

- Paul, mamy kontakt sonarowy.

- Jakiego rodzaju? - spytał Paul.

- Nieznany - odparł kontroler. - Na zachód od was i bardzo słaby. Ale szybko się porusza.

- Mechaniczny czy naturalny?

- Nie wiemy. Jest bardzo mały.

Troutowie mogli tylko czekać. Paul wyobraził sobie operatora sonaru wpatzonego w ekran i starającego się zidentyfikować cel.

- Niech to szlag - usłyszał po chwili. - To torpeda. Nie, dwie. Prują w waszą stronę.

Natychmiast wyłączył automatycznego sternika.

- Wycofaj „Rapunzela” - polecił żonie.

Gamay zaczęła energicznie gestykulować, odwracając małego robota.

- Ruszcie się - przynaglił kontroler. - Torpedy są już bardzo blisko.

Paul, nie zważając na „Rapunzela”, dał wsteczny, oddalił się od wraku i obrócił batyskaf.

- Mogę go stamtąd wydostać - powiedziała Gamay.

- Nie mamy na to czasu - odparł.

Pchnął przepustnicę do oporu i zrzucił część balastu. „Grouper” zaczął się wznosić i przyspieszać, ale nie mógł się równać z „Barracudą”. Jego prędkość maksymalna wynosiła zaledwie siedem węzłów.

- Cele są nad wami! - wykrzyknął spanikowany kontroler. - Wznosisz się prosto na nie!

Paul zanurkował z powrotem i spytał:

- Skąd nadpływają?

- Nie wiemy. Skieruj się na południe, w stronę dziobu. Zejdiesz im z drogi.

Paul skrzył. Nie mógł zobaczyć ani śledzić celów, musiał więc polegać na kontrolerze.

- Szybciej! - usłyszał przez interkom. - Masz tylko dziesięć sekund.

„Grouper” nie miał szans uciec przed torpedami, które go namierzyły; jedyną szansą było zmylenie ich. Paul postanowił się wznieść nad pokład „Kinjary Maru” i trzymać jak najbliżej statku.

Metaliczny dźwięk powiedział mu, że uderzył w coś wystającego. Szczęk był krótki, ale głośny i Paul bał się oddalić od masowca.

- Trzy sekundy, dwie... jedna...

- Paul?! - zawołała Gamay.

Słyszał, że jest przerażona, ale nie mógł jej pomóc.

W górze rozległo się przeciągłe wycie, gdy mijała ich pierwsza torpeda. Po chwili przemknęła nad nimi druga. Obie chybiły.

Paul nasłuchiwał, ale nie zawróciły. Nadal jednak nie miał pewności, czy są bezpieczni.

- Wracają? - spytał.

- Nie - uspokoił go kontroler. - Płyną dalej przed siebie.

Paul odetchnął z ulgą i w tym momencie dwie potężne eksplozje wstrząsnęły głębinami Atlantyku.

Fala uderzeniowa dotarła do „Groupera”. Paul poczuł, jak batyskaf się przechyla. Gamay zsunęła się na niego, a po chwili „Grouper” uderzył w jeden z żurawi „Kinjary Maru”.

Nastąpiła trzecia eksplozja, znacznie bardziej odległa. Batyskaf zadrzał, ale uspokoił się, gdy wstrząsy ustały.

- Nic nam się nie stało? - zapytała Gamay, zdejmując wzjer.

Paul rozejrzał się po ciasnym wnętrzu. Nie zauważył żadnych przecieków. Czas wracać na powierzchnię.

- Skąd, na Boga, wzięła się trzecia torpeda?! - krzyknął przez interkom.

- Zasłoniły ją dwie pierwsze - odrzekł kontroler. - Nie mamy takiego sonaru jak nowoczesne okręty podwodne.

Paul wiedział, że urządzenie zaprojektowano do szukania małych przedmiotów i mapowania dna morza, nie do śledzenia szybko poruszających się torped. Czas je unowocześnić, pomyślał.

- Są jeszcze jakieś? - spytał.

Kontroler milczał przez chwilę, jakby sprawdzał.

- Nie - oznajmił w końcu. - Ale odbieramy wibracje. Brzmią jak...

Urwał, co zaniepokoiło Paula. Wibracje? Jakie znowu wibracje?

Czekając na dalsze wyjaśnienia, poczuł drzenie w miejscu, gdzie opierał rękę na panelu sterowniczym. Początkowo było słabe, ale potem „Grouper” zaczął się trząść i sunąć w bok, jakby jakaś siła spychała go z pozycji. Do wibracji dołączyło głębokie dudnienie, które przypominało odgłos jadącego pociągu.

- Co to jest? - zapytał Paul.

- Nie wiem - odparł kontroler - ale mamy tu bardzo mocny sygnał. Jeszcze nie widziałem czegoś takiego. Rejestrujemy różne ruchy.

- Gdzie?

- Wszędzie.

Kontroler zamilkł, a kiedy chwilę później łoskot się nasilił, krzyknął:

- Wielki Boże! W waszym kierunku sunie lawina!

ROZDZIAŁ 17

Dudnienie w głębinach trzęsło „Grouperem”. Skały i osad ze zbocza, na którym spoczywał „Kinjara Maru”, osuwały się coraz szybciej wskutek eksplozji torped.

Lawina wypierała wodę przed sobą, tworząc własny prąd, który podrywał osad do góry. Batyskał otaczały chmury mułu, widoczne w świetle reflektorów. Świat na zewnątrz stawał się niebezpiecznym wirem brązu i szarości.

- Wynośmy się stąd! - krzyknęła Gamay.

Paul chciał to zrobić, obawiał się jednak, że okręt, który wystrzelił torpedy, wciąż czeka, a rozerwanie na kawałki wydawało się równie upiorne jak pogrzebanie żywcem.

Przestawił przełącznik systemu balastowego i wyrzucił resztę żelaza, które trzymało ich na dole. Znow pchnął przepustnicę do oporu, unosząc dziób „Groupera”. Batyskał miał

jednak za małą moc, żeby pokonać silny prąd, więc ponownie uderzył w kadłub „Kinjary Maru”.

Wreszcie zaczęli się wznosić, ale pokonali zaledwie kilka metrów, gdy zatrzymało ich gwałtowne szarpnięcie.

- Zahaczyliśmy o coś - powiedziała Gamay. Wyciągała szyję, próbując zobaczyć, co to może być.

Paul dał wsteczny, cofnął się kawałek i ruszył naprzód pod innym kątem. Z takim samym skutkiem: po przyspieszeniu „Grouper” gwałtownie się zatrzymał i obrócił jak pies pociągnięty za smycz.

Przez chmury mułu i pyłu Paul widział rzeczy koziółkujące po pokładzie i odrywające się elementy nadbudówki masowca. Łoskot narastał.

W batyskaf uderzyła fala gęstego mułu i zapadła ciemność. Coś pękło z metalicznym dźwiękiem i „Grouper” zaczął koziółkować.

Paul ścisnął kurczowo dźwignie sterownicze, ale Gamay nie miała czego się złapać. Wpadła na boczną ścianę, uderzyła w sufit pół metra nad nimi i opadła na dół.

Paul chwycił żonę i przyciągnął do siebie.

- Trzymaj się mnie - zawołał.

Otoczyła go ramionami, a batyskaf dalej koziółkował, zdany na łaskę prądu. Coś wyłoniło się z mroku, uderzyło w bulaj i zniknęło. Światła zgasty i gdzieś na zewnątrz rozległ się zgrzyt zakończony głośnym trzaskiem.

„Grouper” się zatrzymał.

Dudnienie trwało jeszcze kilkadziesiąt sekund, aż wreszcie umilkło w oddali i zapadła cisza.

Paul znieruchomiał, a kiedy poczuł, że Gamay oddycha, załała go fala ulgi. Jakimś cudem oboje nadal żyli.

Przez dłuższą chwilę trwali w milczącym uścisku, jakby w obawie, że najmniejszy ruch czy choćby pojedyncze słowo wywoła następną lawinę. Dopiero gdy po minucie włączyło się oświetlenie awaryjne, Gamay podniosła wzrok na męża i spytała:

- Są jakieś przecieki?

Rozejrzał się po kabinie.

- Nie-odparł.

- Gdy wrócimy do domu, dowiem się, kto zbudował ten batyskaf i postawię mu butelkę szkockiej.

- Butelkę szkockiej? - powtórzył Paul. - Tylko tyle? Ja jestem gotów opłacić studia jego dzieci, jeżeli jakieś ma.

Gamay się roześmiała.

- To dobry pomysł - przyznała. - Ale najpierw musimy się stąd wydostać.

Cofnęła się, a Paul spojrział na panel sterowniczy. Znajdowali się w dziwnej pozycji: około czterdziestu pięciu stopni dziobem w dół i przechyleni jakieś trzydzieści stopni na bok.

- Brak głównego zasilania - powiedział Paul. - Ale akumulatory nie wyglądają na uszkodzone.

- Wypróbuj je - odparła Gamay i założyła słuchawki z mikrofonem, które zgubiła podczas koziołkowania.

Paul przeszedł przez restart, po czym uruchomił większość systemów i przełączył światła na zasilanie awaryjne.

- Zobaczmy, czy uda nam się... - przerwał w połowie zdania ze wzrokiem wbitym w bulaj.

Gamay podążyła za spojrzeniem męża i zobaczyła gęsty osad przywierający szczelnie do szyby.

- Zostaliśmy zasypani - szepnęła z przerażeniem. - To dlatego nagle zrobiło się tak cicho. Jesteśmy pogrzebani żywcem.

ROZDZIAŁ 18

Rola strażnika znaleziska okazała się dwa razy gorsza, niż

Kurt się spodziewał. Nie, pomyślał, to za mało powiedziane, co najmniej trzy gorsza.

Każdy naukowiec chciał być traktowany wyjątkowo, każdy

próbował kwestionować zasady, decyzje Austina, a nawet jego upoważnienia.

Badacze z Islandii upierali się, że pewien eksperyment jednej z ekip włoskich przeszkodzi im w zebraniu danych. Hiszpanów przyłapano na próbie umieszczenia flagi na skalnej wieży wbrew wcześniejszym uzgodnieniom. Sam Kurt uznał ich zuchwalstwo za raczej zabawne, ale Portugalczycy byli gotowi do walki z powodu tego incydentu. Widząc ich świę-

te oburzenie, niemal spodziewał się pojedynku na pistolety o świcie.

Chińczycy skarżyli się, że obecne są aż trzy grupy japońskie, na co Japończycy odpowiadali, że Chińczycy nie potrzebu-

ją na miejscu żadnej ekipy, bo i tak wykradną wszystkie zgromadzone dane, dokonując cyberataku.

Łagodzenie konfliktów, których liczba mogłaby wzbudzić zazdrość nawet w ONZ-cie, nie było jedynym zajęciem Kurta.

Wraz z Joem i resztą załogi „Argo” musiał pełnić również funkcję ratownika.

Zdecydowana większość naukowców nie należała do wilków morskich. Kiepsko radzili sobie zarówno na powierzchni, jak i pod wodą. Dwa zespoły już zderzyły się czołowo.

Wprawdzie ich łodzie zostały uszkodzone tylko nieznacznie, ale trzeba je było odesłać na Santa Marię do naprawy.

Inni mieli kłopoty podczas nurkowania. Członkowie jednej z grup doprowadzili się do narkozy azotowej na skutek użycia zlej mieszanki oddechowej i dwaj nurkowie z „Argo” musieli przyjść im z pomocą. Badacza z innej ekipy trzeba było po prostu zmusić do zrobienia postoju dekompresyjnego, który uważał za zupełnie niepotrzebny, a pewien francuski naukowiec o mało nie utonął, bo jakiś niedoświadczony divemaster za bardzo obciążył mu pas balastowy i nieszczęśnik poszedł na dno jak kamień.

Ledwo Kurt i Joe zanurkowali w pełnym oporządzeniu i uratowali naukowca, po powrocie musieli się mierzyć z pożarem silnika na pokładzie wypożyczonej łodzi innej ekipy. To wystarczyło, by Austin pożałował, że w ogóle odkryli tę cholerną wieżę.

Słońce zaczynało się chylić ku zachodowi i obłądny dzień wreszcie dobiegał końca. Większość łodzi ekip badawczych kierowała się w stronę Santa Marii. Kurt pomyślał, że wkrótce miejscowe bary się zapelnia i w obieg pójda kolejne opowieści, coraz bardziej fantastyczne po każdym drinku. A może nie. Tak naprawdę nie wiedział, co naukowcy robią w wolnym czasie. Może będą spiskować jeden przeciwko drugiemu przez cały wieczór, a od rana znów przyprawiać jego i Zavalę o ból głowy.

Kiedy wyszedł na prawe skrzydło mostka „Argo”, zauważył piętnastometrowego trawlera z czarnym kadłubem, którego nie widział wcześniej.

- Poznajesz go? - zapytał Joego.

Zavala zmrużył oczy i popatrzył w dal.

- Nie było go tu rano - odparł po chwili.

- Tak myślałem - rzekł Kurt. - Przygotuj zodiaca.

Pięć minut później Kurt, Joe i dwaj członkowie załogi „Argo” mknęli po niskich fałach w kierunku trawlera. Dotarli do niego i raz okrążyli.

- Widzisz kogoś na pokładzie? - zapytał Kurt.

Joe pokręcił głową.

- Nie, ale on jest poza strefą zamkniętą.
- Że co? - Austin nie bardzo rozumiał.
- Jesteśmy trzy czwarte mili morskiej od wieży - wyjaśnił

Joe - a strefa zamknięta ma milę średnicy. Mamy władzę nad jednostkami nawodnymi, podwodnymi i nurkami tylko w tym promieniu.

Kurt popatrzył na przyjaciela spod uniesionych brwi.

- Kto ustalił taką zasadę?
- Ja-
- Od kiedy jesteś biurokratą?

Zawała wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

- Gdy się kogoś sadza za wielkim biurkiem i każe mu rządzić, takie rzeczy się zdarzają.

Kurt miał ochotę się roześmiać. Gubernator Joe, dobre sobie.

- Skoro rządzisz, to rozszerz ten krąg - zasugerował.
- Potrzebujemy kworum - odparł Joe.
- Czyżby ten skandynawski bokser walnął cię mocniej, niż myślałem? - ironizował Kurt.

Zawała pokręcił głową i spojrzał na załogantów.

- Wszyscy, którzy są za powiększeniem strefy obserwacyjnej, niech powiedzą „tak”.

Kurt i dwaj pozostali członkowie załogi powiedzieli chórem „tak”.

- Zasada została zmieniona zgodnie z procedurą - oświadczył Joe.

Kurt bardzo się starał nie roześmiać.

- Super. A teraz obejrzyjmy pokład tego stateczku.

Na pokładzie trawlera znaleźli mapy, sprzęt do nurkowania i jakiś dokument napisany cyrylicą.

- To po rosyjsku - powiedział Kurt. - Mamy zgłoszone jakieś rosyjskie ekipy?

- Nie - odparł Joe. - Mamy prośbę o informacje z ich ministerstwa nauki, ale nikt się nie zjawił.
- Wygląda na to, że jednak tak.

Kurt przeszedł na rufę małego statku. Długi łańcuch kotwiczny zniknął w wodzie. Nie było jakiegokolwiek flagi, ale przy drabince nurkowej stały buty.

- Tylko jedna para - zauważył Austin.
- Ktoś zanurkował sam - domyślił się Joe.

Samotne nurkowanie było wyjątkowo ryzykowne, a już istne szaleństwo zakrawało na niepozostawienie nikogo na pokładzie. Wystarczy lekki wiatr czy drobna zmiana prądu i po wyrzuceniu człowieka może się znaleźć sam, zagubiony na oceanie.

- Patrzcie na to - powiedział członek załogi „Argo” i wskazał ekran monitora.

Kurt spojrzął na monitor. Widniał na nim obraz z podwodnej kamery.

- Czy to przekaz na żywo? - spytał.
- Na to wygląda - odparł załogant.

Kurt wpatrzył się w ekran. Wśród ciemnej wody i wirującego osadu zobaczył metaliczne ściany. Tajemniczy nurek był w jakimś zamkniętym pomieszczeniu.

- Ktokolwiek to jest, dostał się do jednego z wraków - stwierdził Joe.

- Nie do wiary - powiedział zdumiony Kurt. Nurkowanie we wnętrzu wraku to najniebezpieczniejsza rzecz, jaką można robić pod wodą, no, może poza drażnieniem rekinów. Nie mógł uwierzyć, że ktoś odważył się na to sam, w dodatku bez żadnej asekuracji. - Ten ktoś jest za głupi, żeby przebywać w naszej zamkniętej strefie - skomentował.

Joe roześmiał się i skinął głową.

Kurt wskazał drugi akwalung.

- Te butle są pełne?

Joe sprawdził na manometrze.

- Tak.

- Schodzę - oznajmił Kurt.

Chwilę później był w wodzie i oddychając sprężonym powietrzem, opuszczał się na dół wzdłuż łańcucha. Dostrzegłszy blisko dna ruchomy punkt świetlny, skręcił w jego kierunku.

Ktokolwiek to był, dostał się do wraku zatopionego constellation. Biorąc pod uwagę, że samolot pękł w połowie jak skorupka jajka, nie wydawało się to zbyt ryzykowne. Ale ruchy światła były dziwnie nieskoordynowane i Kurt pomyślał, że nurk mógł się znaleźć w tarapatach.

Zamachał mocniej nogami i po chwili dotarł do ogona maszyny. Stożek światła nadal się poruszał w tę i we w tę.

Podpłynął do miejsca, gdzie kadłub się przełamał. Blask dochodził z części dziobowej. Przypadkowe ruchy światła wskazywały, że lampa unosi się luźno w wodzie. Kurt obawiał się, że za chwilę znajdzie martwego nurka, któremu skończył się tlen, a którego lampa, przymocowana zapewne do ramienia, nadal świeci i unosi się nad nim jak wypełniony helem balon na sznurku.

Ostrożnie wpłynął do środka, omijając poskręcaną izolację i pogiętą blachę poszycia. Z części dziobowej napływały chmury osadu, a poruszające się światło to przenikało ciemność, to znikало w mroku, by za chwilę znów się pojawić.

Kurt skierował się w stronę blasku. Wyłoniwszy się z chmury mułu, zobaczył nurka, który kopał coś zawzięcie, szarpiąc się gorączkowo.

Wyciągnął rękę i położył dłoń na jego ramieniu. Nurk odwrócił się gwałtownie i zamachnął na niego nożem.

Kurt zobaczył w świetle lampy błysk ostrza. Zablokował cios i wykręcił nurkowi rękę. Napastnik wypuścił nóż.

Pęcherze powietrza z obu automatów oddechowych, wirujący osad i chybottliwe światło utrudniały widoczność, więc zanim Kurt zdążył po niego sięgnąć, nóż pokoziołkował przez wodę i zniknął.

Austin, który trzymał nurka za prawy nadgarstek, teraz drugą ręką złapał go za gardło. Już miał mu zerwać maskę - zgodnie z klasyczną techniką walki pod wodą - kiedy rozpoznał młodą kobietę i dostrzegł przerażenie w jej oczach.

Puścił ją i uniósł otwartą dłoń z rozczapierzonymi palcami. „Uspokój się”.

Kobieta skinęła głową, ale pozostała spięta. Wskazała swoje stopy.

Kurt spojrział w dół i zobaczył, że noga uwięzła jej między wgniecionym fragmentem kadłuba a przymocowaną do podłogi skrzynią na sprzęt. Poszarpana rysa na blasze poszycia świadczyła, że kobieta próbowała się uwolnić za pomocą noża. Nie wyglądało na to, żeby dobrze jej szło.

Austin wpadł na lepszy pomysł. Usiadł, przywarł plecami do poszycia kadłuba, oparł nogi na metalowej skrzyni i pchnął ją z całej siły. Nie oderwał jej, ale wygięła się wystarczająco, by kobieta mogła się uwolnić.

Wyciągnęła stopę z pułapki i zaczęła masować obolałą kostkę. Kiedy podniosła wzrok, Kurt złączył palec wskazujący i kciuk, tworząc z nich krąg - uniwersalny symbol OK. „Okej?”

Skinęła głową.

Zetknął równoległe palce wskazujące i spojrział na nią pytająco.

Pokręciła głową, co oznaczało, że zanurkowała bez partnera.

Tak jak myślał.

Dał znak kciukiem w górę.

Zawahała się, potem niechętnie skinęła głową. Chwyciła swoją lampę i zaczęła wypływać z samolotu. Kurt rozejrzał się po raz ostatni i poszedł w jej ślady.

Po postoju dekompresyjnym dla kobiety wynurzyli się razem kilka metrów od trawlera. Podpłynęła do statku i pierwsza wspięła się po drabince. Kurt za nią.

Joe i dwaj załoganci z „Argo” czekali na nich na pokładzie.

Kobieta zdjęła maskę, ściągnęła kaptur „mokrego” skafandra i roztrząsnęła włosy. Nie wyglądała na zadowoloną, że ma gości. Kurta to nie obchodziło.

- Pani musi być niespełna rozumu, żeby nurkować samotnie - zgromił ją.

- Robię to od dziesięciu lat - odparła.

- Spędza pani dużo czasu na penetrowaniu wraków?

Chwyliła ręcznik, osuszyła twarz i spojrzała na niego.

- A kim pan jest, żeby o to pytać? I co w ogóle robicie na moim statku?

Joe już chciał udzielić wyjaśnień, ale Kurt go ubiegł.

- Pilnujemy, żebyście wy, naukowcy, nie potopili się ani nie naruszali ustalonych przez nas zasad. Wyglądało na to, że pani robi jedno i drugie, więc postanowiliśmy to sprawdzić. Ten statek nie został nawet zgłoszony jako badawczy. Zechce nam pani zdradzić dlaczego?

- Nie muszę się do was zgłaszać - odparła. - Jestem poza waszą oficjalną strefą. Poza waszą jurysdykcją, jak wy, Amerykanie, lubicie mówić.

Kurt zerknął na Joego, po czym zwrócił się do kobiety.

- Już nie - oznajmił. - Powiększyliśmy ją.

- Mieliliśmy nawet głosowanie - dodał Zawała.

Przeniosła wzrok z Kurta na Joego i z powrotem.

- Typowo amerykańska arogancja. Zmieniać zasady tak, żeby wam pasowały, ilekroć zajdzie potrzeba.

Kurt niemal rozumiał jej irytację, ale kobieta pomijała pewien istotny fakt. Chwylił manometr jej akwalungu i odwrócił go. Tak jak podejrzewał, dawno oddychała rezerwowym powietrzem.

- Typowa rosyjska niewdzięczność - odparował. - Wściekać się na ludzi, którym zawdzięcza się życie. - Pokazał jej manometr. - Zostało pani powietrza na niecałe pięć minut.

Sięgnęła po manometr i przyjrzała mu się uważniej.

- Powinna się pani cieszyć, że jesteśmy tacy arogancy - dodał Kurt.

Zobaczył, że kobieta zaciska zęby, ale nie wiedział, czy z zakłopotania, czy ze złości.

- Ma pan rację - odezwała się w końcu. - Jestem... wdzięczna. Po prostu...

Urwała, popatrzyła na Kurta, ale cokolwiek zamierzała powiedzieć, ograniczyła się do zwykłego „dziękuję”.

- Bardzo proszę - mruknął.

Zauważył zmianę w zachowaniu Rosjanki, nawet cień uśmiechu na jej twarzy.

- Wy zarządzacie tym rejonem? - spytała.

- Niestety tak - potwierdził Kurt.

- Katarina Łuska - przedstawiła się. - Przysłały mnie tu władze mojego kraju. Chciałabym porozmawiać o odkryciu.

- Może się pani zgłosić do rzecznika w... - zaczął Austin.

- Miałam na myśli mniej oficjalną rozmowę - weszła mu w słowo. - Może dziś przy kolacji?

Joe przewrócił oczami.

- Znowu to samo - jęknął. - Nieodparty urok Austina.

Kurt zignorował tę uwagę.

- Ogląda pani za dużo filmów - powiedział do Katariny. - A ja jestem naprawdę bardzo zajęty. Zresztą i tak niewiele mógłbym pani powiedzieć.

Wyprostowała się i rozpięła suwak skafandra, odsłaniając bikini, które podkreślało jej zgrabną figurę.

- Ale może ja mogłabym powiedzieć coś panu - odrzekła. - Pan tu rządzi, a ja mam informacje, które mogą pana zainteresować.

- Mówi pani poważnie?

Skinęła głową.

- Bardzo poważnie. A poza tym wszyscy musimy jeść. Dlaczego mamy to robić samotnie?

- Więc idziemy wszyscy? - zapytał Joe, wyraźnie zachwycony taką perspektywą.

Kurt spiorunował go wzrokiem.

- Może lepiej nie - wycofał się Zavala. - Jest cała masa papierkowej roboty.

Kurt wątpił, żeby kobieta miała jakieś cenne informacje, ale podziwiał jej całkiem zręczne próby umówienia się z nim sam na sam, bez wątplenia po to, aby się przekonać, co on wie.

Nagle przyszło mu do głowy, że jeśli istnieje jakakolwiek szansa dowiedzenia się czegoś ważnego od Rosjanki, powinien się z nią spotkać.

- Mieszka pani na Santa Marii? - spytał, a gdy potwierdziła, zwrócił się do Joego i załogantów: - Mam nadzieję, panowie, że dacie radę sami wrócić na „Argo”?

- A jeśli nie? - zapytał Joe niewinnym tonem.

Kurt się uśmiechnął.

- To wezwiecie pomoc.

Joe skinął niechętnie głową i ruszył do zodiaca, mamrocząc coś o miganiu się od obowiązków. Załoganci ruszyli za nim.

Kurt spojrział na młodą Rosjankę.

- Ma pani samochód w mieście?

- Tak - odparła z uśmiechem. - I wiem, dokąd pana zabiorę.

ROZDZIAŁ 19

Andras stał przy automacie telefonicznym w punkcie z widokiem na port w Vila do Porto. Dzwoniąc z takiego aparatu, czuł się, jakby cofnął się w czasie. Nie pamiętał, żeby w ciągu ostatnich kilku lat widział gdzieś podobny. Ale Azory, chociaż były atrakcyjnym rejonem turystycznym, zdecydowanie nie nadążały za rozwojem światowej techniki. Wielu wyspiarzy nie miało

telefonów stacjonarnych ani komórkowych, toteż automaty publiczne wciąż wyrastały w wielu miejscach.

Dla Andrasa oznaczało to szansę na połączenie nie do wytropienia, którego nie przechwyci ani rząd Stanów Zjednoczonych, ani Interpol, gdyż sygnał cyfrowy poszybuje w przestrzeń i odbije się gdzieś od satelity. Aby podsłuchać jego rozmowę,

musieliby się dostać do grubego kabla biegnącego z Azorów po dnie Atlantyku do Afryki Północnej.

Było to wykonalne - podczas zimnej wojny Amerykanie podłączyli się do radzieckiej linii międzynarodowej - ale bardzo mało prawdopodobne, zważywszy, że nikt nie miał powodu sprawdzać, o czym mieszkańcy portugalskiego archipelagu rozmawiają z krewnymi i znajomymi na kontynencie.

Andras myślał o tym z zadowoleniem, bo po ostatnich odkryciach zawisło nad nim widmo niebezpieczeństwa.

Wybrał numer i czekał. Miał wrażenie, że minęły całe godziny, zanim wreszcie został połączony z telefonistką w Sierra Leone, a potem z pałacem Djemmy. W końcu asystent prezydenta przekierował rozmowę na aparat swego chlebobdawcy.

- Po co dzwonisz? - zapytał Djemma. Jego głos brzmiał, jakby dobiegał z głębokiego tunelu; korzystanie ze starej linii naziemnej miało też wyraźne minusy.

- Mam wiadomości - odparł Andras. - Dobre i złe.

- Streszczaj się.

- Miał pan rację. Zjawilo się co najmniej dwadzieścia zespołów naukowych, a kolejne są w drodze. Ten magnetyczny fenomen wzbudza ogromne zainteresowanie.

- To oczywiście - powiedział Djemma. - Myślisz, że dlaczego cię tam wysłałem?

- Są tu nie tylko naukowcy - oznajmił Andras. - Jest też personel wojskowy.

Djemma nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego.

- Należało się tego spodziewać. Jeśli będziesz trzymał się planu, nie powinieneś mieć z nimi kłopotów.

- Zapewne, ale pojawił się pewien problem. A konkretnie Amerykanie, którzy o mało nas nie złapali na „Kinjarze Maru”. Widziałem ich statek w porcie. Teraz kotwiczony nad wieżą magnetyczną. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, właśnie im powierzono czuwanie nad całością badań. W tej sprawie na pewno jest wątek wojskowy.

Djemma się roześmiał.

- Zawsze robisz ze swoich wrogów groźniejszych, niż naprawdę są. Może uważasz, że dzięki temu zyskasz większą sławę, kiedy ich pokonasz, ale to zakrawa na paranoję.

- Co pan ma na myśli?

- Nie zaatakowali was amerykańscy komandosi, tylko ludzie z NUMA, którzy są oceanografami i nurkami. Odnajdują wraki, ratują statki i fotografują życie w morzu. Szczerze mówiąc, nigdy bym nie przypuszczał, że nie poradzisz sobie z nimi. Nie dałbym zmusić się do odwrotu tak łatwo, gdybym żądał za swoje usługi tyle co ty.

Djemma mówił tak protekcyjnym tonem, że Andras z najwyższym trudem panował nad irytacją.

- Niepokoi cię perspektywa ponownego stawienia im czoła? - Djemma wbił mu kolejną szpilę.

- Niech pan posłucha... - zaczął Andras ostro, ale nagle urwał.

Nie wierzył własnym oczom. Ten sam srebrzystowłosej Amerykanin, który przeszkodził mu na „Kinjarze Maru”, siedł nabrzeżem w jego kierunku w towarzystwie ciemnowłosej kobiety. Andras rozpoznał w niej rosyjską badaczkę, o której mu mówiono. Kiedy para się zbliżyła, mógł dokładniej przyjrzeć się twarzy mężczyzny

- Zrobię to - szepnął do siebie.

- Co? - zapytał Djemma. - O czym ty mówisz?

Andras odwrócił się plecami do Amerykanina i Rosjanki i poczekał, aż go miną.

- Andras - niecierpliwił się Djemma. - Co się, do cholery, dzieje?

- Ta NUMA wcale nie jest niegroźna - odezwał się wreszcie Andras. - Obawiam się, że znów się wtrąca. Zwłaszcza jeden z jej członków. Powinienem ich unieszkodliwić.

- Zostaw ich w spokoju - ostrzegł dyktator. - Tylko niepotrzebnie zwrócisz na nas uwagę. Jesteśmy już bardzo blisko celu.

- Bez obaw - rzekł Andras. - Wszystko pójdzie gładko, zapewniam.

- Nie płacę ci za zemstę - przypomniał mu Djemma.

Andras się roześmiał.

- Bez obaw - powtórzył. - Ta akcja będzie na koszt firmy.

Zanim Djemma zdążył odpowiedzieć, Andras odwiesił ciężką plastikową słuchawkę na metalowe widelki. Na dźwięk głośniego szczęku uśmiechnął się szeroko. To było o wiele przyjemniejsze niż naciśnięcie czerwonego ldawisza w komórce.

ROZDZIAŁ 20

Gamay Trout starała się kontrolować oddychanie i panować nad emocjami. Obok niej Paul bezskutecznie usiłował nawiązać łączność z „Matadorem”.

- „Matador”, tu „Grouper”. Słyszysz mnie?

Brak odpowiedzi.

- „Matador”, tu „Grouper”...

Powtarzał to od pół godziny. Co innego mógł zrobić? Ich jedyną nadzieją było, że „Matador” wyśle na dół ROV-y, które znajdą batyskaf i zdołają go odkopać. Jeżeli „Grouper” spoczywa pod kilkunasto- albo kilkudziesięciometrową warstwą osadu, nie mają żadnych szans na ratunek ani nawet na połączenie się ze statkiem, musieli jednak spróbować nawiązać kontakt radiowy.

Więc Paul próbował.

- „Matador”, tu „Grouper”. „Matador”, zgłoś się - powtarzał niezmordowanie.

Już po kilku minutach ten monotony komunikat zaczął działać Gamay na nerwy, a teraz, po półgodzinie, każde słowo wypowiedane przez męża sprawiało jej niemal fizyczny ból.

Nie odpowiadali przez trzydzieści minut i już nie odpowiedzą, choćbyśmy próbowali do końca świata, pomyślała, bliska rezygnacji. Na pewno albo urwała się antena, albo zostali po-
grzebani zbyt głęboko, żeby jakkolwiek sygnał wydostał się spod warstwy mułu.

Gamay wzięła kolejny uspokajający oddech i rozmasowała mężowi ramiona.

- Mogą nas słyszeć - powiedział Paul. - Nawet jeśli my ich nie słyszymy.

Skinęła głową i sprawdziła, ile powietrza im zostało. Mieli zapas na dziewiętnaście godzin. Dziewiętnaście godzin czekania na śmierć. Gamay po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak ciasne jest wnętrze „Groupera”. To trumna, ich trumna. Podwodny grobowiec

Ogarnęło ją takie przerażenie, że zaczęła się trząść i żałować, że nie zabiła ich lawina, albo że nie może po prostu otworzyć wjazdu i pozwolić, aby zmiażdżyła ich woda wlewająca się do środka. Skoro i tak są skazani na śmierć, lepiej umrzeć szybko, niż czekać na nieuniknione.

- „Matador”, tu „Grouper”. Słyszysz mnie? - powtarzał Paul.

Gamay próbowała powstrzymać łzy napływające jej do oczu. Położyła się płasko w ciasnej kabinie, przymknęła powieki i przywarła twarzą do podłogi.

Dotyk zimnego metalu trochę ją uspokoił, więc otworzyła oczy i wtedy zauważyła coś, czego nie widziała wcześniej: kroplę wody spływającą po wewnętrznej powłoce. Nadzieję, że to kondensacja, rozwiało szybkie pojawienie się drugiej kropli, a potem trzeciej.

Kap... kap... kap...

Być może nie mają dziewiętnastu godzin, tylko znacznie mniej.

Nie było sensu mówić o tym Paulowi. Niedługo sam się zorientuje, a przecież i tak nie będą mogli nic na to poradzić. Na głębokości pięciu tysięcy metrów ciśnienie dochodziło do czterystu osiemdziesięciu kilogramów na centymetr kwadratowy. Powolne kapanie wkrótce stanie się szybsze, a gdy woda rozsadzi płyty poszycia, zaleje ich lodowaty strumień o sile zdolnej przeciąć człowieka na pół. I wtedy wszystko się skończy.

Gamay rozejrzała się po kabinie w poszukiwaniu innych przecieków. Nie zauważyła żadnych, ale coś nowego zwróciło jej uwagę: z maleńkich ekranów w jej wizjerze do wirtualnej rzeczywistości emanowało światło.

Sięgnęła po niego. Ekrany nadal działały. Zobaczyła metaliczną ścianę i unoszący się wokół osad. Wirujące cząsteczki odbijały światło.

- „Rapunzel” ocalał - powiedziała cicho.
- Co to jest? - zapytał Paul, zerknąwszy na ekran.
- Przekaz na żywo - odparła. - „Rapunzel” nadal działa.

Założyła wizjer, a potem rękawice. Orientacja zajęła jej chwilę, ale szybko uświadomiła sobie, że „Rapunzel” unosi się swobodnie. Obróciła małego robota o trzysta sześćdziesiąt stopni. Otwarta woda przyzywała ją przez tę samą ziejącą dziurę, przez którą „Rapunzel” dostał się do wnętrza statku.

- Wycofuję go.
- Jak to możliwe, że wciąż mamy z nim kontakt? - spytał Paul.
- Kable połączeniowe mają dwa i pół metra długości. Muszą wystawać z osadu.
- To znaczy, że nie jesteśmy zagrzebani głęboko. Może uda mu się nas odkopać.

Kiedy Gamay wyprowadziła „Rapunzela” ze statku, Paul zaczął obserwować monitor na swoim panelu sterowniczym.

- Podnieś go - polecił. - Jest nam potrzebny widok z lotu ptaka.

Skinęła głową i skierowała małego robota pionowo w górę. Zatrzymała „Rapunzela”, gdy wzniósł się o trzydzieści metrów - na tyle wysoko, by zapewnić im lepszy widok, a jednocześnie na tyle blisko batyskafu, żeby wrak i dno morza nadal były w zasięgu jego reflektorów i kamery noktowizyjnej.

Gamay się rozejrzała. Lawina wszystko zmieniła. „Kinjara Maru” spoczywał teraz na burcie jak przewrócona zabawka, z dziobem zagrzebanym w osadzie. Gamay oceniła, że osuwisko przesunęło statek o jakieś sto metrów.

- Orientujesz się, gdzie jesteśmy? - zapytała męża.
- Niestety nie - odpowiedział. - Byliśmy skierowani w stronę dziobu. Nie mam pojęcia, co się stało po uderzeniu lawiny.

Gamay poprowadziła „Rapunzela” ku dziobowi statku, a potem nad osadem. Oboje uważnie obserwowali ekrany, ale ani ona, ani Paul nie zobaczyli śladu batyskafu.

Gamay uświadomiła sobie osobliwość ich sytuacji. Jakie to dziwne, pomyślała, szukać samego siebie, nie mając pojęcia, gdzie się może być.

Przemieściwszy „Rapunzela” jeszcze kawałek, spytała:

- Widzisz coś?

- Nic - odparł Paul.

Kable do przesyłania sygnałów między „Rapunzelem” i „Grouperem” musiały wystawać spod warstwy mułu, ale ćwierć- czy nawet półmetrowy odcinek przewodu niełatwo było dostrzec na zasłanym szczątkami morskim dnie.

Wciąż leżąc na plecach, Gamay wysłała „Rapunzela” na dalsze poszukiwania. Nagle poczuła pod łokciem lodowatą wilgoć. Uniosła na moment wizjer. Obok niej powstała mała kałuża, wielkości może dwóch łyżek stołowych. Ale woda kapiała coraz szybciej.

Gamay opuściła wizjer. Musieli się pospieszyć.

- Może spróbuj bliżej dna - zasugerował Paul.

To by podwyższyło rozdzielczość, ale zawęziło pole widzenia. Różnica jak między szukaniem zgubionego w łazience szkła kontaktowego na stojąco, kiedy widzi się całą podłogę, a czolganiem się po niej, wodząc wzrokiem centymetr po centymetrze po każdym kolejnym kafelku. Uznała, że mają za mało czasu na tę drugą metodę.

- Wznoszę go - oznajmiła.

- Dlaczego? - zdziwił się Paul. - Już i tak ledwo widzimy.

- Wypuść trochę powietrza - poleciła Gamay.

Paul wyraźnie się wahał.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - rzekł. - Nawet jeśli „Matador” nas nie słyszy, wiedzą, że jesteśmy w tarapatach. Niedługo wyślą po nas ROV-y.

- To nam pomoże - zapewniła.

Paul nadal się wahał.

- Nawet jeśli wyślą ROV-y, będą musieli wiedzieć, gdzie jesteśmy - powiedziała Gamay.

To go przekonało.

- W porządku - odparł wreszcie, być może na skutek desperacji w jej głosie, a być może uświadamiając sobie, że ona ma rację. - Śluderuj „Rapunzela” na taką głębokość, jaką uważasz za najlepszą. Powiedz mi kiedy, to otworzę zawór cylindra. Jest w połowie pusty.

Gamay przeprowadziła „Rapunzela” z powrotem nad dziobem zatopionego frachtowca i pozwoliła mu się wznieść na granicę widoczności. Dało im to najszerze pole widzenia.

- Gotowe - oznajmiła.

Paul obrócił dźwignię i zablokował ją. Drugą ręką wcisnął przycisk zaworu awaryjnego. Rozległ się syk powietrza w przewodach, odgłos wydobywających się gwałtownie pęcherzy, a potem szum wzburzonej wody. Trwało to około piętnastu sekund, po czym stopniowo ustało i zapadła upiorna cisza.

- Widzisz coś? - spytał Paul.

Gamay prowadziła „Rapunzela” naprzód, obracając głowę w poszukiwaniu odbijającego światło strumienia pęcherzy powietrza. Powinien być wyraźnie widoczny, ale ani ona, ani Paul nie dostrzegali go.

- Musi gdzieś być - powiedziała.

- Ja nic nie widzę - odparł.

- Opróżnij drugą butlę - poleciła.

- Nie - zaprotestował. - Dwa cylindry to jedna czwarta naszego powietrza.

- To nieważne - przekonywała Gamay.

- Oczywiście, że ważne - upierał się Paul. - Jeśli jesteśmy zagrzebani, to trochę potrwa, zanim nas znajdą i uwolnią. Nie chcę się udusić, kiedy będą kopać.

Po raz pierwszy usłyszała drzenie w jego głosie. Dotąd był spokojny i opanowany jak zwykle. Silny, niewzruszony Paul. A przecież na pewno bał się tak samo jak ona. Musi powiedzieć mu prawdę.

- Mamy **przeciek**.

Milczał chwilę, a potem powtórzył:

- Przeciek?

- Tak.

- Duży?

- Jeszcze nie, ale nie wytrzymamy na tyle długo, żeby się martwić, czy starczy nam powietrza.

Spojrzał jej w oczy i skinął głową.

- Daj sygnał.

Opuściła wizjer i znów skierowała „Rapunzela” ku dziobowi frachtowca. Tym razem wybrała lewą burtę.

- Okej - powiedziała.

Paul przestawił dźwignię cylindra numer dwa, zablokował ją i opróżnił drugi zbiornik. Uchodzące powietrze zatrzęsło „Grouperem” i Gamay wy tężyła wzrok w poszukiwaniu pęcherzy.

Nic.

Ogarnął ją strach. A jeśli wcale nie są blisko dziobu? Jeśli lawina obróciła „Kinjarę Maru” albo odsunęła ich tak daleko od statku, że będą praktycznie nie do odnalezienia? Frachtowiec może przecież spoczywać na nich.

Obrazy na ekranach przed jej oczami zaczęły migać. Przez chwilę obawiała się, że lada moment stracą przekaz na żywo. Ale potem obrazy się uspokoiły, z wyjątkiem tego na ekranie najbliższej szczytu. Coś zniekształcało ujęcia z kamery.

Miała nadzieję, że to nie pęknięcie szyby, które byłoby równie fatalne dla „Rapunzela”, jak przeciek w poszyciu „Groupera” wkrótce będzie dla nich. Jednak kamera wciąż działała i Gamay uświadomiła sobie, że zniekształcenia nie powoduje pęknięcie, lecz pęcherz powietrza na obiektywie.

Odtworzyła nagranie wideo i spowolniła je. Tak, to z pewnością był strumień pęcherzy powietrza mijający „Rapunzela”.

Obróciła małego robota przodem w dół i zobaczyła podłużny kształt batyskafu prawie dokładnie pod nim. „Grouper” nie był zagrzebany, jak przypuszczali, lecz tkwił w mule do góry dnem, na którym leżały metalowe szczątki „Kinjary Maru”.

Paul też to zobaczył.

- Czy już wspominałem, jak bardzo kocham moją żonę? - odezwał się.

- Ja też cię kocham - odrzekła, prowadząc „Rapunzela” w dół.

- Czy on ma palnik do cięcia? - spytał Paul.

Gamay potwierdziła skinieniem głowy, a kiedy mały robot do nich dotarł, włączyła palnik acetylenowy i zaczęła przecinać jedną z metalowych belek, które wylądowały na „Grouperze”.

Operacja trwała zaledwie dwie minuty. Belka złamała się na pół i spadła z głośnym szczękiem. Batyskaf, mając teraz dodatnią pływerność, uwolniony od ciężaru się poruszył. Przez moment wydawało się, że zdoła się unieść, ale coś wciąż go trzymało.

- Widzisz te stalowe liny blisko naszej rufy? - powiedział Paul. - Jesteśmy w nie zaplątani.

Gamay znów pomanewrowała „Rapunzelem” i użyła palnika. Tym razem potrwało to znacznie dłużej, bo każdy odcięty kawałek liny robot musiał odciągnąć na bok, żeby „Grouper” znów się w nie nie zaplątał.

Gdy ostatni odcinek stalowej liny został usunięty, batyskaf obrócił się i zaczął wznosić między stosami luźnych szczątków.

Towarzyszył temu nieprzyjemny dźwięk przypominający przewracanie metalowych śmietników w środku nocy. Kiedy wreszcie ostatni kawałek liny zsunął się ze zgrzytem z kadłuba, oboje odetchnęli z ulgą. Byli wolni.

Gamay przełączyła „Rapunzela” na tryb autowynurzenia i uniosła wizjer.

Widok wody przepływającej za bulajem był przepiękny. A przyspieszenie w pionie odurzało.

Wzięła głęboki oddech, odprężyła się i wtedy usłyszała dziwny trzask, jakby pękła szklana tafla. Spojrzała w stronę, z której dobiegł, i zobaczyła, że przedostająca się do środka struzka wody zamieniła się w strumień.

ROZDZIAŁ 21

Restauracja nazywała się Escarpa - „szczyt klifu” po portugalsku. Nazwa była wyjątkowo trafna, jako że przysadzisty budynek z miejscowego kamienia wzniesiono wśród wzgórz otaczających Santa Marię, w trzech czwartych drogi na szczyt Pico

Alto. Kurt i Katarina dotarli na miejsce po prawie trzynastokilometrowej jeździe krętą górską szosą.

Jazda dostarczyła Kurtowi sporo emocji. Katarina kilkanaście razy nieodpowiednio weszła w zakręt i koła jej małego wypożyczonego focusa zaszorowały po żwirze na wąskim poboczu. Trzy razy wydawało się, że czeka ich pewna śmierć,

bo samochód wypadł z szosy w miejscu, gdzie nie było barier ochronnych.

Początkowo Kurt miał duszę na ramieniu, ale bardzo szybko

zorientował się, że młoda Rosjanka jest znakomitym kierowcą,

i uznał, że po prostu sprawdza jego wytrzymałość psychiczną.

Postanowił odplacić jej pięknym za nadobne. Otworzył le-

niwie szyberdach i powiedział, że malownicza dolina wygląda

jeszcze piękniej, kiedy nic nie stoi między nimi a opadającym do niej zboczem.

- Podoba ci się jazda? - spytała Katarina.

- Bardzo - odparł. - Tylko nie potrąć żadnej krowy.

Jego stoicki spokój skłonił ją do jeszcze ostrzejszej jazdy.

Kurt z trudem powstrzymywał śmiech.

Teraz siedzieli przy stoliku i obserwowali wspaniały zachód słońca. Podszedł kelner, by przyjąć zamówienie. Zdała się na

niego, więc wybrał specjalność wyspy: *Bacalhau a Gomes de Sa*, solonego dorsza z pieczonymi ziemniakami i świeżymi miejscowymi warzywami.

Kurt przejrzał listę win. Mimo kilku doskonałych francuskich i hiszpańskich uznał, że do lokalnej potrawy najlepiej będzie pasowało tutejsze. Wiedział, że na Azorach winorośl jest uprawiana od XVI wieku, a większość owoców nadal zrywa się ręcznie. Szkoda by było, gdyby taka praca poszła na marne, pomyślał.

Wybrał białe, pasujące do ryby.

- Weźmiemy butelkę Terras de Lava.

Katarina skinęła głową.

- Dobrze, ale ja wybiorę deser - powiedziała z uśmiechem kupca, który właśnie sfinalizował wyjątkowo korzystną transakcję.

Kurt odwzajemnił uśmiech.

- Tak będzie sprawiedliwie - przyznał.

W obawie, że skończy ten deser, zanim pozna tajemnicę Katariny, zmienił temat.

- Znalazłaś się tu jako oficjalna przedstawicielka swojego kraju - zagał.

Zmarszczyła brwi, wyraźnie urażona.

- A czy to coś złego? Przecież ty też reprezentujesz swój kraj.

- Niezupełnie - uściślił. - Joe i ja przyjechaliśmy na zawody łodzi podwodnych. Wykluczono nas z nich, ale zostaliśmy tu na prośbę rządów Portugalii i Hiszpanii, które od dawna spierają się o rejon odkrycia. Mamy nadzorować badania jako niezależni eksperci.

- Co za wyróżnienie - skomentowała Katarina z wyraźną ironią. - Kiedy ostatni raz doszło do konfliktu terytorialnego między Hiszpanią i Portugalią, rozstrzygnął go sam papież, kreśląc linię w poprzek kuli ziemskiej.

Kurt się roześmiał.

- Niestety, my nie mamy takiej władzy.

Kelner przyniósł wino. Kurt spróbował go i skinął głową. Było naprawdę dobre.

- Po co cię przysłano? - zapytał, zwróciwszy się do Katariny.

- Myślałam, że będziesz bardziej subtelny - odparła.

- Subtelność nie jest moją mocną stroną.

- Pracuję w ministerstwie nauki - wyjaśniła. - Rosyjski rząd jest bardzo zainteresowany waszym odkryciem. I trudno się dziwić. Z doniesień medialnych wynika, że potężny magnetyzm tej skały wciągnął w głębiny kilka, może nawet kilkanaście statków i co najmniej jeden samolot.

- Nie ściągnął ich na dno magnetyzm - sprostował Kurt. - Wszystkie zatoniły, a potem prąd w połączeniu z siłą magnetyczną powoli je wciągał.

- Wiem - powiedziała Katarina. - Ale czy nie jest bardziej romantycznie wyobrazić sobie, że to coś w rodzaju dzieła mitycznych syren?

- Na pewno bardziej romantycznie - przyznał - lecz mniej precyzyjnie.

Błysk miłośniczki przygód zalśnił w jej oczach.

- Jesteś tego pewien? Przecież w tym rejonie oceanu zatonoło wyjątkowo dużo statków i samolotów.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zaczęła wymieniać:

- W tysiąc osiemset osiemdziesiątym poszedł na dno HMS „Atalanta”. Marynarze, którzy zdołali się uratować z tonącego statku, skarżyli się na zawroty głowy, nudności i omamy wzrokowe. To objawy charakterystyczne dla żółtej febry, uznano więc, że na pokładzie wybuchła epidemia tej choroby. Ale diagnozę postawiono grubo po fakcie, więc nikt nie zna prawdy. Pół wieku później, w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, frachtowiec „Anglo-Australian” zaginął wraz z załogą nieopodal Azorów. Jego wraku nigdy nie znaleziono. Po kolejnych dziesięciu latach przepadł bez śladu samolot pasażerski „Star Tiger”, który wystartował z jednej z wysp archipelagu. Nie nadał sygnału SOS, a wrak też nie został odnaleziony. W tysiąc

dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, po niewyjaśnionych do dziś kłopotach z łącznością radiową, amerykański okręt podwodny, USS „Scorpion”, zaginął niedaleko stąd. Badanie wraku, który udało się znaleźć, wskazywało, że doszło do eksplozji wewnątrz okrętu.

On znał nieco inne wersje dwóch ostatnich katastrof. „Star Tiger” zaginął półtora tysiąca kilometrów na zachód od Azorów, a „Scorpion” miał podobno tragiczną w skutkach awarię pod wodą. W marynarce wojennej podejrzewano, że został staranowany albo trafiony rosyjską torpedą w odwecie za przypadkowe staranowanie rosyjskiego okrętu podwodnego na Pacyfiku. Kurt postanowił przemilczeć tę teorię.

- To miejsce bardzo przypomina Trójkąt Bermudzki - ciągnęła Katarina. - Czy możemy przez chwilę uważać je za mistyczne?

- Możemy - zgodził się. - Ale powinnaś wiedzieć, że badania naszej Straży Przybrzeżnej nie wykazały znaczącej różnicy między liczbą statków i samolotów zaginionych w Trójkącie Bermudzkim i w innych rejonach. Oceany wszędzie są niebezpieczne.

Wypiła łyk wina i odparła:

- Słyszałam, że nazwano to miejsce Diabelskimi Wrotami.

- Kto je tak nazwał?

- Nie wiem. Być może inni naukowcy. A może prasa.

Pierwszy raz o tym słyszał.

- Nie widziałem żadnych przedstawicieli prasy od pierwszego dnia po odkryciu. I nie bardzo rozumiem tę nazwę.

- Wraki - wyjaśniła - spoczywają w przesmyku o kształcie klina, który zwęża się z zachodu na wschód, w stronę wieży. Na wschodnim krańcu jest wąskie gardło, gdzie prąd przyspiesza, a potem wylewa się na głębsze wody. Na zachodnim krańcu, czyli na wlocie, jest rozszerzenie między dwiema wypiętrzonymi częściami skały podobnymi do filarów.

- I to mają być wrota - domyślił się. - Ale czemu diabelskie?

- „Szeroka jest brama i przestronna ta droga, która prowadzi do zguby” - zacytowała. - Ewangelia według świętego Mateusza, rozdział siódmy, werset trzynasty. Zgodnie z teorią autorów nazwy statki i samoloty, które zostały wciągnięte przez szeroki odcinek i nie mogą się przecisnąć przez wąski, tworzą cmentarzysko potępionych.

Kurt musiał przyznać, że nazwa Diabelskie Wrota brzmi o wiele atrakcyjniej niż oficjalna: Anomalia Magnetyczna Północno-Środkowego Atlantyku.

- Statki wpływają tam, ale stamtąd nie wypływają - podsumował.

- Dokładnie - potwierdziła z uśmiechem.

- Co jednak nie wyjaśnia - zauważył - dlaczego zanurkowałeś do wnętrza samolotu, który zatonął u wejścia do tych wrót.

- Fakt - zgodziła się. - Nie wyjaśnia również, dlaczego samolot wykonany z aluminium - metalu nieżelaznego, niemagnetycznego - został tam wciągnięty przez zdecydowanie magnetyczną anomalię.

Ma rację, pomyślał Kurt. Że też sam na to nie wpadł.

Jego towarzyszka wypila następny łyk wina.

- Bardzo dobre - pochwaliła i podniosła się z krzesła. - Przepraszam na chwilę. Pójdę się odświeżyć.

Odświeżyć? Po przymierzeniu trzech różnych kreacji spędziła pół godziny w łazience swojego pokoju hotelowego na czesaniu się i robieniu makijażu. O ile świeższa może jeszcze być?

Odprowadził ją wzrokiem. W prostej czarnej sukience koktajlowej i czerwonych szpilkach wyglądała fantastycznie. On miał na sobie to samo ubranie, które włożył tego ranka, a po nurkowaniu do wraku samolotu nie zdążył nawet wziąć prysznic.

No cóż, bywają ważniejsze sprawy niż schludny wygląd. Kurt, korzystając z okazji, wyjął z kieszeni komórkę, żeby wysłać SMS-a do Joego. Napisał:

„Potrzebne mi wszystko, co uda ci się znaleźć o Katarinie Łuskiej: co tu robi i gdzie pracowała w przeszłości. I wszystko o samolocie, do którego zanurkowała. Potrzebne mi to szybko”.

Odpowiedź przyszła po zaledwie kilkunastu sekundach.

„Chyba potrafię czytać w myślach. Już nad tym pracuję. Przesyłam parę linków. Do twojej wiadomości: samolot został zgłoszony jako zaginiony po starcie z Santa Marii w 1951. Są akta Urzędu Lotnictwa Cywilnego i meldunek o katastrofie. Jest też raport CIA, ale nie mam dostępu do tych danych”.

Raport CIA, powtórzył Kurt w myślach, ale wcale nie był zaskoczony. Zaczął przeglądać linki przysłane przez Joego, raz po raz zerkając na drzwi damskiej toalety.

Katarina stała przed lustrem w damskiej toalecie, ale nie poprawiała fryzury ani makijażu, tylko wpatrywała się w swoją komórkę.

Wreszcie nadeszła oczekiwana wiadomość.

Dossier Kurta Austina zawierało więcej informacji, niż się spodziewała i miała czas przeczytać. Przebiegła wzrokiem główne punkty, potwierdziła otrzymanie materiału i włożyła telefon z powrotem do torebki.

Szybko sprawdziła fryzurę i makijaż, po czym odwróciła się od lustra i wyszła.

Kurt, widząc, że drzwi damskiej toalety się otwierają, przeczytał jeszcze jedną linijkę i schował telefon do kieszeni.

Kiedy Katarina wróciła do stolika, wstał i odsunął jej krzesło.

- I jak? Odświeżyłaś się? - spytał z uśmiechem. - Lepiej się czujesz?

- Tak - odparła. - Kobieta powinna upewnić się od czasu do czasu, że dobrze wygląda. To bardzo poprawia samopoczucie.

Kurt był przekonany, że akurat ta wizyta Katariny w toalecie nie miała nic wspólnego z troską o fryzurę czy makijaż, nie

wątpił jednak w szczerść jej ostatnich słów Przez wiele lat uprawiała łyżwiarstwo figurowe - sport, w którym ocenia się nie tylko umiejętności techniczne zawodników, ale również to, jak się prezentują.

- Wyglądasz rewelacyjnie - stwierdził z przekonaniem. - Pewnie wszyscy się dziwią, że jesz kolację z takim niechlujnym facetem jak ja.

Uśmiechnęła się i lekko zarumieniła, ale nic nie powiedziała.

Przyszedł kelner z głównym daniem. Przez następnych kilka minut rozmawiali wyłącznie o *Bacalhau a Gomes de Sa*, który okazał się naprawdę wyśmienity. Wreszcie Kurt nalał im wina do kieliszków i wrócił do poprzedniego tematu.

- Mam pytanie - zaczął. - Dlaczego sama zanurkowałeś do tego samolotu? Masz na pokładzie dwa akwalungi. Nikt ci nie towarzyszy?

- To są dwa pytania - odparła z uśmiechem. - Przyjechałam na Santa Marię z innym przedstawicielem rządu. Ale on nie pracuje w Zarządzie Naukowym. Akwalungi stanowiły wyposażenie trawlera.

Kurt domyślił się, że ten „inny przedstawiciel” to swojego rodzaju opiekun, który czuwa, żeby Katarina nie wpadła w tarapaty.

- Teraz twoja kolej - powiedział, nadziewając na widelec kawałek dorsza.

- Podoba mi się ta gra - skomentowała, po czym zadała pytanie: - Byłeś strasznie zły, kiedy się wynurzyliśmy. Co cię tak rozgniewało? To, że naruszyłam waszą ceną „zamkniętą strefę”, czy to, że się u was nie zameldowałam?

- Ani jedno, ani drugie - odrzekł. - Po prostu nie lubię, gdy ludzie narażają się na niebezpieczeństwo. Mogłaś zginąć w tym wraku. Jeszcze pięć minut i tak by się stało.

- Więc Kurt Austin to człowiek, który się troszczy o bezpieczeństwo innych?

- Tak - potwierdził z uśmiechem.

- I trafiłeś do ratownictwa morskiego, bo nie boisz się wyzwań i lubisz ocalać?

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem. Co masz na myśli?

- Każdy głupi potrafi wysadzić statek w powietrze i posłać go na dno. Wydobycie wraku wymaga podjęcia znacznie większego ryzyka. I często tylko po to, żeby ocalić coś, co inni chcieli zniszczyć.

Kurt nigdy tak o tym nie myślał, ale w słowach Katariny dostrzegł głęboki sens. Na świecie roiło się od ludzi, którzy w ten czy inny sposób pozbywali się niepotrzebnych albo starych rzeczy. On je ratował i sprawiało mu to satysfakcję.

- Powinam ci podziękować - podjęła Rosjanka. - Zanurkowałeś do wraku, żeby mnie uratować.

Kiedy wchodził do wody, nie wiedział, kim jest samotny nurek ani czy znalazł się w tarapatkach. Teraz zastanawiał się, dlaczego Katarina tak ryzykowała.

- Ja lubię ocalać, a ty kochasz rywalizację - powiedział, uznawszy, że teraz jego kolej na amatorską analizę. - Zawody krajowe, mistrzostwa świata, olimpiady. Ciągłe udowadnianie trenerom, sędziom i kibicom, że jesteś najlepsza. Mimo naderwanego wiązadła byłaś bliska zdobycia brązu na igrzyskach w Turynie.

- Byłam bliska zdobycia złota - uściśliła. - Upadłam przy ostatnim skoku i skończyłam program na jednej nodze.

- A potem nie mogłaś chodzić przez kilka miesięcy - przytoczył informację, którą wyczytał w wiadomości od Joego. - Inna zawodniczka by się wycofała, oszczędzała nogę na następną okazję.

- Czasami nie ma się następnej okazji, jest tylko jedna szansa - odparła Katarina. - Właśnie tak było ze mną. Pojechałam na te igrzyska z ledwie zaleczoną kontuzją. Mieli wysłać inną łyżwiarzkę, ale uznałam, że sobie poradzę i będę najlepsza. Niestety nie udało się. Zajęłam czwarte miejsce.

- Teraz też chcesz być najlepsza? - spytał.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Otrzymałaś zadanie, które dla ciebie, teraz naukowca, jest kolejnym wyzwaniem - ciągnął Kurt. - I chcesz spełnić oczekiwania swoich mocodawców, bo możesz nie dostać następnej szansy.

- Pewnie tak - przyznała.

- Nie ma w tym nic złego - zapewnił. - Wszyscy chcemy imponować naszym szefom. Ale niektóre działania łączą się ze zbyt dużym ryzykiem. Penetrowanie wraku samolotu ponad czterdzieści metrów pod powierzchnią jest jednym z nich.

- Nigdy nie chciałeś nikomu pokazać, że się myli co do ciebie?

Kurt milczał chwilę, a potem powiedział półprawdę:

- Staram się nie przejmować tym, co ludzie o mnie myślą.

- I nikomu nie musisz niczego udowadniać? - drążyła.

- Tego nie twierdzę - odparł.

- Czyli jest taki ktoś. Kto? Kobieta? Pani Austin albo przyszła pani Austin, która czeka na ciebie w domu?

Kurt pokręcił przecząco głową.

- Nie siedziałbym tutaj, gdyby tak było.

- Więc kto to jest?

- Zdradź mi swoją tajemnicę, to ci powiem.

Katarina wyglądała na zawiedzioną.

- Podejrzewam, że kolacja się skończy, kiedy tylko to zrobię.

Kurt nie chciał, żeby się skończyła, ale z drugiej strony...

- To zależy od tajemnicy - odrzekł.

Podniosła widelec, jakby chciała przetrzymać Kurta jeszcze trochę, ale po chwili odłożyła go z rezygnacją.

- Wczoraj uratowaliście pewnego francuskiego nurka - zaczęła.

- Zgadza się - potwierdził. - Miał czterdziestopięciokilogramowy ciężar przy pasie balastowym. Ty byłaś lekkomyślna, ale on po prostu zidiociał.

- Może nie - odparła.

- Co masz na myśli?

- To było ustawione - wyjaśniła. - Kiedy ty i twój partner wyciągaliście go z wody, inny członek francuskiego zespołu nawiercił bok tamtej skały i pobrał ponadmetrową próbkę rdzeniową. Już się tym pochwalili.

Kurta ogarnął gniew. Zrobił gwałtowny wdech, chwycił serwetkę i rzucił ją na stolik.

- Miałś rację. Czas iść.

- Wiedziałam - mruknęła.

Wstał, zostawił garść banknotów na stoliku i wziął ją za rękę. Ruszyli do wyjścia.

- A co z twoją tajemnicą? - zapytała Katarina.

- Później - odparł.

Otworzył pchnięciem drzwi i przestąpił próg. W mroku coś się poruszyło. Kurt w ostatniej chwili napiął mięśnie, a potem jakiś podłużny przedmiot - kij, pałka czy rura - trafił go w brzuch.

Kurt poczuł silny ból i stracił oddech. Zgiął się wpół i osunął na kolana.

ROZDZIAŁ 22

Paul i Gamay wznosili się w „Grouperze”. Po zrzuceniu całego balastu silnik elektryczny batyskafu pracował z pełną mocą,

więc poruszali się w tempie ponad dziewięćdziesięciu metrów na minutę.

Wraz ze zmniejszaniem się głębokości ciśnienie malało, ale wciąż było bardzo duże i napływ wody się zwiększał.

- Najsłabszym punktem kadłuba jest kołnierz - zawołał

Paul, kiedy zauważył, że przeciek jest w miejscu, gdzie dwie części batyskafu były połączone ze sobą jak odcinki rury.

- Mamy klamry, możemy to uszczelnić - odrzyknęła Gamay.

Paul szarpnął w dół zapiętą na rzep osłonę na ścianie, za którą znajdował się zestaw narzędzi. W zestawie były cztery klamry. Duże, mocne i wyposażone dodatkowo w mechanizm zębatkowy, jak lewarka do podnoszenia samochodu. Najwyraź-

niej konstruktorzy batyskafu zdawali sobie sprawę, że jego najsłabszą częścią jest kołnierz łączący połówki kadłuba.

Paul wyciągnął jedną z klamer i podał ją Gamay; był za duży, żeby się obrócić i pomóc żonie.

- Znajdź na kołnierzu takie samo nacięcie jak pod samo-

chodem do lewarka - instruował. - Załóż tam klamrę, a gdy ją przymocujesz, zaciśnij z całej siły. Potem dam ci następną.

Gamay skinęła głową. Przesunęła dłońią po kołnierzu, zlokalizowała nacięcie, przymocowała klamrę i zaczęła ją zaciśkać.

- Mam zostawić mały luz jak na nakrętkach koła samochodowego? - spytała.

- Nie - odparł Paul. - Dociśnij ją najmocniej, jak możesz.

Kiedy Gamay pracowała, wyczuł lekki przechył „Groupera”. Zerknął na panel sterowniczy. Wciąż wznosili się pod kątem trzydziestu pięciu stopni, ale zbaczali w prawo. Paul podejrzewał, że jedna z pletw sterowych została uszkodzona. Skorygował kurs i obejrzał się na żonę, która z najwyższym trudem próbowała docisnąć klamrę do oporu.

- Jak idzie? - zapytał.

Docisnęła dźwignię.

- Teraz jest chyba w porządku - odparła.

Paul spojrział na przeciek. Nie tylko nie ustał, ale nawet trochę się zwiększył. W rufowej części batyskafu było już kilka litrów wody.

Chwycił następną klamrę i podał Gamay.

- Masz. Weź się za drugą stronę przecieku.

Kurt Austin miał wrażenie, że upada w zwolnionym tempie.

Zobaczył zbliżającą się rurę, a kątem oka dostrzegł przysadzistego mężczyznę, który zamachnął się nią szerokim łukiem, jak kiepski bejsbolista.

Zdażył napiąć mięśnie, ale zabrakło mu czasu na unik.

Pierwszy cios lekko go oszołomił, był jednak na tyle przytomny, by usłyszeć krzyk Katariny i uświadomić sobie, że następne uderzenie prawdopodobnie rozwali mu głowę.

Gdy tylko dotknął kolanami ziemi, natychmiast ruszył do ataku.

Rzucił się na nogi przeciwnika, trafiając go barkiem w prawe kolano.

Staw wygiął się i pękł z przyprawiającym o mdłości trzaskiem. Mężczyzna wrzasnął i u

Austin poprawił ciosem w kość policzkową. Głowa napastnika odskoczyła w bok i bandzior znieruchomiał.

Kurt nie wiedział, czy jest martwy, czy tylko nieprzytomny, i nie obchodziło go to. Musiał się zająć drugim napastnikiem, który skoczył mu na plecy i zaczął go dusić.

- Uciekaj! - krzyknął ochryple do Katariny.

Próbował odciągnąć ramię mężczyzny, ale był bez szans. Nie miał ani dość siły, ani żadnego podparcia, i napastnik wiedział o tym.

Ramiona zaciskały się na szyi Kurta, odcinając mu dopływ krwi do mózgu.

Łapiąc gwałtownie powietrze, Austin przetoczył się i usiłował rzucić bandziora na zaparkowanego obok vana. Zdołał to zrobić, ale uderzenie było za słabe i nie dał rady się uwolnić.

Szukał po omacku jakiejś broni, kija lub kamienia. Nagle rozległ się głuchy odgłos i mężczyzna rozluźnił chwyt. Kurt złapał oddech i usłyszał drugi głuchy odgłos. Mężczyzna zsunął się z niego jak uschłe pnącze z drzewa.

Kurt próbował wstać, ale nie miał siły. Zdołał tylko ukucnąć na czarnej nawierzchni parkingu. Poczuł czyjeś dłonie na ramieniu, małe, ale silne. Pociągnęły go do góry i postawiły na nogi.

- Obejmij mnie - poleciła Katarina.

Otoczył ramieniem jej barki, ignorując ból. Oparł się na niej i pokuśtykali przez parking do samochodu. Gdy go puściła, ciężko opadł na siedzenie pasażera.

Katarina okrążyła biegiem auto, otworzyła swoje drzwi, wrzuciła na tylne siedzenie rurę, którą zabrała pierwszemu napastnikowi, i wskoczyła za kierownicę.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i mały silnik ożył. Kilka sekund później wyjechali z parkingu na krętą górską drogę.

Ani Kurt, ani Katarina nie widzieli, jak rozbłysły reflektory dwóch audi, które ruszyły za nimi.

Gamay przymocowała trzecią klamrę i docisnęła ją do oporu. Dyszała z wysiłku, bolały ją mięśnie ramion. Popatrzyła na

spojenie, przez które dostawała się woda. Przeciek zmałał do strużki, ale tylko na chwilę.

- Daj mi ostatnią klamrę - zawołała do męża.

Miała nadzieję, że cztery klamry wystarczą do zrównowżenia ciśnienia tysięcy kilogramów wody próbującej się wdrzeć do wnętrza batyskafu.

- Trzymaj - powiedział Paul, podając jej klamrę.

Gamay znalazła czwarte nacięcie.

- Na jakiej głębokości jesteśmy? - spytała.

- Tysiąc dwustu metrów.

Przymocowała klamrę i zaczęła pompować dźwignią, by ją docisnąć. Przy każdym kolejnym ruchu czuła coraz większy opór, ale nie ustawała.

Stęknęła, gdy po raz ostatni z całej siły napała na klamrę.

- To wszystko, co mogę zrobić - powiedziała i opadła na plecy, kompletnie wyczerpana.

Przeciek się zmniejszył; wprowadzie niezupełnie do strużki, ale już nie wyglądał jak strumień z kranu.

- W jakim tempie się wznosimy? - zapytała Gamay.

- Spadło do sześćdziesięciu metrów na minutę - odparł Paul.

- Co?! Dlaczego poruszamy się wolniej? Silnik traci obroty?

- Nie, z silnikiem wszystko w porządku. Przybieramy na wadze.

Paul wskazał głową w kierunku rufy. Gamay odwróciła się i zobaczyła co najmniej sto litrów wody w tylnej części batyskafu. Sto litrów, czyli sto kilogramów dodatkowego ciężaru. A wciąż go przybywało.

Uświadomiła sobie, że teraz to wyścig nie tylko z wytrzymałością kadłuba, lecz również z czasem. Przeciek się zmniejszył, ale nie ustał, więc „Grouper” będzie powoli nabierał wody i stawał się coraz cięższy. To, czy przeżyją, będzie zależało od równowagi między ilością napływającej wody a szybkością wznoszenia się ku powierzchni. Jeśli nie dotrą tam do momentu, kiedy pływalność batyskafu przestanie wystarczać

do udźwignięcia dodatkowego obciążenia, ich długa i powolna droga w górę zamieni się w jeszcze dłuższe i wolniejsze opadanie na dno.

Opony wypożyczonego samochodu piszczwały na nawierzchni górskiej drogi. Kurt obejrzał się do tyłu. Dostrzegł dwie pary reflektorów, które pojawiły się za nimi i zbliżały z każdym zakrętem.

- Powinniśmy byli wrócić do restauracji - powiedziała Katarina.

Rozwahał to, ale uznał, że wśród zaledwie kilkunastu gości, którzy siedzieli w lokalu, oni nie byłoby bezpieczni, a w razie walki czy strzelaniny mogłyby zginąć przypadkowe osoby.

- Jedź - odrzekł. - Zabiją nas, jeśli nas tu dopadną. Najlepsze, co możemy zrobić, to dostać się do miasta. Tam jest policja.

Katarina pokonywała zakręty, prawie nie zwalniając, dzięki czemu wciąż byli z przodu, ale dwie długie proste pozwoliły większym i mocniejszym audi zmniejszyć dystans.

Następna seria zakrętów dała im chwilę oddechu, o ile jednak Kurt dobrze pamiętał, zbliżali się do najdłuższego prostego odcinka.

- Masz jakąś broń? - zapytał.

Katarina pokręciła przecząco głową.

On też nie miał. Na Azorach obowiązywały surowe przepisy dotyczące broni palnej. Może to i dobrze. Inaczej bandziory na szczycie wzgórza mógłby mieć lugera lub Glocka zamiast metalowej rury.

- Zbliżamy się do następnej prostej - oznajmiła Rosjanka.

Pokonała ostatni łuk i wcisnęła gaz do oporu, ale audi wyrwały do przodu i szybko rosły w lusterkach wstecznych.

Szyba w oknie po stronie pasażera nagle się rozprysła i z zewnątrz dobiegł odgłos pocisków dziurawiących karoserię. Kurt się schylił. To tyle, jeśli chodzi o zakaz posiadania broni.

Gdy Katarina zaczęła jechać wężykiem, blokując drogę ścigającym, Kurt zauważył, że po tylnym siedzeniu przetacza się rura, którą oberwał. Wpadł na pewien pomysł.

Chwycił rurę i zerknął w boczne lusterko. Pierwsze audi było tylko kawałek z tyłu po jego stronie.

- Hamuj! - krzyknął do Katariny.
- Co?!
- Zrób to!

Katarina ścisnęła mocniej kierownicę i wbiła stopę w pedał hamulca. W tym momencie Kurt otworzył swoje drzwi.

Opony wypożyczonego samochodu wryły się w asfalt wśród pisku i białego dymu. Zaskoczony kierowca audi za późno dał po hamulcach, urwał focusowi drzwi i przetoczył się po nich.

Zaszokowany i zdeorientowany nie zauważył, jak Kurt wychylił się z samochodu, trzymając się uchwyty nad drzwiami, i zamachnął rurą z bekhendu niczym Rafael Nadal.

Rura trafiła w przednią szybę audi. Na części przed kierowcą pojawiła się gęsta pajęczyna pęknięć, całkowicie pozbawiając go widoczności. Mężczyzna za kierownicą odbił w bok, po czym zbliżył się z powrotem, jakby chciał ich staranować.

Kurt znów wziął zamach, tym razem z forhendu. Rura roztrzaskała boczną szybę i kierowca dostał w skroń. Audi skręciło ostro i popędziło w stronę klifu. Odbiło mocno w prawo, uderzyło w skaliste zbocze i przekościłkowało. Przez sto metrów sunęło na wgniecionym dachu, ale nie spadło z urwiska.

Drugie audi wyskoczyło przed pierwsze i zaczęło przyspieszać. Kurt wątpił, żeby jego plan wypalił drugi raz. Spojrzał na wprost i zobaczył dwie pary reflektorów zbliżające się z przeciwnika. Mogły to być samochody miejscowych lub turystów, ale trzymały się obok siebie, jakby jedno auto próbowało wyprzedzić drugie i nie mogło. Kurt wiedział, co to oznacza.

- Chcą nas zablokować - zawołał przez szum wiatru wdzierającego się do środka pustym otworem drzwiowym.

Przez moment widział niepewność na twarzy Katariny, a potem świeżo upieczona agentka, która miała coś do udowodnienia, wdepnęła pedał gazu i włączywszy długie światła, zacisnęła ręce na kierownicy.

- Nie zatrzymam się! - krzyknęła.

Kurt był tego pewien, ale gdy zerknął przed siebie, zrozumiał, że kierowcy samochodów pędzących z naprzeciwka też nie mają takiego zamiaru.

ROZDZIAŁ 23

Przez dziesięć minut „Grouper” wciąż piał się w górę, ale coraz wolniej.

- Trzysta metrów - zameldował Paul.

Trzysta metrów, powtórzyła Gamay w myślach. Brzmiało to dużo lepiej niż pięć tysięcy, trzy czy półtora, ale wciąż byli głębiej, niż mogło zejść wiele jednostek podwodnych o stalowych kadłubach. Pamiętała swoją wizytę na okręcie podwodnym marynarki wojennej, który miał być właśnie wycofany ze służby. Na głębokości dwustu trzynastu metrów bok kadłuba wgiął się z głośnym szczękiem. Gdy o mało nie wyskoczyła ze skóry, kapitan i załoga wybuchli śmiechem.

- To jest nasza głębokość testowa - wyjaśnił kapitan. - Wgniecenie robi się za każdym razem.

Najwyraźniej żartowali tak ze wszystkich gości, ale wystraszyła się wtedy jak diabli, a teraz doskonale zdawała sobie sprawę, że trzysta metrów może być równie zabójcze jak pięć tysięcy.

- Dwieście siedemdziesiąt - zawołał Paul.

- Jakie tempo? - spytała.

- Siedemdziesiąt pięć na minutę.

Niecałe cztery minuty do powierzchni, niecałe cztery minuty do ocalenia.

Coś odpadło od kadłuba i „Grouper” zaczął dygotać.

- Chyba straciliśmy ster - powiedział Paul.

- Możesz kontrolować kierunek?

- Mogę spróbować pędnikiem - odparł i zaczął manipulować gorączkowo dwoma dżojstikami.

Gamay zerknęła w tył. Batyskał wypełniało co najmniej trzysta litrów wody i ciągle jej przybywało.

Gdy zbliżyli się do stu pięćdziesięciu metrów, w kabinie rozległo się dziwne skrzyknięcie, jakby osiadał dom albo giął się metal.

Odgłos ucichł, po czym się powtórzył.

- Co to? - zastanawiała się Gamay. Dźwięk dochodził znad jej głowy.

Spojrzała w górę. Klamra na szczycie kołnierza drżała, skrzywienie wydawał kadłub powyżej niej.

Popatrzyła na zalaną wodą rufę. Czteryście litrów jak nic. Czteryście kilogramów więcej niż na dziobie. Cały ten ciężar rozciągał i wyginał już osłabione spojenie kadłuba. Lada moment rozerwie go na pół, tak jak łamie się patyk.

Musieli wypoziomować, zanim to nastąpi, nawet gdyby to oznaczało wznoszenie zależne tylko od pływalności.

- Sześćdziesiąt metrów - zawołał Paul.

- Musimy wypoziomować - powiedziała Gamay.

- Co?

Kadłub zaskrzypiał głośnie. Zobaczyła, jak górna klamra się zsuwa.

- Paul! - Rzuciła się naprzód, gdy klamra wystrzeliła z nacięcia. Trafiła ją w tył nogi.

Gamay krzyknęła, ale jej głos zagłuszył dźwięk, który się rozległ, kiedy puściła druga klamra, i szum wody wdzierającej się do batyskału szerokim strumieniem.

Na krętej górskiej drodze do Vila do Porto trwała zabawa w „kto pierwszy stchórzy”. Katarina trzymała gaz wciśnięty do podłogi, a samochody pędzące w górę prosto na nich nie tylko nie zwalniały, lecz wręcz przyspieszyły i gnały obok siebie z blaskiem reflektorów.

Kurt uniósł rękę, żeby osłonić oczy przed oślepiającym światłem, i zerknął w lusterko wsteczne. Z tyłu zbliżał się do

nich pojedynczy samochód. Oni wszyscy chyba poszaleli, przemknęło mu przez myśl.

Znów spojrzął przed siebie i dostrzegł tablicę ze strzałką. Napis informował: „Lotnie - mikroloty”.

Złapał za kierownicę i szarpnął ją w prawo.

- Co ty wyrabiasz?! - krzyknęła Katarina.

Wpadli poślizgiem na szutrową drogę. Przez chwilę auto sunęło bokiem; wyprostowało się, gdy Katarina obróciła go-
rączkowo kierownicę w jedną, a potem w drugą stronę.

Pisk opon za nimi rozdarł nocną ciszę. Rozległ się lekki zgrzyt, nie łomot, na który liczył Kurt, lecz mimo to całkiem przyjemny odgłos.

- Jedź dalej - polecił Austin.

- Nie wiemy, dokąd prowadzi ta droga.

- A czy to ważne?

Nie miało to znaczenia, zwłaszcza że chwilę później daleko za nimi pojawiły się światła, więc i tak nie mogliby zawrócić.

- Jedź prosto - rzucił Kurt. - W stronę urwiska.

- Zwariowałaś?! - zaprotestowała Katarina. - I tak ledwo mogę utrzymać kierunek.

- No właśnie.

Pędzili szutrową drogą, a za nimi unosił się wielki tuman kurzu, który wszystko przesłaniał. Kurt wyobrażał sobie, jak kierowca audi, pozbawiony widoczności i bombardowany kamieniami, skręca to w lewo, to w prawo, żeby ich nie zgubić.

Czasami większa moc silnika i szersze opony są niedobre, na przykład w czasie jazdy przez stojącą wodę czy po żwirze. Przy dużej prędkości audi wymykało się spod kontroli - dosłownie pływało na luźnych kamykach pod kołami - natomiast wąskie opony małego focusa wrzynały się w szuter i toczyły po stałym gruncie pod spodem.

- Daj mu się trochę zbliżyć - polecił Kurt, obserwując teren na wprost.

Katarina skinęła głową. Zdawała się czytać w jego myślach.

- A teraz dodaj gazu i skręć.

Przyspieszyła, podrywając do góry jeszcze więcej kurzu i kamieni, ale kierowca audi najwyraźniej też zwiększył obroty silnika, bo szybko zmniejszył dystans.

- Kazalem ci skrócić! - wrzasnął Kurt.

Szarpnęła kierownicę, ale focus wpadł w poślizg i Kurt uświadomił sobie, że przeszarżowali. Złapał Katarinę za ramię, pociągnął na siedzenie pasażera i dał nura przez pusty otwór drzwiowy razem z nią.

Przekoziolkowali i potoczyli się po trawie przy drodze. Audi minęło ich o centymetry, a gdy po chwili focus zniknął za krawędzią urwiska, rozbłysły światła stopu. Kierowca próbował zahamować.

- Za późno - stwierdził Kurt.

Miał rację. Audi nie zdążyło się zatrzymać przed przepaścią i podzieliło los focusa.

Przez trzy sekundy trwała upiorna cisza, po czym nastąpiły dwie eksplozje, jedna tuż po drugiej.

Poculi podmuch zapyłonego powietrza. Gdy pył opadł, Katarina powiedziała:

- Nie ma ich.

Kurt zerknął na drogę i zobaczył przenikający mrok blask reflektorów.

- Jadą w naszą stronę - stwierdził, biorąc Katarinę za rękę. - Chodźmy. Nie uciekniemy, ale może uda nam się gdzieś ukryć.

Paul pociągnął Gamay w kierunku kokpitu „Groupera”. Trzymała się za nogę, jakby była ranna.

- Nic mi nie jest - zapewniła.

Batyskaf wypełniał się wodą.

Paul spojrział na głębokościomierz. Czterdzieści pięć metrów. Czterdzieści dwa.

Wskazówka wciąż się obracała, ale coraz wolniej. Mimo że silnik pracował z pełną mocą i pozbyli się całego balastu, „Grouper” wznosił się z wielkim trudem.

Czterdzieści jeden metrów.

Wody przybywało z każdą sekundą. Paul odwrócił się z powrotem w stronę przyrządów sterowniczych i ustawił batyskaf pionowo, żeby zmaksymalizować ciąg pędnika. Trochę przyspieszyli, ale kiedy woda zaczęła omywać mu nogi, „Grouper” znów zwolnił.

Wskazówka głębokościomierza doszła do czterdziestu metrów, trochę się obniżyła i znieruchomiała.

„Grouper” stał teraz na rufie. Pędnik próbował go pchać, ale bez skutku.

Woda sięgnęła Paulowi do pasa.

- Czas się wynosić - powiedział i podciągnął Gamay do góry.

Poczuł, że cała drży z zimna.

- Weź trzy głębokie oddechy - instruował ją - po ostatnim zatrzymaj powietrze w płucach i wypuszczaj je powoli, kiedy będziesz się wznosić.

Zrobiła, co jej kazał. Odchyliła głowę do tyłu i wciągnęła ostatni haust powietrza w chwili, kiedy woda zakryła jej twarz.

Paul wziął oddech i zanurkował. W ciągu kilku sekund dotarł do włazu. Ciśnienie wewnątrz i na zewnątrz było teraz jednakowe, więc wąż łatwo się otworzył.

Paul pomógł Gamay przecisnąć się przez otwór, a gdy wy dostała się z kabiny, pchnął ją do góry i zaczęła płynąć ku powierzchni.

„Grouper” już opadał. Paul musiał się pospieszyć. Odepchnął się, wy dostał na zewnątrz i ruszył ku powierzchni, starając się wykonywać długie, płynne ruchy.

Po kilku sekundach zrobił lekki wydech. Miał nadzieję, że Gamay też o tym pamięta. Inaczej sprężone powietrze rozszereżyłoby się w płucach, które eksplodowałyby jak za mocno nadmuchany balon.

Po minucie poczuł ucisk w piersiach i wypuścił trochę więcej powietrza. Wokół siebie nie widział nic poza wodną pustką. Daleko w dole gasnący świetlny punkcik wskazywał pozycję wracającego w głąbiny „Groupera”.

Pół minuty później Paul wypuścił następną porcję powietrza, ale nacisk na jego klatkę piersiową rósł. Spojrzał w górę. Zobaczył jasność, lecz ani śladu Gamay.

Po kolejnej minucie coraz wyraźniej odczuwał skutki niedoboru tlenu: w głowie mu łupało, szybko tracił siły.

Płynął ku powierzchni, ale coraz wolniej. Mięśnie zaczynały mu drżeć, cały się trząsał.

Powierzchnia mieniła się nad nim, ale już nie potrafił określić, w jakiej odległości. Jasność przygasła, a jego ręce i nogi stały się zbyt ciężkie, by nimi poruszać.

Znieruchomiał. Głowa opadła mu na bok, światło zniknęło. Zanim stracił przytomność, zdążył jeszcze pomyśleć: Gdzie... jest... moja... żona?

ROZDZIAŁ 24

Kurz i ciemność dawały im osłonę, kiedy szli przez trawiaste pole na szczycie klifu. Samochody nadjeżdżały wolno szutrową drogą. Oba miały rozbite przody, jeden stracił reflektor. Zabawa

w „kto pierwszy stchórzy” poszła po myśli Kurta - auta zostały uszkodzone i spowolnione.

Kiedy się zbliżały, wyobrażał sobie, jak kierowcy zastanawiają się, gdzie się podziali ich kompani. I jakim cudem nie-

doszłe ofiary zdołały im uciec małym samochodem z wypożyczalni.

Kurt i Katarina położyli się płasko w trawie i zaczęli, aż

auta ich miną. Kiedy przejechały, ruszyli dalej i dotarli do siatkowego ogrodzenia.

Kurt popatrzył przez siatkę na mały hangar, ciemny i cichy.

Tablica umieszczona nad wejściem informowała: „Czartery mikrokrotów - 50\$ za pół godziny”.

- Przechodź - powiedział do Katariny. - Tylko cicho.

Zgrabnie wspięła się na szczyt ogrodzenia i przeskoczyła na

drugą stronę. Kurt, zadowolony, że w ucieczce towarzyszy mu była sportsmenka, poszedł w jej ślady.

- Gdzie masz buty? - zapytał, kiedy po chwili wylądował obok niej.

- Chodzi ci o moje drogie włoskie szpilki?

- Tak.

- Spadły mi z nóg, gdy mnie wyrzuciłeś z pędzącego samochodu.

Zauważył, że Katarina ma rozdartą sukienkę i krwawiące otarcia na łokciu i przedramieniu. Jemu krwawiło kolano i dłonie, w które wbiły się drobiny żwiru. Ale to było lepsze, niż nie żyć.

- Kupię ci nowe, jeśli wyjdziemy z tego żywi - obiecał. - Chodź.

Pobiegli przez trawę i dali nura za wielki zbiornik, taki jak w punktach tankowania propanu. Kurt rozpoznał po zapachu, że zawiera stuoktanowe paliwo lotnicze do małych samolotów śmigłowych.

Ukryty za zbiornikiem, patrzył, jak dwa samochody zbliżają się do urwiska. Zatrzymały się nieopodal miejsca, w którym focus i audi spadły w przepaść. Z każdego auta wysiedli dwaj mężczyźni. Jeden trzymał latarkę, a trzej pozostali krótkolufowe karabiny szturmowe.

- Wynośmy się stąd - szepnęła Katarina i już chciała się podnieść.

- Nie ruszaj się - rozkazał Kurt. - Tu nas nie zobaczą.

Mężczyźni z bronią podeszli do krawędzi urwiska i spojrzeli w dół. Na dnie przepaści musiał płonąć ogień, bo dym i kurz były podświetlone i Kurt widział tylko ich sylwetki.

- Wygląda na to, że spadli - odezwał się jeden.

Kurt nie usłyszał odpowiedzi, ale zobaczył, że mężczyzna z latarką dołączył do kompanów.

- Dajcie mi lunetę - zażądał, a kiedy rozkaz nie został wykonany wystarczająco szybko, warknął głośniejsze: - Prędej, nie mamy na to całej nocy.

Kurt rozpoznał głos bandziora z „Kinjary Maru”.

- Więc ty żyjesz - mruknął. Wybuch łodzi porwaczy od początku wydał mu się podejrzany. Eksplozja była bardzo wygodna dla ewentualnych uciekinierów - martwych nikt nie będzie szukał - i jednocześnie nie bardzo pasowała do wyrafinowanej operacji. Teraz przekonał się, że przecucie go nie myliło.

- Znasz tych ludzi? - spytała Katarina.

- Znam głos tego mężczyzny - odparł. - Tydzień temu brał udział w napadzie na statek. Myśleliśmy, że łódź, którą uciekł,

wyleciała w powietrze, ale najwyraźniej to była tylko sztuczka dla zmylenia nas.

- Więc ci ludzie ścigają ciebie?
- Oczywiście. Chyba nie myślałaś, że to ty jesteś ich celem?
- A dlaczego nie? - zachnęła się. - Jestem ważnym członkiem rosyjskiego środowiska naukowego. Za mnie na pewno dostaliby większy okup.

Kurt stłumił śmiech.

- Masz rację. Nie pomyślałem o tym.

Wydawała się usatysfakcjonowana, więc Kurt wrócił do obserwacji bandziorów na krawędzi urwiska. Byli doskonale widoczni w podświetlonym dymie. Gdyby miał broń, zdjąłby ich jednego po drugim jak kaczki na strzelnicy. Ale miał tylko metalową rurę i nóż wbity w fotel operatora dźwigu „Kinjary Maru” przez polującego teraz na nich mężczyznę.

Obserwował, jak ten mężczyzna podchodzi do krawędzi urwiska z lunetą w ręku, patrzy przez nią dłuższą chwilę, a potem trochę zmienia kąt. Domyślił się, że przywódca bandytów ogląda drugi samochód.

- Wszyscy zginęli - powiedział jeden z jego kompanów.
- Nie bądź taki pewien - odparł przywódca.
- Tu jest cholernie wysoko - upierał się facet z karabinem szturmowym. - Nikt by nie przeżył.

Przywódca odwrócił się i pchnął go na samochód. Odważny ruch, biorąc pod uwagę, że tylko on nie był uzbrojony. Najwyraźniej miał posłuch u tych ludzi.

- Masz rację - przyznał. - Nikt by nie przeżył takiego upadku. Chyba że go nie było.

Wepchnął lunetę noktowizyjną w dłoń mężczyzny i powiedział:

- Nie ma ciała. Ani w samochodzie, ani nigdzie w pobliżu.
- Szlag by to trafił! - zaklął Kurt.

Myślał, że ich największym zmartwieniem będzie pieszy powrót do cywilizacji, tymczasem pojawił się znacznie poważniejszy problem: bandyci nie opuszczą płaskowyzu, *dopóki nie*

Znajdą go i Katariny lub dopóki nie zjawi się policja, a policja Przyjedzie za jakieś pół godziny albo nawet więcej.

Wątpił, żeby udało im się ukrywać tak długo.

Gdy przywódca bandytów zaczął oświetlać latarką trawiaste pole, Kurt przycupnął za zbiornikiem z paliwem. Gdy snop światła skierował się w inną stronę, odwrócił się do Katariny i spytał szeptem:

- Mam nadzieję, że nie boisz się wysokości?

- Nie - odparła.

Złapał ją za rękę i schyleni przebiegli przez otwartą przestrzeń do ciemnego hangaru. Po wyważeniu zamka metalową rurą wśliznęli się do środka.

- Masz pięćdziesiąt dolarów? - spytał Kurt, podchodząc do jednego z mikrolotów.

- Mam, ale nie przy sobie - odparła Katarina.

- Więc będziemy musieli zostawić rewers - powiedział i podał jej hełm.

- Odlecimy stąd? - zapytała, a gdy potwierdził, uśmiechnęła się szeroko. - Zawsze chciałam wypróbować coś takiego.

Kurt zajrzał do zbiornika paliwa, który okazał się prawie pełny, po czym podszedł do drzwi hangaru i zaczął je otwierać.

Andras uznał, że muszą się rozdzielić i przeszukać okolicę. Jego ludzie ruszyli w przeciwnie strony wzdłuż krawędzi urwiska, a on, wyjąwszy z kabury przy pasie glocka kaliber 9 mm, skierował się w głąb łądu.

Był prawie pewien, że jego ofiary uciekły właśnie tam. To najlepsza taktyka, a temu mężczyźnie z NUMA nie brakowało ani sprytu, ani rozsądku.

Tym przyjemniej będzie go zabić.

Andras omiatał ziemię światłem latarki. Nie używał lunety noktowizyjnej, bo czuł się bezpiecznie. Gdyby jego cele miały broń palną, skorzystałyby podczas pościgu z niej zamiast z ołowianej rury.

Przystanął na chwilę, dostrzegłszy w blasku latarki damski pantofel z czerwonej lakierowanej skóry. Trzy metry dalej zobaczył drugi. Gwizdnął na swoich ludzi, a kiedy dołączyli do niego, poświecił dookoła. Zauważył siatkowe ogrodzenie i znajdujący się za nim hangar.

- Otoczcie budynek - rozkazał. - Na pewno są w środku.

Jego ludzie podbiegli do ogrodzenia i zaczęli się wspinać na metalową siatkę. Zanim ją pokonali, nocną ciszę rozdarł dźwięk przypominający hałas uruchamianej kosiarki do trawy.

Andras dołączył do nich, kierując snop światła latarki na drzwi hangaru. Gdy zobaczył, jak jeden z mikrołotów wytacza się na trawę i zaczyna przyspieszać, krzyknął:

- Zastrzelcie ich!

Dwaj mężczyźni z karabinami opadli na ziemię i otworzyli ogień do mijającego ich mikrołotu. Pociski sięgnęły celu. Rozległ się huk eksplozji i mikrołot stanął w płomieniach.

Za łatwo poszło, pomyślał Andras. Miał rację.

Kiedy pierwszy mikrołot pomknął po trawie, Kurt i Katarina wsiedli do drugiego. Austin miał nadzieję, że hałas i ruch pierwszego zamaskuje ich start w innym kierunku.

Posłał wabika w prawo i kilka sekund później skręcił swoim samolocikiem w lewo. Kiedy pchnął przepustnicę, usłyszał strzały. Po chwili zobaczył błysk na trawiastej równinie, która służyła mikrołotom za pas startowy.

Dodał gazu, zdając sobie sprawę, że czas ostrożności się skończył. Niewielki silnik o mocy pięćdziesięciu pięciu koni mechanicznych zabzyczał jak rój rozjuszonych pszczoł i małe drewniane śmigło natychmiast osiągnęło pełne obroty.

Niezgrabny samolocik wyrwał do przodu, rozpedził się na trawiastym pasie i uniósł po około trzydziestu metrach. Kurt skierował mikrołot w stronę urwiska, żeby hangar zasłonił go przed pociskami. Rozległo się kilka strzałów, po czym zapadła

cisza. Austin i Katarina przelecieli nad klifem, zagłębili się w ciemność i wzięli kurs na światła Vila do Porto.

Andras uświadomił sobie swój błąd. Dali się wywieść w pole. Odwrócił się w samą porę, by zobaczyć start drugiego mikrolotu. Otworzył do niego ogień, a potem pobiegł ze swoimi ludźmi do hangaru.

W środku zastali całą flotę powietrzną. Cztery maszyny wyglądały na sprawne.

- Wsiadajcie! - zawołał. - Zestrzelimy ich w locie.

Kiedy dwóch jego ludzi sadowiło się w pierwszym samolocie, on podszedł do drugiego mikrolotu. Już miał wskoczyć na przednie siedzenie, lecz nagle przystanął. Z wyścielanego siedzenia sterczał pionowo znajomy przedmiot.

Andras rozpoznał czarną matową rękojeść i składane tytanowe ostrze. To był nóż, który wbił w fotel operatora żurawia na „Kinjarze Maru” po przecięciu przewodów hydraulicznych.

Więc srebrzystowłosa mężczyzna z NUMA wziął wtedy nóż, a teraz go zwrócił. Najwyraźniej chciał pokazać, że wie, kto go ściga, ale Andras podejrzewał, że nie był to jedyny powód.

Odsunął się od mikrolotu i rozejrzał, szukając wzrokiem niebezpieczeństwa.

- Nie odpalaj go - powiedział, gdy jeden z jego ludzi sięgnął do kluczyka.

Podszedł do silnika maszyny, którą miał pilotować. Sprawdził przewody hydrauliczne i paliwowe, podejrzewając, że srebrzystowłosa Amerykanin mógł uszkodzić mikroloty. Byłoby to nader korzystne dla uciekających i prawdopodobnie zabójcze dla ścigających. Andras obejrzał przewody bardzo dokładnie, ale nie dostrzegł nic niepokojącego na odsłoniętych odcinkach rurek i nie zauważył, żeby jakiś płyn kapął na podłogę.

Spojrzał w górę.

W skrzydłach widniały długie rozcięcia, ledwo widoczne w ciemnym hangarze, bo zrobione tak, żeby nie pozostawić zwisających pasów nylonu. Uszkodzenie mogło nie wystarczyć

do zatrzymania samolociku na ziemi, Andras nie miał jednak wątpliwości, że po starciu tkanina postrzępiłaby się w strumieniu powietrza i podarła w ciągu kilku minut. Gdyby odlecieli, odkryliby to za krawędzią urwiska. A wtedy byłoby już za późno.

- Obejrzyjmy pozostałe - zasugerował jeden z jego ludzi.

Andras skinął przyzwalająco głową, chociaż był pewien, że wszędzie zastaną to samo.

Ogarnęła go irytacja, ale jednocześnie poczuł dreszcz podniecenia, jaki czuje myśliwy, kiedy sobie uświadamia, że zwierzyna, na którą poluje, może być większa, groźniejsza i inteligentniejsza, niż się spodziewał. Taka świadomość nie wywołuje gniewu, tylko większe emocje. Do tej pory miał dla mężczyzny z NUMA niechętny szacunek, ale go nie doceniał. Więcej nie popełni tego błędu.

- Dawno nie stałem w obliczu takiego wyzwania - szepnął sam do siebie. - Dopadnę cię i zabiję z prawdziwą przyjemnością.

ROZDZIAŁ 25

Szelf kontynentalny u wybrzeża Sierra Leone, 23 czerwca

Djemma Garand siedział w kabinie pasażerskiej eurocoptera EC155. Smukła nowoczesna maszyna miała wirnik ogonowy typu fenestron, wyświetlaną tablicę przyrządów i skórzaną ta-

picerkę wykonaną przez firmę robiącą na zamówienie siedzenia do rolls-royce'ów.

Helikopter, szybki i stosunkowo cichy, stanowił typowy

przykład luksusu w sam raz dla szanującego się miliardera lub dyktatora małego państwa.

Djemma nie cierpiał nim latać. Wolał podróżować statkiem lub samochodem. W czasach gdy walczył, przekonał się, jaki niebezpieczny dla małych śmigłowców jest ogień z ziemi. Helikopter

mogła strącić pobliska eksplozja granatu o napędzie raketowym, a co dopiero bezpośrednie trafienie czy ostrzał z broni ręcznej.

Jeszcze bardziej niż ewentualny atak niepokoiły Djemmę niewyjaśnione katastrofy maszyn należących do przywódców niewielkich, ogarniętych wojną krajów, gdyż liczba takich wy-

padków była nieproporcjonalnie duża w stosunku do liczby lotów, które ci przywódcy odbywali.

Zwykle nie było żadnych świadków. Do większości tych katastrof doszło w wysokich górach lub w dżungli, więc niejednokrotnie nie udało się odnaleźć szczątków samolotu, a bez ich zbadania ustalenie, czy maszyna spadła sama, czy też została zestrzelona albo rozerwana wskutek wybuchu podłożonej bomby, było niemożliwe.

Normalnie Djemma nie wybrałby takiego środka transportu, ale zrobił wyjątek, bo bardzo zależało mu na czasie. Bieg zdarzeń układał się dla niego niekorzystnie, a nawet najbardziej zaufani sojusznicy zdawali się spiskować przeciwko niemu, musiał więc sam się przekonać, czy jego broń jest gotowa.

EC155 przeleciał nad linią brzegową i wziął kurs na Atlantyk. Dziesięć mil morskich od wybrzeża na horyzoncie pojawiły się cztery małe punkty. Kiedy śmigłowiec zbliżył się do nich, przybrały kształty wielkich platform wiertniczych, ustawionych tak, że tworzyły idealny kwadrat. Wody wokół platform patrolowało kilkanaście łodzi, a przy jednej z nich stały przycumowane wielkie barki ze sprzętem.

- Wyląduj na trójce - rozkazał Djemma.

Pilot zszedł w dół i kilka minut później Djemma wysiadł ze lśniącej czerwono-białej maszyny, i pomaszerował przez lądowisko.

Szef platformy i starszy personel czekali na lądowisku.

- Panie prezydencie - zaczął kierownik - to zaszczyt gościć pana...

- Darujmy to sobie - przerwał mu Djemma. - Idziemy do Cochrane'a.

- Tak jest.

Djemma ruszył za mężczyzną do głównego bloku platformy. Znalazłszy się w środku, minęli przestrzeń wypełnioną pokrytymi skroploną parą wodną rurami z chłodzikiem i weszli do klimatyzowanego pomieszczenia z komputerami i płaskimi monitorami.

Na największym, centralnie ulokowanym ekranie widniał dziwny obraz. Przypominał plan toru wyścigowego lub stacji rozrządowej. Najlepiej można go było opisać jako wydłużony owal połączony z szerszym kręgiem, z którego rozchodziło się promieniście ponad dwadzieścia prostych linii.

Dane, nieczytelne z daleka, wskazywały stan poszczególnych sekcji ograniczonych liniami. Sekcje miały różne kolory. Djemma zauważył, że większość jest podświetlona na zielono. Poczuł zadowolenie.

- Wszystkie sekcje pętli są zasilane? - spytał.

- Tak, panie prezydencie - odparł szef platformy. - Uruchomiliśmy je dziś rano. W

- Doskonale. Gdzie on teraz jest?

- W jednym z tuneli celowniczych. Nadzoruje ostatni etap budowy.
- Chcę to zobaczyć - powiedział Djemma.

Przeięli klimatyzowane pomieszczenie i wsiedli do windy, w której ledwo mieściły się dwie osoby. Zjechali nią pod platformę w przezroczystej pleksiglasowej rurze, mogli więc obserwować otoczenie.

Wszędzie dookoła pływały ławice ryb, jak to zwykle bywa w pobliżu platform wiertniczych i innych konstrukcji. Pod nimi na dnie oceanu ciągnęła się długa linia biegnąca ze wschodu na zachód. Wyglądała na prostą tylko dlatego, że zakrzywiała się stopniowo; gdyby osuszono ocean, łatwo byłoby zobaczyć z odpowiedniej wysokości, że jej przebieg dokładnie odpowiada kulistemu kształtowi wyświetlanemu w dyspozytorni.

Na przeciwległym końcu linii mężczyźni w skafandrach nurków i w łodziach podwodnych wielkości samochodów osobowych pracowali przy wypełnianiu ostatniego odcinka.

Jeszcze dalej, na granicy widoczności, Djemma dostrzegł leżący na boku wielki okręt podwodny. Jego kadłub był rozpruty jak wypatroszony waleń. W przeciwieństwie do innych rzeczy, które dyktator dotąd zobaczył, ten widok go rozgniewał.

Kabina windy zbliżyła się do piaszczystego dna, zagłębiła w nie i przebyła w rurze po ciemku jeszcze dwanaście metrów. Wreszcie stanęła, a drzwi otworzyły się w betonowym korytarzu oświetlonym lampami fluorescencyjnymi.

Wsiedli i Djemma podążył za kierownikiem platformy. Zauważył, że tunel nie jest czworokątny, lecz owalny, jak łukowe rzymskie akwedukty, żeby łatwiej wytrzymał zewnętrzny napór skały i wody.

- Mokra tutaj - stwierdził na widok kałuż na podłodze i wilgotnych plam na ścianach.

- Beton jest porowaty, dopóki nie wyschnie - wyjaśnił kierownik. - Zabezpieczyliśmy go i wylaliśmy dwanaście metrów pod dnem morza, ale wciąż mamy przecieki. Ustaną za jakiś miesiąc.

Djemma miał taką nadzieję.

Szli dalej, aż dotarli do miejsca, w którym znajdowała się prowadząca w dół drabina.

Djemma zszedł po niej do kolejnego tunelu. Ten miał idealnie kolistą przekrój poprzeczny i taką średnicę, że zmieściłby się w nim mały samochód. Biegły tędy przewody elektryczne i rury z chłodziwem, a z trzech stron ciągnęły się jak okiem sięgnąć punktowe lampy diodowe i błyszczące metaliczne prostokąty.

Djemma wypatrzył Cochrane'a.

- Prawie pan skończył - stwierdził. - Cieszy mnie to bardziej, niż pan przypuszcza.

- Konstrukcja jest prawie gotowa - przyznał Cochrane. - Ale musimy ją jeszcze przetestować. A co do mocy, w tej chwili mogę zapewnić tylko sześćdziesiąt procent tego, czego pan chce.

- Pańskie niepowodzenia przestały mnie irytować - powiedział Djemma. - Przyzwyczailem się do nich. Słyszał pan o Diabelskich Wrotach w pobliżu Azorów?

- Tutaj dociera niewiele wiadomości - odrzekł Cochrane. - Ale akurat o tym słyszałem. To jakiś rodzaj występującego w stanie naturalnym nadprzewodnika.

Djemma skinął głową.

- Tak wynika z raportu. Mam tam ludzi. Uważam, że to będzie rozwiązanie.

Cochrane odłożył światłowodowy próbnik, którego używał, i otarł pot z czoła.

- Pan chyba nie rozumie. Właśnie zmagazynowaliśmy trzysta ton materiału, który dostarczył nam pański okręt podwodny. Nie mamy przestrzeni na nic więcej.

- Przestrzeni - powtórzył Djemma. - Interesujące, że użył pan tego słowa. Bo niepokoi mnie przestrzeń kosmiczna i to, co można stamtąd zobaczyć.

- O czym pan mówi? - zapytał Cochrane.

- O rosyjskim okręcie podwodnym, z którego usunęliśmy reaktory. Kazalem go rozmontować i pozbyć się części. Nie chcę, żeby ktoś go zauważył z satelity.

- Leży na boku piętnaście metrów pod powierzchnią przykryty siatką - odrzekł Cochrane. - I nikt go nie szuka. Rosjanie go sprzedali i nie obchodzi ich, co się z nim dzieje. A jedyne okręty podwodne, które interesują Amerykanów, to te z pociskami balistycznymi. Tylko pan i Gorszkow wiecie, dokąd trafił ten, a nawet Gorszkow nie ma pojęcia, co pan z nim robi.

- Niech pan dokończy demontaż - rozkazał Djemma. - I przestanie mi się sprzeciwiać, bo zdemontuję pana... kawałek po kawałku, co będzie bardzo bolesne.

Cochrane pokręcił głową.

- Mamy jedenaście roboczych łodzi podwodnych i czterdzieści skorupowych skafandrów, za mało, żeby robić jedno i drugie. Więc musi pan wybrać. Chce pan mieć dokończone linie celownicze czy przygotowany do recyldingu rdzewiejący okręt podwodny?

Djemma z trudem zapanował nad gniewem. Chciał mieć jedno i drugie, a także mniej bezczelnego i bardziej kompetentnego konstruktora niż Cochrane. Ale w sytuacji, gdy Amerykanie węszyli wokół „Kinjary Maru”, a Bank Światowy i pozostali kredytodawcy coraz natarczywiej zadawali pytania, nie miał czasu na jedno i drugie.

Uznał, że wrak okrętu podwodnego może zostać. Kiedy przystąpi do działania, przestanie mieć znaczenie, czy świat się o nim dowie czy nie. To będzie najmniejszy z jego problemów.

- Niech pan dokończy linie celownicze i emitory - polecił. - Waszyngton, Londyn, Moskwa, Pekin. Te cztery muszą być gotowe za tydzień, bo inaczej będziemy bezbronni.

Czekał na następną litanię narzekań i wymówek, ale ku swemu zdumieniu niczego takiego nie usłyszał.

- Będą gotowe - zapewnił Cochrane. - Obiecuję.

ROZDZIAŁ 26

Wschodni Atlantyk, 23 czerwca

Gamay Trout siedziała na małym krześle w izbie chorych „Matadora”. Na ramionach miała koc, a przed sobą kubek gorącej kawy bezkofeinowej. Lekarz okrętowy zabronił jej brać do ust prawdziwej przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Nie lubiła kawy bezkofeinowej, ale jakie to miało znaczenie? Teraz

nic nie miało dla niej znaczenia, z wyjątkiem mężczyzny, który leżał nieruchomo na szpitalnym łóżku.

Załoga „Matadora” wyловиła ją z wody pięć minut po tym,

jak się wynurzyła. W zapadającym zmroku nie widziała, żeby Paul wypłynął na powierzchnię.

Dwadzieścia minut później, po dwóch koszmarnie powolnych kursach poszukiwawczych, obserwator wypatrył go unoszącego się na falach. Paul nie próbował dawać żadnych sygna-

łów i utrzymywał się na wodzie tylko dzięki temu, że „mokry” skafander zapewniał mu dodatnią pływalność.

Przyniesiono go do izby chorych, gdzie ona trafiła wcześniej z powodu lekkiej hipotermii i niedotlenienia. Natychmiast oddzielono ich zasłoną, ale Gamay słyszała, jak się uwijają.

Ktoś zawołał „Brak tętna” i lekarz powiedział coś o wstrząsie kardiogennym.

W tym momencie nie wytrzymała i odciągnęła zasłonę. Jej mąż wyglądał jak duch. Gamay nie mogła na to patrzeć. Odwróciła się i rozplakała.

Teraz jako tako doszła do siebie i czuła się prawie normalnie. Paul nadal nie odzyskał przytomności. Leżał przykryty kocami z maską tlenową na twarzy i z podłączoną kroplówką, z której ciepły płyn skapywał do jego żyły. Miał zamknięte oczy i od ponad godziny nawet nie drgnął.

Obserwując go leżącego w zupełnym bezruchu, Gamay musiała stale sprawdzać monitor serca, aby sobie przypominać, że jej mąż żyje.

Ścisnęła jego dłoń; była w dotyku jak mokra glina. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek miał zimne ręce, nawet w najmroźniejsze dni w Nowej Anglii.

- Wróć do mnie - szepnęła. - Nie zostawiaj mnie, Paul. Proszę, nie odchodź.

Drzwi za nią się otworzyły i do pomieszczenia wszedł lekarz okrętowy Hobson Smith. Był tak wysoki, że musiał się schylać w drzwiach, miał siwe wąsy w stylu Fu Manchu, bystre spojrzenie i ciepły, niemal ojcowski sposób bycia. Nikt na pokładzie nie znał jego wieku, ale gdyby w NUMA obowiązywał limit lat pracy, to Smith od dawna byłby na zasłużonej emeryturze. Ku żalowi członków załogi, którzy ogromnie go lubili i traktowali jak dobrego wujka.

- Bez zmian? - zapytał.

- Nie rusza się - odparła Gamay. - Jego serce...

- Biję mocno - uspokoił ją lekarz. - Tętno ma dobre. Poziom tlenu we krwi też rośnie.

- Ale nadal jest nieprzytomny - powiedziała, niezdolna użyć słowa „śpiączka”.

- Owszem, na razie - przyznał Smith. - Ale Paul jest silny. Daj mu szansę wyzdrowieć.

Wiedziała, że lekarz ma rację, i orientowała się, że stan Paula się poprawia, ale tak bardzo chciała, żeby się obudził, uśmiechnął do niej i powiedział coś miłego.

Smith przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

- Wyciągnij rękę - polecił.

WyproMuwdia przedramię. Smith zmierzył jej ciśnienie, a potem sprawdził tętno.

- Tak jak myślałem - powiedział.

- To znaczy?

- Twoje oznaki funkcji życiowych też nie są najlepsze. Pogarszasz swój stan, martwiąc się o niego.

Westchnęła ciężko. Nie jadła i nawet niewiele wypila, odkąd stanęła na nogi. Ale obawiała się, że wszystko zwróci.

- Po prostu kompletnie nie rozumiem - powiedziała - jak to się stało, że wynurzyłam się o tyle szybciej od niego?

Smith milczał dłuższą chwilę, jakby się zastanawiał nad tym pytaniem.

- Mówiłaś, że cię popchnął? - rzekł wreszcie.

Skinęła głową.

- Gdy „Grouper” został zalany - wyjaśniła - Paul otworzył właz, wyciągnął mnie z kabiny i pchnął do góry. Odbiłam się od jego rąk jak od trampoliny, ale myślałam, że on jest tuż za mną. - Wzięła głęboki oddech, starając się opanować emocje. - W tym momencie batyskaf już opadał. Może pociągnął go ze sobą i Paul musiał pokonać wsysanie, zanim zdołał się wznieść.

- To na pewno miało znaczenie - stwierdził Smith. - Poza tym Paul jest cięższy, a że mężczyźni mają mniej tkanki tłuszczowej niż kobiety, ty miałaś o wiele lepszą pływalność. Nawet gdyby cię nie popchnął, wznosiłabyś się szybciej i dotarła na powierzchnię wcześniej niż on.

Gamay spojrzała na męża i pomyślała o ich wspólnym nurkowaniu w ciągu minionych kilku lat.

- Oprócz tego - dodał doktor - Paul zawsze mówił, że jesteś najlepszą pływaczką, jaką zna, więc musiał się z tobą ożenić i zrobić z ciebie prawdziwą Trout.

Uśmiechnęła się na wspomnienie tego żartu, który Paul stworzył chyba sto razy na przyjęciu weselnym. Wtedy ledwo mogła go słuchać, a teraz chciała, żeby Paul się obudził i powiedział go jeszcze raz.

- Powinien był popłynąć pierwszy - powiedziała cicho.

Smith pokręcił głową.

- Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie zostawiłby żony z tyłu. W każdym razie nie taki mężczyzna jak Paul.

- A co, jeśli zostawi mnie teraz? - spytała drżącym głosem. - Nie wiem, jak sobie poradzę sama.

- Jestem pewien, że nie będziesz musiała - odparł Smith. - Ale musisz przestać dręczyć się tym i zacząć myśleć o czymś innym. Dla twojego własnego dobra.

- A o czym niby mam myśleć? - zapytała trochę ostrzej, niż zamierzała.

Doktor podrapał się za uchem i wstał. Wyjął rękę Paula z jej dłoni i położył delikatnie na jego piersi. Potem wziął Gamay za rękę i zaprowadził do sąsiedniego pomieszczenia, laboratorium okrętowego.

- Z wraku ocalał jeszcze ktoś, o kim zapomniałaś - oznajmił z błyskiem w oczach. - Ma na imię „Rapunzel”.

Gamay rzeczywiście całkiem zapomniała o małym robocie. A chociaż „Rapunzel” nie był żywą istotą, ucieszyła się, że przetrwał i został wydobyty. W końcu uratował im życie.

- Wyłowili go - upewniła się.

- Tak - potwierdził Smith. - Razem z trzema próbkami.

Gamay zmrużyła oczy i popatrzyła na lekarza.

- Trzema?

- Z tkanką jednego z członków załogi, którą pobrałaś - odrzekł doktor i zapalił lampę fluorescencyjną, która oświetliła stół warsztatowy.

- To pamiętam - powiedziała Gamay - ale nie przypominam sobie, żebym pobierała jeszcze jakieś.

- Nie? - Smith wskazał gestem sąsiedni stół, na którym leżał odcinek stalowej liny. - „Rapunzel” trzymał to, kiedy dotarł na powierzchnię.

Lina, która nas więziła na dole, pomyślała Gamay. Przypomniała sobie, jak przecięła ją palnikiem acetylenowym „Rapunzela”, a potem skierowała robota w górę. Nie wysłała mu polecenia, żeby puścił linę.

- A trzecia próbka? - zapytała.

- To kawałek plastiku zaklinowany w korpusie „Rapunzela”. Odłamany trójkąt. Pewnie utkwiał w nim na pokładzie frachtowca, kiedy schodziła lawina.

Smith podszedł do liny i wskazał kilka poczerńiałych miejsc.

- Jak sądzisz, co to jest?

Gamay przysunęła się bliżej. Dotknęła czarnych śladów i wyczuła inną fakturę, jakby metal leżał na czymś tak gorącym, że zaczął się topić.

- Przypomina spawy punktowe - odparła.

- Mnie też - powiedział doktor. - Ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś spawał punktowo linę, i na pewno nie była do niczego przymocowana.

- Może to po palniku - zasugerowała.

Smith pokręcił głową.

- Obejrzałem nagranie wideo. „Rapunzel” przeciął linę jedynym szybkim ruchem. Przytrzymał ją chwytakiem i stopił palnikiem. Tego półmetrowego odcinka w ogóle nie dotknął.

Podniosła wzrok, zaintrygowana.

- Może kiedy Paul poczuje się lepiej, będziemy mogli...

- Gamay - przerwał jej Smith. - Ty to musisz zrobić.

- Nie bardzo mam ochotę.

- Dyrektor Pitt rozmawiał dziś rano z kapitanem - powiedział doktor. - Prosi, żebyś się tym zajęła. Wie, że jest ci ciężko, ale ktoś zadał sobie wiele trudu, żebyśmy się nie dowiedzieli, co zaszło na tamtym statku, i on chce wiedzieć dlaczego. To jedyny trop, jaki mamy.

- Dyrektor kazał ci pokazać mi to? - spytała zaskoczona.

Smith skinął głową.

- Znasz Dirka. Kiedy jest zadanie do wykonania...

Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, była naprawdę zła na Dirka Pitta. Ale w głębi duszy wiedziała, że szef ma rację. Szukanie ludzi, którzy wyrządzili krzywdę Paulowi, należało zacząć od ustalenia, komu mogło zależeć na zatopieniu frachtowca i dlaczego.

- Okej - zgodziła się, odsuwając emocje na bok. - Od czego zaczniemy?

Zaprowadził ją do mikroskopów.

- Przyjrzyj się próbkom plastiku.

Gamay pochyliła się nad pierwszym mikroskopem i spojrzała przez okular, mrugając, dopóki nie zaczęła wyraźnie widzieć.

- To są plastikowe wióry - wyjaśnił Smith.

- Dlaczego różnią się kolorem? - spytała.

- Bo to dwa rodzaje plastiku. Uważamy, że pochodzą z jakiegoś pojemnika. Ciemniejszy plastik jest dużo twardszy i gęstszy od jaśniejszego.

Przyjrzała się uważnie obu. O dziwo, twardy ciemniejszy plastik był miejscami odbarwiony i zdeformowany.

- Wygląda na to, że ciemniejszy plastik się stopił - powiedziała. - Jaśniejszy nie wygląda na uszkodzony.

- Też jestem tego zdania - odparł doktor.

Spojrzała na niego.

- Powinno być odwrotnie - zauważyła. - Jaśniejszy plastik, o mniejszej masie właściwej, powinien się topić w niższej temperaturze, a w tej samej miałby mniejszą zdolność pochłaniania ciepła bez deformowania się, bo zawiera mniej materiału.

- Jesteś w tym bardzo dobra, Gamay Trout - pochwalił Smith. - Na pewno nie chcesz pracować w laboratorium?

- Po tym, co się wydarzyło - odrzekła - może już tu zostać.

Uśmiechnął się i wokół jego oczu utworzyły się zmarszczki.

- Próbkę tkanki zostawiłeś na koniec - powiedziała Gamay.

- Bo jest najbardziej interesująca - odparł.

Przesunęła się do mikroskopu.

- Mogę?

- Proszę bardzo.

Popatrzyła zmrużonymi oczami przez okular, zrobiła powiększenie i wyregulowała ostrość. Zobaczyła struktury komórkowe, ale coś było z nimi nie tak.

- Co tu się stało?

- Ty mi powiedz, ekspertko od biologii morskiej - odrzekł Smith.

Przesunęła ognisko wzdłuż próbki.

- Te z prawej strony to komórki skórne. W większości wyglądają normalnie. Ale te z lewej... - pokręciła głową.

- Pobrałaś pięciocentymetrową próbkę rdzeniową z uda mężczyzny we wraku - wyjaśnił doktor. - Po prawej stronie masz komórki powierzchniowe, a te po lewej to komórki mięśniowe.

- Wyglądają dziwnie. Jakby eksplodowały od środka.

- Tak było. Im głębiej, tym większe zniszczenia. Na najwyższej warstwie naskórka nie widać żadnych uszkodzeń.

- Czy to mogło być oparzenie chemiczne? - zastanawiała się. - Może czymś, co wsiąkło w ciało, a potem zareagowało.

- Nie ma żadnych śladów - odparł Smith. - A każda substancja chemiczna na tyle silna, żeby to spowodować, zniszczyłaby naskórek, zanim wniknęłaby głębiej.

- Słusznie - przyznała. - Ale co innego mogło spowodować takie uszkodzenia?

- Co mogło spowodować to wszystko, takie pytanie musimy sobie zadać.

Usiadła prosto i odwróciła się do doktora.

- Jedną przyczyną. Trzy przypadki.

- Jeśli potrafisz wymyślić jedną rzecz, która będzie idealnie pasować...

Myśli zaczęły kłębić się w jej głowie, nie krążąc wokół beznadziej i bezradności, jak wtedy gdy siedziała przy Paulu, lecz jakby naprzód. Niemal czuła, jak synapsy budzą się i iskrzą niczym zapalające się jedno po drugim światła w ciemnym biurówcu.

- To wygląda jak uszkodzenie termiczne - stwierdziła. - Ale wysoka temperatura lub ogień zniszczyłoby powierzchnię warstwę naskórka.

- Dokładnie - zgodził się. - Powierzchniowa warstwa martwych komórek skórnych jest cienka i słaba, to właściwie tylko

powłoka służąca do zatrzymywania wilgoci wewnątrz i nieprzepuszczania niczego z zewnątrz.

Gamay odwróciła się z powrotem do mikroskopu i jeszcze raz spojrziała na komórki. Pomyślała o plastikowych wiorach pod mikroskopem obok. Co mogło zdeformować gruby, ciężki plastik bez stopienia cieńszego i lżejszego, pozostawić węglowy osad na metalu, jakby był spawany łukowo, i zniszczyć ludzką tkankę od wewnątrz?

Znów podniosła wzrok.

- Pani Nordegrun mówiła Kurtowi, że tuż przed utratą przytomności zobaczyła gwiazdy przed oczami.

Smith przejrzał notatki.

- Zgadza się. Cytuję jej słowa: „Nie chcę wyjść na wariatkę, ale to wyglądało jak miniaturowe fajerwerki wybuchające przed moimi oczami. Zdawało mi się, że coś widzę, ale kiedy zacisnęłam mocno powieki, to nie zniknęło”.

- Czytałam o kosmonautach na promie, którzy doświadczyli czegoś podobnego - powiedziała Gamay. - Widzieli wybuchające gwiazdy nawet wtedy, kiedy zamykali oczy.

Smith wyprostował się na krześle.

- Pamiętasz przyczynę?

Zastanawiała się chwilę, próbując sobie przypomnieć.

- Tak - rzekła wreszcie. - Byli na orbicie podczas rozbłysku słonecznego. Mimo osłony kwatery załogi część promieni o dużej energii przeniknęła do środka. Kiedy dotarły do pręcików i czopków w oczach, wywołały reakcje neurologiczne w postaci widzenia wybuchów gwiazd.

- To nie były zwykłe halucynacje?

- Nie. Widzieli te rzeczy tak jak ja teraz ciebie. Pręciki i czopki nadawały sygnał do mózgu.

Doktor Smith słuchał i kiwał głową w zadumie. Wstał, podszedł do mikroskopu i spojrział na próbkę tkanki.

- Kiedy służyłem w lotnictwie, pewnie zanim się urodziłaś, pewien młody człowiek wszedł przed jeden z naszych phantomów podczas testu radaru. To był jeszcze dzieciak, ja-

kiś miesiąc po unitarce. Nikt go nie zauważył. Na nieszczęście dla niego, tamten phantom, nazywany przez nas Dziką Łasicą, zaprojektowano do emitowania silnych impulsów radarowych i bombardowania ekranów wroga taką ilością sygnałów, że nie mogli wyłowić naszych maszyn na swoich wyświetlaczach.

- I co się stało?

- Chłopak krzyknął, osunął się na kolana i upadł płasko na ziemię. Sierżant natychmiast wyłączył radar i zabraliśmy biedaka do izby chorych, ale już nie żył. Co dziwne, nie miał gorącej skóry. Okazało się, że usmażył się od wewnątrz. Brzmi to makabrycznie, ale ugotował się jak potrawa w mikrofalówce. Byłem wtedy sanitariuszem, ale pamiętam, jak wyglądała jego tkanka pod mikroskopem. Bardzo podobnie do tej.

Gamay wzięła głęboki oddech, starając się nie myśleć o nieszczęsnym chłopcu i skoncentrować na naukowym dowodzie.

- A metal wygląda jak spawany łukowo - powiedziała.

- Otóż to - zgodził się Smith.

- Silne wyładowania mogą powodować przerwy w rezystancji w powietrzu i wypełnianie luk energią elektryczną - ciągnęła Gamay. - Spędziłam dość czasu z Kurtem i Joem, by wiedzieć, że właśnie na tym polega spawanie łukowe.

- Błyskawice będące dziełem człowieka - podsumował Smith. - Dlatego z paliwem i amunicją trzeba się obchodzić bardzo ostrożnie. Nawet ładunek elektrostatyczny może zapalić opary benzyny.

- Ślady na tej linii wyglądają na skutek działania czegoś znacznie silniejszego niż wyładowanie statyczne.

Doktor pokiwał głową z takim wyrazem twarzy, jakby miał własną teorię na temat tego, co się wydarzyło, i przypuszczał, że jest ona zgodna z jej wnioskiem.

- Lampy eksplodowały i wszystko przestało działać, nawet radiopławy alarmowe - podjęła. - Inaczej ktoś odebrałby sygnał SOS. Żona kapitana widziała gwiazdy, a członkowie załogi na wyższych poziomach usmażyli się od wewnątrz. W ten statek

trafił jakiś potężny impuls elektromagnetyczny. Musiał być niezwykle silny, skoro dokonał takich zniszczeń.

- Tysiąc emiterów radarowych ustawionych na pełną moc nie wyrządziłoby takich szkód - powiedział Smith.

- Więc to coś ma większą moc - stwierdziła.

Doktor przytaknął z posępną miną.

- Najwyraźniej.

- Czy warto brać pod uwagę coś występującego w stanie naturalnym? - zastanawiała się Gamay, myśląc o anomalii, którą Kurt i Joe badali kilkaset mil morskich na wschód.

Smith pokręcił głową.

- A czy to możliwe, że piraci przypadkiem zjawili się na frachtowcu akurat w odpowiedniej chwili? I że ktoś przypadkiem próbował zabić ciebie i Paula za to, że szukaliście wyjaśnienia?

Oczywiście, że nie, pomyślała.

- Więc to musi być broń. Wystarczająco potężna, żeby spalić stu pięćdziesięciometrowy frachtowiec.

Doktor uśmiechnął się ponuro.

- Zgadzam się z tobą. - Westchnął. - Jakby na świecie i bez tego nie było dość problemów.

Teraz ona zgadzała się z nim, ale nie mieli czasu na rozważania filozoficzne. Trzeba było działać.

- Muszę porozmawiać z Dirkiem - oświadczyła.

Smith skinął głową.

- Oczywiście. Będę czuwał nad Paulem.

ROZDZIAŁ 27

Waszyngton, 23 czerwca

Przez wielkie prostokątne okno swojego gabinetu na dwudziestym dziewiątym piętrze centrali NUMA Dirk Pitt mógł podziwiać panoramę Waszyngtonu: srebrzyste wody Potomacu, pomniki Lincolna i Waszyngtona oraz budynek Kapitolu, wszystkie jasno oświetlone po zmroku.

Tego wieczoru nie miał jednak czasu na kontemplowanie

wspaniałego widoku, bo właśnie uczestniczył w trójstronnej telekonferencji i wpatrywał się w monitor komputera.

W jednym rogu ekranu widział uśmiechniętą twarz Hiramya Yaegera, komputerowego geniusza NUMA. Yaeger, w skórzanej

kamizelce i z długimi siwiejącymi włosami związanymi w kucyk, wyglądał, jakby przed chwilą zsiadł z harleya.

Z drugiego rogu ekranu patrzyła na Pitta wymizerowana Gamay Trout. Rude włosy też miała związane, ale najwyraźniej niezbyt starannie, bo kiedy mówiła, co i rusz luźny kosmyk opa-

dał jej na oczy. Odgarniała go z twarzy tylko po to, by za chwilę znowu się zsunął.

Mówiła spokojnie i rzeczowo, wystarczyło jednak spojrzeć w oczy, by zdać sobie sprawę, jak bardzo się martwi. Dirk szczerze współczuł Gamay i zarazem podziwiał jej hart ducha.

Zdołała się zmobilizować i pomogła im zrobić duży krok naprzód w kierunku rozwiązania zagadki „Kinjary Maru”.

Oddanie pracy było w NUMA powszechne, ale najbardziej widoczne w najtrudniejszych sytuacjach.

Gamay przedstawiła wnioski, do jakich doszli ona i doktor Smith. Yaeger cały czas robił notatki, mrużąc sporadycznie „mhm” lub „okej”, a Dirk raz po raz zadawał jakieś pytanie, by mieć pewność, że wszystko dobrze zrozumiał.

Gdy Gamay skończyła mówić, zwrócił się do Yaegera:

- Będziesz mógł zrobić symulację?
- Myślę, że tak - odparł komputerowiec. - Wprawdzie będzie to do pewnego stopnia strzał w ciemno, ale da ci jakieś wyobrażenie.

- To mi nie wystarczy, Hiram. Chcę mieć pełny obraz.

- Postaram się - zapewnił Yaeger. - Ale póki co, jestem w stanie określić, jakiego rzędu moc może być potrzebna i jak ją osiągnąć. Nie dowiesz się wszystkiego, chyba że będziemy mieli więcej danych.

- Bierz się do roboty - polecił Pitt. - Założę się z tobą o skrzynkę piwa, że dostaniemy więcej danych, zanim skończysz pierwszą próbę.

- Kanadyjskiego? - spytał Hiram.

- Albo niemieckiego. Zwycięzca wybiera.

- Okej - zgodził się Yaeger. - Wchodzę w to.

Jego twarz zniknęła z ekranu i Dirk zwrócił się do Gamay:

- Nie będę cię pytał, jak się trzymasz. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że jestem z ciebie dumny.

Skinęła głową.

- Dzięki. I dziękuję, że kazałeś mi obejrzeć próbki. To mi pomogło... wrócić do równowagi.

Pitt uniósł brwi.

- Obejrzeć próbki? Nie wydałem takiego polecenia.

- Ale doktor Smith... - urwała i uśmiechnęła się pierwszy raz od wielu godzin.

- Zalecenia lekarza - domyślił się Pitt.

- Najwyraźniej część mojej terapii - odparła.

- Hobson to stary spryciarz - stwierdził Dirk, myśląc ciepło o lekarzu. - I naprawdę zna się na rzeczy. Jeśli ktoś rzeczywiście skonstruował taką broń, to musimy ją odszukać i zneutralizować, zanim zostanie ponownie użyta. Dzięki wam dwojgu mamy szansę.

- Jakiej pomocy możemy się spodziewać? - zapytała Gamay.

- Rozmawiałem już z admirałem. To znaczy z wiceprezydentem. Przedstawi sprawę prezydentowi i Kolegium Szefów Połączonych Sztabów. Na pewno bardzo ich to zainteresuje, ale co do zaangażowania się... Musimy znaleźć coś konkretnego, namacalnego. Na razie to tylko duch, który się pojawił i zostawił ślad. Trzeba go zmaterializować. Zrobiłaś już pierwszy krok.

Niesforny kosmyk znów opadł jej na twarz i założyła go za ucho.

- Doktor Smith i ja podejrzewamy, że załoga została zabita z powodu tego, co zobaczyła. Przeżyli atak elektromagnetyczny, więc musieli zginąć, a statek pójść na dno, żeby nic się nie wydało.

- To ma sens - przyznał Pitt. - Martwi nie zdradzają tajemnic.

- No właśnie. Ale uważam, że musiało być coś więcej. Skoro w nas wystrzelili torpedy, to dlaczego nie próbowali w ten sam sposób zniszczyć frachtowca? Byłoby to znacznie prostsze niż piracki atak i podpalenie statku.

Pitt pokiwał głową. Czasami więcej można wywnioskować z tego, co nie zostało zrobione, niż z tego, co zostało.

- Masz rację. To byłoby łatwiejsze niż abordaż.

- I szybsze - dodała.

- Więc dlaczego tak nie zrobili? - zastanawiał się Dirk.

- I dlaczego zaatakowali akurat ten statek?

Następne dobre pytanie, pomyślał Pitt. Odpowiedź wydawała się oczywista.

- Na tym statku było coś, co musieli zdobyć, zanim pójdzie na dno - powiedział. - I cokolwiek to było, ten, kto stał za atakiem, nie chciał, żeby świat się dowiedział, że zniknęło.

Gamay skinęła głową.

- Doszłam do takiego samego wniosku.

To tłumaczyło nie tylko nietypowy atak, ale również dziwne zachowanie Haruto Takagawy. Dyrektor naczelny Shokary był starym znajomym Dirka - a właściwie dłużnikiem, bo Pitt uratował mu kiedyś życie - ale choć wielokrotnie zapewniał, że zrobiłby wszystko dla niego i NUMA, nagle stał się bardzo trudno osiągalny.

Krótko po zatonięciu frachtowca Pitt zostawił mu wiadomość, lecz Takagawa nie oddzwonił. Było to zachowanie zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności, nie świadczyło jednak najlepiej o lojalności Japończyka wobec Dirka.

Kilka dni później, nie chcąc niczego zaniedbać, Pitt wysłał do nowojorskiego biura Takagawy dwóch pracowników NUMA po informacje, jakich zażądałaby Straż Przybrzeżna, gdyby statek poszedł na dno na amerykańskich wodach. Przede wszystkim po manifest okrętowy.

Zostali zatrzymani w holu, gdzie kazano im czekać całymi godzinami, a potem niemal ich wyrzucono. Pitt uznał to za afront i wpadł w gniew, ale do tej pory nie miał czasu się tym zająć. Teraz postanowił to załatwić.

- Musimy się dowiedzieć, co transportował „Kinjara Maru” - powiedziała Gamay.

Dirk skinął głową. Wiedział, co musi zrobić. Był tylko jeden sposób na poznanie prawdy.

ROZDZIAŁ 28

Wschodni Atlantyk, 24 czerwca

Joego Zawałę obudziło walenie w drzwi kabiny. Usiadł na koi i już chciał pobiec do drzwi, ale wtedy przypomniał sobie, że już nie jest w marynarce wojennej.

Walenie się powtórzyło.

- Kapitan chce cię zobaczyć na mostku - krzyknął ktoś.
- Powiedz mu, że zaraz tam będę - zawołał Joe, sięgając po spodnie.

Usłyszał kroki oddalającego się biegiem posłańca. Dopiero wtedy wyczuł, że „Argo” jest w ruchu. Statek nie skręcał, nie manewrował ani nie stał na kotwicy w pobliżu anomalii, lecz pruć fale, jakby się z czymś ścigał.

Joe włożył koszulę przez głowę, wsunął bosc stopy w adidasy, których nigdy nie rozsznurowywał, i wybiegł z kabiny.

Chwilę później był na mostku. „Argo” rzeczywiście płynął z pełną prędkością, dziób wznosił się i opadał na falach.

- Kapitanie. - Joe zameldował się do służby, choć formalnie nie należał do załogi.

- Gdzie na zielonej ziemi Boga lub błękitnych wodach Neptuna jest Austin? - warknął kapitan Haynes.

Zawała, jeszcze trochę zaspany, odparł szczerze:

- Pewnie ma o wiele przyjemniejsze przebudzenie niż ja.
- O czym ty mówisz? - zdziwił się kapitan.
- Jest na randce - wyjaśnił Joe.

- Na randce? - Haynes pokręcił głową. - Jak facet może mieć randkę pośrodku oceanu?

Joe podrapał się w głowę.

- Dobre pytanie. Chciałbym to wiedzieć, bo szczerze mówiąc, czuję się trochę samotny...

- Zawała! - ryknął kapitan. - To nie jest sen. Obudź się i skoncentruj. Z kim jest Austin?

Joe zastanawiał się przez chwilę, czy to jednak nie sen. Kapitan zachowywał się dziwnie. Kurt był dorosłym mężczyzną, a on zgłosił jego nieobecność oficerowi wachtowemu po wyjściu z zodiaka.

- Jest z Rosjanką, którą uratował z jednego z wraków - wyjaśnił. - Ta kobieta jest naukowcem i powiedziała Kurtowi, że ma informacje, które mogą go zainteresować.

- Kiedy zamierzał wrócić?

- No cóż, to pewnie miało zależeć od przebiegu randki... tato.

Kapitan przeszył Zawałę morderczym wzrokiem.

Joe wybuchnął śmiechem.

- Przepraszam - powiedział - ale poczułem się, jakbym słyszał mojego ojca, kiedy mój brat wziął bez pytania nasz samochód i nie wrócił przed godziną policyjną dla nieletnich. Co się stało? - spytał już poważnie.

Haynes opowiedział mu o ataku torpedowym na „Groupera”, o stanie Paula Trouta i o teorii, że na „Kinjarze Maru” użyto jakiejś broni elektromagnetycznej.

- Co teraz robi „Matador”? - zapytał Joe.

- Płynie pełną parą na zachód - odparł kapitan. - Jutro znajdzie się w zasięgu fregaty rakietowej naszej marynarki wojennej i Paul zostanie przetransportowany na okręt szpitalny.

- A dlaczego my zeszliliśmy z posterunku?

- Dyrektor uznał, że samotny pobyt tutaj to zbyt duże ryzyko. Skoro ktoś wziął na celownik „Matadora”, my możemy być następni. Jutro Pitt skontaktuje się z portugalską i hiszpańską admiralicją i spróbuje załatwić nam jakieś wsparcie. A na razie

mamy wejść do portu i nie opuszczać statku. Teraz rozumiesz, dlaczego martwię się o Kurta. Nie odbiera telefonu przez całą noc.

- Zawiadomiłeś lokalną policję?

Kapitan skinął głową.

- Tak, wiedzą, kim jest Kurt, jak wygląda i że go szukamy. Poinformowali nas, że tej nocy na zwykle spokojnej wyspie doszło do bójki, strzelaniny i pościgu samochodowego, wskutek którego dwa auta spadły z urwiska. Mężczyzna odpowiadający rysopisowi Kurta brał w tym udział, ale nie znaleziono jego ciała.

Dzięki Bogu, pomyślał Joe. Spojrzał przez przednią szybę sterówki i zobaczył światła Santa Marii.

- Będziemy w porcie za dwadzieścia minut - powiedział kapitan. - Chcę, żebyś odszukał Kurta. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Możesz użyć telefonu, flar albo wynająć samolot, który będzie krążył nad wyspą, ciągnąc za sobą baner z napisem „Kurcie Austin, zadzwoń do NUMA”. Po prostu go znajdź, zanim jeszcze coś pójdzie nie tak.

Joe skinął głową. Postanowił zacząć od namierzenia Rosjanki. Miał nadzieję, że w którymś z hoteli ktoś ją rozpozna.

Kiedy „Argo” mknął w stronę wybrzeża, Kurt i Katarina kierowali się ku Vila do Porto.

Mikrołot, przeznaczony do lotów w dzień przy dobrej pogodzie, miał nieoświetloną tablicę przyrządów i odkryty kokpit, więc choć nie przekraczał prędkości pięćdziesięciu węzłów, przemarzli do szpiku kości.

W dzień Kurt zszedłby niżej tak prędko, jak byłoby to możliwe, ale nocny lot wiązał się z różnymi niebezpieczeństwami. Pilotowanie takiej maszyny nocą w górach przypominało przechodzenie po ciemku przez nieznaną pokój, tyle że groziło czymś znacznie gorszym niż bolesne uderzenie o mebel.

Gdy Kurt zauważył na krętej górskiej drodze w dole światła samochodu, skręcił w ich stronę, bo wiedział, że szosa biegnie

przez przełęcz. Podążając za samochodem, mógł się trzymać drogi. Niestety auto okazało się szybsze od latającej kosiarki do trawy, którą kierował, i wkrótce blask reflektorów zniknął z widoku.

Na szczęście kilka minut później w ich polu widzenia pojawiły się światła Vila do Porto. Austin skierował się ku nim, wiedząc, że jeśli będzie je widział, żadna góra nie wyrośnie na jego kursie. Katarina też zauważyła światła.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedziała, szcękając zębami.

Kurt pomyślał o jej kusej czarnej sukience, bardzo seksownej, ale zdecydowanie nieodpowiedniej do lotu w temperaturze zaledwie kilku stopni powyżej zera.

- Bardzo zmarzłaś? - spytał.
- Do szpiku kości.
- Myślałem, że Rosjanie są przyzwyczajeni do mrozów.
- Owszem, ale zimą nosimy ciepłe palta i futrzane czapki.

Może masz jakąś dla mnie?

Roześmiał się na myśl o Katarinie w wielkiej futrzanej czapie.

- Niestety nie - odparł - ale mam inny pomysł. Przesuń się do przodu i obejmij mnie.

- Już traciłam nadzieję, że o to poprosisz.

Poczuł, że Katarina przywiera do niego i otacza go ramionami. Tak było o wiele cieplej i przyjemniej.

Lecieli przez ostatnie przełęcz, patrząc na widoczne w dole światła Vila do Porto. Miasto liczyło około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, ale w tej chwili wyglądało jak paromilionowa metropolia.

- Gdzie wylądujemy? - spytała Katarina.

Kurt zastanawiał się nad tym przez całą drogę. Za dnia mogłby bezpiecznie wylądować w wielu miejscach, bo mikro-lot potrzebował zaledwie sześćdziesięciometrowego pasa, żeby usiąść i się zatrzymać. W nocy nie było to łatwe, bo każdy nieoświetlony teren wyglądał tak samo. Myśląc, że schodzi ku

płaskiemu polu lub otwartej przestrzeni, Kurt mógł zahaczyć o drzewo czy słup telefoniczny albo, co gorsza, uderzyć w jakiś budynek.

Musiał wybrać jakiś rejon, gdzie jest jasno. Problem polegał na tym, że nad większością oświetlonych okolic ciągnęły się linie wysokiego napięcia. Nagle Kurt zobaczył widok, który wydał mu się tak wspaniały jak światła pasa startowego w międzynarodowym porcie lotniczym JFK: oświetlone boisko piłkarskie.

Sto dziesięć metrów płaskiej, równej trawy bez żadnych przewodów elektrycznych w górze i przeszkód po drodze. Idealnie. Skręcił w tamtą stronę i lekko opadł. Miał boczny wiatr, musiał więc skorygować kurs o trzydzieści stopni, żeby nie zdmuchnęło ich w głąb łądu.

Z wysokości stu pięćdziesięciu metrów zobaczył tłum wokół murawy, ale żadnych graczy na niej. Katarina przywarła do niego mocniej.

- Muszę odzyskać swobodę ruchów - powiedział.

- Przepraszam - odrzekła. - Nie lubię latania. Zwłaszcza startów i lądowań.

- Bez obaw - uspokoił ją. - To będzie bułka z masłem.

Chwilę później pożałował, że nie trzymał języka za zębami. Zobaczył, jak piłkarze wchodzą na boisko. Albo zaczynał się mecz, albo właśnie skończyła się przerwa.

Byli trzydzieści metrów nad ziemią i sto od krańca murawy. Ludzie na dole musieli ich słyszeć. Oczywiście, na odgłos nadlatującego samolotu niekoniecznie trzeba się zaraz rzucać do ucieczki. Kurt przewidywał, że lada chwila rzucą się do ucieczki.

Silnik zaczął się krtusić i przerywać.

- Nie mamy paliwa - oznajmił Kurt.

- Ląduj! - krzyknęła Katarina.

Szybował dalej, żałując, że to cholerstwo nie ma klaksonu.

- Szkoda, że nie wziąłem mojej wuwuzeli - zawołał.

Patrzył, jak zawodnicy ściskają sobie dłonie, a sędzia stoi pośrodku z nogą na piłce, gotowy do dmuchnięcia w gwizdek.

Silnik znów się zakrzuszył i Kurt opuścił dziób, żeby nabrać prędkości. Śmigło ponownie się rozkręciło i zobaczył, jak piłkarze patrzą w jego stronę. Ludzie na trybunach też się odwrócili.

Przeleciał nad kibicami. Prawe skrzydło zawadziło o maszt flagowy lub coś, czego nie zauważył. Rama się zgięła, prawa strona maszyny opadła i Kurt skontrował w lewo, niestety trochę za mocno.

Piłkarze puścili się pędem ku liniom autowym, gdy samolot z przerywającym silnikiem zszedł w oświetloną strefę.

Mikrołot uderzył w murawę i odbił się od niej. Omal nie przekoziolkował przez dziób, ale Kurt zdołał posadzić go na kołach pośrodku boiska, dokładnie na linii czterdziestu pięciu metrów.

Sięgnął do hamulca, pociągnął go i poczuł, jak mały samolot sunie poślizgiem po mokrej trawie. Ostatni gracz uciekł z drogi i mikrołot wpadł do bramki na przeciwnym krańcu boiska.

Śmigło znieruchomiało i samolot się zatrzymał.

Kurt spojrzął za siebie. Kibice, piłkarze, sędzia, wszyscy tylko się przyglądali w niesamowitej ciszy. Popatrzyli na niego i Katarinę, potem jeden na drugiego, w końcu na sędziego. Ten najpierw nie zareagował, a później podniósł wolno rękę, zagwizdał i krzyknął:

- Gool!

Tłum zawtórował mu chórem z rękami uniesionymi w triumfalnym geście, jakby to była bramka, dzięki której małeńkie Vila do Porto zdobyło mistrzostwo świata. Chwilę później piłkarze sięgali po Kurta i Katarinę, śmiejąc się i klaszcząc, gdy uwalniali samolot z siatki i wyciągali z powrotem na boisko.

Zawodnicy pomogli wysiąść pasażerom, po czym odprowadzili ich za linię autową.

Austin wyjaśnił sędziemu, co się stało, obiecał zapłacić za szkody i zapewnił, że wypożyczalnia zabierze jutro swój mikrołot.

Kiedy wznowiono mecz, Kurt i Katarina wyszli na ulicę i rozejrzeli się za postojem taksówek albo przystankiem auto-

busowym. Po chwili do krawężnika podjechał mikrobus z jakimś oznaczeniem.

- Chcemy się dostać do portu - powiedział Kurt.
- Mogę państwa zabrać - odparł kierowca.

Kurt otworzył drzwi. Katarina podeszła, żeby wsiąść, ale przystanąła i popatrzyła mu w oczy.

- To było naprawdę niesamowite - powiedziała.

Trzy razy o mało nie zginęli, jej wypożyczony samochód spadł z urwiska i spłonął, wciąż była prawie ścina z zimna, ale patrzyła na Kurta tak, jakby właśnie zafundował jej przygodę życia. Niesamowita kobieta.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Przywarła do niego, on otoczył ją ramionami i całowali się przez kilka sekund, aż wreszcie kierowca chrząknął znacząco.

Kurt wypuścił Katarinę z objęć.

- To miało mnie rozgrzać? - zapytała.
- Podziałało? - odparł z uśmiechem.
- Bardziej niż myślisz - zapewniła, odwróciła się i wsiadła do taksówki.

Poszedł w jej ślady i mały van ruszył w kierunku portu.

- Wiesz - powiedziała - jesteśmy najwyżej półtora kilometra od kwatery francuskiej ekipy.

- Naprawdę? - zainteresował się, pamiętając, co mówiła mu wcześniej. - Masz adres?

- Tak, to dom na plaży w Praia Formosa. Najbardziej luksusowa kwatera w mieście.

To pasuje do Francuzów, pomyślał Kurt.

- Jedziemy do Praia Formosa - polecił kierowcy.

ROZDZIAŁ 29

Nowy Jork, 24 czerwca

Ulice Manhattanu tętniły życiem w ciepły letni wieczór. Roilo się od pieszych, ludzi w samochodach i taksówkach, a nawet amatorów romantycznych przejażdżek powozami po Central

Parku. Zapadł zmierzch i miasto, które nigdy nie śpi, właśnie się zapełniało.

Dirk Pitt jechał taksówką do pewnej pięciogwiazdkowej restauracji. Światła latarni ustawionych wzdłuż Park Avenue

przesuwały się po lśniącej żółtej masce samochodu. Jedno po drugim, niczym ciche uderzenia serca.

Pitt wyobrażał sobie bicie serca Paula Trouta i modlił się, żeby pozostało mocne. Myślał też o Gamay, która czuwała przy

mężu, jakby samą siłą woli mogła sprawić, że odzyska przytomność.

Dirk chciał się zobaczyć z Takagawą, ale podejrzewał, że nie zostanie wpuszczony do jego gabinetu w siedzibie firmy, więc postanowił odszukać starego znajomego poza biurem. Do-

wiedziawszy się, gdzie Japończyk będzie tego wieczoru na kolacji, zamierzał go zaskoczyć na neutralnym gruncie.

Restauracja nazywała się Miyako i była bardzo popularna wśród miejscowych celebrytów. Wiezorami można tam było spotkać znanych bejsbolistów w towarzystwie równie popularnych supermodelek. W ekskluzywnym lokalu serwowano tradycyjne japońskie potrawy w ultranowoczesnym otoczeniu. Martini

i sake po dwadzieścia dolarów za kieliszek lały się strumieniami, a menu wypełniały takie tradycyjne przysmaki, jak jadowita ryba jeżkoksztalna, jelita strzykwy czy *uni*, czyli jeżowiec.

Haruto Takagawa miał jeść kolację ze swoim synem Renem, kilkoma członkami dyrekcji Shokary i dwoma szefami funduszu hedgingowego, planującymi zainwestować w jego ostatnie przedsięwzięcie.

Dirk nie liczył na to, że go zaproszą do stołu. Na wszelki wypadek wziął ze sobą małe przypomnienie o długu Takagawy.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku przed Miyako.

Pitt zapłacił kierowcy, wysiadł, wszedł do holu restauracji i się rozejrzał. Wysoka ściana, z której spływały kaskady wody, oddzielała główną jadalnię od prywatnych sal z tyłu. Gdy Dirk ruszył w tamtą stronę, zza rogu wyłonił się mężczyzna wyglądający na służbistę.

Zastąpił mu drogę i powiedział:

- Przepraszam, ale wszystkie miejsca są zarezerwowane.

I nie jest pan odpowiednio ubrany.

Pitt miał na sobie czarne spodnie z kantami jak brzytwa, smoking za osiemset dolarów i rozpiętą pod szyją koszulę za dwieście dolarów.

- Musi pan mieć krawat, żeby tu usiąść - wyjaśnił mężczyzna.

- Nie przyszedłem tu na kolację - odparł Dirk i prze-pchnąwszy się obok niego, ruszył przez główną salę w stronę ściany-wodospadu.

W mieście pełnym polityków, wpływowych osobistości i celebrytów Dirk Pitt był nieznany, ale zwracał na siebie uwagę. Co najmniej kilkunastu gości przerwało rozmowy, żeby na niego spojrzeć. Gdyby ich zapytano, skąd to zainteresowanie, mogliby odpowiedzieć, że ten anonimowy mężczyzna roztacza wokół siebie jakąś dziwną aurę, która sprawia, że po prostu chce się na niego patrzeć. Emanuje zdecydowaniem i pewnością siebie, a jednocześnie nie sprawia wrażenia aroganckiego czy zarozumiałego. Mieliby rację, bo Dirk był właśnie taki.

Gdy wszedł do prywatnej sali, zapadło milczenie. Zjawił się niespodziewanie i zaskoczył obecnych, jak zresztą zamierzał.

Uczestnicy kolacji jeden po drugim spojrzeli na niego. Takagawa, który siedział przy przeciwległym końcu stołu, podniósł wzrok ostatni. Miał taką minę, jakby zobaczył ducha. Na twarzach pozostałych biesiadników zdumienie szybko ustępowało miejsca irytacji.

Jeden z szefów funduszu hedgingowego wstał. Przy jego garniturze za pięć tysięcy dolarów ubranie Dirka wyglądało jak z lumpeksu.

- Kimkolwiek pan jest, znalazł się pan w niewłaściwym miejscu - oznajmił, podszedł do Pitta i wykonał gest, jakby chciał go wyprowadzić z sali.

Dirk nawet na niego nie spojrział, ale odezwał się tonem, który zabrzmiał niemal jak warknięcie:

- Jeśli pan mnie dotknie, to już nigdy nie policzy pan tą ręką pieniędzy.

Mężczyzna, najwyraźniej zszokowany, cofnął się bez słowa.

Zza stołu podniósł się syn Takagawy.

- Wzywam ochronę - zwrócił się do ojca.

Takagawa nie zareagował; wpatrywał się w Dirka, jakby był w transie. Pitt uznał, że najwyższy czas, by się ocknął.

Rzucił w jego kierunku dwudziestocentymetrowy kawałek metalu. Metal upadł z hałasem na stół, przesunął się po blacie i zatrzymał przed Takagawą.

Naczelny dyrektor Shokary wyciągnął ręce i ujął w dłonie pogiętą i poczerniałą od sadzy tabliczkę z napisem „Minoru”. Cyfry pod nazwą wskazywały tonaż.

- Ochrona, tu Ren, mam... - zaczął młodszy Takagawa, ale ojciec położył mu rękę na ramieniu i powstrzymał w pół zdania.

- Odłóż telefon, synu - polecił.

- Ten człowiek może być niebezpieczny - zaprotestował Ren. - Nie okazuje ci szacunku.

- Mylisz się - odparł Takagawa. - To ja nie okazałem szacunku jemu. Miał rację, że tu przyszedł i mnie znalazł. Mogę być tylko zawstydzony, jak owad chowający się pod kamieniem.

Z komórki Rena dobiegł czyjś głos:

- Tu ochrona. Potrzebujesz czegoś, Ren? Jesteśmy na zewnątrz.

Ren spojrzał pytająco na ojca, który znów popatrzył na metalową tabliczkę i wyjaśnił:

- Gdyby nie ten człowiek, zginąłbym w płomieniach trzydzieści lat temu, kiedy mój statek poszedł na dno. Nigdy nie zobaczyłbym twojej twarzy. Twoja matka urodziła cię, gdy byłem na morzu, i nie zrobiono ci jeszcze zdjęć.

Takagawa przyjrzał się uważnie osmalonej tabliczce. Dał ją Dirkowi w podzięcie za uratowanie życia jemu i reszcie załogi. Potem spojrzał na swoją prawą rękę. Spod mankietu wystawała blizna po oparzeniu. Dirk wiedział, że sięga ona prawie do ramienia.

- Wszystko gra? - zapytał ktoś przez telefon.

Ren uniósł komórkę do ust.

- Tak. Falszywy alarm. - Rozłączył się. Przez chwilę mierzył Pitta niechętnym spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok i skinął głową. - Przepraszam.

- Bronił pan ojca, nie ma za co przeproszać - odrzekł Dirk.

Ren Takagawa odsunął swoje krzesło, ustępując mu miejsce przy ojcu.

- *Arigato* - podziękował Dirk i usiadł.

Szefowie funduszu hedgingowego i inni członkowie grupy nadal byli zdezorientowani.

- To wysoce niestosowne - odezwał się jeden z nich.

- Zostawcie nas samych - poprosił Takagawa. - Mamy do omówienia coś ważniejszego niż interes.

- Posłuchaj, Haruto - zaczął mężczyzna siedzący naprzeciwko Dirka. - Nie wiem, o co chodzi, ale...

Spojrzenie Takagawy zamknęło mu usta, a potem wszyscy, jeden po drugim, wstali i wyszli, niektórzy mamrocząc coś gniewnie pod nosem.

- Porozmawiam z nimi - zaproponował Ren i dołączył do grupy.

Dwaj starzy znajomi zostali sami.

- Przepraszam, że tak musiało być - powiedział Dirk.

- Nie masz za co przeproszać - odrzekł Takagawa.

- Wiesz, czego chcę.

Japończyk skinął głową.

- Więc dlaczego po prostu nie dałeś tego moim ludziom? - zapytał Dirk.

Takagawa po raz pierwszy spojrzał mu w oczy.

- Przyszli po manifest okrętowy. Mogłem im go dać. Nie zrobiłem tego, bo wprowadziłby cię w błąd, a nie chciałem cię oszukiwać.

- Więc nie dałeś im nic.

Takagawa znów potwierdził skinieniem głowy.

- Wydawało mi się to uczciwe. Nie mówiąc nic, nie skłamałem. Owszem, miałaś powód do niepokoju, ale powiedzcie ci nieprawdę po tym, co dla mnie zrobiłeś... Nie mógłbym spojrzeć ci w oczy.

- Dlaczego coś przede mną ukrywasz? - spytał Dirk.

- Moja pozycja w Shokarze nie jest pewna. Zawsze ma się do czynienia z intrygami pałacowymi. Ujawnienie ci prawdy uraziłoby innych. Kto wie, czy firma nie zostałaby pociągnięta do odpowiedzialności. Być może twój rząd nałożyłby na nią sankcje.

Pitt nawet nie mrugnął. Potrzebował wyjaśnienia. W tym momencie nie obchodziły go kłopoty Shokary.

- Posłuchaj, Haruto - zaczął. - Trzech moich ludzi ucierpiało, gdy próbowali przeszkodzić w porwaniu twojego statku. Dwie następne osoby zaatakowano, kiedy zaczęliśmy dochodzenie. Mój człowiek jest teraz w śpiączce, a jego żona się modli, żeby przeżył. Wybacz, że będę szczery, ale jest mi obojętne, jakie problemy to stwarza. Jeśli jesteś tym, za kogo cię uważam, to wiesz, że czas przemówić.

Takagawa spojrzał na zdeformowaną metalową tabliczkę, a potem na Dirka. Milczał długą chwilę, zanim się odezwał.

- Być może ocaliłeś mnie dwa razy - szepnął.

Powiedziawszy to, sięgnął po neseser u swoich stóp i położył go płasko na stole. Otworzył zamki, uniósł wieko i wyjął z neseseru teczkę na akta.

- Tu są informacje, których szukasz - rzekł, podając ją Dir-kowi.

- Co w niej znajde? - zapytał Pitt.

- Prawde.

- To znaczy?

- Ładunek „Kinjary Maru” był przeznaczony dla Hongkongu. Większość stanowiły standardowe materiały, ale wśród nich znajdowało się trzysta ton niefigurującego w manifeście YBCO z zawartością tytanu.

- Co to jest YBCO? - spytał Dirk.

- Mieszanka itru, baru, miedzi i tlenu - wyjaśnił Takagawa. - To złożony związek chemiczny, nadprzewodnik wysokotemperaturowy. Opracowano już nowszą, bardziej zaawansowaną wersję, która może zawierać tytan i peptydy żelaza: wersję Ti. To najsilniejszy nadprzewodnik, jaki kiedykolwiek stworzono.

- Najsilniejszy? Co masz na myśli?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć, jestem tylko starym marynarzem. Ale na pewno masz ludzi, którzy będą wiedzieć. Informacje na ten temat są w tej teście.

Pitt postanowił pokazać akta Hiramowi Yaegerowi, gdy tylko wróci do biura.

- Dlaczego bałeś się powiedzieć mi o tym? - spytał.

- Bo to nie jest związek chemiczny występujący w stanie naturalnym. Powstaje w laboratoriach. Wersję Ti opatentowała pewna amerykańska korporacja i - co ważniejsze - jest to tajna technologia. Jej transfer do innych krajów jest nielegalny. Transportując ten materiał naszym statkiem do Hongkongu, Shokara naruszyła prawo.

Pitt zaczął rozumieć. Rywalizacja ekonomiczna między Stanami Zjednoczonymi i Chinami od dawna powodowała

rozmaite konflikty. Pod adresem Pekinu wysuwano zarzuty, najczęściej uzasadnione, że chiński rząd i firmy wolą szpiegostwo gospodarcze i kradzież niż uczciwe badania. Ani USA, ani Chiny nie byłyby zadowolone, gdyby się dowiedziały, że ten związek chemiczny płynął do Hongkongu. Ale oba kraje potrzebowały siebie nawzajem, więc najlepszym kozłem ofiarnym byłby przewoźnik: Shokara.

- Dlaczego wplątałeś się w coś takiego? - zapytał Pitt. - Ten kraj wyjątkowo ci sprzyjał.

- O niczym nie wiedziałem, dopóki „Kinjara Maru” nie poszedł na dno - odparł Takagawa.

Dirk mu wierzył; wyczuwał, że Japończyk uważa tę sprawę za powód do wstydu.

- Moim zdaniem frachtowiec zaatakowano, żeby coś ukraść - powiedział. - Najbardziej prawdopodobnym celem wydaje się YBCO.

- Jest warte więcej niż jego waga w złocie - przyznał Takagawa.

- Wiesz coś o ludziach, którzy napadli na twój statek? - spytał Pitt. - Może słyszałeś jakieś pogłoski?

Takagawa pokręcił głową.

- Gdzie załadowaliście ten związek chemiczny? - dążył Dirk.

- We Freetown w Sierra Leone.

Dirk był we Freetown dziesięć lat temu, kiedy NUMA konsultowała projekt pogłębiania farwaterni. Chociaż w kraju panował wtedy bałagan, Freetown należało do najbardziej ruchliwych portów Afryki Zachodniej.

Z tego, co słyszał, sytuacja znacznie się poprawiła pod autokratycznymi rządami prezydenta Djemmy Garanda, ale Sierra Leone bez wątpienia nie było centrum najnowocześniejszej techniki.

- Mógł pochodzić stamtąd? - zapytał.

Takagawa znów pokręcił głową.

- W Sierra Leone są kopalnie wielu minerałów, ale, jak już mówiłem, YBCO nie wydobywa się spod ziemi.

- Więc Freetown było punktem przerzutowym - stwierdził Pitt.

- Na to wychodzi - zgodził się Takagawa. - Furtką. Transportuje się coś do kraju, który może legalnie przyjąć ładunek, a on wysyła go do strony trzeciej bez naruszania swojego prawa. Potem ta trzecia strona wysyła trefny towar do Rosji, Chin czy Pakistanu.

- Orientujesz się, kto jest kupcem?

- Zaprzeczę temu, ale masz to w teczce. Choć teraz to już bez znaczenia. Nie dostali tego, za co zapłacili.

Umysł Dirka pracował na najwyższych obrotach, odrabiając zaległości.

- A co ze sprzedawcą?

Takagawa pokręcił głową.

- Nie jest mi znany.

Dirkowi nie podobał się powstający obraz.

- Muszę cię poprosić o przysługę - powiedział.

- Nie mogę zrobić nic więcej.

Pitt popatrzył na niego.

- Wielu członków twojej załogi zginęło w płomieniach, Haruto.

Takagawa przymknął oczy i lewą ręką dotknął prawego nadgarstka, pokrytego bliznami.

- Szukasz ich? - spytał.

- Właśnie zamierzam zacząć - odparł Dirk.

- Więc dostarczę ci wszystko, co uda mi się zdobyć.

Pitt wstał i skłonił lekko głowę.

- Dziękuję, Haruto. Obiecuję, że to nie pójdzie dalej.

Takagawa odwzajemnił ukłon, ale nie podniósł wzroku, jakby nie miał śmiałości spojrzeć na Dirka. W końcu Pitt odwrócił się, żeby odejść.

- Jestem ciekaw - odezwał się Japończyk - czy nadal masz tamte piękne samochody. Ja też teraz takie kolekcjonuję.

Dirk zatrzymał się i odwrócił z powrotem.

- Tak, mam je. I kilka nowych.

- Którym dziś przyjechałeś? - spytał Takagawa z lekkim uśmiechem, zapewne wspominając, jak dyskutowali o samochodach podczas ucieczki z piekła trzydzieści lat temu.

- Żadnym - odparł Pitt. - Wziąłem taksówkę.

Japończyk wydawał się rozczarowany.

- Szkoda.

- Ale któregoś dnia - powiedział Dirk - wybrałem się moim duesenbergiem roadsterem na przejażdżkę.

Takagawa rozpromienił się, jakby na myśl o Pitcie za kierownicą luksusowego auta zrobiło mu się ciepło koło serca.

- Pewnie w piątek - rzekł.

Dirk potwierdził skinieniem głowy.

- To był ładny dzień, w sam raz na jazdę.

ROZDZIAŁ 30

Kurt Austin otworzył przesuwane drzwi mikrovana i wysiadł na ulicę przed Praia Formosa. Podał rękę Katarinie, pomógł jej wyjść z samochodu i zapłacił kierowcy.

- Chce pan dodatkowo zarobić? - spytał.

Twarz kierowcy się rozpromieniła.

- Jasne.

- Niech pan skręci za róg - polecił Kurt - i zaczeka na nas na końcu przecznicy ze zgaszonymi światłami.

Austin trzymał w ręku banknot studolarowy. Przedał go na pół i jeden kawałek wręczył kierowcy.

- Jak długo mam czekać? - zapytał mężczyzna.

- Dopóki nie wrócimy - odparł Kurt.

Kierowca skinął głową, wrzucił bieg i odjechał.

- Nie narażamy go na niebezpieczeństwo? - spytała Katarina.

Kurt był pewien, że zgubili ogon.

- Nic mu nie grozi - rzekł z przekonaniem. - Nam też nie.

Chyba że Francuzi zechcą walczyć o próbkę, którą pobrali.

- To nie w stylu Francuzów - powiedziała.

- Który to dom? - spytał Kurt, zauważywszy kilka willi wzdłuż pasa piasku.

- Tędy. - Odwróciła się i zesła z nierównego chodnika na trawę.

Kurt spojrzał na jej gołe stopy.

- Musimy ci skombinować jakieś buty - stwierdził.

- Albo pozbyć się twoich i wybrać na spacer plażą - odparła z uśmiechem.

To brzmiało bardziej zachęcająco niż budzenie grupy naukowców i oskarżanie ich o kradzież.

Doszli do żółtej willi i Katarina się zatrzymała.

- To tutaj - oznajmiła.

Kurt zapukał do drzwi.

Cisza.

Zapukał jeszcze raz i znowu żadnej reakcji.

Dom był ciemny. Nie paliły się nawet zewnętrzne światła.

- Jesteś pewna, że to ta willa? - zapytał Kurt.

- Ubiegłej nocy wyprawili tu przyjęcie - odrzekła Katarina. - Wszyscy przyszli.

Kurt zapukał kolejny raz, a potem zacząć łomotać w drzwi, nie zważając, że może obudzić sąsiadów. Kiedy się tak dobijał, lampa zewnętrzna rozbłyskiwała na moment przy każdym uderzeniu jego pięści.

Dziwne, pomyślał.

Przestał walić w drzwi i skupił uwagę na lampie. Sięgnął do kinkietu i wymacał żarówkę. Była obłuzowana. Obrócił ją i zaświeciła. Dokręcił ją do oporu.

- Bawisz się w konserwatora? - zagadnęła Katarina.

Kurt uniósł dłoń, uciszając ją. Przykucnął i przyjrzał się ościeżnicy. Dostrzegł wyżłobienia i rysy wokół zamka. Zły znak.

- Co jest? - spytała szeptem Katarina.

- Ktoś sforsował zamek - wyjaśnił. - Odkręcili żarówkę, żeby nikt ich nie zobaczył przy robocie. Stara złodziejska sztuczka.

Sprawdził drzwi. Okazały się zaryglowane.

Ruszył w stronę rogu domu. Katarina za nim.

- Zostań tu - polecił.

- Nie ma mowy - odparła.

Nie miał czasu na kłótnię. Przekradł się obok żywopłotu z tropikalnej bugenwilli i skręcił za róg. Na tyłach willi był duży taras. Kurt poszedł tam i zajrzał do środka przez przesuwne szklane drzwi.

Zobaczył tylko ciemność.

Wyważenie drzwi z przewodnic i otworzenie ich zajęło mu zaledwie trzy sekundy.

- Byłeś włamywaczem? - szepnęła Katarina.

- Umiejętności z czasów szalonej młodości - odszepnął. -

A teraz proszę cię, zostań tutaj.

- A jeśli ktoś znów zacznie cię dusić, a mnie tam nie będzie, żeby cię uratować?

Kurt pomyślał, że nigdy nie zapomni tamtej chwili. Skinął głową i wśliznął się do domu, Katarina tuż za nim. Od razu się zorientował, że coś jest nie tak. W środku panował bałagan.

Katarina nagle skrzywiła się, wydała cichy jęk i opadła na czworaki.

Kurt przycupnął obok niej.

- Co jest? - spytał.

- Szkło - odparła i wyciągnęła odłamek ze stopy.

- Daj mi dwie minuty - poprosił.

Tym razem została na miejscu.

Kurt przeszukał resztę willi i wrócił z ponurą miną.

Zapalił światło w salonie. Pokój wyglądał jak po przejściu tornada: kanapy poprzewracane, szafki pootwierane, rzeczy porozrzucane. Lampa, najwyraźniej strącona ze stołu, roztrzaskała się i podłogę zaścierały kawałki szkła.

- Musimy wezwać policję - oświadczył Kurt. Rozglądając się w poszukiwaniu telefonu, dostrzegł parę japonek przy drzwiach. Podniósł je i wręczył Katarinie.

Wsunęła stopy w klapki, a on wreszcie zlokalizował telefon.

Podniósł słuchawkę. Nie było sygnału. Znalazł gniazdko w ścianie i zobaczył, że przewód jest wyrwany. Gniazdko wyglądało na uszkodzone, musiał więc poszukać innego. Poszedł do kuchni.

- Co tu się stało? - zastanawiała się Katarina.

- Francuski zwyczaj mówienia za dużo zemścił się na nich - odpowiedział Kurt. Znalazł drugie gniazdko telefoniczne

blisko zlewu. Wetknął w nie przewód, usłyszał sygnał i zaczął wybierać numer.

Kiedy czekał, aż ktoś odbierze, zobaczył otwartą szufladę. Sztucce, wśród nich groźnie wyglądający nóż do krojenia mięsa, wysypały się z niej na podłogę. Francuzi najwyraźniej się bronili.

Kurt podniósł wzrok i zauważył, że Katarina przeszła przez salon, a teraz stoi w drzwiach drugiego pokoju i sięga do środka, jakby chciała zapalić światło.

- Nie rób tego - ostrzegł.

Za późno. Włącznik pstryknął i w pokoju zrobiło się jasno.

Katarina zatchnęła się i odwróciła. Kurt odłożył słuchawkę i podbiegł do niej, bo wyglądała, jakby miała zemdleć.

Wtuliła twarz w jego pierś.

- Nie żyją - wykrztusiła stłumionym głosem.

- Przykro mi - rzekł. - Nie chciałem, żebyś to zobaczyła.

W pokoju leżały cztery ciała, rzucone bezceremonialnie pod ścianę jak śmiecie. Jednego z Francuzów podziurawiły kule, ślady na szyi drugiego wskazywały, że został uduszony. Dwaj pozostali byli częściowo zasłonięci, ale Kurt rozpoznał mężczyznę, którego dwa dni wcześniej wydobył z głębin.

Katarina drżała w ramionach Kurta jak osika i miała zamknięte oczy. Objął ją i poprowadził do salonu. Postawił przewróconą kanapę i posadził na niej roztrzęsioną kobietę.

- Muszę wezwać policję - powiedział.

Skinęła głową w milczeniu, niezdolna wydobyć z siebie głos.

- Jak policja może jeszcze o tym nie wiedzieć? - zdołała po chwili wykrztusić.

- To pewnie stało się szybko - odparł Kurt z nadzieją, że zamordowani Francuzi nie cierpieli długo. - Napastnicy zaskoczyli tych ludzi i prawdopodobnie mieli broń z tłumikami.

- Ale dlaczego? Dlaczego ktoś miałby...

- Żeby zdobyć próbkę rdzeniową, która może być bardzo cenna. O ile rozumiem, mogła być wręcz bezcenna, dlatego tu

jesteśmy, kiedy Hiszpanie i Portugalczycy ustalają, do kogo należy skalna wieża i w jakim procencie. Ci faceci byli na tyle zuchwali, że pobrali ją nielegalnie, i na tyle nierozsądni, że się tym chwalili.

- Za dużo wypili - powiedziała Katarina. - Mężczyźni lubią się przechwalać, kiedy są wstawieni.

Podczas oczekiwania na śledczych i koronera Kurt rozejrzał się po pokoju ze sprzętem w poszukiwaniu próbki. Znalazł długie prostokątne pudełko wyłożone pianką, otwarte i puste. Domyślił się, że próbka była w środku.

Wreszcie zjawiła się policja. Po godzinnym przesłuchaniu Kurt i Katarina zostali zwolnieni.

- Co teraz zrobisz? - zapytała Rosjanka, kiedy wyszli z wili i ruszyli w stronę ulicy.

- Muszę się skontaktować z moim statkiem - odparł Austin. Spojrzał w kierunku portu i zaskoczyło go to, co zobaczył.

- Mam radio na trawlerze - powiedziała. - Możesz z niego skorzystać.

- Nie będzie potrzebne.

Zaskoczona tymi słowami, podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- To mój statek - wyjaśnił Kurt. - Ten oświetlony jak choinka.

Zaczął się rozglądać w nadziei, że któryś z gliniarzy podwiezie ich do portu, i zobaczył znajomego minivana, który właśnie nadjeżdżał. Rozpoznał okrągłą uśmiechniętą twarz kierowcy.

- Myślałem, że policja nigdy was nie wypuści - powiedział mężczyzna, zatrzymawszy się. - Gotowi?

Kurt uznał, że dwie godziny czekania to aż nadto, żeby zarobić sto dolarów. Wyjął z kieszeni drugą połówkę banknotu i wręczył kierowcy.

- Gotowi - odparł.

ROZDZIAŁ 31

Katarina czekała na mostku, a Kurt siedział w kabinie konferencyjnej z kapitanem Haynesem i Joem Zavalą i relacjonował wydarzenia minionego wieczoru, łącznie z makabrycznym odkryciem w plażowym domu francuskiej ekipy.

Gdy skończył, Haynes powiedział mu o ataku na „Groupe-ra”, o ciężkim stanie Paula i o teorii Gamay, że przeciwko „Kinjarze Maru” użyto jakiejś broni energetycznej.

- Czy chodzi o coś w rodzaju programu SDI? - spytał Kurt, mając na myśli Inicjatywę Obrony Strategicznej. - O jakąś broń, którą można zestrzeliwać pociski raketowe?
- Niestety nie wiemy - odparł Zavalą. - Ale to możliwe.
- A dlaczego wybrano na cel przypadkowy frachtowiec na środku Atlantyku?

Zanim Joe zdążył odpowiedzieć, rozbłysła kontrolka interkomu i oficer łącznościowy oznajmił:

- Telefon do pana, kapitanie. Dyrektor Pitt.
- Daj go na głośnik - polecił Haynes.

Głośnik zatrzeszczał, po czym rozległ się głos Dirka Pitta:

- Wiem, że u was jest bardzo późno, ale mam nadzieję, że nikt jeszcze nie śpi.
- Nie - przyznał kapitan. - Właśnie rozmawiamy z Kurtem.
- Przed chwilą zadałem pytanie, które mnie nurtuje od początku tej sprawy - odezwał się Kurt. - Dlaczego wzięto na celownik masowiec na środku Atlantyku? To było zwykłe piractwo czy test tej broni elektromagnetycznej?

- Chyba znam odpowiedź - rzekł Dirk. - Kiedy spytałem Hiramę Yaegera, który właśnie bada wymaganą moc i możliwości takiej broni, co byłoby potrzebne do jej stworzenia, odparł krótko: „Więcej”.

- Więcej? - zdziwił się Kurt. - Więcej czego?

- Wszystkiego - odparł Pitt. - Więcej energii, materiałów i pieniędzy. Więcej niż można łatwo zdobyć. „Kinjarę Maru” wybrano na cel ataku prawdopodobnie z powodu ładunku YBCO z zawartością tytanu. To wysoce zaawansowany, piekielnie drogi związek chemiczny używany do produkcji niewiarygodnie silnych magnesów nadprzewodzących.

- A te magnesy mogą być wykorzystane do skonstruowania broni energetycznej - domyślił się Kurt. - Dokładnie takiej, z jakiej według Gamay trafiono frachtowiec.

- Właśnie - potwierdził Dirk. - Magnesy nadprzewodzące są niezbędne do uzyskania każdej energii o wysokim napięciu. Zwykle przy wysokim poziomie energii magnesy wytwarzają za dużo ciepła, ale nadprzewodniki przekazują ją bez powodowania rezystancji.

- Wygląda na to, że ktoś zaadaptował tę technologię do celów wojskowych - wtrącił Joe.

- Yaeger też tak uważa - powiedział Pitt. - A wyniki prowadzonych przez Gamay badań próbek z „Kinjary Maru” są prawie jednoznaczne.

- Żadnych domysłów, kto za tym stoi? - zapytał Kurt.

- Na razie nie - odrzekł Dirk. - Może jakieś ugrupowanie terrorystyczne albo jakiś awanturniczy kraj. W zeszłym roku walczyliśmy o pewną broń biologiczną z chińską triadą, więc wszystko jest możliwe.

- A gdyby pójść tropem pieniędzy? - podsunął Austin. - Skoro ten związek chemiczny jest taki drogi, musi być jakaś dokumentacja zakupu.

- Zajmujemy się tym - zapewnił Pitt. - Jak dotąd, zdołaliśmy ustalić, że masowych zakupów różnych materiałów nadprzewodzących dokonywało kilkadziesiąt firm i wszystkie

okazywały się fikcyjne. Zupełnie jakby ktoś próbował zmonopolizować rynek najlepszych nadprzewodników.

Kurt spojrział na Joego, potem na kapitana.

- Problem w tym - ciągnął Dirk - że wszystkie te fasadowe spółki działają jako filie innych podstawionych korporacji. Środki pochodzą z nieznanymi źródłami, a kupiec związa interes natychmiast po sfinalizowaniu transakcji. Trudno o jakikolwiek punkt zaczepienia. Wszystko wydaje się całkowicie legalne. Ludzie dostają zapłatę, tak jak powinni, więc nikt nie podnosi alarmu. Nie ma na to mądrego, przynajmniej na razie.

- Jeśli ktoś monopolizuje rynek, to po co miałby cokolwiek kraść? - spytał Kurt.

- YBCO z zawartością tytanu to najlepszy nadprzewodnik, jaki istnieje - wyjaśnił Pitt. - Może efektywnie działać w polu o sile do dziewięciuset tesli.

- Co to właściwie jest tesla, oprócz wspaniałej kapeli rockowej z lat dziewięćdziesiątych? - zapytał Joe.

- Jednostka indukcji magnetycznej - wyjaśnił Dirk. - Nie będę was zanudzał szczegółami, powiem tylko, że możliwości nadprzewodników stosowanych w japońskich pociągach lądowych kończą się na czterech teslach. Skoro więc cztery tesle mogą unieść pociąg, to dziewięćset może unieść dwieście dwadzieścia pięć pociągów. Całkiem sporo, prawda?

Kapitan Haynes pokiwał głową i westchnął.

- Typowy wyścig zbrojeń - skomentował. - Jeśli konstruuje się jakąś broń, to chce się mieć najpotężniejszą wersję, jaka może istnieć.

Kurtowi nadal coś wydawało się bez sensu.

- Skoro wszystko było tajne - myślał na głos - to skąd piraci wiedzieli, że YBCO jest na tamym frachtowcu?

- Mimo tajemnicy - odparł Pitt - wiedzieli o tym trzy strony.

- Kupiec, sprzedawca i spedycja - wyliczył Austin.

- A kto z tej trójki miał powód, żeby zatopić statek i stworzyć pozory, że materiał przepadł? - spytał retorycznie Dirk.

- Oczywiście sprzedawca - odrzekł Kurt, uświadamiając sobie, do czego Pitt zmierza. - Dostali dobrą cenę, załatwili

dostarczenie materiału nadprzewodzącego Chińczykom, a potem napadli na statek i zabrali ładunek z powrotem.

- Diabelnie chytre - stwierdził Haynes. - Ale czy na pewno dobrze kombinujemy?

- Mam manifest okrętowy „Kinjary Maru” - odpowiedział Pitt. - A także dziennik kapitana i notatki nadzorca załadunku, które są przesyłane elektronicznie do centrali Shokary, kiedy ich statki opuszczają port. Przeczytałbym je wam, ale akurat prowadzę, więc ograniczę się do przekazania suchych faktów.

- Frachtowiec zawiął do Freetown w Sierra Leone trzy dni przed zatonięciem - zaczął. - Wziął standardowy ładunek różnych rud dla Chin, a potem dostał polecenie pozostania w porcie dwa dni i zaczekania na jeszcze jedną dostawę.

- YBCO - domyślił się Kurt.

- Zgadza się - potwierdził Pitt. - Kiedy transport w końcu przyszedł, zdarzyło się kilka rzeczy na tyle dziwnych, że kapitan odnotował je w dzienniku okrętowym. Po pierwsze, załadunku dokonali nie dokerzy, ale grupa białych i czarnych mężczyzn, którzy, zdaniem kapitana, „przypominali żołnierzy lub członków jakiejś organizacji paramilitarnej”.

- Słyszałem, że w Sierra Leone najemnicy przejęli kopalnię i czerpią z nich zyski - wtrącił Kurt.

- To prawda, ale YBCO się nie wydobywa - odparł Dirk. - Poza tym przywódca grupy upierał się, żeby YBCO umieścić gdzie indziej niż rudy, w specjalnej klimatyzowanej ładowni. Żądanie wydało się nadzorczy załadunku dziwaczne i bezsensowne, próbował więc protestować, tamten jednak nie ustąpił.

- O co mu chodziło? - zapytał Joe. - Czy temperatura ma wpływ na YBCO?

- Nie - zaprzeczył Pitt - ale na „Kinjarze Maru” była tylko jedna klimatyzowana ładownia.

- Co ułatwiło znalezienie i wyładunek YBCO - powiedział Kurt.

- Na to wygląda.

- Więc sprzedawca jest również piratem - podsumował Haynes.

- I ten pirat ma broń energetyczną - dodał Kurt. - Co oznacza, że sprzedawcy YBCO - ci sami ludzie, którzy napadli na statek - konstruują broń przy użyciu tego materiału. Więc to oni muszą monopolizować rynek.

- Ciekawe, co planują - zastanawiał się kapitan.

- Właśnie - rzekł Pitt. - Kimkolwiek są, potrzebują tak dużo materiału do swoich celów, że są gotowi zaryzykować rozniewanie Chińczyków i zdemaskowanie, byleby zdobyć tyle YBCO, ile się da. Łącznie z tym, co już sprzedali.

- Być może to tłumaczy ich obecność na Santa Marii - zasugerował Kurt. - Raz już się starłem z jednym z nich, z tym samym facetem co na frachtowcu. Nie wiem, kto zabrał próbkę rdzeniową i zamordował francuską ekipę, ale dam głowę, że to wszystko się ze sobą wiąże.

- Przecież widzieliśmy eksplozję ich łodzi - przypomniał Haynes. - Nawet znaleźliśmy kilka ciał.

- Kilka pionków do odstrzału - odparł Kurt. - Reszta pewnie wyskoczyła za burtę przed wybuchem i zostawili frajerów na łodzie.

- Ale przecież w pobliżu nie było żadnego statku ani helikoptera, który mógłby ich zabrać - nie ustępował kapitan. - A na pewno nie popłynęli do Afryki wplaw.

- Fakt - przyznał Kurt. - Ale Paul i Gamay zostali zaatakowani pod wodą. To znaczy, że ci ludzie mają jakiś okręt podwodny.

- Więc musiał być jakiś statek-baza - zauważył kapitan. - Terrorysty z okrętem podwodnym. Koniec świata.

- Morskie głębiny kryją wiele tajemnic - powiedział Pitt. - Wiemy, że pół tuzina chińskich okrętów podwodnych powinno trafić na złomowisko, a zamiast tego zniknęły. Są też różne modele na sprzedaż i prywatnie budowane jednostki.

- Nie mówiąc o rosyjskich tajfunach, które przerobiono na transportowce - dodał Kurt. - Mieliśmy z takim do czynienia w zeszłym roku.

- I co najmniej jednego z nich wciąż brakuje - przypomniał Dirk.

- Coraz lepiej - mruknął kapitan.

- Tak więc - podsumował Kurt - ci bandyci mają okręt podwodny, być może tajfuną przerobionego na transportowiec, dysponują jakąś zabójczą bronią elektromagnetyczną, która może człowieka usmażyć, zanim się zorientuje, co się dzieje, i są gotowi zaryzykować zdemaskowanie i gniew Chińczyków, żeby zdobyć więcej materiału. A skalna wieża, uważana przez nas za występujący w stanie naturalnym nadprzewodnik, nie jest przez nikogo pilnowana.

- Stół został nakryty - stwierdził Pitt. - Myślisz, że przyjdą na kolację?

- Tak, jestem przekonany, że nie zdołają się oprzeć - odparł Kurt.

Haynes skinął głową.

- To ma sens. Pozbyli się nas stamtąd, pokazując swoje możliwości przeprowadzenia ataku.

- I wiedzą o tym - powiedział Kurt, pewien, że zobaczyli „Argo” w porcie tak jak on.

- Jutro po południu będzie tam portugalska fregata z bronią przeciwpodwodną - oznajmił Pitt.

- Przypuszczam, że o tym też wiedzą - rzekł Kurt. - To daje im dwanaście godzin na działanie.

Zapadła cisza, gdy wszyscy zaczęli rozważać implikacje.

Pitt przerwał milczenie.

- Tajfuny przerobione na transportowce mogą przewozić piętnaście tysięcy ton ładunku w dawnych przedziałach rakietowych - powiedział.

- A skoro trzydzieści ton YBCO było warte zatopienia statku, to jakie jest prawdopodobieństwo, że firma zainteresowana większą ilością przegapi taką darmową zdobycz jak ta? - spytał retorycznie Austin.

Znów zapanowało milczenie. Nawet w głośniku słychać było tylko ciche tło białego szumu.

- Jeśli mają tajfuna - odezwał się Dirk po dłuższej chwili - to musieliby tylko wyciąć kawałki ściany i wrzucić je do przedziału raketowego jak na wywrotkę. Ale postawmy sprawę jasno. Nie wiemy, czy go mają.

Kurt skinął głową ze zrozumieniem. Joe zerknął na niego i zapytał:

- A gdybyśmy wiedzieli, że go mają, co byśmy z tym zrobili?

Kurt rozważył słowa przyjaciela. „Argo” nie poradziłby sobie z uzbrojonym w torpedy tajfunem z załogą złożoną z wyszkolonych najemników.

- Joe ma rację. Nie możemy narażać statku - powiedział kapitan. - Dopóki nie zjawią się siły morskie, musimy się trzymać z daleka od tych ludzi bez względu na to, co zamierzają. Nie mamy innego wyjścia.

Austin wiedział, że Haynes ma rację, ale zabrzmiało to dla niego jak kapitulacja. Musiał być jakiś sposób na powstrzymanie ich. Zerknął przez szybę w drzwiach kabiny konferencyjnej na Katarinę. Siedziała na mostku z kurtką NUMA na ramionach i popijając kawę z plastikowego kubka, rozmawiała z jednym z członków załogi. Kurt wpadł na pewien pomysł.

- A gdybyśmy nie próbowali im przeszkodzić? - powiedział. - Możemy się tam wybrać, ukryć wśród wraków i zacząć na nich. Gdy się pokażą, znajdziemy dobry moment na przycięcie im nadajnika do kadłuba. W ten sposób będziemy mogli wytropić ich bazę i zostawić resztę wojskowym.

Kapitanowi i Joemu pomysł się spodobał. Pitt milczał.

- Dyrektorze? - zagadnął Haynes.

- To duże ryzyko - odrzekł Dirk. - Łatwiej ściągnąć patrole z bronią przeciwpodwodną w samolotach stacjonujących na lądzie.

- Tylko ich wystraszą - sprzeciwił się Kurt. - Nie dowiemy się, kim są i skąd przyплыли.

- A jak chcesz się tam dostać bez wzbudzania podejrzeń? - zapytał Pitt. - Będą się czegoś spodziewać od chwili, kiedy opuścicie port.

Kurt uśmiechnął się i spojrział na Zawalę.

- Weźmiemy „Barracudę”.

ROZDZIAŁ 32

Wyspa Santa Maria, V«la do Porto, 24 czerwca

Po zakończeniu narady Joe Zavala poszedł do warsztatu mechanicznego „Argo” popracować nad nadajnikiem na tyle solidnym, aby nie odpadł od kadłuba okrętu podwodnego przy prędkości dwudziestu pięciu węzłów, i jednocześnie na tyle małym, żeby nie został zauważony. Obiecał dokonać tego cudu w godzinę.

Kapitan kazał wyciemnić „Argo” do normalnego stanu, a potem skontaktował się z lokalną policją. Poprosił o przysłanie dwóch samochodów i zaparkowanie ich z włączonymi kogutami na nabrzeżu. Miał nadzieję, że radiowozy odwrócą uwagę ewentualnych obserwatorów od statku, kiedy „Barracuda” będzie opuszczana do wody.

W tym czasie Kurt odprowadził Katarinę na koniec nabrzeża, skąd miał ją zabrać samochód.

- Twój opiekun - powiedział, żeby nie użyć słowa „prowadzący”.

- Nie jestem szpiegiem - zaprzeczyła z naciskiem - ale przez całe życie wydaje mi się, że ktoś mnie obserwuje.

- Jak sobie z tym radzisz?

- Przyzwyczaiłam się. Ale nie wyobrażasz sobie, jak trudno było pójść na randkę w Turynie.

Roześmiał się.

- A ten facet to kto?

- Major Siergiej Komarow.

Zapewne z FSB, uznał Kurt i chyba po raz pierwszy w życiu pomyślał ciepło o oficerze rosyjskiego wywiadu.

- Uważaj na siebie - poprosił. - Trzymaj się blisko Siergieja i dokładnie zamykaj drzwi. Jestem prawie pewien, że ci ludzie mają teraz ważniejsze sprawy na głowie, ale nigdy nic nie wiadomo. Wiedzą, że ich widziałas, nawet jeśli to było z daleka i w słabym świetle.

- Będę ostrożna - obiecała.

- Zdradzisz mi, dlaczego nurkowałeś do wraku constellation?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Majorowi mogłoby się to nie spodobać.

- W porządku, może jutro lub pojutrze - odparł.

W jej oczach pojawił się wyraz smutku.

- Przecież wiesz, że rano wyjeżdżamy. Możemy się już nigdy nie spotkać.

- Nie licz na to. Zawsze chciałem odwiedzić Rosję jako turysta. Może uda mi się przyjechać w zimie i kupić jedną z tych wielkich futrzanych czap.

- Odwiedź mnie - zaproponowała. - Obiecuję, że nie zmarzniesz nawet bez czapki.

Przyjechał samochód.

Siergiej wysiadł, nie gasząc silnika, i stanął przy drzwiach. Katarina pocałowała Kurta na pożegnanie i skinąwszy głową majorowi FSB, zajęła miejsce obok kierowcy. Rozległ się trzask zamykanych drzwiczek i po chwili samochód ruszył.

Pół godziny później Kurt i Joe płynęli „Barracudą” przez atramentowoczarne wody Atlantyku do podwodnej wieży ze skały magnetycznej. Dotarli na miejsce po niecałych dwóch godzinach.

- Nie mam nic na sonarze - powiedział Zavala.

- Gdyby już tu byli, prawdopodobnie słyszałbyś hałas jak w czynnej zwirowni - odparł Austin. - Jeśli zaplanowali wziąć

dużą ilość materiału, powinniśmy też coś zobaczyć. Włącz reflektory.

Joe spełnił polecenie i podwodny mrok rozproszyły długie, wąskie snopy żółtawego światła. Kurt patrzył z podziwem na cementarzysko wraków. Nurkował kiedyś w lagunie Truk, gdzie podczas jednej z bitew drugiej wojny światowej amerykańska flota zatopiła sześćdziesiąt japońskich okrętów i strąciła ponad dwieście samolotów. W Diabelskich Wrotach wraków było mniej, ale znajdowały się na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, więc widok naprawdę robił wrażenie.

- Zaczajmy się przy starym liberty - zaproponował Joe. - Będziemy tam prawie niewidoczni.

Kurt spojrział na plan rozmieszczenia wraków, sprawnie doprowadził „Barracudę” nad kawałek piasku tuż przy wielkim statku i zszedł w dół. Kiedy zajmował pozycję obok zatopionego statku z wielką dziurą w burcie, miał dziwne wrażenie, że jest maleńkim gupikiem w ogromnym akwarium.

- Zgaś światła - polecił.

Joe przestawił kilka przełączników i „Barracuda” pogrążyła się w całkowitej ciemności.

- Ile mamy powietrza? - spytał Austin.

- Na dziesięć godzin - odparł Zawała.

- Pozostaje nam tylko czekać - stwierdził Kurt i usadowił się wygodniej.

Cztery godziny później obudziło go klepięcie w ramię. Postanowili spać na zmianę po dwie godziny. Spróbował się przeciągnąć, ale uderzył głową w osłonę kokpitu, a potem kolaniem w panel przed sobą. Miał nadzieję, że Joe obudził go z powodu przybycia ich gości.

- Coś się dzieje? - spytał.

- Owszem - potwierdził Zawała. - Słońce wzeszło.

Kurt uniósł głowę. Z góry docierała odrobina blasku, ale na dole panował nieprzenikniony mrok. Jedyne światło, jakie widział, emitowała fosforyzująca tarcza jego zegarka nurkowego,

który wskazywał siódmą rano. Na powierzchni musiało być już zupełnie jasno.

Znów spróbował się przeciągnąć i znowu bez powodzenia.

- Gdy następnym razem będziesz projektował jakąś łódź podwodną, postaraj się nie zapomnieć o niewielkiej przestrzeni na głowę - powiedział.

- Załatwione - obiecał Zavala.

- To jest gorsze niż lot klasą ekonomiczną do Australii.

- Racja - zgodził się Joe. - Tam przynajmniej serwują orzeszki ziemne.

- Właśnie - mruknął Kurt i pomyślał, że mogli to lepiej zaplanować. Nie przewidział, że będą musieli tak długo czekać. Obawiał się raczej, że po dotarciu na miejsce zastaną zabójców już przy pracy, co bardzo by im utrudniło lub wręcz uniemożliwiło wykonanie zadania. - Nie rozumiem tego. Powinni wykorzystać każdą minutę, żeby wydobyć tyle materiału, ile zdołają. Odbierasz coś z hydrofonów?

- Nie.

- Na pewno?

- Mam te słuchawki na uszach już tak długo, że chyba stopiły się z moim mózgiem - odparł Joe. - Ale nie słyszę nic poza kilkoma rybami, które pływają w pobliżu i się parzą.

- Naprawdę słyszysz, jak się parzą?

- To brzmi jak rytmiczna muzyka w tle, ale dobrze wiem, co one robią.

Kurt pomyślał, że zbyt długie siedzenie w samotności i nasłuchiwanie odgłosów morza padło jego przyjacielowi na mózg. Przetarł oczy i zamrugał kilka razy. Za długo to trwa, uznał.

- Nie zjawia się - orzekł. - Włącz światła.

- Jesteś pewien?

- Tak. Teraz nie mieliby po co przyplływać, ledwo zdążyliby cokolwiek wydobyć, mieliby zniknąć. To tyle, jeśli chodzi o mój wspaniały pomysł.

Joe włączył światła pozycyjne i oświetlenie tablicy przyrządów.

Kiedy ich wzrok przyzwyczaił się do słabego blasku, zapalił reflektory i okolica przybrała znajomy żółtozielony kolor.

- Nic się nie zmieniło - stwierdził Kurt, na wpeł się spodziewając, że wieży ze skały magnetycznej już nie ma. Nadal majaczyła w oddali jak monolit.

Spojrzał w prawo na wrak liberty obok nich. Dziura zięjąca poniżej linii wodnej wydawała się śmiertelną raną, która przesądziła o losie statku. Zastanawiał się przez moment, czy drobnicowiec zatonął podczas drugiej wojny światowej, jak okręty w lagunie Truk. Nie, uznał, nie mógł być taki stary, pokrywało go tylko trochę narośli, jakby spoczywał na dnie najwyżej parę lat.

Kurt popatrzył w drugą stronę na sąsiednie wraki. Dostrzegłszy szczątki dwusilnikowej cessny, przypomniał sobie, co Katarina mówiła o constellation. Tamten samolot zbudowano z aluminium, metalu nieżelaznego, obojętnego na magnetyzm, a leżał na skraju podwodnego cmentarzyska. Cessna była znacznie bliżej magnetycznej wieży. Ciekawe dlaczego?

Za szczątkami cessny spoczywał wrak kutra rybackiego. Trawler miał około trzydziestu metrów długości. Kurt nie widział go dobrze ze swojej pozycji, ale pamiętał, że przepływali nad nim w czasie pierwszego rozpoznania. Przypomniał sobie również, że na kutrze było jeszcze mniej narośli niż na statku liberty obok nich.

Zastanawiał się, czy to skutek oddziaływania magnetycznego. Na niektórych współczesnych statkach używa się słabych ładunków elektrycznych, żeby algi nie obrastały kadłubów, więc może bliskość podwodnej wieży dała taki sam efekt.

Odwrócił się z powrotem do liberty obok nich, spojrzał na dziurę zięjącą w jego burcie i wtedy go olśniło.

- Jestem idiotą - powiedział. - Kompletnym idiotą.

- Przez grzeczność nie zaprzeczę - odparł Joe. - Ale skąd ta nagła samokrytyka?

- Jak mogliśmy być tacy głupi? - wymamrotał Kurt, puszczając przytyk mimo uszu.

- Mamy w tym dużą praktykę - rzekł Zavala.

- A wiesz, w czym jeszcze? - spytał Kurt i od razu odpowiedział: - W wyciąganiu statków z głębin i posyłaniu ich na dno. Ile statków zatopiłeś w ramach programu budowy sztucznych raf?

- Co najmniej pięćdziesiąt, jeśli liczyć wszystkie z ostatnich dziesięciu lat.

- Ja niewiele mniej. A jak je zatapiamy?

- Rozmieszczamy ładunki wybuchowe poniżej linii wodnej, żeby zrobić dziurę w kadłubie.

- Spójrz na uszkodzenia tego statku.

Główne reflektory „Barracudy” już się świeciły, ale Joe włączył dodatkowo szperacz i skierował go na dziurę w burcie liberty. Od razu zorientował się, o co chodziło Austinowi.

- Stalowe płyty są wygięte na zewnątrz - powiedział.

- Ktoś zatopił ten statek - stwierdził Kurt.

- Niekoniecznie - rzekł Joe. - To mogła być eksplozja wewnętrzna. Przecież nie wiemy, co on przewoził. Może jakieś materiały wybuchowe. Poza tym, gdy my zatapiamy statek, dziura w kadłubie jest znacznie mniejsza.

- Bo chcemy, żeby statek zatonął wolno, osiadł na kilu i utworzył ładną rafę - odparł Kurt. - Ale gdybyś chciał zatopić coś szybko i tak, żeby nikt tego nie zobaczył, podłożyłbyś więcej ładunków i dziura była właśnie taka.

Włączył napęd i skierował „Barracudę” najpierw w stronę trawlera, a potem leżącego za nim frachtowca. Oba statki miały takie same uszkodzenia jak liberty.

- Na wszystkich trzech jest najwyżej roczna narośl - powiedział Austin. - Statki nie toną tu od wieków. Poszły na dno w tym samym czasie.

- Jak mogliśmy tego nie zauważyć? - zastanawiał się Joe.

- Byliśmy zajęci pilnowaniem naukowców. Wszyscy koncentrowali się na skalnej wieży i nikt nie przyjrzał się dokładnie samemu wrakom.

Kiedy zajęli pozycję na wprost dziury ziejącej w kadłubie trzeciego wraku, Kurt zmusił swój zmęczony umysł do złożenia tego w całość.

- To wszystko jest mistyfikacją.

- Prawdopodobnie - zgodził się Joe. - Ale kto to zrobił? I po co?

Kurt był pewien, że obaj znają odpowiedź na pierwsze pytanie. Nie potrafił jednak odgadnąć celu. Przebiegł w myślach wypadki ostatnich dni, szukając jakiegoś związku. Czuł, że nadchodzi coś groźnego jak potężny sztorm, przed którym nie można uciec. Zarazem jednak wydawało mu się, że ta mistyfikacja jest kompletnie bez sensu. Jeśli stali za nią ci sami ludzie, którzy zaatakowali „Kinjarę Maru”, to co mogli zyskać, zatapiając przypadkowe statki? Nie zdobyli w ten sposób ani potrzebnych materiałów, ani więcej pieniędzy. Wręcz odwrotnie - mistyfikacja z Diabelskimi Wrotami wymagała ogromnego wysiłku i musiała kosztować majątek.

- Niektórym ugrupowaniom terrorystycznym zależy na rozgłosie - spekulował Zavała, który najwyraźniej miał podobne wątpliwości. - Ale przecież są lepsze sposoby na przyciągnięcie uwagi mediów.

Joe miał rację. Po pierwszych doniesieniach o podwodnym cmentarzysku reporterzy przestali się nim interesować. Na Santa Marii pozostali tylko eksperci od magnetyzmu i nadprzewodnictwa.

Kurt zrobił gwałtowny wdech, gdy uzmysłowił sobie prawdę.

- Naukowcy - powiedział. - Oni są im potrzebni.

Ludzie, którzy potrzebowali więcej wszystkiego, mieli na swojej liście także specjalistyczną wiedzę, zastawili więc pułapkę, aby ściągnąć ekspertów z całego świata. On zaś miał nadzieję, że jeszcze jej nie zatrasnęli.

Chwycił za ster, pchnął przepustnicę i skierował dziób „Bararudy” w górę. Musieli jak najszybciej dotrzeć na powierzchnię i ostrzec naukowców.

ROZDZIAŁ 33

Kilka godzin wcześniej, krótko po tym, jak Kurt i Joe zajęli pozycję obok wraku liberty, Katarina Łuska pakowała walizkę pod czujnym okiem Siergieja Komarowa.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, dowództwo FSB postanowiło zawiesić operację.

- Słyszałem, że zawarła pani bliską znajomość z Amerykaninem - powiedział major z wyraźną dezaprobatą.
 - Nie tak bliską, jak bym chciała - odparła Katarina.
 - Nie przyjechała tu pani w celach towarzyskich - przypomniał jej Komarow.
 - Wiem o tym - zapewniła - ale ten Amerykanin nadzorował strefę nurkowania, więc pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli mnie polubi.
- Major zmierzył ją wzrokiem i uniósł kąciki ust w lekkim uśmiechu.
- Dobra odpowiedź - pochwalili. - Nawet jeśli nieszczerza.
- Komarow nie jest taki zły, pomyślała Katarina. Bardziej jak starszy brat niż Wielki Brat.
- Rozległo się pukanie do drzwi.

Major poszedł otworzyć, sięgając do kabury pod marynarką.

Na korytarzu stali dwaj mężczyźni. Niski i ciemnowłosy trzymał małą lunetę, a jego wyższy towarzysz metalową rurę, oszronioną na wierzchu i wyposażoną z boku w akumulator.

Niższy przyłożył lunetę do judasza w drzwiach i popatrzył przez nią.

- Widzę ruch - oznajmił. - Mężczyzna. Trzy sekundy.

Cofnął się i jego miejsce zajął ten z rurą. Oparł jej koniec o drzwi na wysokości piersi.

- Tak? - zapytał major Komarow. - O co chodzi?

- Teraz - powiedział niższy mężczyzna.

Jego towarzysz nacisnął przycisk. Rozległo się buczenie, a potem głuchy odgłos i wokół końca rury przywierającego do drzwi posypały się drzazgi. Było to minidziałko szynowe zasilane przez magnesy nadprzewodzące i uzbrojone w kilogramowy metalowy kolec, który po naciśnięciu przycisku wylatywał z tulei z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, wystarczającą aż nadto do przebicia drzwi i ciała rosyjskiego majora.

Mężczyzna z minidziałkiem dał krok do tyłu i kopnął w resztki drzwi. Rozpadły się jak domek z kart.

Katarina usłyszała hałas i podniosła wzrok. Przez pokój szybowały odłamki drewna. Major zatoczył się, przyciskając dłonie do brzucha, z którego sterczał kawałek metalu przypominający grot włóczni. Na jego białej koszuli rosła plama krwi. Komarow jęknął i wolno osunął się na ziemię. W tym momencie rozległo się kopnięcie w drzwi.

Katarina zareagowała błyskawicznie. Rzuciła się w kierunku majora i sięgnęła po broń pod jego marynarką. Wyszarpnęła pistolet z kabury, odbezpieczyła i odwróciła się w stronę drzwi.

But trafił ją w twarz, zanim zdążyła strzelić. Przewróciła się ogłuszona ciosem, a chwilę później poczuła kogoś na sobie.

Napastnik jedną ręką wytrącił jej pistolet z dłoni, a drugą przycisnął do twarzy szmatę nasączoną chloroformem. Katarina straciła przytomność.

ROZDZIAŁ 34

Kiedy „Barracuda” mknęła ku powierzchni, Kurt nie przestawał zżymać się na własną głupotę. Pochopnie wyciągnął wnioski, założywszy, że to on i „Argo” są celami tych szaleńców, a przecież było oczywiste, że przedstawiają niewielką wartość.

On i Joe musieli jak najszybciej dotrzeć na powierzchnię,

żeby skontaktować się przez radio z „Argo”, który stał w odległym o trzydzieści mil morskich porcie na Santa Marii.

Pomyślał o zamordowanych Francuzach i uzmysłowił sobie, że zostali zabici, a nie porwani prawdopodobnie dlatego, że podjęli walkę z napastnikami. Zapewne wszyscy pozostali naukowcy będą mieli identyczny wybór: walka albo uległość.

Większość się podda, ale niektórzy spróbują się przeciwstawić i zginą.

Martwił się o Katarinę. Miał nadzieję, że ona i jej opiekun z FSB są już na lotnisku i wchodzą do samolotu.

- Dwanaście metrów - zawołał Joe.

Kurt trochę cofnął przepustnicę. Wynurzenie z pełną prędkością groziło wyskokiem w powietrze i przewróceniem łodzi podwodnej.

Wypoziomował i płynnie przebili powierzchnię.

- Nadawaj - polecił Zavalı.

Nie musiał tego mówić. Usłyszał dźwięk przestawianych przełączników i wysuwającej się anteny.

- „Argo”, tu „Barracuda” - Joe zaczął wywoływać statek. -

Zgłoś się. Mamy pilną wiadomość do przekazania.

Gdy czekali na odpowiedź, Kurt starał się utrzymać „Barracudę” w stabilnej pozycji. Mała łódź, która pod wodą spisywała się znakomicie, na powierzchni radziła sobie znacznie gorzej.

Po chwili z głośnika dobiegł głos kapitana Haynesa. Najwyraźniej czuwał całą noc, niepokojąc się o rezultat ich operacji.

- Joe, tu kapitan - powiedział. - Mamy pewien problem. Próbowaliśmy...

Rozległ się ostry trzask i na osłonie kokpitu pojawiły się wgłębienia i rysy. Jakiś cień sunął ku nim z lewej. Następny trzask. Tym razem Kurt zobaczył dziurę w lewym skrzydle. Zrozumiał, że ktoś do nich strzela.

Dodał gazu i skręcił w prawo.

Obejrzał się za siebie i zobaczył pędzącą motorówkę. Płynęła prosto na nich, jakby chciała ich przeciąć na pół.

Nie miał wyboru. Opuścił dziób i się zanurzyli. Woda trysnęła z otworów w osłonie kokpitu. Łódź przemknęła z rykiem nad nimi, usłyszeli głośny huk i „Barracudą” szarpnęło w bok.

Kurt spojrzał w prawo. Winglet służący za ster kierunku został oderwany. Smukła miniłódź podwodna zaczęła zwalniać.

Pociągnął drążek. „Barracuda” wzniosła się, przebiła powierzchnię, podskoczyła na fali i opadła z powrotem.

- Pospiesz się - powiedział Austin do Zawali.

- Kapitanie, jesteś tam? - spytał Joe.

Kurt zobaczył, że motorówka zawraca ku nim szerokim tułkiem. Za nią ukazała się druga, która też pędziła w ich stronę. Nie wiedział, czy zdołają uciec, ale wiedział, że muszą dokończyć nadawanie. Usłyszał, jak Zawała włącza mikrofon, ale nie było żadnego sprzężenia, żadnych zakłóceń.

- „Argo”, tu „Barracuda” - powiedział Joe. - Celem są naukowcy. Powtarzam, celem są naukowcy.

Czekali kilkanaście sekund, ale radio milczało.

- Brak odpowiedzi - oznajmił Joe.

Kurt odwrócił głowę, żeby kazać mu spróbować jeszcze raz, i zobaczył rufę „Barracudy”. Antena wysokiej częstotliwości

zniknęła, a metalowe poszycie kadłuba wyglądało tak, jakby je posiekala śruba przepływającej łodzi.

Motorówki pruły prosto na nich, jedna za drugą. „Barracuda” nie miała szans przed nimi uciec. A drugie radio na pokładzie, służące do nawiązywania łączności pod wodą, miało zasięg zaledwie mili morskiej.

- Zaklej te dziury taśmą - polecił Kurt, po czym skrzył, żeby zejść z kursu zbliżających się łodzi, i pchnął przepustnicę do oporu.

Joe obrócił się na siedzeniu i po chwili wyjął taśmę z małego schowka. Zaczął odrywać krótkie odcinki od rolki i zaklejać dziury po pociskach w osłonie kokpitu.

- Wiesz, że na głębokości taśma puści - ostrzegł przyjaciela.

- Będę się starał trzymać blisko powierzchni - obiecał Austin.

Słyszał darcie i przyklepanie taśmy. Przez ryk nadpływających motorówek przebił się kolejny stłumiony huk. Na szczęście tym razem strzelec chybił.

- Nurkuj! - zawołał Joe.

Kurt opuścił dziób. Woda zawirowała nad osłoną kokpitu i „Barracuda” zniknęła pod falami i wypoziomowała na trzech metrach. Do wnętrza łodzi wciąż wsączała się woda, ale coraz mniej, bo Joe zalepał już ostatnie otwory.

Gdy tylko skończył, chwycił coś, co wyglądało jak tubka pasty do zębów. Nie była to jednak pasta, lecz żywica epoksydowa z utwardzaczem. Kiedy rozsmarował ją na taśmie, kokpit wypełniła woń podobna do zapachu amoniaku. Żywica stwardniała w niecałą minutę.

Chwilę później jeden, a potem drugi kilwater przecięły wodę dwa i pół metra nad nimi. Kurt natychmiast skrzył w lewo.

- Widzisz jeszcze jakieś dziury? - spytał Zawała.

Kurt się rozejrzył dookoła. Pokryte żywicąłaty szpecily kokpit, a od oparów zaczęły łzawić mu oczy, ale woda przestała się wlewać.

- Dobra robota, Joe - pochwalił.
- Nie wygląda to najpiękniej - odrzekł Zavala - ale pod ostrzałem trudno zadbać o estetykę.
- Dla mnie to dzieło sztuki - zapewnił Kurt, wyrażając wzrok w poszukiwaniu motorówek, których powrotu się spodziewał.

- W następnym życiu zamierzam pracować w boksach podczas wyścigów NASCAR - oświadczył Joe.

- Na razie popracujmy nad przedłużeniem naszego obecnego życia - zaproponował Kurt. - Przychodzi ci do głowy jakiś sposób na skontaktowanie się z „Argo”?

Zavala zastanawiał się chwilę.

- Łączę danych - rzekł wreszcie. - Możemy wysłać im maila.

- Maila? - zdziwił się Kurt.

- Właściwie nie maila, ale wiadomość z danymi. Dotrze do satelity, a potem na dół. Jeśli ktoś śledzi telemetrię, dostaną

ją-

Kurt wyobraził sobie ekrany w kabinie telemetrycznej, na które nikt nie patrzy. Nie było powodu, żeby ktoś prowadził teraz monitoring.

- Jakiś inny pomysł? - spytał.

- Niestety nie - odparł Joe. - Albo to, albo wrócimy na Santa Marię na pagajach i użyjemy semaforów.

- Tak myślałem - mruknął Kurt. - Włącz system telemetryczny i daj mi znać, jak będziesz gotowy.

- Będziemy potrzebować pół minuty na powierzchni, żeby satelita odebrał sygnał.

- Wątpię, żebyśmy mieli tyle czasu - powiedział Austin.

Jakby na potwierdzenie jego słów, jeden z kilwaterów zawrócił ku nim, ale tym razem motorówka nie pędziła, tylko utrzymywała ich prędkość, idąc równoległym kursem. Druga łódź płynęła po przeciwnej stronie z tyłu.

Kurt skręcił w lewo, w stronę podwodnego cmentarzyska. Motorówki zrobiły to samo.

- Widzą nas - stwierdził Zavalá.
- Jesteśmy jak zdychająca ryba, która zostawia za sobą ślad krwi - odparł Austin, myśląc o pęcherzach powietrza wydostających się zapewne z „Barracudy”.

Dotarł do nich dziwny dźwięk i Kurt zobaczył rozbryzgi wody w górze na wprost. Domyślił się, że ich prześladowcy strzelają w wodę. Żadne zagrożenie, ale jeszcze jedna oznaka beznadziejnej sytuacji.

Może zejść niżej?

Opuścił dziób o kilka stopni.

Głębokościomierz pokazał cztery i pół metra, pięć, sześć...

Trzask!

Jedna z lat puściła i woda znów trysnęła do kokpitu.

Kiedy Joe zatkał dziurę i zaczął ją zaklejać, Kurt uniósł „Barracudę” i wypoziomował na trzech metrach. Ponownie zmienił kurs, ale na próżno.

- Pewnie mają okulary przeciwsłoneczne Maui Jim - powiedział Joe. - Wiesz, te, przez które widać ryby w wodzie.

Kurt czuł się jak ryba w beczce. Albo jak wieloryb atakowany przez harpunników. Prędzej czy później musieli się wynurzyć, jeśli nie po to, by wysłać wiadomość, to żeby przeżyć.

Mimo wysiłków Joego miniłódź powoli nabierała wody, która dostawała się do środka nie tylko przez dziury po pociskach w przedniej szybie, ale również przez inne uszkodzone miejsca. Przedziały normalnie zabezpieczone przed wodą teraz się nią wypełniały.

Kurt i Joe mieli nad sobą prześladowców, którzy byli szybsi, więksi i uzbrojeni. Musieli tylko podążyć za „Barracudą” i czekać, aż pojawi się na powierzchni dla nabrania powietrza.

Z przodu na prawo dostrzegli jakiś błysk. Fala uderzenia zatrzęsała łodzią podwodną w chwili, gdy Kurt skręcał ostro w lewo. Kilka sekund później drugi błysk wykwitł prosto przed nimi. Austin zobaczył, jak woda się rozszerza, kurczy i wali w dziób „Barracudy”.

- Granaty - powiedział.

W osłonie kokpitu zaczęły się pojawiać pęknięcia. Cienkie, ledwo widoczne linie rozchodziły się od łat, gdy pleksiglas tracił wytrzymałość i puszczal.

Kiedy zatrzęsa nimi trzecia eksplozja, Kurt zrozumiał, że nie mogą dłużej czekać.

- Przygotuj wiadomość - polecił Joemu.

- Nie przetrwamy na górze dziesięciu sekund - odparł Zavala.

- Przetrwamy, jeżeli się poddamy - rzekł Austin, uświadomiwszy sobie, że gdy Joe naciśnie klawisz „Enter”, nie będzie widać, że została wysłana wiadomość. Będą mogli stać z rękami podniesionymi do góry i mieć nadzieję, że napastnicy nie zastrzelą ich ot tak, dla rozrywki.

Joe nie odezwał się, ale Kurt usłyszał, jak stuka w klawiaturę.

- Gotowe - oznajmił po chwili.

Kurt skierował dziób ku powierzchni. Gdy się wynurzyli, cofnął przepustnicę.

„Barracuda” natychmiast zwolniła i motorówki ich minęły.

- Teraz - rozkazał.

Zavala nacisnął „Enter” w chwili, kiedy Austin otworzył osłonę kokpitu.

- No, dalej - wymamrotał. - *Rapido, por favor.*

Kurt wstał z wysoko podniesionymi rękami i z trudem utrzymując równowagę na pokładzie kołyszącej się na falach „Barracudy”, patrzył, jak motorówki zawracają i podpływają do nich. Kilkaset metrów dalej zobaczył zmierzający w ich stronę mały statek.

- Poddajemy się - oznajmił, gdy motorówki zatrzymały się nieopodal ich miniłodzi.

Dwaj mężczyźni ze strzelbami wycelowali w niego.

Z głębi kokpitu „Barracudy” dobiegło ledwo słyszalne bipnięcie i Joe też wstał.

- Wiadomość wysłana - szepnął.

Kurt nieznacznie skinął głową. Cokolwiek ich czekało, przynajmniej wysłali ostrzeżenie. Miał tylko nadzieję, że nie za późno.

Jeden z mężczyzn opuścił broń i rzucił im linę. Po chwili „Barracuda” była przywiązana do większej z motorówek, a Kurt i Joe stali na jej pokładzie z kajdankami na nadgarstkach.

Ich przeciwnicy najwyraźniej dobrze przygotowali się do akcji.

Kilka minut później nadpłynął statek, który Austin zauważył, gdy stanął z podniesionymi rękami na pokładzie „Barracudy”. Był to osiemnastometrowy jacht motorowy, sprawiający wrażenie dużo bardziej funkcjonalnego niż jakikolwiek tej klasy. Wyglądał jak mały okręt udający prywatny wycieczkowiec.

Na dziobie stał mężczyzna i wpatrywał się w Kurta z triumfalnym uśmiechem. Austin od razu go rozpoznał. Widział tego człowieka poprzedniej nocy, a wcześniej na „Kinjarze Maru”.

Mężczyzna zeskoczył na pokład motorówki, zanim jacht do niej dobił, i podszedł do Kurta i Joego. Miał taki wyraz twarzy, jakby cieszył się, że za chwilę zada im ból. Patrzył na Austina z nienawiścią, ten jednak nawet nie mrugnął i nie odwrócił wzroku.

- Andras - wycodził przez zęby.
- Stary znajomy? - spytał Joe.

Zanim Kurt zdążył odpowiedzieć, Andras zamachnął się i dzielił go w szczękę, posyłając na pokład.

Austin z trudem uniósł głowę i spojrzał w górę; z rozciętej wargi ciekła mu krew.

- Przepraszam - powiedział Joe. - Zapomnij, że pytałem.

ROZDZIAŁ 35

Dwaj mężczyźni chwycili Kurta pod pachy i szarpnięciem postawili z powrotem na nogi.

- Chcę, żebyś coś zobaczył - rzekł Andras.

Skinął na sternika, który na chwilę uruchomił silnik i ustawił jacht równoległe do motorówki. Na pokładzie rufowym, tyłem do relingu, siedziało około trzydziestu osób ze skutymi rękami i nogami.

Ten widok zabolął Kurta znacznie bardziej niż cios Andrasa i zraniona duma. Wśród uwięzionych naukowców była Katarina. Chociaż siedziała ze spuszczoną głową, zauważył duży śniec na jej prawym policzku.

Podniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały, ale po chwili

li znów utkwiała oczy w pokładzie, jakby zawstydzona, że zawiodła.

Kurt splunął na pokład krwią zmieszaną ze śliną.

- Co ty kombinujesz, Andras? - zapytał. - O co tu chodzi?

- Cieszę się, że w końcu mnie poznałeś - odrzekł Andras. - Wprawdzie mógłbym czuć się urażony, że dopiero teraz, ale szczerze przyznaję, że ja też nie poznałem cię od razu. Pewnie dlatego, że podczas naszego poprzedniego spotkania nie byłś siwy. Mam nadzieję, że chociaż część tych siwych włosów zawdzięczasz mnie.

Kurt poczuł, jak jego ciało się naprężyło. Uwięzieni naukowcy, purpurowy siniak na twarzy Katariny i arogancja Andrasa wystawiały jego samokontrolę na ciężką próbę.

Gdyby mógł zerwać kajdanki, rzuciłby się na tego drania i zatłukł go na śmierć, ale skuty mógł mu tylko posłużyć za worek bokserski.

Andras krążył wokół niego i rozprawiał dalej. Kurt już zapominał, jak bardzo ten facet lubi gadać.

- Kiedy usłyszałem o NUMA - mówił Andras - powinienem był od razu się domyślić, że w tym siedzisz. To z daleka załatwywało ICurtem Austinem. Wszyscy prawi, szlachetni i lojalni do wyrzycania. Złożę się, że codziennie rano wszyscy przysięgacie wierność waszemu sztandarowi i że wszyscy macie takie same naszywki, marynarki i breloczki do kluczy.

- Owszem - potwierdził Kurt. - Może podaruję ci taki breloczek, gdy to wszystko się skończy i będziesz odsiadywał sto lat w samotności.

- W samotności? - powtórzył Andras. - Jakie to okrutne. Nie ma nic gorszego niż samotność. Ja będę łaskawszy i nie oddam cię morzu samego. - Przysunął się bliżej i dodał konfidencyjnym szeptem: - Bo musisz wiedzieć, że gdy to wszystko się skończy, ty będziesz pokarmem dla ryb, a ja królem.

Andras się uśmiechnął i Kurt wyczuł coś dziwnego w tych słowach i sposobie, w jaki Andras wyszeptał je tylko do niego. Przeszedł go dreszcz. Nie wiedział, jakie zamiary ma Andras, i modlił się w duchu, żeby drań zostawił w spokoju Katarinę.

Jego modlitwa nie została wysłuchana. Andras przeskoczył z powrotem na jacht i podszedł prosto do niej. Ukucnął, musnął dłonią jej posiniaczoną twarz i wstał.

- Wsadźcie pana Austina z powrotem do jego łodzi - rozkazał.

Do Kurta podeszło trzech mężczyzn, dwaj biali i jeden czarnoskóry. Podnieśli go i dosłownie wrzucili do „Barracudy”.

- Mathias - zwrócił się Andras do Afrykanina - przykuj go do uchwytu wyciągowego.

Kurt spojrzął na uchwyt, który przypominał wieszak na ręczniki i był umieszczony na kadłubie „Barracudy” tuż obok kokpitu w najmocniejszym punkcie łodzi podwodnej. Wykona-

no go ze stali węglowej, bo musiał wytrzymać ciężar „Barracudy” podczas podnoszenia jej z wody żurawiem „Argo”.

Nie było to miejsce, do którego Kurt chciałby być przykuty.

Mathias zdjął z szyi klucz i otworzył nim kajdanki Kurta. Kiedy tylko to zrobił, Austin zamachnął się łokciem, trafiając jednego z białych mężczyzn w szczękę. Drugi walnął go w potylicę i Kurt uderzył czołem o krawędź otworu kokpitu.

Zakręciło mu się w głowie, a gdy odzyskał orientację, poczuł, że ma ramiona na kadłubie „Barracudy”, a resztę ciała w kokpicie. Mathias otworzył mu kajdanki i zatrzasnął je ponownie wokół uchwytu wyciągowego.

- Teraz ten drugi - rozkazał Andras.

Po chwili Joe wylądował obok Kurta i został potraktowany tak samo.

Andras sięgnął po strzelbę.

- Amunicja - zażądał.

Podano mu pudełko z nabojami. Gdy naładował broń, odciągnął suwadło pod lufą i podszedł do rufy łodzi podwodnej. Strzelił dwa razy w pędnik i raz w prawe skrzydło.

Puste w środku skrzydło „Barracudy” zaczęło nabierać wody. Andras uniósł strzelbę i przedziurawił lewe skrzydło.

Kurt wiedział, że czeka ich straszna śmierć. Zastanawiał się gorączkowo, jak się jej wymknąć.

- Myślisz, że utopienie nas zakończy sprawę? - krzyknął. - Jeśli tak, to się mylisz. Wiemy o tobie. Cała nasza organizacja wie.

Joe milczał. Oddychał szybko i głęboko, żeby do maksimum napęścić płuca powietrzem.

Kurt zdawał sobie sprawę, że powinien robić to samo, ale nie zamierzał się poddawać. Gdy woda wypełniała skrzydła „Barracudy”, desperacko szukał w głowie jakichś słów, które mogłyby przekonać Andrasa, że są cenni i warto ich oszczędzić, choćby na krótko. Wtedy mieliby jakąś szansę.

- Wiemy o twoim okręcie podwodnym - zawołał.

Andras uniósł brwi.

- Tak? To wiecie więcej, niż myślałem. Ale on nie jest mój. Czując, że odzyskuje grunt pod nogami, Kurt mówił dalej:
- Wiemy, co kombinujesz. Wiemy o broni energetycznej.

Ten strzał okazał się celniejszy. Czy Andrasa zablęśły i podszedł bliżej.

- To się nazywa determinacja - powiedział. - Byłem pewien, że się nie poddasz.

Najwyraźniej przejrzał grę Kurta i bawiło go, że bierze w niej udział.

- No, dalej, co jeszcze wiecie? - spytał.

Austin nie odpowiadał, więc Andras zerwał linkę z kluczykiem do kajdanek z szyi Mathiasa i powtórzył:

- No, dalej. Jesteś Kurtem Austinem z NUMA. Chyba stać cię na więcej? Zdradź mi coś, dzięki czemu będziesz się liczyć.

Katarina wstała i szarpnęła się naprzód. Co zamierzała, Kurt nie wiedział - najprawdopodobniej ona też nie - ale nie dotarła daleko. Jeden z uzbrojonych mężczyzn złapał ją i rzucił z powrotem na pokład.

Kurt z najwyższym trudem zmiął w ustach przekleństwo.

- Czas ucieka, Austin - przynaglił go Andras i wyjął znajomy nóż. Otworzył tytanowe ostrze, zablokował i przywiązał linkę z kluczem do jednego z otworów w rękojęści.

Skrzydła „Barracudy” były już zalane i woda zaczęła wypełniać kokpit.

- Wiemy o nadprzewodniku - powiedział Kurt. - Wiemy, kto ci go sprzedał - skłamał. - Wiemy, że został załadowany na „Kinjarę Maru” we Freetown.

Andras spuścił wzrok, jakby w zamyśleniu. Zerknął na Mathiasa, a potem znów spojrzął na Kurta z maniackim uśmiechem.

- Wystarczy - orzekł i ruszył naprzód z nożem w rękę. - W każdym razie na połowę.

Pochylił się nad „Barracudą”, wziął zamach i wbił ostrze w cienkie poszycie zewnętrznego kadłuba, tuż poza zasięgiem Kurta.

- Niestety, połowa nie uratuje was obu.

Woda wlała się do kokpitu i zawirowała wokół kolan Kurta.

Szli na dno.

Austin zerknął na przyjaciela.

- Cokolwiek się stanie, rób to co ja - powiedział,
joe skinął głową.

Chwilę później „Barracuda” zaczęła się przechylać i zanurzać dziobem w dół.

Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał Kurt, zanim łódź zniknęła pod wodą, był głos Katariny wykrzykującej jego imię.

ROZDZIAŁ 36

Katrina padła na pokład jachtu i wpatrywała się w miejsce, w którym jeszcze chwilę wcześniej była mała łódź podwodna.

- Nie - wyszeptała łamiącym się głosem. - Nie...

Zakryła twarz dłońmi i zanosła się płaczem.

- Żaloszny widok, prawda? - powiedział Andras, podchodząc do niej.

Przykucnął przy Katarinie i ująwszy ją za podbródek, uniósł jej głowę, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

- Bez obaw - rzekł. - Wobec ciebie mam znacznie przyjemniejsze plany.

Plunęła mu w twarz, ale zdążył zrobić unik.

- Dlaczego wszyscy próbujecie takich samych sztuczek? - warknął. - Myślałem, że jesteś chociaż trochę mądrzejsza. Niestety myliłem się.

Wstał i kopnął Katarinę, zanim odszedł.

- Odpalić silniki! - zawołał do sternika.

Kiedy potężne diesle ożyły pod pokładem, do Andrasa zwrócił się Mathias. Afrykanin nie należał do jego ludzi. Zna-

lazł się na pokładzie z rozkazu Djemmy, który niewątpliwie zlecił mu pilnowanie najemnika.

- Zostawiłeś im klucz - powiedział. - Mogą uciec.

Andras się roześmiał.

- Mam nadzieję, że przynajmniej spróbują - odparł. - Byłoby ciekawiej. Ale nie uciekną. W każdym razie nie obaj.

- Dlaczego?

- Bo ludzie muszą płacić za swoje zbrodnie, a śmierć nie jest wystarczającą karą - wyjaśnił Andras.

Nie zamierzał tłumaczyć tępemu czarnuchowi, że nienawidzi Kurta Austina z całej duszy, a zarazem darzy go swego rodzaju szacunkiem. A nawet bezwzględny zabójca potrafi docenić godnego siebie przeciwnika.

Spiorunował Mathiasa wzrokiem i ruszył w stronę dziobu.

Afrykanin złapał go za ramię i odwrócił z powrotem.

- Poinformuję o wszystkim Djemę - zagroził. - On nie uzna tego za zabawne.

Oczy Andrasa zwięzły się do szparek.

- Nie zrobiłem tego dla zabawy - burknął.

- Więc po co? Nie widzę w tym celu.

- Wszystko, co robię, ma jakiś cel - zapewnił Andras. - Na przykład to.

W mgnieniu oka uniósł pistolet i nacisnął spust.

Wystrzał nie był głośniejszy niż z kapiszonowca. Na czole Mathiasa pojawiła się maleńka dziurka. Nie krzyknął, nie zawył z bólu, prawie nie zareagował. Zatoczył się i wpadł na reling, ale wciąż żył.

Andras strzelił drugi raz. Afrykanin przechylił się w tył, wypadł za burtę i wylądował z głośnym pluskiem w wodzie.

Zniknął pod powierzchnią, lecz po chwili wypłynął dzięki kamizelce ratunkowej, którą miał na sobie. Nie ruszał się, a z dwóch ran w jego głowie ciekły strużki krwi.

Andras schował pistolet i uniósłszy strzelbę tak, żeby wszyscy ją widzieli, wrzasnął na całe gardło:

- Czy są jakieś wątpliwości, kto tu rządzi?!

Powiódł spojrzeniem po twarzach wokół.

Nikt się nie odezwał, więc zwrócił się do sternika.

- W drogę - rozkazał.

Silniki zaryczały i jacht ruszył, a obie motorówki podążyły jego śladem i pomknęły na północ, zostawiając za sobą długie kilwatery.

„Barracuda” była już dziesięć metrów pod powierzchnią i nadal opadała. Ciśnienie rosło, a światło z góry zaczynało znikać. Kurt starał się ignorować szum w uszach i uspokoić oddech. Miał pewien plan, lecz aby go zrealizować, musiał opanować ogarniającą go panikę, naturalną w takiej sytuacji. Wiedział, że jeśli tego nie zrobi, on i Joe zginą.

Bez gogli wszystko dookoła widzieli niewyraźnie, ale zamazane otoczenie miało żółtozielony kolor, co oznaczało, że reflektory wciąż działają i pociski nie zniszczyły instalacji elektrycznej. Chociaż „Barracudę” wypełniała woda, wskaźniki i przyrządy zamontowane przez Joego pozostawały sprawne, bo były przystosowane do funkcjonowania na dużych głębokościach.

Jeśli trafnie oceniał ich pozycję, znajdowali się jakieś trzydzieści pięć metrów od dna. Kurt nie zamierzał dopuścić, żeby stało się ono ich grobem.

Zdawał sobie sprawę, że to nie będzie łatwe, mieli jednak całkiem spore szanse. Mniej więcej pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Wszystko zależało od tego, jak „Barracuda” wyląduje.

Nie zamykał oczu, choć szczypały go od słonej wody. Ponieważ dziób łodzi był skierowany w dół, przednie reflektory zaczęły oświetlać dno dziesięć sekund przed uderzeniem. Kurt zobaczył jasny muł i kilka ciemnych wypiętrzeń, zapewne skał wulkanicznych.

Dno zbliżało się szybciej, niż przypuszczał, ale przygotował się na uderzenie. Kiedy dziób wbił się w muł niczym gigantyczna rzutka w tarczę, poczuł wstrząs, lecz zachował przytomność umysłu i natychmiast przystąpił do działania.

Ręce miał przykute do uchwytu wyciągowego, więc wydostał się z kokpitu, podciągając się i wierzgając nogami. Zobaczył, że Joe robi to samo, idąc w jego ślady, tak jak obiecał.

Teraz musieli odwrócić „Barracudę” kilem do góry i otworzyć jej zbiorniki ze sprężonym powietrzem. Dzięki temu w wewnętrznej części kokpitu powstanie kieszeń powietrzna jak pod odwróconym wiadrem i będą mieli czym oddychać.

Problem polegał na tym, że najwięcej ważyła dolna połowa łodzi, gdzie znajdowały się silnik, akumulatory i układ przeniesienia napędu. Więc chociaż „Barracuda” stanęła na dnie prawie pionowo, ciążyła w tył.

Kurt i Joe powstrzymywali ją przed spoczęciem na kilu, ale obaj szybko opadali z sił.

Austin wierzgał nogami, szarpał i ciągnął. Czuł już pieczenie w płucach. Wiedział że jeśli zdołają przechylić łódź choć kilka centymetrów poza pion, jej ciężar stanie się ich sojusznikiem.

Wyczuł pod stopami mulisty grunt i wbił w niego pięty. Jego lewa stopa pośliznęła się na szlamie i uderzyła w twardą skałę, która dała mu podparcie.

Kiedy teraz szarpnął, rufa ustąpiła i zaczęła opadać ku niemu. Napał jeszcze raz, zapierając się o skałę obiema stopami i wyginając ciało do tyłu.

W końcu dziób się cofnął, a rufa przewróciła w ich stronę i Kurt musiał dać nura do środka, żeby nie uderzyło go skrzydło. Łódź spoczęła ukośnie, oparta pod kątem trzydziestu stopni na osłonie kokpitu.

Nie było idealnie, lecz na tyle dobrze, że Kurt uznał pierwszą fazę planu za sukces. Teraz musieli jak najszybciej otworzyć zbiorniki z powietrzem. Inaczej cały ich wysiłek pójdzie na marne.

Obaj mieli skute ręce, ale wolne stopy. Kurt dosięgnął! nogą panelu i próbował trafić na przełącznik. Bez powodzenia.

Poczuł, że słabnie i ma coraz mniej skoordynowane ruchy. Powstrzymał odruch, żeby otworzyć usta i odetchnąć, spróbował jeszcze raz.

Musiał dotknąć włącznika świateł, bo wszystkie na moment zgasły, po czym rozblęły z powrotem.

Nogi i ramiona odmawiały mu posłuszeństwa. Umysł zaczął działać przeciwko niemu, podświadomość szeptała „Podдай się”.

Zmusił się do zrobienia jeszcze jednej próby. Naprężył mięśnie, ale zanim zdążył się ruszyć, w kokpicie pojawiły się pęcherze powietrza.

Kurt najpierw widział tylko turbulencje, ale gdy pęcherze zaczęły wypełniać odwrócony do góry nogami kokpit, zobaczył kieszeń powietrzną, która otworzyła się nad nim w przestrzeni, gdzie trzymaliby stopy, gdyby łódź była we właściwej pozycji. Obrócił się, wyciągnął szyję i wziął głęboki oddech.

Zakrzuszył się, bo wraz z powietrzem połknął trochę wody, ale nie przejął się tym. Wypuścił chmurę dwutlenku węgla i odychał dalej. Powietrze było życiem, szansą na to, by ponownie rzucić kości, zamiast wypaść z gry na dnie oceanu.

Kiedy powietrze wypełniło osłonę kokpitu, zamrugał, żeby pozbyć się z oczu słonej wody, i rozejrzał się dookoła. Obok siebie zobaczył uśmiechniętą twarz Joego Zavali.

- Co się stało? - spytał.

Joe wskazał głową w dół, a gdy Kurt podążył wzrokiem za jego spojrzeniem, wyjął stopę z wody. Była bosa, bez buta i skarpetki.

- Zrobiłem tak, jakbym odkręcał kran w wannie - wyjaśnił, poruszając palcami.

Kurtowi zachciało się śmiać. Miał na to za mało powietrza, ale uczucie było wspaniałe.

- Nie mogłem trafić w przełącznik - powiedział. - Traciłem przytomność.

- Tak się kończy gadanie z wariatami na powierzchni - skomentował Joe.

Kurt skinął głową. Obiecał sobie, że następnym razem zamknie usta i będzie oddychał tylko przez nos. Póki co, czuł, że z każdym oddechem odzyskuje siły.

- Nigdy bym nie pomyślał, że twoje chwytnie małpie stopy uratują mi życie - powiedział do przyjaciela. - Dobra robota.

Joe uśmiechnął się, ale po chwili spoważniał.

- Zawory są otwarte, ale powietrza wystarczy nam najwyżej na dwadzieścia minut - oznajmił.

Kurt wziął głęboki oddech, wystawił, głowę na zewnątrz i rozejrzał się w przyćmionym zielonym świetle. *Tuż* poza jego

zasięgiem, na nożu, który Andras wbił w kadłub „Barracudy”, wisiał kluczyk do kajdanek.

Kurt nie miał pojęcia, dlaczego Andras dał im taką szansę. Może chciał z nich zadrwić, a może miał jakiś inny powód - w tej chwili to nie było ważne. Obrócił się, pozbył butów i skarpetek tak jak wcześniej Joe i sięgnął nogą do linki.

Dotknął jej, ale nie zdołał chwycić przy pierwszej próbie.

Dał nura z powrotem do środka po następny haust powietrza i znowu spróbował. Tym razem złapał linkę palcami nogi. Okręcił ją wokół stopy, potem uniósł drugą nogę i kopnął nóż; mocno, ale z wyczuciem.

Poruszył się, lecz nie ustąpił. Drugie kopnięcie uwolniło ostrze z dziury. Kurt przyciągnął nóż, trzymając kawałek cienkiego szpagatu między palcami nogi najmocniej, jak mógł.

Wsunął głowę do kokpitu, wziął kolejny głęboki oddech i wyjął stopę na powierzchnię.

Joe się roześmiał.

- Mianuję cię honorowym King Kongiem.

- Dziękuję za wyróżnienie - odrzekł Kurt. - Niestety, nawet King Kong nie da rady otworzyć kajdanek palcami nóg.

Wziął następny oddech i ponownie wystawił głowę na zewnątrz. Z ogromnym wysiłkiem zgiął kolano i obrócił biodro. Po chwili stopę miał uniesioną obok ich rąk i uchwytu wyciągowego.

Wymacał najpierw ostrze noża, potem linkę. Złapał ją mocno.

Znów zaczerpnął powietrza. Trzymał łducz w dłoni. Byli o krok bliżej.

- Uwolniłeś się? - zapytał Joe.

- Jeszcze nie - odparł Kurt. - Daleko mi do Houdiniego. Ale to tylko kwestia czasu.

Nie widząc swoich rąk z wnętrza kokpitu, musiał działać po omacku i jednocześnie być bardzo ostrożny; nie mógł sobie pozwolić na upuszczenie klucza.

Spowolnił nieco oddech i wymacał dziurkę na klucz w kajdankach. Mimo że palce szybko mu drętwiały w zimnej wodzie, zdołał przechylić klucz i wsunąć do otworu. Obrócił go i obręcz kajdanek na jego lewym nadgarstku szczęknęła.

Lewą rękę miał wolną. Przeciągnął luźne kajdanki pod uchwytem wyciągowym do kokpitu.

- *Voila!* - powiedział jak sztukmistrz amator, unosząc ręce, żeby Joe je zobaczył.

- Super - pochwalił Zavala. - Jaka będzie następna sztuczka?

- Uwolnię amatorskiego wiceczempiona wielkiej ligi bokserkiej południowych Azorów.

Joe się roześmiał.

- Pospiesz się, ręce mi drętwieją.

Kurt skinął głową. Temperatura wody wokół nich nie przekraczała piętnastu stopni Celsjusza. Groziła im hipotermia.

Dał nura na zewnątrz i zabrał się do pracy przy kajdankach Zavali. Potrząsnął kluczem i włożył go do dziurki, ale nie mógł obrócić. Spróbował jeszcze raz. Bez skutku. Wyciągnął klucz i dał nura do kieszeni powietrznej.

- Nadal jestem skuty - poskarżył się Joe.

- Wiem - odparł Kurt, oglądając klucz. - Poczekaj.

Wziął głęboki oddech, wrócił pod wodę i ponowił próbę. Znowu bez rezultatu. Klucz wchodził do dziurki, ale nie wsuwał się gładko i nie obracał ani o milimetr, kiedy tkwił w środku.

Austin przypomniał sobie słowa Andrasa, że jego odpowiedzi wystarczą „na połowę”.

Wtedy nie miało to dla niego sensu, ale teraz tak. Andras zostawił im klucz, który pasował do kajdanek Kurta, ale nie Joe. Cały Andras. Nigdy nie wystarczyło mu samo pokonanie przeciwników, pragnął, żeby cierpieł, zanim zadał śmiertelny cios.

Sadystyczny drań. Kurt wyobraził sobie, jak Andras wyobraża sobie tę scenę i ryczy ze śmiechu.

Niczym jakieś złe bóstwo z mitologii greckiej, stworzył mu możliwość przeżycia, ale Kurt mógł przyjąć ten dar tylko kosztem pozostawienia najlepszego przyjaciela na pewną śmierć.

Nie ma mowy, żeby to zrobił. Wrócił do środka i wynurzył się jeszcze raz.

- Chyba nie rozumiesz koncepcji - mruknął Joe. - Kiedy tu wracasz, powinienem być wolny.

- Mamy problem - odparł Kurt. - Klucz nie pasuje.

Zavala popatrzył na klucz, a potem na przyjaciela.

- Tak, teraz sobie przypominam. Kajdanki się różnią. Facet zamknął moje innym kluczem.

Kurt wepchnął klucz do kieszeni i zaczął się rozglądać po kokpicie za jakimś narzędziem, które pozwoliłoby mu uwolnić Joego. Znalazł dwa śrubokręty, komplet kluczy ampułowych i jakieś inne utensylia - wszystkie zminiaturyzowane, żeby się zmieściły w małym kokpicie.

- Nie ma tu nic, czego moglibyśmy użyć jako dźwigni? - zapytał. To Zavala skonstruował „Barracudę”. Powinien wiedzieć.

- Nie - odparł Joe.

- A co z uchwytem wyciągowym? Można go jakoś usunąć albo obluźować?

Zavala pokręcił przecząco głową.

- Najpierw musielibyśmy zdjąć połowę poszycia.

- Nie da się go złamać? - zapytał Kurt, chociaż z góry znał odpowiedź.

- Niestety nie - odparł Joe. - To najmocniejszy punkt łodzi podwodnej, przyspawany bezpośrednio do szkieletu. Musi przecież utrzymywać ciężar całej „Barracudy”, kiedy jest podnoszona z wody. - Popatrzył na przyjaciela. - Nie uwolnisz mnie - stwierdził z rezygnacją.

- Musi być jakiś sposób. - Kurt myślał gorączkowo, starając się nie popaść w otępienie z zimna.

- Tym, co mamy na pokładzie, niczego nie zdziałamy - rzekł Joe. - Ruszaj. Nie zostawaj tutaj, nie chcę, żebyś zatonął ze mną.

- A potem będziesz mnie nawiedzał? - zażartował Kurt, próbując podnieść przyjaciela na duchu. - Nie, dzięki.

- Może na powierzchni jest jakaś łódź albo helikopter - powiedział Zavala. - Może ktoś dostał naszą wiadomość.

Kurt uważał, że to mało prawdopodobne. A przy pełnym otwarciu zaworów powietrza zostało im najwyżej na piętnaście minut. Za mało, żeby ktoś do nich dotarł, nawet gdyby udało się wezwać pomoc.

Musiał znaleźć inne rozwiązanie, jeśli nie chciał zostawić Joego na pewną śmierć ani utonąć razem z nim. Potrzebował piły do metalu lub palnika, żeby przeciąć uchwyt wyciągowy albo - jeszcze lepiej - łańcuch kajdanek Joego.

I nagle go oślnęło. Wcale nie potrzebował palnika, tylko czegoś, co się gwałtownie spala, wytwarzając przy tym wysoką temperaturę. Przypomniał sobie zieloną butlę, którą widział w kokpicie constellation, kiedy ratował Katarinę. Zielony kolor oznaczał, że butla zawiera czysty tlen, a tlen spala się gwałtownie i wytwarza wysoką temperaturę. Właściwie użyty, mógł zastąpić palnik.

Otworzył nieduży schowek, w którym był sprzęt ratunkowy na wypadek awarii „Barracudy”: dwie maski nurkowe, dwa komplety pletw i dwie małe butle z powietrzem. Żałował, że nie z czystym tlenem.

Mieszanka dwudziestu jeden procent tlenu i siedemdziesięciu ośmiu procent azotu nie zapaliłaby się, ale przynajmniej można było nią oddychać.

Wyciągnął butle.

Za nimi znalazł paczkę flar i radiopławę alarmową ELT. Nienapompowana dwuosobowa tratwa ratunkowa uzupełniała zestaw. Wystarczający do ocalenia im życia, gdyby obaj się uwolnili.

Kurt wziął jedną butlę i przypasał ją do ramienia Joego jak mankiet do mierzenia ciśnienia krwi. Odkręcił zawór i umocował mu automat oddechowy przy ustach.

- Oddychaj przez nos, dopóki powietrze w „Barracudzie” się nie skończy, a potem tym - polecił.

Joe skinął głową.

- Dokąd się wybierasz? - spytał. - Na powierzchnię?

- Nie - odparł Kurt. - Do sklepu żelaznego po palnik spawalniczy.

Zavala zmrużył oczy.

- Straciłeś rozum?

- Lata temu - odrzekł Kurt i włożył maskę. Przypasał sobie butlę ratunkową do ramienia i odkręcił zawór. - Ale to nie znaczy, że jestem szalony.

Odetchnął na próbę przez automat żółtej butli.

Joe uniósł brwi.

- Mówisz poważnie?

Austin skinął głową.

- Więc mam nadzieję, że to niezbyt daleko - powiedział

Joe.

Kurt też miał taką nadzieję. Wiedział w przybliżeniu, gdzie byli, kiedy ich złapano. Uważał, że mu się uda.

Włożył automat oddechowy do ust i zanurzył twarz w wodzie w poszukiwaniu jeszcze jednej rzeczy potrzebnej mu do wykonania zadania.

Znalazł ją i zanurkował.

- Wracaj prędko - zawołał Joe, ale Kurt już się oddalił.

ROZDZIAŁ 37

Jeśli Joe coś dodał, Kurt tego nie usłyszał. Opadł w dół, wydo-
stał się z odwróconej „Barracudy” jak z jaskini i popłynął na-
przód.

Płetwy, choć nie pełnowymiarowe, bardzo pomagały, a w ma-
sce wyraźnie widział. Aby jednak zorientować się, gdzie jest,
musiał użyć kompasu magnetycznego, który wziął z kokpitu.

To stosunkowo proste urządzenie - igła i tarcza umieszczo-
ne w szczelnej kuli wypełnionej do połowy naftą - wskazywało
kierunek do źródła najsilniejszego pola magnetycznego. Nor-
malnie byłby to północny biegun magnetyczny, ale w tym wy-
padku powinno wskazać podwodną skalną wieżę.

Chociaż był pewien, że cała ta sprawa z rzekomym ścią-
ganiem statków pod wodę jest mistyfikacją, magnetyczna wie-
ża rzeczywiście istniała. Czy ten magnetyzm generowało jakieś
urządzenie umieszczone w skale, czy też był on skutkiem na-
gromadzenia w tym miejscu silnie naładowanych minerałów -
nie wiedział. Ale w tym momencie akurat ta wiedza nie była mu
potrzebna. Ważne, że dzięki właściwościom wieży kompas ma-
gnetyczny wskaże odpowiedni kierunek.

Odpalił jedną z flar i wysunął kompas przed siebie. Igła za-
trzymała się bardzo szybko, co oznaczało, że kompas reaguje na
wyjątkowo silne pole magnetyczne.

Kurt, wiedząc, że zanim on i Joe zostali złapani, poruszali
się na wschód, wyznaczył kierunek metodą triangulacji i popły-
nął do constellation.

Po pięciu minutach dotarł na skraj cmentarzyska wraków. Po dwóch kolejnych zauważył charakterystyczny ogon starego samolotu. Przyspieszył, świadomy, że czas ucieka i że musi się energicznie ruszać, żeby opóźnić początek hipotermii.

Dał nura do dziury ziejącej w kadłubie maszyny i wśród pęcherzy powietrza ze swojego aparatu oddechowego popłynął do kokpitu.

Na fotelu drugiego pilota spoczywały ludzkie szczątki, a właściwie sam szkielet pozbawiony jakiegokolwiek materii organicznej. Kurt pomyślał, że za kilka lat po kościach też nie będzie śladu; zostanie tylko plastikowa kamizelka ratunkowa, dwie rdzewiejące blaszki identyfikacyjne i nylonowo-metalowy pas bezpieczeństwa.

Kiedy spojrzął na szczątki po raz drugi, uzmysłowił sobie, że właśnie z powodu obecności na cmentarzysku tego samolotu od razu nie dostrzegł mistyfikacji. Nic dziwnego, że dał się nabrać.

Teraz jednak znał prawdę. Szkielet w fotelu drugiego pilota, dotyczące tajnej misji samolotu akta CIA, start maszyny z Santa Marii i jej katastrofa dziewięć minut później - to wszystko nadawało pewnej oficjalnej wiarygodności tej tajemnicy. Jeśli chciał uniknąć losu nieszczęsnego pilota, musiał się spieszyć.

Sięgnął w dół i zwolnił zacisk mocujący butlę tlenową do podłogi. Uniósł ją i sprawdził, czy zawór nie skorodował. Pierścień wokół szyjki pokrywało trochę narośli, ale butla z grubej stali nie wyglądała na uszkodzoną. Miał tylko nadzieję, że nadal zawiera czysty tlen.

Joe Zavala czekał na Kurta w odwróconym kilem do góry kadłubie „Barracudy”. Głowę i barki trzymał w kokpicie i znajdującej się tam kieszeni powietrznej, która ratowała mu życie, a ręce, wciąż skute kajdankami przymocowanymi do uchwyty wyciągowego, wystawały mu na zewnątrz. Chociaż obolały od długiego pozostawania w niewygodnej pozycji, wciąż myślał jasno i uświadomił sobie, że pełne otwarcie zaworów było błędem.

Część życiodajnego powietrza po prostu uciekała za burtę, zanim zostało wykorzystane.

Z trudem wyprostował nogę i zdołał sięgnąć zdrętwiałymi palcami do przełącznika.

Strumień pęcherzy powietrza się zmniejszył i w kokpicie zapadła głucha cisza. Czekając na powrót przyjaciela, Joe oddychał najwolniej jak mógł i liczył upływające sekundy.

Był pewien, że to tylko kwestia czasu. Kurt wróci bez względu na wszystko, że nigdy by go nie zostawił, nie wiedział jednak, czy jego plan - jakkolwiek był - się powiedzie.

Gdy czekał w ciszy, uznał liczenie za nużący sposób na zabicie czasu. Zaczął szczerze wierzyć, że to rzeczywiście jakoś spowalnia czas. Liczenie sekund szybko go jednak znużyło.

Postanowił coś zaśpiewać, żeby przerwać ciszę, a jednocześnie zapomnieć o strachu i przenikliwym zimnie.

Może jakiś kawałek o ciepłe, zastanawiał się, uznał jednak, że piosenka Supremes *Heat Wave* lub jakaś podobna tylko pogorszy mu samopoczucie.

Zdecydował się na przebój Beatlesów, który wydawał mu się bardziej odpowiedni. Przypomnił sobie tekst i zaczął:

- *We all live in a yellow submarine...*

Musiał przyznać, że nie zabrzmiało to imponująco, ale przynajmniej miał zajęcie. W dodatku słowa starego szlagieru podsunęły mu kilka pomysłów.

- Zapamiętaj - powiedział głośno. - Następną łódź podwodną pomaluj na żółto. I zainstaluj ogrzewanie, które będzie działać pod wodą, nawet jeśli cały kokpit zostanie zalany. I wyrzutnie pocisków, zdecydowanie wyrzutnie pocisków.

Zanotował to sobie w pamięci i śpiewał dalej, coraz głośniej. Przy trzeciej zwrotce, gdy już zaczynał dochodzić do wniosku, że akustyka przewróconej „Barracudy” jest bardzo przyjemna dla ucha, zdał sobie sprawę, że powietrze robi się stęchłe.

Wyprostował nogę i walnął nią w tablicę przyrządów. Stopy miał tak zdrętwiałe, że uderzenie poczuł tylko w łydce, ale

wiedział, że celuje w dobre miejsce. Kopał i kopał, kontynuując niezdarne próby, dopóki zawory znów się całkowicie nie otworzyły.

Odgłos powietrza wpływającego do kokpitu tak go ucieszył, że znów zaczął śpiewać.

Gdy dotarł do połowy zwrotki, wśród piany i pęcherzy powietrza wynurzył się Kurt Austin i przerwał mu występ.

Wypluł swój automat oddechowy, podniósł maskę i oznajmił:

- Bawisz się o wiele lepiej, niż myślałem.

- Ćwiczę do *American Idol* - zdołał odpowiedzieć Joe. Zaczynał szczekać zębami. - Jak ci się podobało?

- Może nie trafisz do Hollywood, ale chyba zdołasz się wydostać z tej łodzi podwodnej. - Kurt uniósł zieloną butlę. - Sto procent tlenu.

Joe popatrzył z wdzięcznością na przyjaciela, który już odłupywał śrubokrętem pąkle od zaworu butli. Oczyściwszy go częściowo, pokazał Zavali.

- Jak sądzisz, wystarczy?

- Sprawdź.

Kurt zmagał się z zaworem dobrą minutę, uderzał nim nawet o szkielet kokpitu, żeby go poruszyć. Gdy zawór wreszcie ustąpił, włożył go pod wodę. Pęcherze wytrysnęły z butli wąskim strumieniem.

Austin wziął drugą flarę z zestawu ratunkowego i oderwał od krawędzi tablicy przyrządów kawałek aluminium, bo do wykonania zadania potrzebował wąskiego paska metalu. Spojrzał na przyjaciela.

- Będzie gorąco - ostrzegł.

- To świetnie - ucieszył się Joe. W przeciwieństwie do Kurta, nie ruszał się od dobrych dwudziestu minut, a siedzenie nieruchomo w wodzie o temperaturze piętnastu stopni Celsjusza bez „mokrego” skafandra groziło hipotermią.

- Będę ostrożny - obiecał Kurt i opuścił maskę z powrotem.

- Nie chcę tu umrzeć - powiedział Joe bardzo poważnie. -
Jeśli będziesz musiał odciąć mi rękę, zrób to. I tak jej nie czuję.

- Mam pozabawić środowisko bokserskie takiego mistrza?
Nawet o tym nie myśl.

- Mówię tylko...

- Śpiewaj dalej. - Kurt uniósł butlę. - Zamawiam *Light My Fire* Doorsów.

Włożył automat oddechowy z powrotem do ust i zanurkował.

Joe wiedział, że Kurt da z siebie wszystko, ale wiedział również, że spełni jego prośbę, jeśli będzie trzeba. I aby oszczędzić mu myślenia o tym, nie uprzedzi go.

Tymczasem spełnił prośbę przyjaciela... no, prawie.

- *We all live in a yellow submarine...* - zaśpiewał na całe gardło.

Usłyszawszy zawroźnienie Joego, Kurt ucieszył się, że nie jest w ciasnym kokpicie.

Zajął pozycję przy uchwycie wyciągowym. Joe, zdrętwiały z zimna, miał dłonie zaciśnięte w pięści. Kurt odciągnął jego prawą rękę od lewej, najdalej jak mógł. Potem odpalił kolejną flarę i uniósł pasek aluminium.

Wcisnął jego spiczasty koniec między ogniwa łańcucha kajdanek i przytrzymawszy butlę tlenową, odkręcił zawór.

Z butli wytrysnął strumień pęcherzy. Kurt skierował go na pasek aluminium i żar flary. Natychmiast pojawił się płomień.

Austinowi było bardzo niewygodnie, bo musiał trzymać jednocześnie flarę, pasek aluminium i butlę tlenową. Pomyślał, że przydałaby mu się trzecia ręka. Ale i bez niej jakoś sobie radził. Z flarą i paskiem metalu w jednej dłoni, a butlą w drugiej mógł zrobić to, co zamierzał.

Choć wydawało się, że tlen płonie, Kurt wiedział, że to w rzeczywistości utleniacz. Nie palił się. Sprawiał, że inne rzeczy płonęły szybko i wytwarzały wysoką temperaturę - aluminium i stal w ogniwach łańcucha kajdanek, gdy pojawiło się w nich niewielkie przecięcie.

Prowizoryczny palnik dymił, bulgotał i trzaskał. Przez moment wydawało się, że zgaśnie, ale na szczęście tak się nie stało. Po trzydziestu sekundach Kurt cofnął go. Ogniwa żarzyły się na czerwono, ale jeszcze się nie stopiły. Znow użył palnika. Po następnych piętnastu sekundach łańcuch puścił.

Joe był wolny.

Kurt zamknął zawór, uznawszy, że czysty tlen może się jeszcze przydać, i wrócił do kokpitu.

Zawała uśmiechał się od ucha do ucha.

- Uściskałbym cię - powiedział, trzymając zaciśnięte pięści w górze - ale jestem za bardzo zmarznięty.

- Jak długo tu jesteśmy? - zapytał Kurt.

- Pół godziny - odrzekł Joe.

To by się zgadzało, pomyślał Austin. Trzydzieści minut na głębokości trzydziestu metrów. Będą musieli zrobić co najmniej jeden postój na dekompresję. Ale że mieli dwie butle z zestawu ratunkowego, w tym jedną pełną, oraz zieloną butlę z czystym tlenem, powinni dotrzeć na powierzchnię bez większych problemów.

Włożył Joemu maskę na twarz i wciągnął mu płetwy na stopy. Z tratwą ratunkową i radiopławą pod pachą wyprowadził przyjaciela z łodzi podwodnej.

Na zewnątrz włączył radiopławę, a kiedy zaczęła błyskać, puścił ją i popatrzył, jak sunie ku powierzchni.

Wskazał w górę. Joe skinął głową i zaczął płynąć.

Kurt ostatni raz spojrzął na „Barracudę” i zauważył coś błyszczącego na dnie oświetlonym reflektorami. Przyjrzał się dokładniej i rozpoznał nóż. Znajomy nóż z tytanowym ostrzem. Jeszcze jedno szyderstwo Andrasa.

Sięgnął po niego, wyszarpnął z piasku i popłynął za przyjacielem.

Wynurzyli się dziesięć minut później. Kurt pilnował, żeby wznosili się w tempie nieprzekraczającym trzydziestu centymetrów na sekundę, a po drodze zarządził dwa postoje - dwumi-

nutowy na głębokości dwunastu metrów i trzyminutowy sześć metrów pod powierzchnią.

Wydostanie się z mrocznych głębin na słońce było wspaniałym uczuciem. Kurt pociągnął linkę nadmuchiwaną tratwy ratunkowej. Rozłożyła się i napełniła dwutlenkiem węgla w ciągu kilkunastu sekund.

- Gotowa do przyjęcia pasażerów - oznajmił Austin.

Pomógł Joemu wdrapać się na pokład, a potem sam wciągnął się do środka.

Położył się koło przyjaciela, obolały i wyczerpany. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zziębnięty i zdrętwiały.

Przez kilka minut obaj milczeli, wsłuchani w plusk fal uderzających o burty pontonu. Wreszcie Joe spytał:

- Jakie jest najbardziej suche miejsce na ziemi?

Kurt zastanawiał się chwilę.

- O ile dobrze pamiętam, pustynia Atakama w Ameryce Południowej - odparł.

- Następnym razem wybierzemy się na Atakamę - oświadczył Joe. - Albo gdzie indziej, byle było gorąco i sucho.

- Wątpię, żeby Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych miała dla nas jakieś zajęcie na pustyni - stwierdził Kurt.

- Dirk i Al spędzili kiedyś trochę czasu na Saharze - przypomniał Zavała.

- To prawda - rzekł Kurt. - Ale wątpię, żeby nam trafiło się coś podobnego.

- Ma być gorąco i sucho - powtórzył Joe z naciskiem. - Nie przyjmę innej propozycji.

Kurt się roześmiał, chociaż wcale nie było mu do śmiechu.

Zdawał sobie sprawę, jak bliscy byli śmierci. Jak niewiele brakowało, żeby zginęli. Miał też świadomość, że przyczyniła się do tego jego nadmierna pewność siebie.

Spojrzał na przyjaciela, który wreszcie zaczynał odzyskiwać normalny kolor twarzy.

- Myliłem się - powiedział.

- O czym ty mówisz? - spytał zdziwiony Joe.

- Myliłem się co do St. Julienu - wyjaśnił Kurt. - Jest smaczkiem. Nigdy by się nie wybrał do restauracji, gdzie „jesz ile chcesz”.

Joe przyglądał mu się przez chwilę, a potem pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wszyscy nawaliliśmy - rzekł. - Tylko ty po prostu przejmujesz się tym bardziej niż inni.

Kurt westchnął i popatrzył na morze.

W odległości trzydziestu metrów zobaczył radiopławę kołyszącą się na falach. Miał nadzieję, że pomoc nadejdzie szybko, bo mieli jeszcze mnóstwo roboty. No i musiał wyrównać rachunki z tym bydlakiem Andrasem.

Uważał, że Andras nawalił jeszcze bardziej niż on, pozostawiając go przy życiu.

ROZDZIAŁ 38

Wybrzeże Sierra Leone, 26 czerwca

Djemma Garand stał blisko krawędzi lądowiska helikoptero-
wego na fałszywej platformie wiertniczej oznaczonej numerem
cztery. Mieściło się na niej centrum obsługi jego broni i tu by-

łoby jego stanowisko dowodzenia, gdyby kiedykolwiek potrze-
bował jej użyć.

Centrum znajdowało się trzy kondygnacje nad lądowi-

skiem, oszklony aneks głównego pomieszczenia wystawał na
zewnątrz jak mostek na statku.

Djemma opierał się o barierkę w cieniu, oczy ukrywał za
zielonymi okularami przeciwsłonecznymi Ray-Ban, które stale
nosił. Na środku lądowiska stali w prażącym równikowym słoń-

cu porwani naukowcy, zwabieni tym, co im podsunął - azorską
anomalią magnetyczną.

Dyktator uśmiechnął się na myśl o własnej przebiegłości.
Jak dotąd, wszystko szło zgodnie z jego planem.

Naukowców ustawiono w szeregu, jak do inspekcji, a on cze-
kał. Ilekroć któryś z nich chciał usiąść, Andras albo jeden z jego

ludzi groził mu dużo gorszą karą niż stanie w palącym słońcu.
Dookoła przechadzało się kilku strażników z bronią maszynową.

Kiedy narzekania i skargi ucichły, Andras podszedł do sto-
jącego w cieniu Djemmy.

- Jeśli potrzymamy ich tam dłużej - powiedział - to słońce
usmaży im mózgi. A o ile się nie mylę, nie po to pan ich tu ściągnął.

Djemma nie zamierzał reagować na tę uwagę. Odwrócił się do najemnika i spytał:

- Na Santa Marii było trzydziestu ośmiu ekspertów od nadprzewodnictwa, fizyki cząsteczkowej i energii elektromagnetycznej, a ja naliczyłem tylko trzydziestu trzech więźniów. Jak wyjaśnisz tę rozbieżność?

Andras splunął poza platformę i spojrzął z powrotem na afrykańskiego dyktatora.

- Musiałem wyeliminować ekipę francuską - odparł. - Pobrali próbkę rdzeniową z wieży i cała operacja mogła wziąć w łeb, zanim wykonalibyśmy nasz ruch. Rosyjska specjalistka okazała się szpiegiem. Dwa razy próbowała uciec. Ją też zabiłem.

Andras nawet nie mrugnął, ale nie wyglądał na zadowolonego, że musi się tłumaczyć.

- A Mathias? - zapytał Djemma.

- Pański klucznik się zapomniał - wyjaśnił najemnik. - Za - kwestionował moje rozkazy w obecności innych. Nie mogłem pozwolić, żeby to się powtórzyło.

Afrykanina ogarnął gniew. Mathias miał obserwować, a mówiąc ściślej, kontrolować Andrasa, i bez wątpienia głównie z tego powodu Andras go zabił. Ale Djemma nie mógł okazać irytacji. Pokiwał głową z wymuszonym uśmiechem i rzekł:

- Który przywódca tolerowałby taką bezczelność?

Odepchnął się od barierki i wyszedł na słońce, żeby przemówić do zgromadzonej grupy.

Po twarzy spływały mu strużki potu, gdy zatrzymał się przed więźniami. Naukowcy sprawiali wrażenie bliskich omdlenia. Nic dziwnego, większość pochodziła z rejonów o znacznie chłodniejszym klimacie. Djemma zdjął okulary przeciwsłoneczne. Chciał, żeby zobaczyli ogień w jego oczach.

- Witam w Afryce - zaczął. - Wszyscy jesteście inteligentnymi ludźmi, więc daruję sobie gierki i tajemniczość. Nazywam się Djemma Garand i jestem prezydentem Sierra Leone. Od tej pory będziecie pracować dla mnie.

- Nad czym? - zapytał jeden z naukowców. Najwyraźniej jeszcze nie wszyscy stracili energię.

- Dostaniecie specyfikacje i wymagania dotyczące akceleratora cząstek, który zbudowałem - odparł Djemma. - Będziecie mieć tylko jedno zadanie: zwiększenie jego mocy. Oczywiście otrzymacie zapłatę za waszą pracę, taką samą jak kiedyś ja w kopalni. Trzy dolary dziennie.

Mężczyzna z krótkimi siwymi włosami zaprotestował:

- Nie będę pracował dla pana. Ani za trzy dolary dziennie, ani za trzy miliony.

Na pewno Amerykanin, pomyślał Djemma. Żaden naród na świecie nie jest bardziej arogancki i mniej przyzwyczajony do znoszenia porażek.

- To oczywiście zależy od pana - odrzekł i skinął na Andrasa.

Najemnik podszedł i uderzył mężczyznę kolbą karabinu w brzuch. Naukowiec upadł, a dwaj strażnicy zawlekli go na krawędź platformy i zrzucili do morza.

Krzyczał, kiedy spadał, a potem nagle ucichł. Powierzchnia oceanu była trzydzieści sześć metrów niżej.

- Sprawdźcie, czy żyje - polecił Djemma. - Jeśli tak, ponówcie naszą ofertę.

Andras wysłał dwóch swoich ludzi, którzy pobiegli do schodów. Reszta naukowców patrzyła z przerażeniem na krawędź, za którą zniknął ich towarzysz. Kilka osób zakryło usta; jedna kobieta osunęła się na kolana.

- W międzyczasie - podjął Djemma, zadowolony, że ktoś okazał się na tyle głupi, by mu się sprzeciwić - wyjaśnię wam istotę naszego programu motywacyjnego. Wiem, że uznacie go za niezwykle wspaniałomyślny. Zostaniecie podzieleni na cztery grupy i otrzymacie takie same informacje potrzebne do wykonania zadania. Grupa, która znajdzie najlepszy sposób na zwiększenie mocy mojego urządzenia, przeżyje.

Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę.

- Jeden członek każdej z pozostałych grup umrze - zakończył.

Ludzie Djemmy zaczęli rozdzielać naukowców.

- Jeszcze jedno - dodał dyktator. - Macie siedemdziesiąt dwie godziny na przedstawienie wstępnej propozycji. Jeśli za trzy doby nie dostanę zadowalającego rozwiązania, jeden członek każdej grupy umrze i zaczniemy od początku.

Kiedy trzydziestu dwóch naukowców podzielonych na cztery ośmioosobowe grupy poprowadzono do wind na środku platformy, Djemma Garand się uśmiechnął. Widział strach na ich twarzach i był pewien, że większość, jeśli nie wszyscy, się podporządkuje.

Odwrócił się do Andrasa i czarnoskórego mężczyzny w mundurze, generała jego armii.

- Wracajcie na „Onyksa” - rozkazał - i zajmijcie pozycję.

Najemnik skinął głową i odszedł. Generał został.

- Czas nadszedł, stary druhu - powiedział Djemma. - Możesz zacząć odbierać to, co nam się prawnie należy.

Generał zasalutował, zrobił w tył zwrot i odmaszerował.

ROZDZIAŁ 39

Waszyngton, 27 czerwca

Kurt Austin wysiadł z windy na jedenastym piętrze centrali NUMA w Waszyngtonie.

Szedł z wyraźnym trudem. Skóra na twarzy i ramionach łuszczyła mu się od słonej wody i ośmiogodzinnego oczekiwania na ratunek w palącym słońcu. Żebra bolały go po ciosach

rurą, na policzku, grzbiecie nosa i wargach miał strupy po ciosie Andrasa.

Cierpieniom fizycznym towarzyszyło potworne zmęczenie. Bezpośrednio po powrocie na „Argo” spędził kilka godzin w małej kabinie konferencyjnej, gdzie wraz z Joem i kapitanem Haynesem odpowiadał na pytania przedstawicieli hiszpańskich

i portugalskich władz, a potem odbył czternastogodzinną podróż samolotem z Santa Marii przez Lizbonę do Waszyngtonu.

Mogliby mu przynajmniej zafundować lot klasą biznesową.

Teraz, zmagając się z różnicą czasu i wyczerpaniem, zmierzał do następnej sali konferencyjnej, w której on i Zavała mieli rozmawiać z Dirkiem Pittem oraz przedstawicielami marynarki wojennej i Narodowej Agencji Bezpieczeństwa o tym, co wyja-

śniali już pół tuzina razy. Tymczasem wszelkie ślady pozostawione przez Andrasa coraz bardziej się zacierały.

Dotarliśmy do końca korytarza, uśmiechnął się, widząc przy drzwiach sali konferencyjnej Gamay Trout.

Uściskali się na powitanie.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze, Kurt - powiedziała Gamay. - Jak się czujesz?

- Jestem w świetnej formie - skłamał. - Co z Paulem?

- Nadal nieprzytomny - odparła z westchnieniem.

- Przykro mi.

- Elektroencefalogram ma coraz lepszy, tomografia komputerowa nie pokazuje żadnych uszkodzeń, ale boję się o niego.

- Dojdzie do siebie - pocieszył ją Kurt. - W końcu wie, kto na niego czeka.

Uśmiechnęła się blado, po czym chwyciła za klamkę, otworzyła drzwi i weszła do sali.

Kurt wszedł za nią. Począł, aż Gamay wybierze miejsce, i usiadł obok niej. Joe, który zjawił się chwilę później, zajął krzesło po jej drugiej stronie. Dirk Pitt, Hiram Yaeger i wysoki oficer marynarki wojennej siedzieli naprzeciwko, a przedstawiciel NSA u szczytu stołu.

Pitt wstał, wygłosił zwyczajową formułę powitalną i zwrócił się do Gamay, Kurta i Joego.

- Wiem, że wszyscy troje dużo przeszliście, ale musieliśmy się spotkać, bo sytuacja jest coraz bardziej napięta. - Gdy pokiwali głowami ze zrozumieniem, wskazał gestem cywila. - Przedstawiam wam Camerona Brinksa z NSA. On i kontradmirał Farnsworth inicjują reakcję na to, co uważamy za bardzo poważne zagrożenie dla pokoju na świecie.

Cameron Brinks zaczął, aż Dirk usiądzie, po czym sam wstał i powiedział:

- Jesteśmy wam winni wdzięczność za odkrycie zagrożenia i zwrócenie na nie naszej uwagi. Podzielamy waszą opinię, że jakaś dobrze finansowana, może nawet wspierana przez państwo grupa skonstruowała broń energetyczną o niewiarygodnej mocy. Jeśli ekstrapolacja z danych jest właściwa, ta broń może naruszyć obecną równowagę socjomilitarną.

Kurt nie miał pojęcia, co to jest równowaga socjomilitarna, ale brzmiało to jak termin z żargonu politycznego. Najwyraźniej Brinks jest bardziej politykiem niż człowiekiem czynu.

A politycy lubią mówić. Na ogół dużo i bez sensu. Zaklął w duchu, zniesmaczony koniecznością wysłuchania długiej przemowy.

- Po konsultacji z panem Yaegerem - ciągnął Brinks - i przeprowadzeniu własnych badań doszliśmy do wniosku, że w tej broni jest wykorzystywany akcelerator cząstek, a więc system podobny do rozwiązania proponowanego lata temu dla tarczy antyrakietowej Inicjatywy Obrony Strategicznej.

Kurt rozważył słowa Brinksa i nastrój trochę mu się poprawił. Ci ludzie najwyraźniej dostrzegali niebezpieczeństwo.

- Co gorsza - kontynuował Brinks - porwani naukowcy są właśnie takimi specjalistami, jakich potrzeba, żeby ulepszyć to, co ci terroryści już posiadają.

- Wiemy, kto za tym stoi? - zapytał Kurt.

Brinks skinął głową.

- Oprócz informacji o zidentyfikowanym przez pana osobniku mamy dwa wiarygodne dowody, które sugerują, że ich bazą operacyjną jest Afryka.

- Afryka? - powtórzyła Gamay.

- Tak, pani Trout - potwierdził Brinks. - Dziś wczesnym rankiem dwie mile morskie na południe od miejsca, w którym zostali uratowani panowie Austin i Zavala, znaleziono zwłoki.

Skinął na asystenta, który wyjął z teczki zdjęcie i podał je Kurtowi i Joemu.

- Poznajecie go? - zapytał.

Twarz mężczyzny była zniekształcona, bo zwłoki dobrych kilka godzin znajdowały się pod wodą, ale rozpoznali go od razu.

- Klucznik - szepnął Joe.

- Ten facet był z Andrasem - powiedział Kurt. - Co mu się stało?

- Dwudziestka dwójka, jak na Dzikim Zachodzie - wyjaśnił Brinks. - Dwie kulki prosto między oczy. Orientujecie się, dlaczego zginął?

- Nie. Żył, kiedy poszliśmy na dno - odparł Kurt i odłożył zdjęcie. - Kto to jest?

- Został zidentyfikowany jako obywatel Sierra Leone. Były major ich sił zbrojnych, być może nawet ochroniarz prezydenta Djemmy Garanda.

- Sierra Leone - powtórzył Kurt. Drugi raz padła nazwa tego kraju.

- Tak, ślady prowadzą właśnie tam. Wiemy, że ruda nadprzewodząca została przekazana we Freetown, ale do tej pory myśleliśmy, że to była robota grupy najemników obsługujących port. Pański przyjaciel Andras może być jednym z nich.

Kurtowi nie spodobało się nazwanie Andrasa jego przyjacielem, nawet żartobliwe. Poza tym miał poważne wątpliwości co do wniosków NSA.

- Sierra Leone to jeden z najbiedniejszych krajów świata - powiedział. - Chce mi pan wmówić, że ma środki na skonstruowanie akceleratora cząstek z użyciem zaawansowanych nadprzewodników?

- Na istnienie powiązań wskazują nie tylko zwłoki tego człowieka - odparł Brinks, wyraźnie niezadowolony, że pytania są kierowane właśnie do niego - ale również pewne informacje wywiadowcze, których nie mogę szczegółowo omawiać. Powiem tylko, że w ostatnim okresie zaobserwowano tam dziwną mobilizację wojska.

- Okej, i co z tym robimy? - spytał Kurt.

Brinks utkwiał w nim spojrzenie.

- Przede wszystkim planujemy zakrojoną na szerszą skalę obserwację tego kraju. Dotąd nie mieliśmy powodu, żeby mu się uważniej przyglądać, ale zaczynamy to robić.

- Co jeszcze?

- Może pan wierzyć lub nie - odparł Brinks - ale uważamy, że wasze pierwotne założenie jest słuszne. Ci ludzie bez wątpienia dysponują okrętem podwodnym. Portugalscy nurkowie dokładnie zbadali skalną wieżę i natrafili na ukryte tunele do przepuszczania prądu morskiego przez turbiny, baterie akumulatorów i potężne cewki elektromagnetyczne. Wszystko przeznaczone do stwarzania wrażenia, że istnieje anomalia

magnetyczna. Przygotowanie tego wymagało korzystania z zanurzalnych jednostek pływających.

Kurt poczuł się częściowo zrehabilitowany.

- I? - zapytał.

- I wy troje zostaniecie przydzieleni do specjalnej jednostki marynarki wojennej, która ma zadanie zlokalizować ten okręt podwodny - odparł Brinks. - Pani Trout będzie współpracować z akustykami marynarki próbującymi ulepszyć sonarowe nagrania sygnatury dźwiękowej z ataku na „Groupera”.

- A Joe i ja? - Kurt zaczął się niecierpliwić.

- Ze względu na wasze doświadczenie w przeprowadzaniu operacji ratowniczych i konstruowaniu statków zanurzalnych zostaniecie przydzieleni do sił przeciwpodwodnych, które będą szukać tego okrętu.

Kurt był pewien, że się przesłyszał.

- Szukać go? To znaczy przemierzać ocean i nasłuchiwać hydrofonów w nadziei, że wyłapią coś więcej niż odgłosy wydawane przez wieloryby?

Ani Brinks, ani admirał Farnsworth nie odpowiedzieli.

- To chyba żarty? - ciągnął Kurt. - Ocean ma grubo ponad sto milionów kilometrów kwadratowych. Tyle trzeba by przeszukać, żeby ich znaleźć, i to przy założeniu, że nadal są na morzu i czekają, aż zostaną złapani. Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że ukryli gdzieś okręt i przechodzą do następnego etapu swojego planu.

- Nasze siły przeciwpodwodne są najlepsze na świecie, panie Austin - zapewnił Farnsworth.

- Wiem, panie admirale, ale co pan zamierza wysłać?

- Siedem fregat i dwadzieścia samolotów. Będziemy też korzystać z linii SOSUS i innych stacji nasłuchowych na południowym Atlantyku.

Środków miało być więcej, niż Kurt się spodziewał, ale i tak o wiele za mało w stosunku do potrzeb. Zwłaszcza że nawet nie wiedzieli, czego szukać.

- SOSUS zarejestrował coś podczas któregoś z incydentów? - spytał.

- Nie - przyznał admirał. - Tylko odgłosy przełamywania się „Kinjary Maru” w drodze na dno i eksplozje torped podczas ataku na „Groupera”.

- Więc nie mamy nic poza niewyraźnym nagraniem z „Matadora” - stwierdził Kurt.

- Ma pan lepszy pomysł, panie Austin? - zapytał sarkastycznie Brinks.

- Owszem - odparł Kurt. - Zamierzam wytropić Andrasa. A kiedy go znajdę, doprowadzi nas do tego, dla kogo pracuje.

Brinks zbył jego słowa machnięciem ręki.

- CIA szuka go od lat. Nigdy nie przebywa w jednym miejscu wystarczająco długo, żeby go namierzyć. Na jakiej podstawie sądzi pan, że go znajdzie, skoro tamtym się nie udaje?

- Bo są pewne kamienie, których oni nie lubią odwracać - odrzekł Kurt. - Ja nie mam takich oporów.

Brinks zacisnął usta, zniesmaczony. Spojrzał na dyrektora NUMA.

- Panie Pitt, mógłby pan coś zrobić?

Dirk poprawił się na krześle.

- Jasne - odparł i zwrócił się do Kurta: - Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej - potwierdził Austin. - Znam kogoś, kto był kontaktem Andrasa lata temu. Uważam, że wciąż jest aktywny.

- Więc po co tracisz czas z nami? Rusz tyłek.

Kurt uśmiechnął się i wstał.

- Już się robi.

- To śmieszne - powiedział Brinks.

- I weź ze sobą Joego — dodał Pitt. — Jeśli zechce.

- Już myślałem, że się tego nie doczekam — odezwał się Zavala.

Brinks zazgrzytał zębami, oparł się na stole i **popatrzył na szefa NUMA.**

- Jeden mój telefon i nic z tego nie będzie - ostrzegł.
- Myli się pan - odparował Pitt. - Po pierwsze, Kurt ma rację. Ulokowanie jego i Joego na jakimś niszczycielu byłoby marnowaniem zasobów ludzkich. Po drugie, postawilibyśmy wszystko na jedną kartę: pańską. Jeśli nam się powiedzie, pan przypisze sobie zasługi, a jeśli nie, zrzuci winę na nich i NUMA. Proste równanie. I jakie wygodne. Ale zapomina pan o bardzo ważnej zmiennej: ani ja, ani żaden z nich nie pracujemy dla pana. I niech mnie diabli, jeśli pozwolę narazić na niebezpieczeństwo kraj albo środowisko ludzi związanych z morzem dla pańskich osobistych celów politycznych.

Brinks wyglądał jak człowiek ugodzony rogiem w czasie walki byków. Natomiast Farnsworth był wyraźnie zadowolony, bo bez wątpienia zastanawiał się, po co mu dwaj cywile z NUMA na okręcie.

Admirał zachichotał i spojrział na Gamay.

- Ale z pani usług skorzystamy, pani Trout. Nasi sonarzyści są bardzo sympatyczni.

- Zrobię wszystko, żeby pomóc - zapewniła.

Austin ruszył do drzwi.

- Jeszcze jedno, Kurt - powiedział Dirk.

Kurt się obejrzał.

- Nie zbaczaj z prostej drogi. To jest dla nas zadanie bojowe - przypomniał mu Pitt - nie wypad, żeby dokonać zemsty.

Kurt rozumiał niepokój szefa. Skinął mu głową, zerknął na Brinksa i skierował się do drzwi. Otworzył je i wpadł prosto na jedną z pracowniczek administracyjnych NUMA, młodą kobietę, której nie znał.

- Nic się pani nie stało? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Nie, przyszedłam przekazać ważną wiadomość pani Trout.

Kurt otworzył szerzej drzwi i wpuścił ją.

- Paul się obudził - oznajmiła. - Pyta o panią.

ROZDZIAŁ 40

Dreetown, Sierra Leone, 28 czerwca

Djemma Garand stał wyprostowany na stanowisku dowódcy w wieżycze przestarzałego rosyjskiego czołgu. Dyktator, który

zaskoczył świat swoim planem nacjonalizacji, postanowił urządzić spektakularny pokaz siły.

Podczas gdy oddziały piechoty przy wsparciu helikopterów i milicji przejmowały kontrolę nad kopalniami w kraju, dwa-

dzieścia spośród czterdziestu czołgów będących na wyposażeniu sił zbrojnych kraju toczyło się przez śródmieście Freetown.

Jechały w długiej kolumnie, otoczone z dwóch stron przez samobieżne wyrzutnie rakietowe, dżipy i transportery opancerzone, wśród gromkich wiwatów ludzi zgromadzonych na ulicach. Tysiące cywilów przyszło tu z własnej woli, bo prezydent obiecał im lepszą pracę i wyższe zarobki po zakończeniu na-

cjonalizacji. Kolejne tysiące przybyły zachęczone subtelnie przez aparat bezpieczeństwa.

Zachęta okazała się na tyle skuteczna, że wiwaty tłumu sprawiały wrażenie w pełni spontanicznych, i Djemma czuł dumę z tego, co robi. Trasa przejazdu wiodła przez centrum miasta do portu, który był już w jego rękach, tak jak duża ra-

fineria kilka kilometrów na północ od Freetown, lotnisko i nie-liczne fabryki na terytorium Sierra Leone.

Starannie wybrany reporter i kamerzysta jechali z prezydentem i rejestrowali wydarzenie.

- Panie prezydencie - reporter musiał prawie krzyknąć, żeby Djemma go usłyszał przez ryk silnika czołgu i dudnienie gąsienic - jak rozumiem, poinformował pan MFW, że Sierra Leone nie będzie dłużej spłacać pożyczek. Czy to się zgadza?

- Owszem - potwierdził Djemma. - Mamy dość łamania sobie kręgosłupów tylko po to, żeby płacić odsetki.

- I ta decyzja jest związana z dzisiejszymi działaniami? - zapytał reporter jak na dany znak.

- Dziś jest dzień wolności - odrzekł Djemma. - Kiedyś uwolniliśmy się od kolonializmu. Teraz uwalniamy się od innego ucisku. Ekonomicznego.

- Nie obawia się pan - pytał dalej dziennikarz - że zostaną podjęte kroki odwetowe? Przecież świat nie będzie się bezczynnie przyglądał, jak narusza pan prawo własności międzynarodowych korporacji.

- Postępuję po prostu według zasady oko za oko - odparł Djemma. - Przez wieki oni naruszali prawo własności mojego narodu. Zjawiali się tutaj i zabierali nam kamienie szlachetne, metale i inne bogactwa, a w zamian dawali tylko cierpienie. Kucharz w jednej z dyrektorskich stołówek tych firm zarabia dwadzieścia razy więcej niż górnik, który haruje w upale i codziennie naraża życie. Nie wspominając o dyrektorze, który pracuje znacznie lepiej niż kucharz.

Djemma uśmiechał się, kiedy mówił. Był naprawdę szczęśliwy.

- Ale kopalnie, rafineria i cała infrastruktura kosztowały miliardy zainwestowanych dolarów - zauważył reporter.

- I mój naród już za nie zapłacił - odpowiedział prezydent. - Krwią.

Czołgi toczyły się z dudnieniem w kierunku żurawi portowych. W tym momencie prezydent, rozglądający się dookoła z miną triumfatora, dostrzegł niewielką chmurę ciemnego dymu, która unosiła się pod niebo na zachód od portu. Wyglądało to na pożar, ale Djemma wątpił, żeby ktoś stawiał opór.

Pewnie zapalił się jakiś samochód albo nastąpił inny wypadek.

Nieważne, liczył się widok.

- Sfilmujmy dym - zaproponował. - Niech wiedzą, że nie żartujemy.

Kamerzysta odwrócił się, ustawił zoom i zrobił zbliżenie unoszącej się chmury. Djemma pomyślał z satysfakcją, że ten materiał jeszcze dziś pokażą wszystkie najważniejsze kanały informacyjne.

W ciągu dwudziestu czterech godzin ludzie na całym świecie dowiedzą się wszystkiego o nim i o jego kraju, o którym większość nie słyszała nigdy wcześniej. Do tego czasu on wyłącznie większość cudzoziemców, wsadzi ich do samolotów i odeśle z powrotem do domów.

Rządy ich państw będą się odgrażać, blefować i zamrożą prawie nieistniejące zagraniczne aktywa Sierra Leone. Załadają, żeby się wytłumaczył, co zrobi bardzo chętnie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Uważał swoje działania za legalne, dlaczego więc miałby o nich nie mówić?

Wtedy zwróca się do niego z różnymi roszczeniami i rozpoczyna się negocjacje. Najpierw będą twardzi, żeby nie wyjść na uległych, potem trochę spuszcza z tonu, ale to nie będzie miało żadnego znaczenia, bo on nie ustąpi ani o milimetr.

Wpadną w gniew, będą walić pięścią w stół, pieklić się, wymyślać mu i grozić. I wtedy sytuacja stanie się niebezpieczna, bo on nie tylko się nie podda, lecz zażąda więcej.

Zdawał sobie sprawę z ryzyka, pragnął jednak je podjąć, gdyż był pierwszym od dwóch tysięcy lat afrykańskim przywódcą posiadającym broń, którą mógł pokonać imperium.

ROZDZIAŁ 41

Paul Trout siedział na szpitalnym łóżku, a Gamay opowiadała mu o wydarzeniach z ostatnich dni, raz po raz przerywając swoją relację pocałunkami i uściskami.

Chociaż więc bolała go głowa i słabo kojarzył, jakby przedawkował leki albo wypił za dużo wina, czuł się zaskakująco dobrze.

- Nic z tego nie pamiętam - wyznał, gdy opowiedziała o ewakuacji z „Groupera”.

- A co pamiętasz? - zapytała.

Sięgnął w mroczną głębię swojego umysłu. Odkąd się obudził, przelatywały mu przez głowę wyłącznie przypadkowe myśli i różne sytuacje z bardziej odległej przeszłości. Nim komputer, który uruchamia się ponownie po zresetowaniu, jego umysł zdawał się organizować od nowa. Zapach jedzenia dolatujący z kantyny wysunął na pierwszy plan jedno wspomnienie.

- Pamiętam tamto Święto Dziękczynienia w Santa Fe, kiedy spaliłaś indyka, a potem przyznałaś, że miałem rację co do tego, jak trzeba go piec.

Roześmiała się.

- Naprawdę to pamiętasz?

- No cóż, mieć rację i usłyszeć od ciebie tego samego dnia, że mi ją przyznajesz, to raczej rzadkość.

Zmarszczyła brwi w udawanym gniewie.

- Podobno u niektórych ludzi po urazach głowy ujawniają się nowe zdolności. W twoim przypadku tak się nie stało, mój kochany. Nigdy nie byłeś dowcipny i nadal nie jesteś.

Tym razem on się roześmiał. Miał wrażenie, że w głowie rozjaśnia mu się z każdą sekundą.

- Pamiętam słońce na morzu - powiedział. - I jak przygotowaliśmy się do zanurzenia w „Grouperze”, a ja uważałem, że nie powinniśmy tego robić oboje.

Z relacji Gamay wynikało, że współpracowali idealnie, ona zaś dotarła z powrotem na powierzchnię tylko dzięki jego pomocy. Gdyby go z nią nie było, zginęłaby.

- Co było dalej? - zapytał.

Opowiedziała mężowi resztę szczegółów i poinformowała go o swoim następnym zadaniu.

- Jutro o tej porze lecę na fregatę przeciwpodwodną na Atlantyku. Będziemy pracować nad nagraniem sonarowym.

Paul popatrzył na żonę. Nie zamierzał jej powstrzymywać, ale nie chciał też, żeby poleciała bez niego.

Odrzucił koldrę i opuścił nogi na podłogę.

- Lecę z tobą - oświadczył.

- Paul, przecież dopiero co... - zaczęła.

- Wyszedłem na prostą - przerwał jej. - Tak twierdzi lekarz. Poza tym zajmowałem się sonarami o wiele więcej niż ty. Zwłaszcza echolokATOREM GEO na „Matadorze”.

Rozumiał niepokój Gamay. Jak mogłaby się o niego nie bać po tym, co się stało? Ale nie zamierzał zostać.

Podniósł się z łóżka i stanął niepewnie. Był tak wysoki, że w szpitalnej koszuli wyglądał jak w minispódniczce.

- Nie mają dłuższych? - mruknął.

Gamay spojrzała na niego poważnie, wciąż pełna obaw.

- Będziemy na okręcie wojennym - przekonywał. - Opancerzenie, rakiety, działa, torpedy. Nigdzie nie jest bezpieczniej.

Pokręciła głową i westchnęła ciężko.

- No dobrze. I tak nigdy nie mogłam przemówić ci do rozsądku.

Roześmiał się, zadzwonił na pielęgniarkę i zaczął się rozglądać za szlafrokiem.

- Mam jeden warunek - powiedziała Gamay

- Jaki? - spytał.
- Nie wracam do wody - odparła.
- Co takiego?
- Nie wracam do wody - powtórzyła. - Ani w statku zanurzalnym, ani w skafandrze nurkowym, ani w żaden inny sposób. Nie jestem na to gotowa.

Odkąd ją znał, nigdy niczego się nie bała, ale teraz wyraźnie słyszał strach w jej głosie.

- Nie pamiętasz tego - wyjaśniła - i w pewnym sensie masz szczęście, bo to było straszne.

- Będziemy na pokładzie - zapewnił. - Albo w naszej klimatyzowanej kabinie. Mam nadzieję, że blisko mesy i automatu z lodami.

Myślał, że rozbawi żonę, ale nie uśmiechnęła się, i Paul zaczął się o nią martwić jak nigdy dotąd.

ROZDZIAŁ 42

Singapur, Malezja, 30 czerwca

Owładziescia osiem godzin po uwolnieniu ze szponów NSA Kurt i Joe wylądowali w Singapurze. Wsiedli do samolotu na

Dulles, zapłacili masę forsy za bilety pierwszej klasy i dosłownie pofrunęli na drugi koniec świata.

W hotelu, po rozpakowaniu się i telefonie do starego przyjaciela, który kiedyś mu pomógł, Kurt postanowił się zdrzem-

nąć. Był tak zmęczony, że nie miał siły podnieść się z kanapy, i zasnął na niej.

Dwie godziny później obudził go dzwoniący w ciemności telefon.

Poderwał się jak smagnięty batem i rzucił do aparatu. Do-

sięgnął go, kiedy spadał z kanapy, ale zdążył chwycić słuchawkę, zanim włączyła się poczta głosowa.

- Biały Radża - usłyszał nieznamy głos.
- Kto? - zapytał.
- Czy to Kurt Austin?
- Tak.
- Miałem do pana zadzwonić - powiedział nieznamy - i wytłumaczyć, gdzie pan znajdzie to, czego pan szuka. Biały Radża.
- Chwileczkę. Co to jest...

Połączenie zostało przerwane. Kurt odłożył słuchawkę na widełki i opadł na oparcie kanapy.

- Gdzie ja jestem? - wymamrotał. Przypomnił sobie lot i przyjazd do hotelu. - A, tak. W Singapurze.

Rozejrzał się po ciemnym pokoju. Zegar w radiu na wprost niego wskazywał dziewiętnastą siedemnaście.

Wstał, podszedł do drzwi sąsiedniego pokoju i załomotał w nie.

- Pobudka - zawołał. - Czas wziąć się do roboty.

Drzwi otworzyły się po kilku sekundach. Joe stał za progiem, gładko ogolony, z wyżełowanymi włosami, w koszuli od Armaniego i białych lnianych spodniach.

Kurt popatrzył na niego w osłupieniu.

- Nie śpisz?

- Noc mnie przyzywa - odparł Joe z uśmiechem. - Jak mógłbym odmówić?

- Mnie przyzywa ktoś inny - burknął Kurt - więc kiedy będę brał prysznic, dowiedz się łaskawie, co to, do diabła, jest Biały Radża. Domyślam się, że hotel, bar albo ulica.

- Tam się wybieramy? - spytał Zavała.

Kurt skinął głową.

- Mamy się tam z kimś spotkać.

- Z kim?

- Przykro mi, ale nie mam zielonego pojęcia.

Czterdzieści minut później Austin i Zavała weszli do Białego Radży, w epoce wiktoriańskiej, kiedy Wielka Brytania miała ogromne wpływy w Malesji, angielskiego Idubu dla dżentelmenów, a obecnie restauracji i baru.

W lokalu zachowano stylowy wystrój - z misternie rzeźbioną mahoniową boazerią, świetlikami z ręcznie dmuchanych szklanych bloków i skózanymi fotelami i kanapami - ale zamiast grających w brydża emerytowanych członków Kompanii Wschodnioindyjskiej i przemysłowców palących fajki i grube cygara odwiedzali go młodzi Singapurczycy, którzy jedli ostrygi i pili drogie drinki.

Mniej więcej połowę gości stanowili zachodni ekspatrianci, a resztę miejscowi obywatele lub przyjezdni azjatyccy biznesmeni.

Kurt, odświeżony i przebrany, wyglądał jak bardziej konserwatywna wersja Joego. Przyjaciele obeszlą lokal dookoła, wrócili do części frontowej i usiedli przy głównym barze, którego blat z cienkiej alabastrowej płyty podświetlonej od dołu wyglądał jak żarzący się bursztyn.

- Mogę coś podać? - zapytał barman.

Joe, który już był w Singapurze, odparł bez namysłu:

- Proszę tigera.

- Doskonały wybór - pochwalił barman i zwrócił się do Austina: - A dla pana?

Kurt nie odpowiedział, bo rozglądał się po sali w poszukiwaniu kogoś znajomego. Nikogo takiego nie dostrzegł.

- Czy mogę coś podać? - powtórzył barman.

- Kawę - poprosił Kurt. - Czarną.

Mężczyzna za kontuarem skinął głową i odszedł.

- Kawę? - Joe był zaskoczony wyborem przyjaciela. - Masz pojęcie, która jest godzina?

Przez szklane bloki świetlika nad nimi zamigotał niebieskawy blask - błyskawica bez grzmotu, która zwiastowała nadciągającą burzę z piorunami.

- Godzina? Nie wiem nawet, jaki jest dzień tygodnia. Ledwo pamiętam, na jakiej planecie jesteśmy.

Joe się roześmiał.

- Tylko nie miej do mnie pretensji, jeśli nie zaśniesz przez całą noc.

- Mam przeczucie, że tak będzie - odpowiedział Kurt.

Spojrzał na ścianę za barem, ozdobioną prawie dwumetrowym portretem przystojnego mężczyzny w stroju kolonialnym.

- Sir James Brooke - przeczytał podpis na mosiężnej tabliczce pod obrazem.

Barman, który właśnie wrócił z napojami, wyjaśnił:

- Biały Radża.

- Naprawdę?

- W tysiąc osiemset czterdziestym pierwszym roku stłumił bunt przeciwko sułtanowi Brunei i otrzymał tytuł radcy Sarawaku. On i jego rodzina rządziła małym imperium w dzisiejszym Kuchingu przez sto lat, do japońskiej inwazji w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym.

- Przecież Sarawak jest po drugiej stronie cieśniny – przypominał Kurt, który wiedział, że Kuching i Sarawak leżą na sąsiedniej wyspie Borneo.

- Owszem - potwierdził barman - ale po wojnie potomkowie Białego Radcy zwrócili terytorium Imperium Brytyjskiemu. Tutejszy klub nazwano na jego cześć.

Kiedy barman się oddalił, Kurt wypił spory łyk mocnej, aromatycznej kawy i od razu poczuł się lepiej.

Joe spojrzał na niego i spytał:

- Co my właściwie robimy w Singapurze? Oprócz tego, że uczymy się historii?

- Dwanaście lat temu - odparł Kurt - prowadziłem tu akcję ratowniczą. Jedną z moich ostatnich dla Firmy przed przejściem do NUMA.

- Nie mówiłeś mi o niej.

- Bo pewnie jeszcze jest tajna. Ale teraz powiem ci z grubsza, o co chodziło.

Joe przysunął się bliżej i rozejrzał, jakby szukał szpiegów. Kurt się roześmiał.

- Pewien E-6B prowler - zaczął - miał kłopoty i spadł do Morza Południowochińskiego. To był prototyp wyposażony w masę sprzętu, który nie mógł wpaść w ręce drugiej strony, co wtedy oznaczało Chiny, Rosję i Koreę Północną.

- I nadal oznacza - wtrącił Joe.

Kurt skinął głową.

- Pilot używał nowego radaru bocznego wybierania i leciał dokładnie na granicy chińskiej przestrzeni powietrznej. Podejrzewaliśmy, że zszedł z kursu i ją przekroczył.

- No tak - powiedział Joe. - To byłby problem.

- Właśnie. Znasz zasady obowiązujące w ratownictwie. Na pełnym morzu kto znajduje, ten zatrzymuje, ale gdyby tamten samolot choćby o metr przekroczył granicę chińskich wód terytorialnych i Chińczycy dowiedzieliby się o tym, ściągnęliby tam pół swojej floty i strzelali do każdego, kto zbliżyłby się na odległość dziesięciu mil morskich. Wiedzieliśmy również, że nawet jeśli prowlera tam nie ma, oni będą go szukać.

- Jasne. - Joe pokiwał głową. - Życiowa szansa.

- Dokładnie - zgodził się Kurt. - Więc wymyśliśmy bajeczkę, że uratowaliśmy pilota i wydobyliśmy wrak. Spreparowaliśmy nawet nagranie wideo, jak pilot jest wyciągany z morza, a fragmenty skrzydła są ładowane na pokład tendra. Jednocześnie zebraliśmy grupę miejscowych, którzy mogli odszukać wrak i wydobyć go bez wzbudzania podejrzeń Chińczyków. Facet, który pomógł to zorganizować, kontakt CIA używający pseudonimu pan Ion, był pół-Amerykaninen, pół-Malezyjczykiem. Znał wszystkich, których należało znać, i potrafił załatwić prawie każdą sprawę. I o ile wiem, nadal tak jest. Ale on działa na dwa fronty. Możesz mu wierzyć, że robi to, co mówi, i że zachowa to w tajemnicy, ale nie możesz liczyć, że kiedy cię nie ma, nie pracuje dla innych. W każdym razie pomógł nam zebrać zespół, w którego skład od początku wchodził niejaki Andras.

- Ten sam? - upewnił się Joe, a gdy Kurt potwierdził, spytał: - I co, narobił wam kłopotów?

- Nie od razu. Początkowo był bardzo przydatny, wywęszył nawet zdracę powiązanego z chińskimi tajnymi służbami. Problem pojawił się później. Kiedy mieliśmy już gotowy plan operacji, pogoda się zepsuła. Po trzech dniach beczynnego czekania uznałem, że jesteśmy zbyt blisko celu, by dłużej zwlekać. Zdecydowałem, że wydobędziemy prowlera mimo złej pogody. Zebrałem zespół i wtedy okazało się, że Andras gdzieś przepadł.

- Co było dalej?

Kurt napił się kawy.

- Dotarliśmy na miejsce, ale samolot zniknął. Potem dostaliśmy cynk, że Rosjanie przekupili Andrasa. Właśnie zaczynał im się podobać kapitalizm, a jedną z rzeczy, które szły jak świeże bułeczki, były migi. Dzięki awionice i technice z prowlera mogliby unowocześnić je niemal z dnia na dzień.

- Więc ten gość już wtedy był sprzedajnym draniem - stwierdził Joe.

Kurt przytaknął.

- I co zrobisz?

- Podczas pierwszego nurkowania do zatopionego odrzutowca rozmieściłem we wraku dwadzieścia dwa kilogramy materiałów wybuchowych. Dostałem rozkaz wysadzenia prowlera w powietrze, gdyby nie udało nam się podnieść go z dna albo gdybyśmy go wydobyli i wpadli w ręce Chińczyków. Ładunki zostały w samolocie, uzbrojone i gotowe do zdetonowania. Odpaliłem je przez satelitę i gdzieś nad Kamczatką eksplodował rosyjski odrzutowiec. Załoga pewnie nie miała pojęcia, co transportuje.

Joe pokręcił głową.

- Brutalna gra.

- Bardzo brutalna - przyznał Kurt. Nawet teraz, po latach, czuł wyrzuty sumienia z powodu uśmiercenia nieszczęsnych lotników. - Ale jeśli tym razem ktoś ucierpi, postaram się, żeby to był Andras.

Joe się rozejrzał.

- Myślisz, że znajdziemy go tutaj?

- Nie jego - odparł Kurt. - Kogoś, kto wie, jak go znaleźć.

Uniósł filiżankę z kawą i wypił następny łyk.

Andras ubiegł go już dwa razy. Bez wątplenia dostał zapłatę za przekazanie prowlera Rosjanom. Eksplozja była ich problemem. I jeśli historia się powtórzyła, to zapewne już liczył pieniądze otrzymane za dostarczenie komuś porwanych naukowców. Ale czy chodziło mu tylko o forszę?...

Kurt spojrział na portret Białego Radzy i przypomniał sobie słowa Andrasa, że będzie królem, kiedy to wszystko się skończy. Co ten drań kombinuje?

Dokończył kawę i zamówił drugą. Kiedy barman napełniał mu filiżankę, Kurt rozejrzał się po sali.

Ktokolwiek do niego dzwonił, prawdopodobnie zdoła namierzyć Andrasa, a potem zawrą jakąś umowę w sprawie wymiany informacji. Niestety, jak dotąd nikt do niego nie podszedł, nie przekazano mu żadnej kartki, żaden barman ani kelner nie zawiadomił, że ktoś czeka, aby się z nim zobaczyć.

Goście siedzący przy stolikach jedli, pili i prowadzili ciche rozmowy. Salę rozjaśniał raz po raz blask kolejnej błyskawicy - wyraźnie zanosilo się na burzę - ale nie działo się nic niezwykłego.

Dziwne, pomyślał Kurt. Do tej pory zawsze wyczuwał, że jest obserwowany. Albo zawodzi go szósty zmysł, albo też nikt się nimi nie interesuje. Jakby zostali odstawieni na boczny tor i zapomniani niczym wagon kolejowy rdzewiejący wśród wysokich chwastów.

Już zaczął się zastanawiać, czy nie dostał złej informacji.

Wtedy dwuskrzydłowe drzwi na wprost niego otworzyły się i do sali weszło trzech mężczyzn.

Dwóch zwałistych goryli z ciemnymi twarzami i kwadratowymi szczękami, którzy wyglądali bardziej na Samończyków niż Malezyjczyków, wyprzedzał o krok niski, szczupły mężczyzna o jasnej skórze, lekko skośnych oczach i krótkich ciemnych włosach przyprószonych na skroniach siwizną. Wyglądał, jakby nie przekroczył czterdziestki, ale Kurt wiedział, że dobiega pięćdziesiątki.

- Ión - powiedział Austin, wstając.

Mężczyzna odwrócił się na dźwięk jego głosu. Popatrzył na Kurta i rozpoznawszy go, rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

Uśmiech, najwyraźniej wymuszony, zniknął prawie tak szybko, jak się pojawił. To mogło oznaczać tylko jedno: kłopoty.

ROZDZIAŁ 43

Ion cofnął się o krok, stając między swoimi gorylami, którzy natychmiast zeszywnieli, wpatrzeni w Kurta. Wyglądali jak walczący w parze wrestlerzy, gotowi zaatakować przeciwnika, jeśli zrobi fałszywy ruch.

- Chyba obniżyli tu standardy, skoro wpuścili kogoś takiego jak ty, Austin - powiedział Ion. - Muszę się poskarżyć kierownictwu.

- Nie ma potrzeby - odparł Kurt. - Udziel mi pewnej informacji i znikam.

- A czego chcesz się dowiedzieć? I ile jesteś skłonny zapłacić? Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że informacje kosztują, a przy obecnej inflacji ich ceny rosną z dnia na dzień.

- Jesteś mi coś winien - przypomniał Kurt. - Masz okazję spłacić dług.

- Nic ci nie jestem winien - zachnął się Ion.

Kurt spodziewał się takiej odpowiedzi.

- W takim razie proponuję ci prawo do zachowania reputacji. Będziesz musiał zdecydować, ile jest warta.

- Moja reputacja? - zdziwił się Ion. - Może zechcesz mi wyjaśnić, o co ci chodzi? Ale krótko, bo mam rezerwację.

- Dobrze, będę się streszczał - Kurt wskazał szerokim gestem salę. - Wyobraź sobie, jak będziesz wyglądał w oczach tych ludzi, kiedy wytrę podłogę twoimi gorylami i wydobędę informację z twojej jajowatej głowy.

Jego słowa wywołały dokładnie taką reakcję, na jaką liczył. Na twarzy Iona pojawił się wyraz gniewu, ale z domieszką strachu i namysłu. Może posłucha...

Ion zastanawiał się kilka sekund, a potem zwrócił do swoich ochroniarzy:

- Ten człowiek jest niebezpieczny. Zajmijcie się nim.

Goryle naprężyli mięśnie i ruszyli w kierunku Kurta. Jeden walnął pięścią w otwartą dłoń, drugi wyszczerzył zęby w zło-wieszczym uśmiechu. Najwyraźniej byli gotowi do walki.

Kurt uświadomił sobie, że ma przewagę. Ochroniarze patrzyli tylko na niego, bo Ion, który przecież nie znał Zavali, powiedział: „Ten człowiek jest niebezpieczny”.

Chwycił filiżankę z kawą, a kiedy mięśniacy znaleźli się w odległości półtora metra, chlusnął im prosto w twarze aromatycznym płynem.

Kawa już prawie wystygła, więc nie mogła ich poparzyć, ale obaj gwałtownie odchyliłi głowy i zamknęli oczy.

W tym momencie Kurt zaatakował, napierając barkiem na tułów pierwszego ochroniarza tuż poniżej mostka. Goryl zato-czył się do tyłu, wpadł na stolik, potknął się i runął na podłogę.

Zanim kolega zdołał mu pomóc, do akcji wkroczył Joe. Złapał stołek barowy i zdzielił nim drugiego ochroniarza w kark. Facet upadł i zaczął się wycofywać na czworakach. Joe zostawił go i odwrócił się, by zobaczyć, czy Kurt nie potrzebuje pomocy.

Austin wylądował na gorylu, którego powalił. Przeciwnik, wciąż przytomny, zmrużył oczy i wyrznął go pięścią w podbródek. Cios był silny, ale Kurt otrząsnął się po nim i uderzył faceta łokciem w czuły punkt między szyją a barkiem.

Ochroniarz odchylił głowę do tyłu, odsłaniając szczękę. Kurt uziemił go prawym prostym w podbródek.

Wszystko stało się tak szybko, że goście restauracji ledwo zdążyli zareagować. Większość nadal siedziała przy stolikach, a jakaś para wstała z krzeseł, ale oboje nadal trzymali drin-ki. Biały Radża był ekskluzywnym lokalem, który nie zatrud-niał bramkarzy, więc nikt się nie zjawił, żeby wyrzucić Kurta

i Joego, choć barman trzymał **teraz w** rękach kij bejsbolowy Louisville Slugger.

Austin wstał wolno i tłum zaczął się odprężyć. Niektórzy sprawiali wrażenie zawiedzionych, że to już koniec atrakcji.

Kurt odwrócił się do Iona, zaskoczony, że tak łatwo to poszło.

Ion przeniósł wzrok z Kurta na Joego, po czym kolejno na swoich pokonanych ludzi. Najpierw wyglądał na przerażonego, potem na rozczarowanego, wreszcie utkwiał spojrzenie w Austinie i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć „Zdarza się”.

I wtedy, kiedy Kurt już myślał, że się podda i zacznie mówić, obrócił się jak kot i popędził do drzwi.

- Cholera! - zaklął Austin.

Zaskoczony ucieczką Iona, przeskoczył przez nieprzytomnego Samończyka i wypadł na zewnątrz. Joe tuż za nim.

- Tam - wskazał Zawała.

Ion był na prawo od nich, biegł ulicą. Ruszyli w pościg pustym chodnikiem.

Kurt pomyślał, że nie wskoczył do samochodu, bo prawdopodobnie nie on prowadził w drodze do Białego Radzy, tylko któryś z Samończyków. A nawet jeśli miał kluczyki, to na pewno zostawił auto parkingowemu i nie chcąc zostać złapanym i poturbowanym, zanim chłopak przyprowadzi jego maserati czy mercedesa, musiał dać nogę na piechotę.

Dogonienie Iona nie wydawało się trudne. Przynajmniej do momentu, gdy zaczęło padać.

Deszcz przepłoszył wprawdzie z chodników nielicznych przechodniów, ale jednocześnie bardzo ograniczył widoczność, więc kiedy Ion skręcił w prawo w jakiś zaułek, Kurt omal nie stracił go z oczu.

Wypadł zza rogu i zobaczył Iona pięćdziesiąt metrów przed sobą w świetle latarni. On i Joe przyspieszyli.

- Nie mogę uwierzyć, że ten kurdupel potrafi tak szybko biegać - zawołał Kurt.

- Wie, kto go ściga - odkrzyknął Zavala.

Kurt pomyślał, że adrenalina robi swoje, ale wątpił, aby Ión zdołał utrzymać pełne tempo tak długo jak on i Joe. Teraz przydawały się te wszystkie okrążenia, które pokonywał w domu, w siłowni i na „Argo”.

Ión obejrzał się i skręcił w następny zaułek. Kurt i Joe za nim. Kiedy Austin dobiegał do rogu uliczki, Zavala poślizgnął się na mokrym chodniku i upadł. Sunąc po ziemi, uderzył w betonową donicę.

Chwilę później był z powrotem na nogach. Koszulę miał rozdartą i zakrwawioną na łokciu, spodnie rozerwane na kolanie, ale biegł dalej.

- Pamiętaj, jak powiedziałem, że następnym razem wybierzemy się gdzieś, gdzie jest sucho? - krzyknął. - Mówiłem poważnie.

Kurt starał się nie roześmiać, żeby nie stracić tchu. Na końcu zaułka wznosił się parkan, który Ión przesadził niczym akrobata. Austin pierwszy poszedł w jego ślady, Joe wyładował po drugiej stronie sekundę czy dwie później.

Znaleźli się w jakimś parku, gdzie ścigany mógł się ukryć między drzewami lub w jakiś krzakach, nie zrobił tego jednak. Nadal uciekał, a kiedy Kurt go dostrzegł, zorientował się, że Ión zwalnia.

Przeciął trawnik, minął wypielegnowane drzewa, przeskoczył przez następny parkan i wpadł na wąską boczną uliczkę pełną sklepów.

Potknął się i skręcił w prawo w poprzeczną.

Kurt dawał z siebie wszystko, żeby go nie zgubić. Ale kiedy dotarł do uliczki, nigdzie nie zobaczył Ióna.

Zatrzymał się z poślizgiem i rozejrzał.

- Gdzie on się podział? - zastanawiał się.

- Na pewno tu wbiegł - rzekł Joe. - Widziałem, jak skręcał.

Kurt zamrugał i znów popatrzył wzdłuż uliczki. Nigdzie ani śladu Ióna.

- Ten maty szczur musiał się schować - powiedział. - Sprawdź tamtą stronę, a ja poszukam po tej. Idź wolno. On musi gdzieś tu być.

Joe skinął głową i przeciął jezdnię. Kiedy ruszył prawą stroną ulicy, Kurt zaczął iść wzdłuż lewej. Zaglądał do samochodów zaparkowanych przy krawężniku, ale w żadnym nikt się nie ukrywał.

Drzwi sklepów mieściły się we wnękach. Kurt sprawdził każdą, gotów do ataku z zaskoczenia, lecz nikogo nie znalazł.

W uliczkę wjechał jakiś samochód. Jego reflektory oślepiły go na moment, zdołał jednak dostrzec kobietę za kierownicą i nikogo więcej. Auto nadjechało z tak daleka, że łon potrzebowałby plecaka odrzutowego, żeby do niego dolecieć i ukryć się w środku.

Niebo rozjaśniła błyskawica, a po chwili rozległ się grzmot. Deszcz przybrał na sile i Kurt schronił się we wnęce. Już miał pogodzić się z faktem, że łon im uciekł, gdy znów błysnęło.

Spojrzał w dół i zobaczył mokre ślady stóp na w większości suchej betonowej podłodze we wnęce. On też zostawił ślady, ale te na pewno nie należały do niego.

Nie ruszając się z miejsca, sięgnął za siebie i trafił dłonią na gałkę drzwi. Zaciśnął na niej palce, ale nie musiał jej obracać, bo drzwi się uchyliły.

ROZDZIAŁ 44

Zimny dreszcz przebiegł Kurtowi po plecach. Ostrożnie przesunął się do przodu i gestem przywołał Joego.

- Znalazłeś coś? - zapytał trochę głośniejszym głosem, niż musiał.

- Nic - odparł Zavała. - Zniknął.

Kurt wskazał głową za siebie. Joe zerknął na uchylone drzwi i zamrugnął na znak, że zrozumiał.

- Dobra - powiedział Kurt. - Wynośmy się stąd.

Ale zamiast odejść, położył rękę z powrotem na gałce drzwi.

Wziął głęboki oddech i otworzył je gwałtownym ruchem nadgarstka.

Rozległ się nagły wrzask i tupot, ale w środku nikogo nie było. W każdym razie żadnego człowieka. Kurt zobaczył klatkę pełną tukanów i jakichś innych kolorowych ptaków, których nie

znał. Kawalek dalej, w następnej klatce, siedziała iguana wielkości sporego jamnika.

Gdy po chwili ptaki się uspokoiły, w powietrze uniosło się kilka piór.

- To tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia - mruknął Joe.

Kurt w pierwszej chwili się z nim zgodził, ale zobaczył dalsze mokre ślady na podłodze i nabrał pewności, że są na tropie łona.

- To jakiś sklep zoologiczny - stwierdził, chociaż nie potrafił sobie wyobrazić wyjścia na spacer z iguaną o wyglądzie małego dinozaura.

Obejrzał się na drzwi. Drewniana ościeżnica była rozlupana w miejscu, gdzie zostały otwarte kopnięciem, łon musiał

je zamknąć, kiedy się dostał do środka, ale nie na klamkę, bo uszkodzenie na to nie pozwalało.

Kurt spojrzął w górę. Szylid informował: „Rzadkie i egzotyczne okazy”. Najwyraźniej zwierząt.

Przez środek długiego, wąskiego sklepu biegł rząd klatek ustawionych jedna na drugiej. Pod obiema ścianami umieszczono większe klatki, niektóre z kratami, inne z przezroczystego plastiku.

Kurt wskazał Joemu prawe przejście, a sam wszedł w drugie.

Kiedy posuwał się naprzód, zobaczył w jednej z klatek drzemiącego w przyćmionym świetle warana z Komodo. W kolejnych były lemury, małpy, leniwiec, a także karakal, ryś stepowy z płową sierścią i czarnymi uszami.

Kurt stąpał miękko i nasłuchiwał. Docierały do niego różne dźwięki, ale wszystkie brzmiały jak odgłosy zwierząt. Wtem rozległ się brzęk, jakby metal uderzył o metal. Na chwilę zapadła cisza, po czym dźwięk się powtórzył.

Dały się słyszeć kroki, ale nie dwunoga. Czworonoga.

Gdy umilkły, zabrzmiał niski pomruk.

Na ten dźwięk małpy zaczęły walić z wrzaskiem w swoją kratę. Pomruk się powtórzył, tym razem nieco głośniejszy.

Kurt rzucił się za róg i zobaczył Joego wciśniętego w ciasną przestrzeń między wierzchem klatki z małpami a sufitem. Młody leopard uderzał go łapą, obnażając przy tym długie, ostre zęby.

Austin złapał jakąś metalową miskę z pokarmem i cisnął nią w leoparda, trafiając go w łopatkę. Zaskoczone zwierzę odwróciło się do niego, wydało kolejny pomruk i uciekło w kierunku frontu sklepu. Kurt obserwował drapieżnika, dopóki ten nie zniknął za progiem otwartych drzwi wejściowych.

- Przypomnij mi, żebym zadzwonił do schroniska dla zwierząt, gdy skończymy - powiedział, kiedy Zavala zeskokczył na podłogę.

Zanim Joe zdążył się odezwać, w głębi sklepu przesunął się jakiś cień. Tym razem niewątpliwie istoty dwunożnej.

Kurt pobiegł w tamtą stronę, Ión dotarł do tylnego wyjścia i ciągnął z całej siły stalowe drzwi, ale były zaryglowane, bo, w przeciwieństwie do frontowych, służyły bezpieczeństwu, nie estetyce, Ión szarpnął je, potem uderzył w nie ramieniem, a gdy to nie poskutkowało, odwrócił się i popatrzył na Austina.

Spróbował przemknąć obok niego, ale Kurt złapał go i rzucił z powrotem na drzwi, Ión wystartował do drugiego przejścia, zobaczył Joego i się zatrzymał.

W akcie desperacji zepchnął z półki akwarium, które roztrzaskało się na podłodze; szkło, woda, ryby i niebieskie kamyki rozprysły się dookoła.

Kurt odskoczył w tył, robiąc unik, i podniósł wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak Ión biegnie w stronę frontowych drzwi. Tym razem podciął go i przewrócił.

Oszołomiony bolesnym upadkiem Ión poruszył się niepewnie na mokrej podłodze.

- A mogło być znacznie przyjemniej - zauważył Kurt, chwytając go za kłapy marynarki i stawiając na nogi.

- Niczego się ode mnie nie dowiesz - burknął Ión.

- Nawet nie wiesz, o co mi chodzi - odparł Kurt.

- O Andrasa. Wiem, że go szukasz.

- I dlatego byłeś taki oporny?

- Zabije mnie, jeśli się dowie, że rozmawiałem z tobą - tłumaczył Ión.

- Nie, jeśli ja zabiję go pierwszy - odparł Kurt.

- Nigdy go nie zabijesz. Zawsze jest o krok przed tobą.

- Czyżby? Więc módl się, żeby to się zmieniło, bo zaraz mi wyśpiewasz, gdzie on jest.

- Cokolwiek mi zrobisz, nie będzie gorsze od tego, co robi Andras.

Kurt uświadomił sobie, że Ión ma rację. On, w odróżnieniu od Andrasa, w żadnych okolicznościach nie posunąłby się do bestialstwa. Bycie porządnym człowiekiem miało wiele zalet, ale w pewnych sytuacjach - choćby takich jak ta - okazywało się po prostu niepraktyczne, Ión i jemu podobni o wiele lepiej

reagowali na argumenty siły niż siłę argumentów. Innymi słowy, słuchali się tych, którzy potrafili ich zastraszyć.

Zerknął na krwawiące zadrapanie na przedramieniu Joego, które wyglądało na dzieło leoparda, i nagle wpadł na pewien pomysł. W tym sklepie z „rzadkimi i egzotycznymi okazami” musiało być coś odpowiedniego.

Złapał Iona za kark i powlókł ze sobą.

- Gdzie by cię tu wsadzić? - mamrotał, przystając przed kolejnymi klatkami. - Małpy są dla ciebie za sprytnie. Leniwiec mógłby cię wziąć w obroty, ale nie mamy całej nocy.

Wreszcie dotarli do klatki warana z Komodo. Gad ani drgnął mimo całego zamieszania.

- Ten może być - oświadczył Kurt i sięgnął do rygła.

- Co?! - wrzasnął Ion. - Oszalałeś?!

Kiedy Kurt uporał się z drzwiami klatki, waran wysunął język i otworzył jedno oko, ale się nie poruszył.

Ion spróbował się wyrwać, ale Austin chwycił z półki obok siebie obrożę na długim kiju, służącą zapewne do odciągania w razie potrzeby niebezpiecznego zwierzęcia.

Ion też potrafił być niebezpieczny, ale Kurt zamierzał go unieszkodliwić.

Włożył mu obrożę na szyję i kijem popchnął go naprzód, przyciskając do otwartych drzwi klatki.

- Nie wiem, czy to dobry wybór - wtrącił się Joe.

Kurt odwrócił się do niego.

- Odradzasz go? - zapytał. - Czemu?

- Warany są jadownicze - wyjaśnił Zaval. - Ale zachowują się inaczej niż na przykład kobry. One gryzą swoje ofiary, a potem je zostawiają, żeby skonały. To trwa kilka dni.

- Zdziwiasz mnie, Joe - powiedział Kurt. - Nie miałem pojęcia, że znasz się na jaszczurkach.

- Przepracowałem jedno lato w zoo - wyznał Zaval.

- Z powodu dziewczyny?

- Tak - potwierdził Joe. - Nazywała się Callie Romano.

- Ładnie - stwierdził Kurt.

Szarpnął kij z powrotem i łon o mało nie upadł na twarz. Kiedy Austin zaryglował drzwi klatki, waran z Komodo zamknął oko i powrócił do drzemki.

- Więc co proponujesz? - spytał Kurt przyjaciela. Zaczynał się dobrze bawić.

Joe przeszedł wolno wzdłuż rzędu klatek i przystanął przed jedną z największych. Miała dwa i pół metra głębokości i dwa szerokości. Były w niej różne rośliny, kilka konarów i mała sadzawka, nieopodal której siedziały dwa duże szczury.

Kurt zajrzał do klatki. Początkowo pomyślał, że to, co się w niej lekko poruszyło, jest jednym z konarów. Dopiero po chwili zorientował się, że to ogon dużego węża.

- Pyton siatkowy - odczytał Joe napis na tabliczce na drzwiach. - Nocny łowca. Mogą osiągać nawet dziesięć metrów długości, ale ten ma najwyżej siedem.

- Dusiciel - powiedział Kurt takim tonem, jakby głośno myślał. - Siedmiometrowy, studwudziestodwukilogramowy wąż. Doskonale.

- Chyba nie zamierzasz...

Zanim łon zdążył dokończyć zdanie, Kurt odryglował drzwi klatki, przyciągnął go do nich i popchnął, łon wpadł z pluskiem do sadzawki.

Kurt rozpiął i zdjął mu obrożę, po czym zatrzasnął i zaryglował drzwi.

- Bardzo przydatna - stwierdził, zanim odłożył obrożę na kiju.

Łon podniósł się z sadzawki i rozejrzał. Wąż wyraźnie się ożywił. Poruszał głową i węszył wokół, na razie nieagresywnie, lecz niewątpliwie z zainteresowaniem.

- Byłem w paru ogrodach zoologicznych - rzekł Kurt - ale szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem pytona w ruchu.

- Nic dziwnego - odparł Joe. - Są regularnie karmione i robią się takie ociężałe, że nic im się nie chce. Ale ten wygląda raczej mizernie.

Kurt wcale nie uważał, że pyton wygląda mizernie, powiedział jednak:

- Fakt, skóra i kości.
- Pewnie głodzą go od miesięcy - stwierdził Joe.

Łon przesuwiał się centymetr za centymetrem w stronę drzwi.

- Dlaczego mieliby go głodzić? - zapytał Kurt.
- Właściciele takich sklepów sprzedają węże bogatym kolekcjonerom, którzy chcą je zobaczyć w akcji - wyjaśnił Joe. - Więc ich nie karmią, dopóki nie mają kupca. Gdy już go znajdą, wkładają do klatki węża szczury.

Kurt nie wiedział, czy Joe mówi serio, czy zmyśla, ale tekst był dobry.

Wąż też współpracował. Zsuwał się z konarów w głębi klatki i rozciągał.

Łon dotarł do drzwi.

- Wypuść mnie stąd, Austin - jęknął błagalnie.

Kurt zignorował go i popatrzył na tabliczkę.

- Tu jest napisane, że one potrafią pożreć kozę - zwrócił się do przyjaciela.

- Oczywiście - potwierdził Joe.

Kurt przeniósł wzrok na klatkę.

- Łon jest niewiele większy od kozy. Ciekawe, czy wąż zdoła go połknąć.

- No, nie wiem - zastanawiał się Joe. - On ma bardzo dużą głowę.

- Jak arbuz - przyznał Kurt. - Pewnie szyja okropnie mu się męczy.

Łon otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym zamarł. Wąż wpełzł za niego, uniósł łeb i wysunął język, dotknął nim jego uda.

Kurt był ciekaw, czy najpierw go ukąsi, czy od razu zacznie oplatać. Zanim pyton podjął decyzję, postanowił dać łonowi jeszcze jedną szansę.

- Chcesz mi coś powiedzieć o Andrasie? - spytał.

- Nie mogę - wyszeptał Ión.

- Kiedy ten wąż owinie się wokół ciebie, pozostanie mi tylko wyjść i zamknąć za sobą drzwi. Więc lepiej mów, co wiesz, zanim będzie za późno.

Ión przywarł do drzwi klatki. Ledwo mógł oddychać z przerażenia. Wąż minął jego nogi i zaczął je okręzać.

- Czuje go? - spytał Kurt Zawała.

- O tak. Wyczuwa ciepło językiem.

Wąż zaczął się unosić, jakby szykował się do ataku.

Ión drżał ze strachu, ale uparcie milczał.

Pyton zaatakował błyskawicznie. W ciągu zaledwie kilku sekund powalił Ióna, oplótl i zaczął dusić.

Ión wrzeszczał i próbował się uwolnić. Jedno i drugie było błędem, bo wypuszczał powietrze z płuc, ułatwiając gadowi zadanie.

- Austin... - zdołał wykrztusić, gdy oswobodził jedno ramię i chwycił węża. - Austin...

Kurt otworzył drzwi klatki i wkroczył do akcji. Założył wężowi obrozę z kijem, zacisnął i znalazłszy punkt oparcia, pociągnął jego łeb do góry, odciągając od Ióna.

Pyton okazał się nadspodziewanie silny. Obracał się i mიაł, mimo że nadal był opleciony wokół Ióna.

- Joe - wy dyszał Kurt - pomóż mi.

Zawała opadł obok Ióna, złapał węża oburącz i pociągnął z całej siły. Udało mu się rozluźnić ciasny zwój.

Ión, rozpaczliwie pragnący żyć, zdołał się wyswobodzić. Wyczołgał się z klatki i wyczerpany opadł na podłogę.

Gdy Joe wysłiznął się za nim, Kurt uwolnił pytona i zatrzasnął drzwi. Obrozę na kiju założył z powrotem Iónowi, który nawet nie próbował się opierać.

- Gdzie znajdę Andrasa? - spytał.

Ión popatrzył na Austina z miną zbitego psa.

- Nie wiem - odparł - nie widziałem go od roku.

- Gówno prawda - warknął Kurt. - Nagrywałeś mu robotę.

- On już nie potrzebuje zleceń - przekonywał Ión. - Ma stały kontrakt od dwóch lat.

- A jednak widziałeś się z nim rok temu - przypomniał Kurt i zacisnął mocniej obrożę. - Nie kręć.

- Widziałem się z nim - przyznał Ión. - Ale nie szukał roboty, tylko ludzi.

- Jakich ludzi?

- Takich, którzy znajdują się na materiałach wybuchowych i na statkach.

Kurt pomyślał o ataku na „Kinjarę Maru” i o załadunku materiału nadprzewodzącego na pokład frachtowca przez grupę najemników. Wyglądało na to, że Andras stworzył małą armię. Tylko po co?

- Jak się z nim kontaktujesz? - spytał.

- Poczta elektroniczną - odparł Ión.

No tak, pomyślał Kurt, czasy potajemnych spotkań i skrynek kontaktowych minęły bezpowrotnie. Teraz można wysyłać i dostawać informacje gdziekolwiek o dowolnej porze.

Spojrzał na Ióna. Był pewien, że facet coś ukrywa.

- Jest coś, czego mi nie mówisz - powiedział. - Inaczej wyśpiewałbyś to wszystko bez oporu.

Ión milczał.

Kurt zwrócił się do Joego:

- Następna pora karmienia.

Zawała otworzył klatkę z wężem i Kurt powlókł Ióna w jej stronę.

- Jeśli nie chcesz gadać ze mną, to pogadasz z pytonem - zagroził.

- Będę mówił - wykrztusił Ión. - Andras mieszka na morzu. Przenosi się z miejsca na miejsce statkiem. Dlatego nikt nie może go znaleźć, a on może się dostać prawie do każdego kraju, chociaż nie ma obywatelstwa ani paszportu i wszędzie jest poszukiwany. Schodzi na ląd jako członek załogi albo z ładunkiem.

To miało sens. Ilekroć agenci CIA, FBI czy Interpolu wpadali na trop Andrasa, rozpływał się w powietrzu jak duch, by pojawić się gdzie indziej miesiąc później. Nikt nie mógł roz-

gryźć, jak to robi. Okazało się, że jest negatywnym odpowiednikiem Juana Cabrillo.

- Jak się nazywa ten statek? - spytał Kurt.

- Nie wiem - odparł Ión.

Austin pchnął go w kierunku drzwi klatki.

- Przysięgam - zarzekał się Ión. - Myślisz, że by mi to zdradził?

Kurt nie naciskał, tylko zadał następne pytanie:

- Kiedy ostatnio był w Singapurze?

- Ostatnio widziałem go czwartego lutego. Pamiętam, bo to było dzień po chińskim Nowym Roku.

Kurt skinął na Joego, a kiedy ten zamknął klatkę, uwolnił Ióna z obroży.

- Mój przyjaciel i ja musimy już iść - oznajmił. - Gdyby przyszło ci do głowy ostrzec Andrasa, domyśli się, że go sypnąłeś. I zrobi coś o wiele gorszego niż nakarmienie tobą węża.

- Co zamierzasz? - spytał Ión, masując obolałą szyję.

- Już ci mówiłem, że zamierzam go zabić - odparł Kurt. - A ty, dla swojego własnego dobra, módl się, żeby mi się udało.

ROZDZIAŁ 45

Po powrocie do hotelu Kurt i Joe zawiadomili odpowiednie służby, że widzieli leoparda w dzielnicy handlowej, po czym każdy zajął się własnymi sprawami.

Dla Joego oznaczało to gorący prysznic i opatrzenie ran, a dla Kurta wytarcie ręcznikiem twarzy i włosów, włożenie suchego ubrania i skontaktowanie się z centralą NUMA. Potrze-

bował informacji. NUMA miała dostęp do części z nich, o pozostałe musiała poprosić Interpol, FBI i inne agencje.

Na szczęście od dawna utrzymywała z nimi dobre stosunki, a bilans wzajemnych przysług był dla niej dodatni.

Kurt od prawie godziny śledził nad laptopem, zanim Joe wszedł do jego pokoju.

- Co tak długo? - zapytał Austin.
- Wydłubywałem sobie żwir z kolana.

Kurt się roześmiał.

- Tak to jest, gdy się nosi włoskie buty i nagle trzeba kogoś ścigać w deszczu.

- Nie wiedziałem, że będziemy musieli przebiec przez całe miasto - odparł Joe.
- Ja też nie. Jak ramię?

Zawała wyciągnął rękę. Ślady po pazurach były zdezynfekowane, ale wyraźnie widoczne.

- Będziesz miał co opowiadać dziewczynom - stwierdził Kurt. - Może nawet zrobisz wrażenie na dawnej ukochanej z zoo.

- Bardzo śmieszne - mruknął Joe, chociaż nie wyglądał na rozbawionego. - Mam nadzieję, że nie zniszczyłem na darmo mojej ulubionej koszuli od Armaniego.

Kurt odwrócił się z powrotem do komputera.

- Zapewniam cię, przyjacielu, że twoja bohaterska ofiara przyniosła wymierne korzyści - rzekł, wskazując dwie równoległe listy. - Z prawej są oficjalnie potwierdzone informacje, gdzie i kiedy widziano Andrasa. Dostaliśmy je dzięki uprzejmości Interpolu, FBI i pewnego znajomego Dirka w Agencji.

Joe wpatrywał się w zestawienia, a Kurt czytał na głos:

- W Phenianie półtora roku temu. W Singapurze pięć tygodni później, dokładnie tego dnia, który podał Ion.

- Punkt dla nas za straszenie wężem - wtrącił Joe.

- Racja - przyznał Kurt. - Oryginalny i jakże skuteczny sposób zdobywania informacji.

Zawała się roześmiał.

- Po Singapurze - kontynuował Austin - zastajemy Andrasa w Kaohsiung na Tajwanie. Jest tam jedną dobę, po czym znika na trzy miesiące i pojawia się w Jemenie. Sześć tygodni później widziano go na Madagaskarze.

- Na Madagaskarze? - zdziwił się Joe. - Czego tam szukał?

- Nie mam pojęcia - odparł Kurt i czytał dalej: - Potem Kapsztad w Afryce Południowej, znowu Madagaskar i trzy miesiące temu Lobito w Angoli, gdzie przebywał długo jak na niego, bo zauważono go cztery razy w ciągu trzech tygodni. Wiemy, że dowodził atakiem na „Kinjarę Mara”, a jeśli teoria Dirka jest słuszna i Andras brał udział w załadunku materiału nadprzewodzącego na ten frachtowiec, to był we Freetown w Sierra Leone niecały miesiąc temu.

- Więc znamy jego trasę - podsumował Joe. - Teraz trzeba ustalić, czym podróżuje. Może się przemieszczać jachtem pełnomorskim albo frachtowcem, albo nawet okrętem podwodnym, którego szukamy.

- Nie sądzę - odparł Kurt. - Nasze spotkanie na Santa Marii miało miejsce niemal równocześnie z atakiem na Paula

i Gamay pięćset mil morskich stamtąd. Poszukiwanym okrętem podwodnym musi dowodzić ktoś inny. A Andras jest podobno tak nieufny, że nie ma nawet zastępcy, działa w całkowicie płaskiej strukturze dowodzenia. Jest on i wokół niego same pionki. Dzięki temu nikt nie jest w stanie z nim rywalizować.

- Paranoik - stwierdził Joe.

- Dokładnie - zgodził się Kurt. - Gdyby miał okręt podwodny, nie powierzyłby go nikomu, a już na pewno żadnemu z ludzi zwerbowanych przez agencję, którą prowadzi nasz ocalony przed głodnym pytonem pan Ion.

- Więc pozostaje statek nawodny. Jeden z tysięcy, które nadają się do takich podróży, jakie odbywa Andras.

- To prawda - przyznał Kurt - ale na podstawie informacji, którymi dysponujemy, możemy znacznie ograniczyć tę liczbę. Zaczniemy od Singapuru. Skoro Andras był tam czwartego lutego, rejestry tamtejszego kapitanatu pozwolą nam z miejsca wyeliminować dziewięćdziesiąt osiem procent zarejestrowanych na świecie jednostek pływających.

Spojrzał do swoich notatek.

- Kiedy Andras tam był, w tamtejszym porcie i u wybrzeża kotwiczyło sto siedemdziesiąt jeden pełnomorskich statków.

- To niemało - zauważył Joe.

- Owszem - przyznał Kurt - ale jeśli zestawimy to z innymi miejscami pobytu Andrasa i rejestrami kotwiczących tam wtedy statków, dokonamy kolejnej eliminacji.

- Obawiam się, że nie mamy takich rejestrów z Jemenu, Madagaskaru i Angoli - powiedział Joe.

- Rejestrów nie mamy - potwierdził Kurt - ale mamy zdjęcia satelitarne, które pokazują wszystkie statki przebywające w tamtejszych portach.

- I co wynika z tych zdjęć?

- Z wyjątkiem Afryki Południowej, w każdym tym miejscu albo w pobliżu miejsca, gdzie Andras przebywał w ciągu ostatniego półtora roku, był jeden statek. Tylko jeden.

Kurt kliknął na nazwę „Onyx” z listy po prawej stronie i na ekranie ukazało się zdjęcie dużego tankowca z czarnym kadłubem, białym głównym pokładem i liberyjską banderą na maszcie.

Joe był pod wrażeniem, ale zarazem sceptyczny. Z danych na dole wynikało, że to trzystutysięcznik, supertankowiec.

- Myślisz, że facet ma takie fundusze?

- Czytałeś jakąś książkę o Sherlocku Holmesie? - spytał Kurt.

- Widziałem film - odparł Joe. - A co?

- To proste, mój drogi Zavalu. Wyeliminuj niemożliwe, a to, co zostanie, choćby najbardziej niewiarygodne, będzie prawdą. „Onyx” kotwiczył wszędzie tam, gdzie Andras się pojawiał w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy. Z wyjątkiem Kapsztadu, ale nie ma pewności, że go tam widziano. Poza tym ten supertankowiec jest za szeroki na przebycie Kanału Sueskiego, co może tłumaczyć jego długą drogę wokół Afryki do Freetown, zanim wykonali numer „przynęta z zamianą” na „Kinjarze Maru”.

Joe wydawał się przekonany argumentami przyjaciela.

- Na kogo jest zarejestrowany?

- Na jakąś korporację spoza Liberii, o której nikt nigdy nie słyszał.

- No to powiedzmy Dirkowi i Brinksowi, że naszym zdaniem podejrzany może być na tym statku, zwińmy interes i chodźmy na ryby - zaproponował Joe.

Kurt pokręcił głową. Potrzebowali niezbitego dowodu. A jeśli Andras trzymał naukowców na statku, musieli go zaskoczyć. Inaczej ludzie, których Kurt chciał uratować - wśród nich Katarina - znaleźliby się w większym niebezpieczeństwie niż kiedykolwiek dotąd.

- Często widzujesz, żeby machina rządowa zaczęła działać tylko dlatego, że jakiś Kurt czy Joe są takiego czy innego zdania?

- Nieczęsto - przyznał Zavalu.

- No właśnie. Potrzebujemy dowodu.
- Chcesz się dostać na pokład tego statku - domyślił się

Joe.

Kurt skinął głową.

Joe nie wyglądał na zachwyconego tą perspektywą.

- A jak zamierzasz dokonać abordażu jednostki pływającej z załogą złożoną z terrorystów i zabójców, którzy bez wątpienia cały czas obserwują, czy ktoś się do nich nie zbliża?

Kurt się uśmiechnął. Miał pewien plan. Chyba jeszcze bardziej szalony niż ostatni, ale tamten się powiódł.

- Dokładnie tak, jak się usuwa zęby tygrysowi - odparł. - Bardzo ostrożnie.

ROZDZIAŁ 46

USS „Truxton”, 1 lipca.

Paul i Gamay Trout siedzieli z sonarzystą w klimatyzowanej zaciemnionej sterowni USS „Truxton”. Przestrzeń wokół nich zajmowały komputery z płaskoekranowymi monitorami. Część pomieszczenia przypominała studio mikserskie, co nie dziwiło,

bo nagrane dźwięki dzielono, analizowano i łączono z powrotem w segmenty.

Systemu sonarowy „Matadora” pochodził sprzed dwudziestu lat i był przeznaczony do badania dna morskiego szerokimi pasami. W trybie aktywnym fala dźwiękowa wysyłana z dzwo-
nu na dnie statku odbijała się od dna morza i była wylapywana

przez system hydrofonów. W trybie pasywnym system po prostu nasłuchiwał i wyląkiwał odgłosy z otoczenia.

Każdy hydrofon celował w dół i pokrywał swoim zasięgiem stosunkowo wąski pas, penetrując głębiny niczym stożek światła pod latarnią uliczną. Stwarzało to takie same ograniczenia

jak w przypadku latarni w wyjątkowo ciemną noc - poza zakresem hydrofonu nic nie było słycać.

Troutom i sonarzyście towarzyszył jeden z operatorów broni przeciwpodwodnej „Truxtona”, bosman Collier, młody żylasty podoficer o spokojnym usposobieniu. Analizowali wspólnie nagrania od wielu godzin. Podczas gdy Paul uważał to za nużące, bosman z niesłabnącym zapałem koncentrował się nawet na najdrobniejszych szczegółach i ochoczo zaczynał od nowa.

- Okej, jedziemy - powiedział po raz piąty.

Paul położył dłonie na wyścielanych słuchawkach i przycisnął je do uszu. Zobaczył, że Gamay przygotowała długopis i przechyliła głowę na bok w oczekiwaniu. Collier włączył odtwarzanie i Paul znowu usłyszał znajome odgłosy. Za każdym razem brzmiały bardzo podobnie, ale nie identycznie, bo podchorąży za pomocą swoich komputerów oddzielał różne hałasy w tle czy inne dźwięki. Tym razem coś dodał.

- Zsynchronizowaliśmy pański głos z łączności z powierzchnią z nagraniem - wyjaśnił bosman.

Paul usłyszał własny głos - przekomarzał się z „Matadorem” na powierzchni, a potem z żoną.

To wszystko było surrealistyczne. Wiedział, że to jego głos, ale nie pamiętał nic z tego, co wtedy mówił. Nie mógł też sobie przypomnieć, co robił, kiedy wypowiadał tamte słowa.

Gamay spojrzała na niego.

- I co?

- Chodzi ci o powrót pamięci?

Skinęła głową.

- Nic.

Popatrzyła z powrotem do swoich notatek, a nagranie leciało dalej. Gdy doszło do momentu pierwszego ataku, Paul podniósł wzrok na Gamay. Ilekroć następowała ta sekwencja, denerwowała się. Tym razem też. Już zaczęła stukać długopisem o blat.

- „Wprowadzam go dalej w głąb statku” - dobiegły z głośnika jej słowa, odnoszące się do „Rapunzela”.

Nastąpiła lekka zmiana hałasu w tle, a kilka sekund później rozległ się głos kontrolera na „Matadorze”:

- „Paul, mamy kontakt sonarowy”.

- „Jakiego rodzaju?”

- „Nieznany. Na zachód od was i bardzo słaby. Ale szybko się porusza”.

Paul słuchał dźwięku. Brzmiał teraz wyraźniej, jakby został wzmocniony.

Usłyszał swoje pytanie, czy to dźwięk mechaniczny czy naturalny, a potem, gdy sygnał przybrał na sile, głos kontrolera, nagle również o innej tonacji, o pół oktawy wyższy.

- „Mechaniczny czy naturalny?”

- „Nie wiemy... Jest mały... To torpeda. Nie, dwie. Prują w waszą stronę”.

- Niech pan zatrzyma nagranie - polecił Paul. -1 da jeszcze raz ostatnie dwadzieścia sekund.

- Po co? - wtrąciła się Gamay. - To bezcelowe.

- Coś usłyszałem - odparł Paul. - Coś, czego nie słyszałem ostatnim razem. Niech pan to puści jeszcze raz.

Sonarzysta spełnił polecenie.

Paul zobaczył, jak Gamay przelyka z trudem ślinę. Wiedział, że każde odtworzenie tego fragmentu oznacza dla niej powrót myślami do dramatycznych zdarzeń, które, w odróżnieniu od niego, pamiętała bardzo dobrze. Nie chciał jej na to narażać, ale niestety musiał.

- „Paul, mamy kontakt sonarowy”.

- „Jakiego rodzaju?”

- „Nieznany. Na zachód od was i bardzo słaby. Ale szybko się porusza”.

- Stop! - zawołał Paul. - Tutaj.

Gamay zdjęła słuchawki i odłożyła je na stół.

- Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedziała, wstając.

Paul skinął głową i obserwował ją, kiedy wychodziła. On dzięki amnezji nie miał emocjonalnego stosunku do tego, co się wydarzyło. To było dochodzenie jak każde inne. Zagadka, którą chciał rozwikłać.

- Może pan odizolować wibracje i usunąć głosy? - spytał.

- Jasne - przytaknęła podoficer.

Zajęło to chwilę, po czym nagranie było gotowe do odtworzenia. Kiedy sonarzysta włączył odtwarzanie, coś blokowało dźwięk. Paul spojrział na ekran komputera. Wykres częstotliwości pokazywał koncentrację hałasów niskiego poziomu w tle

i dwa główne źródła wibracji. Jedno było w trochę niższym paśmie niż drugie.

- Co to jest? - zapytał, wskazując wznios na wykresie.
- Sygnatura akustyczna silnika „Groupera” - odparł bosman.

- Może pan to wyeliminować?

Collier skinął głową i kilka sekund później dał znak, że jest gotowy.

- Jedziemy - powiedział Paul.

Tym razem był pewien, co słyszy. Nie wiedział, co to znaczy, ale nie zdawało mu się.

Wskazał inny wznios częstotliwości.

- Może pan wykasować wszystkie inne hałasy w tle i puścić tylko to? I wzmocnić?
- Panie Trout - odparł bosman - rząd dba, żebyśmy mieli najlepszy sprzęt na świecie. Mogę panu puścić *Gwiazdzisty sztandar*, jeśli pan sobie życzy.

Paul się roześmiał.

- Nie trzeba. Proszę tylko pogłośnić tę falę dźwiękową i rozciągnąć to trochę.

Tym razem nagranie zabrzmiało jak odgłosy wydawane przez moped pędzący pustą ulicą. Żadnych innych dźwięków, żadnych alarmujących krzyków, że zbliżają się torpedy, tylko samo wibrujące wycie, które lekko się nasiliło, a potem zmieniło tonację na niższą. Tak, jakby „moped” ich minął i się oddalał.

- Czy to jest to, co myślę? - spytał Paul.

Bosman wysłuchał nagrania jeszcze raz i skinął głową.

- Kompresja - wyjaśnił. - Początkowy dźwięk jest kompresowany do wysokiej częstotliwości, bo źródło zbliża się do „Groupera”, a w ciągu trzech ostatnich sekund dźwięk jest rozciągnięty do niższej częstotliwości, bo źródło się oddala.

- Jak gwizdek pociągu - zauważył Paul - albo samochód mijający człowieka na ulicy. Pojazd nadal wydaje taki sam odgłos, ale ludzka percepcja jest inna. Więc to nie mogą być torpedy.

- Nie - zgodził się bosman. - To na pewno pojazd. Sądząc po dźwięku, nawet dwa.

- Ale dlaczego nie słyszeliśmy ich wcześniej? - spytał Paul.

- Przez torpedy - odparł Collier. - Sygnatura akustyczna jest wylapywana w prawie tych samych pasmach częstotliwości co torpedy.

- Co to oznacza?

- Dla mnie, panie Trout, oznacza to, że zostaliście zaatakowani przez coś małego i szybkiego. Zapewne łodzie podwodne napędzane szybkoobrotowymi śrubami, tak jak torpeda.

- Więc nie było tam jednej dużej łodzi podwodnej, tylko dwie małe - Paul myślał na głos. - To może potwierdzać istnienie statku-bazy. Nieźle. Robimy postępy.

Bosman puścił nagranie ostatni raz, żeby się upewnić, po czym zdjął słuchawki.

- Poinformuję kapitana - rzekł. - I popracujemy jeszcze nad tym.

- Mam zostać? - zapytał Paul.

- Myślę, że ma pan co robić, panie Trout. - Collier wskazał głową w górę.

- Owszem - przyznał Paul. Odłożył słuchawki, wstał i przeszedł przez drzwi w grodzi.

Dwie minuty później wyłonił się na pokładzie rufowym „Truxtona”.

Przywitało go słońce, świeże powietrze i warkot helikoptera. Szary SH-60B Seahawk z podwieszonym ładunkiem schodził w dół ku lądowisku.

Paul zobaczył przyglądającą się temu Gamay i dołączył do niej.

- Chyba coś znaleźliśmy - zawołał, przekrzykując hałas śmigłowca.

Skinęła głową, ale o nic nie spytała.

- Chyba wyizolowaliśmy sygnaturę akustyczną łodzi podwodnej, która nas zaatakowała - oznajmił Paul. - Właściwie były dwie.

- To dobrze - odparła obojętnym tonem.
- Myślałem, że się ucieszysz. Nie musimy już słuchać nagrania. Dlaczego jesteś taka zła?

Spojrzała na niego, po czym wskazała głową helikopter.

- Co on tu robi?

Paul przeniósł wzrok na śmigłowiec. Podwieszony pod nim ładunek opuszczano na pokład w kołysce. Była już tak nisko, że rozpoznał, co w niej jest: mała łódź podwodna. Do rufy był przymocowany sprzęt i metalowa człekokształtna postać. „Rapunzel”.

- Dirk go przysłał - odpowiedział Paul.
- Wiedziałaś o tym?
- Zawiadomił mnie dziś rano. Ale tylko tak, na wszelki wypadek.

Gamay się nie odezwała. Spiorunowała męża wzrokiem, przeszła obok niego i wróciła do wnętrza okrętu.

ROZDZIAŁ 47

Sierra Leone, 5 lipca

Djemma Garand siedział przy swoim biurku z marmurowym blatem i konferował z Alexandrem Cochrane'em, który spędził ostatnią noc na analizowaniu opcji przedstawionych przez tymczasowych gości ze świata nauki.

- Wszystkie grupy proponują zasadniczo takie samo rozwiązanie - oznajmił Cochrane. - Są tylko drobne różnice.

Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- I jak pan ocenia to rozwiązanie? - zapytał Djemma.
- Fakt, że naukowcy pracujący niezależnie od siebie, doszli do identycznego wniosku, sugeruje, że jest on właściwy - odparł Cochrane. - Nie znalazłem w ich obliczeniach żadnych błędów.
- A co z realizacją? - chciał wiedzieć prezydent.
- Możemy użyć akceleratora cząstek, którym dysponujemy. Trzeba tylko wygenerować silniej naładowaną cząstkę. To tak, jakby zastąpić nabój mniejszego kalibru dwa razy większym. Wszystko inne pozostaje bez zmian. Cząstki będą się wprawdzie poruszać nieco wolniej, ale za to uderzą z trzykrotnie większą siłą. To właściwie dość proste.
- Jeśli tak, to dlaczego sam nie wpadł pan na ten pomysł kilka miesięcy temu?
- Bo to praca teoretyczna. Nie moja dziedzina.
- No tak - skomentował Djemma pogardliwym tonem - pan jest tylko mechanikiem.

Zadzwęczał interkom w jego telefonie.

- Panie prezydencie - odezwała się sekretarka - ma pan gościa. Ambasador Stanów Zjednoczonych chciałby z panem porozmawiać.

- Doskonale - rzekł Djemma. - Niech wejdzie.

Cochrane wstał.

- Potrzebuję dwudziestu czterech godzin na wprowadzenie zmian - powiedział.

- Więc proszę niezwłocznie brać się do roboty. - Djemma wskazał tylne drzwi. - Niech pan wyjdzie tamtędy.

Cochrane ruszył do tylnego wyjścia. Ledwo zniknął za progiem, we frontowych drzwiach gabinetu pojawił się amerykański ambasador. Normalnie Djemma powitałby go w połowie drogi, ale dziś nie podniósł się z fotela, tylko wskazał dyplomacie miejsce naprzeciwko siebie, na krzesło, które właśnie zwolnił Cochrane.

- Zapewne domyśla się pan, panie prezydencie - powiedział Amerykanin z teksańskim akcentem - w jakiej nieprzyjemnej sprawie przychodzi.

- Przykro mi, ale nie rozumiem, o co panu chodzi - odparł Djemma. - Świątujemy nasz czwarty lipca, tyle że dzień później.

Ambasador zmusił się do uśmiechu i pokręcił głową.

- To, co pan nazywa niepodległością, jest zwykłą grabieżą i łamaniem prawa międzynarodowego. Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie równie agresywnych i bezprawnych poczynań władz jakiegokolwiek innego kraju.

- Naprawdę? W takim razie słabo zna pan historię - odparł Djemma. - W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, pod groźbą nacjonalizacji całego majątku koncernu Standard Oil, saudyjska rodzina królewska przejęła połowę tamtejszych złóż ropy. W dwa tysiące pierwszym Hugo Chavez zrobił praktycznie to samo w Wenezueli. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim Chile pod rządami lewicowego prezydenta Salvadora Allende znacjonalizowało swoje kopalnie miedzi. Rok później Indie znacjonalizowały cały swój przemysł węglowy. W tysiąc

dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym Fidel Castro zajął Hawanę i zaczękawszy, aż tamtejszy Hilton zostanie ukończony, ulokował w nim centralę partii komunistycznej. Przejął całą zagraniczną własność i nigdy jej nie zwrócił. Nie pamięta pan żadnego z tych wydarzeń, panie ambasadorze?

Dyplomata wziął głęboki oddech.

- Oczywiście, że pamiętam - odparł. - Jednakże ta sytuacja jest zupełnie inna.

- Ma pan rację - przyznał Djemma. - Ale na czym polega różnica, dopiero się pan przekona. Moje dotychczasowe działania były stosunkowo skromne w porównaniu z wydarzeniami, które właśnie panu przypomniałem. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony pańską wizytą. Spodziewałem się, że chiński ambasador odwiedzi mnie pierwszy; oni mają do stracenia znacznie więcej niż wy.

Ostatnie stwierdzenie uraziło dumę ambasadora, lecz nie okazał tego.

- Jestem tu także w ich imieniu - powiedział spokojnie. - I w imieniu wszystkich krajów, które mają roszczenia. Zdradzę panu nieoficjalnie, że przygotowujemy się do rozważenia modyfikacji warunków spłaty pańskich pożyczek, ale nie darujemy ani centa z kwoty zadłużenia. I zanim zaczną się negocjacje, pańskie siły muszą się wycofać z obiektów przemysłowych należących do zagranicznych firm.

Djemma uśmiechnął się i rzekł:

- Złożę panu kontrpropozycję. Zatrzymam to, co słusznie zajęliśmy, i poproszę pański rząd o dwadzieścia miliardów rocznie w ramach bezzwrotnej pomocy finansowej.

- Co takiego?! - dyplomata nawet nie próbował ukryć wzburzenia.

- Poprosiłbym o kolejne pożyczki - odparł Djemma, nie przestając się uśmiechać - ale ponieważ nie spłaciłem dotychczasowych, obawiam się, że nikt nie udzieli nam kredytu. Dlatego to musi być pomoc finansowa. Bez obaw, zażądamy tego samego od Chin i Unii Europejskiej.

- Chyba nie mówi pan poważnie - zachnął się ambasador. - Kradnie pan cudzą własność, a potem jeszcze żąda sześćdziesięciu miliardów dolarów rocznie?

- To doprawdy niewielka suma - stwierdził Djemma. - W ciągu ostatnich lat przekazaliście siedemset miliardów swoim bankom, a wojna w Iraku kosztowała was po dwadzieścia miliardów miesięcznie, w sumie ponad bilion. Ja proszę o zaledwie ułamek tej kwoty i mogę dodatkowo zapewnić, że jeśli otrzymam pieniądze, nikt nie ucierpi. W zamian pozwolimy amerykańskim korporacjom zrealizować wiele projektów budowlanych. Może pan to uznać za element programu wspierającego rozwój gospodarczy.

Ambasador poczerwieniał.

- Pan porywa się na coś, co pana przerasta - wypalił, zapominając o dyplomacji. - To się nie uda.

- Saudyjczykom się udało - przypomniał mu Djemma. - Chavezowi i Castro też. Dlaczego mnie miałyby się nie udać? A jeśli jednak nie... Ostrzegam, że będą konsekwencje.

Dostrzegłszy wyraz skupienia na twarzy Amerykanina, uznał, że został dobrze zrozumiany. Ale gdy po chwili ambasador zaczął chichotać, ogarnął go gniew.

- Co pana tak rozbawiło? - zapytał ostro.

Ambasador natychmiast przestał się śmiać.

- Czuję się jak na planie filmu *Mysz, która ryknęła* - wyjaśnił. - Mógłbym zająć ten kraj z drużyną skautów i grupką policjantów stanowych, a pan próbuje nam grozić?

Djemma nie wytrzymał. Trzasnął szpicrutą w biurko zdumiewająco szybkim ruchem i Amerykanin aż odskoczył do tyłu, zszokowany.

- Pańska arogancja nie powinna mnie dziwić - powiedział Djemma, wstając. - Stany Zjednoczone i inne bogate państwa od dawna drwią z takich krajów jak mój. Może mi pan wierzyć lub nie, ale zapewniam, że to się wkrótce skończy. Jeśli nie wesprzecie nas finansowo, nie pomożecie nam wyrwać się z nędzy, pociągniemy was w otchłań! A wtedy uswiadomicie sobie, że

nie jesteśmy waszymi myszami do zabawy. Sierra Leone to Ziemia Lwów. I jeżeli nie spełnicie moich żądań, poczujecie nasze kły w waszych miękkich, dekadencckich szyjach.

Prezydent nie czekał na reakcję Amerykanina. Nacisnął przycisk interkomu i do gabinetu weszła grupa strażników

- Zawieźcie ambasadora na lotnisko - rozkazał. - Ma być natychmiast deportowany.

- To skandal! - wykrzyknął dyplomata.

- Brać go! - rzucił Djemma.

Strażnicy spełnili polecenie i po chwili prezydent został sam. Rozgniewała go arogancja amerykańskiego ambasadora, ale był zły również na siebie za to, że stracił zimną krew i wspominał o konsekwencjach odmowy.

Teraz już nie miał wyboru. Musiał zademonstrować swoją potęgę, żeby Amerykanie i reszta świata nie uznali go za kolejnego szalonego dyktatora republiki bananowej.

Użyje swojej broni, a wtedy zaczną traktować go z należnym szacunkiem.

ROZDZIAŁ 48

Waszyngton, 6 lipca, godzina 13.30

Dirk Pitt siedział w pierwszym rzędzie w Pokoju Sytuacyjnym w Pentagonie i z zainteresowaniem obserwował przedstawienie, jakie dawał Cameron Brinks z NSA. Prezydent nie przybył, ale wśród „publiczności” byli szef sztabu Białego Domu, wysocy oficerowie ze wszystkich czterech rodzajów sił zbrojnych,

kilku członków gabinetu oraz wiceprezydent, dawny szef Dirka admirał James D. Sandecker.

Wydarzenia w Sierra Leone i jawne groźby jego przywódcy skłoniły Brinksa do uznania za nader prawdopodobne, że

to niewielkie państwo afrykańskie jest zamieszane w porwanie naukowców i dysponuje jakąś bronią energetyczną.

Bo czy inaczej prezydent Garand zdobyłby się na to, żeby

grozić całemu światu, a Stanom Zjednoczonym w szczególności?

Po kilkudniowych poszukiwaniach satelitarnych zdołano

zlokalizować tę broń, stanowiącą, wedle Brinksa, bezpośrednie zagrożenie.

Na ekranie z przodu sali widniało zdjęcie satelitarne płytkiej zatoki u wybrzeża Sierra Leone, którą nazwano Czworoką-

tem z powodu rozmieszczonych w niej w równych odstępach czterech platform wiertniczych.

Na obraz nakładały się różne dane, liczby i kody, których Pitt nie rozumiał. Nie rozumiał też, dlaczego go tu zaproszono.

NUMA odegrała drugorzędną rolę w poszukiwaniach i, o ile się orientował, nie planowano jej udziału w dalszych przedsięwzięciach.

Kiedy Brinks ogłosił kilkuminutową przerwę, Pitt jeszcze raz przejrzał akta, które dostał przed spotkaniem, i zwrócił uwagę na kilka informacji.

Po pierwsze, platformy wiertnicze w zatoce od dawna należały do rządu Sierra Leone, w przeciwieństwie do pozostałych obiektów, znacjonalizowanych zaledwie dwa dni temu.

Po drugie, eksperci twierdzili, że w rejonie wierceń nie ma żadnej ropy, więc zbudowanie tam platform wydawało się marnotrawieniem funduszy, które Sierra Leone otrzymało z Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Jeśli dodać do tego regularne dostawy sprzętu po zakończeniu budowy, trudno było nie dojść do wniosku, że na platformach dzieje się coś podejrzanego.

Pitt zamknął teczkę z aktami, podniósł wzrok i zobaczył, że Brinks i wiceprezydent Sandecker, którzy właśnie zakończyli krótką pogawędkę z szefem sztabu marynarki wojennej, idą w jego stronę.

Wstał, a gdy wymienili powitalne uściski dłoni, Brinks powiedział:

- Pański człowiek goni za cieniem, szukając tego najemnika.

Dirk zmusił się do uśmiechu, choć miał ochotę przyłożyć temu nadętemu bubkowi.

- Oby miał pan rację - odparł. - Austinowi przydałby się urlop po tym, co przeszedł.

- Udzielimy mu go lada dzień - zapewnił Brinks.

Odszedł, a Sandecker usiadł obok Pitta.

- Urocze spotkanie - powiedział Dirk z wyraźnym sarkazmem. - Czuję się jak wrzucony do basenu pełnego rekinów i aligatorów.

- Jeśli myślisz, że ja cię zaprosiłem, to grubo się mylisz - odparł Sandecker. - Wytypował cię Brinks.

- Ciekawe dlaczego?
- Pewnie chciał się odegrać. Słyszałem, że nieźle go usadziliś.

- Fakt, ale sam się o to prosił.

Wiceprezydent zachichotał.

- Nie wątpię.

Pitt uśmiechnął się szeroko. Sandecker zawsze go wspierał.

- Wie pan - stwierdził - chyba pierwszy raz widzę pana bez cygara w ustach. Zupełnie mi to nie pasuje.

- Mnie też nie, ale tu jest zakaz palenia - odparł Sandecker i wskazał na Brinksa, który stanął pod ekranem. - Nasz gwiazdor jest gotowy do drugiego aktu. Słuchaj uważnie, to może czegoś się dowiesz.

Cameron Brinks powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

- Wszyscy zdajemy sobie sprawę - zaczął - że w Sierra Leone doszło do bardzo niepokojących zdarzeń. Prezydent tego kraju zajął obiekty przemysłowe należące do zagranicznych korporacji i zażądał bezzwrotnej pomocy finansowej, grożąc za nieudzielenie jej poważnymi konsekwencjami. Na podstawie informacji z różnych źródeł doszliśmy do wniosku, że Sierra Leone, jeden z najbiedniejszych krajów świata, jest w posiadaniu broni o niewyobrażalnej sile rażenia.

Brinks odszedł na bok i porozmawiał chwilę z asystentem, który był przydzielony do kwatery głównej NSA w Fort Meade w Marylandzie, skąd przychodziły dane satelitarne.

- Odkąd skompletowaliśmy dane, które otrzymaliście - podjął - przeprowadzamy dodatkowe obserwacje satelitarne rejonu Czworokąta. Obraz na ekranie jest w czasie rzeczywistym.

Nacisnął jakiś przycisk na pilocie i kolory na ekranie się zmieniły. Woda i ląd przybrały fałszywe barwy, pojawiły się niewidoczne wcześniej szczegóły.

- To Czworokąt w podczerwieni - wyjaśnił Brinks.

Pitt przyjrzał się obrazowi. Wokół każdej platformy wiertniczej widniała czerwona plama, która się wydłużała. Oznaczało to, że coś wydostaje się z platform, podnosi temperatu-

rę wody wokół nich i odpływa wolno z prądem. W pierwszej chwili Dirk pomyślał o wycieku ropy lub jakichś destylatów, ale przypomniał sobie, że w zatoce nie ma ropy.

- Platformy pompują ogrzaną wodę - stwierdził.

Brinks skinął głową.

- Bardzo dobrze, panie Pitt. Każda z tych platform wypuszcza do Atlantyku wodę o wysokiej temperaturze. Setki tysięcy metrów sześciennych dziennie. Może być tylko jedna przyczyna: cokolwiek robią, wymaga to intensywnego chłodzenia.

- Wytwarzają moc - szepnął Dirk do Sandeckera.

- Pytanie brzmi: po co? - ciągnął Brinks, który nie usłyszał tych słów. - Odpowiedź jest prosta: do zasilania ogromnego akceleratora cząstek, który przekształcili w broń.

Użył pilota i obraz znów się zmienił. Do granatu, szarości i karmazynu na ekranie doszła purpura. Nowy kolor tworzył opalizującą linię, tworzącą wielką pętlę wokół czterech oddalonych od siebie o całe mile platform wiertniczych. Cienkie odgałęzienia pętli rozchodziły się po Atlantyku. Jedno skupisko purpurowych nitek biegło na zachód i północny zachód, drugie na północ i północny wschód, trzecie w kierunku kontynentu.

- Ten krąg to podwodna konstrukcja zidentyfikowana z samolotu szpiegowskiego Aurora przy użyciu podczerwieni i radaru podpowierzchniowego. Ma średnicę piętnastu mil morskich. - Brinks powiódł wskaźnikiem laserowym wokół pętli. - Rzekome platformy wiertnicze to po prostu atrapy, pod którymi znajdują się potężne elektrownie, każda zdolna oświetlić małe miasto.

- Jakiego typu elektrownie? - zapytał ktoś.

- Z turbogeneratorami na gaz ziemny doprowadzany rurociągiem zbudowanym niby do przesyłu gazu z tamtej strefy. Teraz wiemy, że jest odwrotnie.

- Co się dzieje z tą mocą? - spytał ktoś inny.

- Trafia do elektromagnesów nadprzewodzących, które przyspieszają cząstki, i do olbrzymiego układu chłodzenia koniecznego do utrzymania temperatury roboczej systemu -

wyjaśni! Brinks. Cofnął się i mówił dalej: - Według naszych obliczeń, ten system generuje i wykorzystuje dwudziestokrotnie więcej energii niż Wielki Zderzacz Hadronów w ośrodku CERN. Nasuwa się tylko jedno wytłumaczenie takiego zapotrzebowania na moc. To urządzenie jest bronią. Prawdopodobnie może zestrzeliwać satelity nad Europą, Atlantykiem i oczywiście Afryką. Może zagrażać statkom znajdującym się w odległości do stu mil morskich i samolotom w promieniu jakichś pięciuset kilometrów.

- Ma zasięg tylko pięciuset kilometrów? - zdziwił się Pitt.

- Nie - odparł Brinks. - Może dokonywać zniszczeń na dużo większą odległość, zapewne do kilkudziesięciu tysięcy kilometrów, ale strzela w linii prostej jak laser, nie wokół krzywizny ziemi, tak jak leci pocisk balistyczny.

To miało sens, ale coś innego nie miało, uznał Dirk.

- A co z „Kinjarą Maru”? - spytał. - Ten statek nie był w pobliżu Sierra Leone, kiedy został trafiony.

- To prawda - przyznał Brinks. - Prawdopodobnie mieli pochodną broń na okręcie podwodnym, którego szukamy. Ale tamta broń była taktyczna, a ta jest strategiczna i zagraża całemu regionowi. Zajmiemy się nią w pierwszej kolejności, a okrętem podwodnym później. - Zwrócił się z powrotem do grupy: - Zalecamy precyzyjny atak z powietrza, zanim Djemma Garand zdąży jej użyć przeciwko komuś.

Po jego słowach zapadła cisza. Nikt nie zaproponował, wszyscy bowiem słyszeli o groźbach prezydenta Garanda pod adresem Stanów Zjednoczonych.

- Najlepsze zalecenie co do metody, panie Brinks? - zapytał Sandecker.

- Proponujemy zniszczyć platformy wiertnicze, panie wiceprezydencie. To wyłączy zasilanie, a bez niego akcelerator cząstek jest tylko wielkim tunelem z mnóstwem skomplikowanych urządzeń w środku.

Choć Pittowi nie podobał się mentorski ton Brinksa, podobnie oceniał sytuację. Zagrożenie istniało, co gorsza kontro-

lowane przez przywódcę, który wydawał się nie zrównoważony. Atak z powietrza spowodowałby minimalne zniszczenia i minimalną liczbę ofiar.

- Przekażę pańskie zalecenie prezydentowi - powiedział Sandecker i wstał. Najwyraźniej uznał, że dowiedział się wystarczająco dużo i może sobie darować obecność na dalszej części spotkania.

Już miał wyjść, gdy coś dziwnego stało się na ekranie z przodu sali. Kolory zmieniły się na moment, a potem zbladły, jakby coś zakłócało sygnał.

Wszyscy utkwili wzrok w wyświetlaczu.

Brinlcs zwrócił się do swojego asystenta.

- Co się dzieje?

Asystent podniósł wzrok i pokręcił głową.

Sekundę później biały błysk przeciął ekran i wszystko pociemniało. Pojawiły się zakłócenia, po czym obraz zniknął. Tekst w prawym dolnym rogu informował o zaniku sygnału.

- Ustal, co się stało z przekazem - polecił Brinks asystentowi.

- Połączenie nie zostało zerwane - odparł ten po chwili. - Sygnał nadal dociera, tyle że bez żadnych danych.

Tuż przed błyskiem Pitt zauważył coś na ekranie. Wątpił, czy ktoś poza nim to dostrzegł, bo kiedy wiceprezydent wstał, pozostali zrobili to samo. On również, ale podnosząc się z krzesła, nie odrywał wzroku od ekranu.

Dzięki temu zobaczył, jak liczba wskazująca emisję ciepła z platform wiertniczych nagle rośnie, a na jedno z odgałęzień pętli nałożył się nowy obszar czerwieni i karmazynu. Widział go tylko przez moment, był jednak prawie pewien, że wie, co to jest.

Technicy w Fort Meade prawdopodobnie też wiedzieli, ale byli zbyt zaszokowani, żeby to zakomunikować przed sprawdzeniem wszystkich innych ewentualności.

- Problemem nie jest komputer - oznajmił Pitt. - To wasz satelita.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Doprawdy? - zapytał Brinks. - A od kiedy jest pan ekspertem w dziedzinie diagnostyki zdalnego obrazowania?

- Nie jestem - odparł Dirk. - Ale jeśli pan odtworzy ostatnie pięć sekund, zobaczy pan wzrost energii tuż przed błyskiem na ekranie. Spalili pańskiego satelitę, Brinks. Już go nie ma.

Brinks spojrział na swojego asystenta.

- Staramy się odzyskać połączenie - rzekł mężczyzna.

- Możecie się nie trudzić - powiedział Pitt. - I tak nic z tego nie będzie.

- Przełącz się na Keyhole Bravo - polecił Brinks, mając na myśli pomocniczego satelitę, który orbitował pod innym kątem na większej wysokości.

Asystent przeprowadził ostatnią próbę, podniósł wzrok i w milczeniu pokręcił głową.

- Straciliśmy dwa satelity - stwierdził Sandecker. - To akt wojny, do diabła.

Wszystkich ogarnął jeszcze bardziej ponury nastrój.

- Pewnie jest pan zadowolony - zwrócił się Pitt do Brinksa. - To potwierdza pańską teorię. Djemma Garand jest niebezpieczny, ma sprawną broń i nie obawia się jej użyć. Nawet ja zgadzam się z panem, że trzeba go wyeliminować.

ROZDZIAŁ 49

Gdzieś nad Atlantykiem, 7 lipca

Kurt Austin i Joe Zavala znajdowali się w hałaśliwym kokpicie rosyjskiego transportowca Il-76 lecącego na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Siedzieli na odchylanych siedzeniach tuż za

pilotami. Mieli na sobie hełmy i kombinezony lotnicze i patrzyli przez przednią szybę na zachód słońca nad Atlantykiem.

Po opuszczeniu Singapuru spędzili kilka dni na kompletowaniu sprzętu, który Kurt uznał za potrzebny do dostania się na pokład „Onyksa”. Ostatnim fragmentem układanki był

odrzutowiec zdolny do transatlantyckiej podróży, pilotowany przez ludzi niezadających pytań.

Wyczarterowali go pod Tangerangem przez łańcuszek nieco podejrzanych pośredników zaczynający się od pewnego egipskiego

znajomego Joego, który znał kogoś z Grecji, kto miał dobre kontakty z kilkoma ludźmi w Maroku.

O ile uczciwość pośredników budziła w Kurcie tylko wątpliwości, o tyle wiekowa maszyna wzbudzała poważne obawy. Trzęsa się, skrzypiała i cuchnęło w niej, jakby paliwo wyciekało w paru miejscach. Piloci stukali w przestarzałe analogowe wskaźniki tak mocno, jakby nie działały, w pewnym momen-

cie majstrowali przy dwóch bezpiecznikach i stale narzekali na „bezwartościowe mechanizmy”.

Jak dotąd, skrzydła nie odpadły. Kurt uważał to za istny cud.

Kiedy zastanawiał się, czy szczęście jednak ich nie opuści, drugi pilot odwrócił się do niego i oznajmił:

- Ktoś chce z panem rozmawiać przez radio. Niech pan przejdzie na kanał drugi.

Austin spojrzął na przełącznik dwustabilny obok wtyczki kabla helmo fonu. Zobaczył napis cyrylicą i cyfry 1 i 2. Przestał dźwigienkę na dwójkę.

- Tu Kurt - zgłosił się.

- Cholernie trudno cię znaleźć - rozległ się głos Dirka Pitta. - Gdyby nie to, że na twoim służbowym rachunku kredytowym pojawiła się całkiem spora suma za wyczarterowanie samolotu, nie wytropiłbym cię.

- Hm... - mruknął Kurt. - Mogę to wyjaśnić.

Postukał drugiego pilota w ramię.

- Ta linia jest bezpieczna? - zapytał.

Mężczyzna przytaknął.

- To zastrzeżony kanał. Rozmowa z samolotem jest szyfrowana. - Uśmiechnął się i jego sumiaste wąsy wygięły się ku górze wraz z kącikami ust. - Część świadczonej przez nas usługi.

Kurt o mało się nie roześmiał. Niezupełnie stożek ciszy, pomyślał, ale musi wystarczyć.

- Chyba coś mamy - powiedział do mikrofonu. - Myślę, że namierzyliśmy naszego człowieka.

- Gdzie? - spytał Dirk.

- Na statku pośrodku Atlantyku.

- To dlaczego jesteście w powietrzu?

Kurt wyjrzał przez okno. Słońce wisiało tuż nad horyzontem. Do chwili prawdy pozostały jeszcze dwie godziny.

- Bo to jedyny sposób, żeby podejść wystarczająco blisko - odparł. - Ten statek płynie z prędkością kilku węzłów jakby donikąd. Jest sto mil morskich od najbliższego szlaku żeglugowego. Nie ma mowy, żeby zbliżyć się do niego niepostrzeżenie na wodzie. Nasza jedyna szansa to zrzut z samolotu.

Dirk milczał chwilę, być może zastanawiając się, czy jego podwładny zasługuje na pochwałę za odwagę czy na zwolnienie z pracy za niepoczytalność.

- Na pewno mają radar - rzekł w końcu. - Mam nadzieję, że nie zamierzacie przelecieć nad nim i skoczyć.

- Nie - zapewnił Kurt.

- Okej - powiedział Dirk, który najwyraźniej domyślił się, co planuje Austin. - To wyjaśnia drugą pozycję na twoim rachunku.

- Wziąłem paragony - uspokoił go Kurt.

- O paragonach porozmawiamy później. Teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie. A konkretnie jedną. Moim zdaniem nie musisz wykonywać tego skoku.

- Dlaczego?

- Ponieważ mamy potwierdzenie, że nasz główny cel znajduje się gdzie indziej. Starliśmy się dziś z przeciwnikiem i niestety przegraliśmy tę rundę. Brinks miał rację - twój człowiek to tylko wynajęty pomocnik. Dostarczył zakładników i natychmiast się wyniósł. Zlokalizowanie go jest istotne, ale nie na tyle, żebyś ryzykował z tego powodu życie.

Austin rozważył słowa Pitta. Szarża uznała, że Andras to najemnik, którego rola została zakończona - zrobił swoje i teraz płynie na wakacje albo wykonać następne zlecenie.

Jeśli zdejma go później, to dobrze, a jeżeli nie, nikt nie będzie rwał szat z tego powodu. Najważniejsze, że udało się potwierdzić rolę prezydenta Sierra Leone. To Djemma Garand stał za całym tym szaleństwem.

- Odsuść sobie tego najemnika - dodał Dirk.

- Zrobiłbym tak - odparł Kurt - ale coś wciąż nie daje mi spokoju. Nasz cel nie zachowuje się jak najemnik; raczej tak, jakby to on wszystkim kręcił. Nie jestem pewien, do czego zmierza, ale dam głowę, że ma złe zamiary. - Zerknął na Joego. - W dodatku Zavała twierdzi, że coś jest nie tak z tym statkiem. Jest o kilkanaście metrów szerszy od większości normalnych tankowców jego długości, a poza tym ma dziwne wybrzuszenia

blisko dziobu pod kotwicami i podwyższenie w śródkręciu. Joe nie wie, czemu służą te przeróbki, ale uważa, że warto przyjrzeć im się bliżej. Mogę to zrobić?

- Zasłużyłeś na prawo samodzielnego podjęcia decyzji, więc nie będę ci zabraniał - rzekł Pitt. - Proszę tylko, abyś rozważył, czy kierujesz się właściwymi pobudkami.

- Już to rozważyłem - zapewnił Kurt. - Nie zamierzam ryzykować bez potrzeby. Jeżeli nie znajdę tam nic interesującego, wyskoczę za burtę, wyciągnę zatyczkę kamizelki ratunkowej i zaczekam, aż przyślesz jakąś blondynkę, brunetkę i rudą, żeby mnie wyłowiły. Ale jeśli jest jakaś szansa, że Joe i ja mamy rację, lepiej sprawdzić to teraz.

- W porządku - zgodził się Dirk. - Tylko nie daj się zabić, zanim zdążę na ciebie nawrzeszczeć za te wszystkie rachunki, które przyjdą.

Austin się roześmiał.

- Postaram się - obiecał.

Pitt się rozłączył. Kurt spojrział na pomarańczową kulę słońca, która właśnie chowała się za horyzontem. Prawda była osiemset mil morskich przed nimi i sunęła wolno przez ciemność nocy.

ROZDZIAŁ 50

Dwie godziny później Kurt i Joe przenieśli się z kokpitu do głównej części kadłuba starego odrzutowca. Stali teraz w prze-

pastnej metalowej przestrzeni, otoczeni sprzętem, małymi pojemnikami i pasami do mocowania ładunków.

Mimo kombinezonu ciśnieniowego, rękawic, butów i hełmu pilota myśliwskiego z redukującymi hałas słuchawkami i doprowadzeniem tlenu Kurt czuł lodowate zimno na wysokości ponad dziesięciu i pół tysiąca metrów. Wyczuwał każde drżenie samolotu i słyszał tylko przeraźliwe wycie silników z lat

siedemdziesiątych. Takie warunki panowały w ładowni rosyjskiego transportowca.

Stojący obok w parze z kapturem, słuchawkach i masce tlenowej Zavala mówił coś, ale Austin nie rozróżniał słów.

- Nie rozumiem! - krzyknął.

Joe przycisnął maskę tlenową z mikrofonem do twarzy i odkrzyknął:

- Powiedziałem, że chyba ci odbiło.

Kurt nie zareagował. Zaczynał uważać, że jego przyjaciel może mieć rację. Trzymając się zwisającego z kadłuba pasa jak pasażer w zatłoczonym metrze, odwrócił się w stronę ogona

samolotu. Wzdłuż krawędzi otwieranej pochylni pojawiła się szczelina.

Pochylnia zaczęła się opuszczać. Kurt i Joe z trudem utrzymywali równowagę, bo stary odrzutowiec trząsł się jeszcze bardziej niż przedtem, a porywisty wiatr hulał po ładowni.

W samolocie dokonano dekompresji pół godziny wcześniej, więc nie nastąpiła gwałtowna ucieczka powietrza, ale temperatura natychmiast spadła z wartości tuż powyżej zera do piętnastu stopni poniżej, a wycie silników wzrosło o co najmniej cztery decybele.

Kurt popatrzył przez ziejący otwór na czerń nocnego nieba. Oddychał tlenem z butli i miał na sobie specjalnie zaprojektowany spadochron. Ale choć oddał w życiu ponad dwieście skoków, w tym dwadzieścia HALO (z dużego pułapu z otwarciem spadochronu na małej wysokości), tego, czego miał właśnie spróbować, nie robił nigdy wcześniej i Joe powtórzył mu chyba ze sto razy, żeby to ponownie przemyślał.

Do tej pory śmiał się z pesymizmu przyjaciela i nazywał go „kwoką”, ale teraz, gdy patrzył w lodowatą ciemność, nie był już taki pewny siebie.

Puścił pas i ostrożnie podszedł do urządzenia koło opuszczonej pochylni. Wyglądało jak skrzyżowanie olimpijskiego bobsleja z „torpedą fotonową” z serialu *Star Trek*. Konstruktorzy nazwali je jednoosobowym szybowcem desantowym o zasięgu taktycznym, testerzy ochrzcili mianem „ekspres szaleńca”, ale przyjął się skrót LX.

Szybowiec miał doskonałość aerodynamiczną dwadzieścia, co oznaczało, że zrzucony z wysokości jedenastu kilometrów może przenieść swojego pasażera na odległość dwustu dwudziestu pięciu kilometrów. Nie wydawał żadnego dźwięku, nie wydzieliał ciepła i był niewidoczny dla radaru, bo wykonano go ze specjalnego tworzywa sztucznego i pokryto warstwą antyradarową, która przypominała w dotyku gumę miękkiej opony.

Pasażer wchodził do środka, kładł się na brzuchu, rękami chwycił za dwie ręczki podobne do końców kierownicy roweru, a nogi wsuwał w rodzaj wiązań przypominających narciarskie.

Dziobową część urządzenia stanowiła owiewka z przezroczystego pleksiglasu, na której wyświetlały się podstawowe dane: prędkość, wysokość, kierunek, doskonałość aerodynamiczna i tempo opadania. Pilot miał też wizualny wskaźnik

ścieżki schodzenia, pomagający mu w utrzymaniu właściwego kąta i dotarciu do celu. W tym wypadku celem był tankowiec „Onyx” oddalony o siedemdziesiąt pięć mil morskich.

Z powodu nietypowej pozycji statku dotarcie do niego było trudne. Znajdował się daleko nie tylko od najbliższego szlaku żeglugowego, lecz również od korytarzy powietrznych. Przelot nad nim, nawet na wysokości prawie jedenastu tysięcy metrów, natychmiast wzbudziłby podejrzenia, ale siedemdziesiąt pięć mil morskich na południe biegła uczęszczana droga lotnicza, a Il-76 nie różnił się na radarze od odrzutowców pasażerskich. Kurt nie wyobrażał sobie, żeby było to warte dokładnego przyjrzenia się maszynie.

A nawet gdyby tamci prowadzili obserwację, żaden znany Kurtowi system nie wykryłby szybowca i jego samotnego pasażera. Zrzucenie szybowca wydawało się bezpieczne i stosunkowo proste. Teoretycznie. W symulatorze Kurt czuł się, jakby grał w grę komputerową. Rzeczywistość okazała się nieco inna.

- No, dalej - zwrócił się do Joego. - Wsadź mnie do tego czegoś, zanim stchórzę.

Zawala podszedł do szybowca.

- Wiesz, ile rzeczy może pójść nie tak?

- Nie - odparł Kurt. -1 wolę nie wiedzieć.

- Zrzut może się nie udać, możesz zostać rozerwany przez turbulencję za samolotem, dopływ tlenu może zawieść, co sprawi, że zemdlejesz, zanim zdążysz zejść na bezpieczną wysokość...

Kurt podniósł wzrok.

- Co ci przed chwilą powiedziałem?

Joe zignorował go i wyliczał dalej:

- Możesz zmarznąć na śmierć, możesz nie być w stanie zwolnić osłony albo otworzyć spadochronu. Stopy mogą ci się zaklinować. Skrzydła mogą się nie rozłożyć jak należy.

Kurt zrezygnował z uciszenia Joego i wszedł do szybowca o kształcie torpedy.

- A co z tobą? - zapytał. - Musisz zostać w tym urządzeniu. Widziałeś korozję blisko nasady skrzydła? Widziałeś dym

z silnika numer trzy, kiedy wszystkie odpaliły? Nie mogę uwierzyć, że ten szmelc w ogóle wzbil się w powietrze.

- To wszystko składa się na jedyny w swoim rodzaju urok Aeroflotu - odparł Joe. - Nie żebym nie wolał lecieć czymś amerykańskiej produkcji, ale uważam, że podróż tym samolotem jest bezpieczniejsza od tego, co ty zamierzasz zrobić.

Kurt chciał zaprzeczyć, niestety nie mógł. W rzeczywistości uważał, że transportowiec jest bezpieczny, chociaż trząsł się, skrzypiał i wyl jak potępieniec. Ale co szkodziło jeszcze trochę pomęczyć Joego?

- Nie zapominaj o pilotach - dodał. - Widziałem, jak strzelali sobie kolejkę tuż przed startem.

Zawała się roześmiał.

- Jasne, za twoje zdrowie, amigo.

Rozbłysło żółte światło. Minuta do zrzutu.

Kurt wsunął stopy w wiązania, położył się płasko i włączył wyświetlacz, a kiedy zaczął działać, pokazał przyjacielowi uniesiony kciuk. Joe zatrzaskał cienką pokrywę nad jego plecami.

Zapaliło się drugie żółte światło i zaczęło migać czerwone. Pół minuty.

Joe cofnął się poza pole widzenia Kurta w stronę panelu sterowniczego.

Kilka sekund później Joe zaczął odliczać:

- *Tres... dos... uno...* - a potem zawołał: - *iVamonos, mi amigo!*

Kurt poczuł, jak szybowiec przyspiesza na przesuwanym się błyskawicznie w kierunku ogona samolotu przENOŚNIKU taśmowym. Rzuciło go mocno w tył, gdy szybowiec w kształcie torpedy dostał się w strumień powietrza o prędkości pięciuset węzłów.

Kilka sekund później otworzył się maleńki spadochron hamujący i Kurtem znowu szarpnęło, tylko w przeciwną stronę.

Uprząż wpiła mu się w barki, a oczy o mało nie wyszły z orbit.

Trwało to ponad dziesięć sekund, zanim hamowanie osłabło.

Gdy ułożył się w miarę wygodnie, popatrzył na wyświetlające się przed nim dane.

- Czteryśta - zawołał sam do siebie. Kilka sekund później krzyknął: - Trzysta pięćdziesiąt...

Szybowiec zwolnił i opadł ku wodom Atlantyku niczym pocisk artyleryjski lub bomba załogowa. Kiedy prędkość zmalała do dwustu dziesięciu węzłów, Kurt odłączył spadochron.

Czasza oderwała się z donośnym odgłosem, gwałtowne wstrząsy ustały i zaczęło się irytujące spokojne opadanie. Dzięki hełmowi ze słuchawkami redukującymi hałas Kurt prawie nie słyszał wycia wiatru.

Chwilę później, przy prędkości stu dziewięćdziesięciu węzłów, rozłożyły się dwa krótkie skrzydła, wypchnięte na zewnątrz przez napędzany mechanizm śrubowy.

To był najniebezpieczniejszy moment podczas całego lotu. Prototypy tracono, gdy skrzydła nie wysuwały się równo, bo wtedy szybowiec wymykał się spod kontroli i rozpadał.

Kurt miał wprawdzie spadochron na taką ewentualność, ale nie wiedział, co mogłoby się z nim stać, gdyby szybowiec zaczął rozpadać się w powietrzu przy prędkości prawie dwustu węzłów.

Na szczęście skrzydła zablokowały się we właściwej pozycji, czemu towarzyszył ogromny nacisk na Matkę piersiową Kurta, i szybowiec, uzyskawszy siłę nośną, poleciał dalej prawie poziomo i niemal idealnie prosto.

Austin mógł już nim sterować, postanowił więc sprawdzić, czy wszystko działa jak należy. Przechylił szybowiec w prawo, potem w lewo, wprowadził z powrotem w nurkowanie, po czym wyrównał i wykorzystał jego rozpęd do nabrania wysokości.

Wszystkie systemy funkcjonowały prawidłowo i mimo czekającego go niebezpiecznego zadania Kurt poczuł euforię. Właśnie tak wyobrażał sobie radość z latania.

Mały szybowiec reagował na jego ruchy i Kurt mógł nim skręcać, wykorzystując swój ciężar i przechylając ciało to w jedną, to w drugą stronę, jak pędzący pustą szosą motocyklista.

Otaczając go ciemność rozjaśniał tylko przyćmiony blask danych wyświetlanych na owiewce i gwiazdy na niebie.

Niemal żałował, że nie leci w dzień, bo miałby wtedy jeszcze większą frajdę, ale żeby dotrzeć do „Onyksa” niepostrzeżenie, trzeba było to zrobić w nocy. Na rekreację będzie czas kiedy indziej.

Wziął kurs na tankowiec, skorygował ścieżkę schodzenia i został na niej. Był na wysokości ośmiu tysięcy dwustu metrów, opadał w tempie stu pięćdziesięciu metrów na minutę, szybując z prędkością stu dwudziestu węzłów. Ikona celu pokazywała, że od „Onyksa” dzieli go siedemdziesiąt mil morskich.

ROZDZIAŁ 51

Katarina Łuska siedziała w małej kabinie na dolnym poziomie mieszkalnym „Onyksa”. Mogła się tylko domyślać, która jest godzina, bo w jej pozbawionej okien kwaterze światło nigdy się nie zmieniało. Wydawało jej się, że jest wieczór, pomyślała jednak, że to i tak nie ma żadnego znaczenia.

Było jej bardzo niewygodnie na twardym krześle. Ręce miały związane, nogi skute. Przez ostatnie pięć dni dawano jej minimalne ilości jedzenia i picia.

Kiedy bezskutecznie próbowała usadowić się choć trochę wygodniej, drzwi kabiny się otworzyły i do środka wszedł Andras, jak zwykle sam. Przychodził do niej co dzień i zawsze przynosił złe wiadomości.

Powiedział jej, że inni naukowcy trafili do obcego kraju i stali się niewolnikami. Katarina została tutaj, bo on tak chciał, ale w każdej chwili mógł zmienić zdanie. Twierdził, że nikt jej nie szuka, bo powiedział wszystkim, że ona nie żyje.

Andras ani razu nie wspomniął, jakie ma plany wobec niej, ale patrzył na nią tale poządliwie, że wyobrażała sobie najgorsze rzeczy. Podczas jego wizyt uparcie milczała, nie odpowiadała na pytania Andrasa i nie zadawała własnych. Wczoraj skończyło się to tak, że ją spoliczkował i zabrał butelkę wody, którą dostała. Teraz miała tak sucho w ustach, że nie wiedziała, czy w ogóle mogłaby mówić.

Andras przyniósł nową butelkę wody, ale postawił ją tuż poza zasięgiem Katariny. Katarina naprawdę chciała być twarda,

uświadomiła sobie jednak, że jeśli dłużej będzie ignorować prześladowcę, skończy się to dla niej tragicznie. No i tak bardzo chciała się napić.

- To już pora odwiedzin? - zapytała ochryple.

- Oho - powiedział - ptaszek w łatce wreszcie śpiewa.

Bierny opór nic jej nie dał. Postanowiła być bardziej agresywna.

- Niedługo to ty będziesz w klatce. O ile ktoś cię nie zabije. Amerykanom na pewno zależy na aresztowaniu ciebie, ale mój kraj preferuje bardziej radykalne metody. Lubimy dawać nauczkę złym ludziom.

- Doskonale o tym wiem - odparł. - Trzymacie się kurczowo złudzenia, że nadal jesteście supermocarstwem. Jesteście jak dziecko pełne kompleksów. Zastraszacie słabszych w nadziei, że w ten sposób dowiedziecie waszej siły.

Musiąca przyznać, że miał sporo racji.

- To wcale nie znaczy, że jesteś bezpieczny - powiedziała. - Twój ludźcie zabili majora Komarowa, to raz. Porwałes mnie, to dwa. Nie będą mieć innego wyboru, niż posiekać cię na kawałki, cokolwiek ze mną zrobisz.

Nie wyglądał na przejętego tą perspektywą.

- Ciekawe, że użyłaś słowa „wybór” - stwierdził, przysunął sobie drugie krzesło, obrócił je i usiadł - bo wszyscy musimy dokonywać wyborów.

Chwycił butelkę z wodą, odkręcił korek i wypił mały łyk. Potem odstawił ją z powrotem, znów tuż poza zasięgiem Katariny. Pochylił się ku niej, kładąc ramiona na oparciu krzesła, i jego twarz znalazła się nieprzyjemnie blisko jej twarzy.

- Na przykład twój przyjaciel Austin - mówił dalej. - Dałem mu wybór: mógł się uratować albo zginąć razem ze swoim kumplem. Tobie oferuję taką samą alternatywę. Żyj i miej się dobrze albo umrzyj z tymi, którzy niedługo będą cierpieć.

Nie wiedziała, do czego Andras zmierza, ale myślała tylko o wodzie.

- Twój upośledzony w zakresie poczucia własnej wartości kraj - dodał teatralnie - także będzie miał dwie możliwości: ze-

msta na mnie albo... sposób na odbudowę potęgi i odzyskanie dawnego prestiżu.

Wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy i otworzywszy go, skierował ostrze ku twarzy Katariny.

- Zapytałbym, co wybierasz dla siebie, ale słowa bywają zwodnicze. Zobaczmy, co nam powiedzą twoje czyny.

Złapał ją za rękę, przeciął więzy i się cofnął.

Nie mogła się oprzeć pragnieniu. Sięgnęła po butelkę, wzięła mały łyk, a potem cały haust. Z najwyższym trudem powstrzymała się, by nie wypić wszystkiego od razu.

Gdy wreszcie odstawiła butelkę, podniosła wzrok na Andrasa, który nawet nie drgnął. Sięgnęła po klucz. Pasował do kajdan na jej nogach. Przekręciła go i była wolna.

- Wypuszczasz mnie? - spytała.

Roześmiał się.

- A dokąd uciekniesz? Jesteśmy tysiące mil morskich od najbliższego skrawka lądu. Co zrobisz? Popłyniesz wpław? Ukradniesz szalupę i powiosłujesz do Gibraltaru?

Oczywiście miał rację. Nie mogła uciec.

- Masz wybór: możesz być więźniem albo gościem - dodał.

- A co mam zrobić, żeby być gościem?

Przyjrzał się z podziwem jej kształtnemu ciału.

- Muszę przyznać, że jesteś atrakcyjna, ale odmówię sobie przyjemności skorzystania z twoich wdzięków, bo możesz zaoferować coś znacznie cenniejszego.

Odetchnęła z ulgą.

- Na przykład?

- Ten statek nie jest tankowcem, tak jak się wydaje - wyjaśnił. - To pływająca broń o niewiarygodnej sile. Może niszczyć pociski balistyczne w locie. W okamgnieniu może unicestwić całą grupę zadaniową marynarki wojennej. Może być użyty do wyjałowania miasta bez zburzenia choćby jednego budynku. - Przeniósł się na kanapę i kontynuował: - Świat jeszcze o tym nie wie, lecz wkrótce się dowie. A wtedy ty skontaktujesz się ze swoimi przełożonymi w Rosji, powiesz im, kim jestem,

i zaczniesz negocjować sprzedaż tej broni. Oferuję broń przyszłości za jedyne pół miliarda dolarów w brylantach.

Zmrużyła oczy.

- Dlaczego sam się z nimi nie skontaktujesz? Chyba znasz paru ludzi?

- O tak - potwierdził. - I oni mnie znają. Ale kiedy ostatnim razem coś im sprzedałem, twój przyjaciel Austin odebrał im to, zanim zdążyli się tym nacieszyć. Wprawdzie był to skutek ich niekompetencji, nie widziałem więc powodu, żeby przeproszać ani tym bardziej rekompensować stratę. Jednak od tamtej pory nie ufają mi tak, jak powinni.

Potrzebował jej pomocy, czuła to. Może „potrzebował” nie było właściwym słowem, ale „chciał” pasowało jak ulał. Jeżeli naprawdę zamierzał sprzedać Rosji broń, jej obecność z pewnością mogłaby mu to ułatwić. Ale co dalej? Nie miała ochoty brać udziału w handlu bronią i nie mogła być pewna, że przeżyje transakcję, kiedy zrobi swoje.

Mimo to musiała znaleźć jakiś sposób, żeby wykorzystać ewentualną szansę na uwolnienie się. Może gdyby mogła się poruszać po statku, coś przysłoby jej do głowy.

- Więc mam do nich zadzwonić - powiedziała - powtórzyć im twoją historyjkę i poprosić o furę brylantów w zamian za kadłub starego tankowca? Mnie też aż tak nie ufają.

- Jesteś ekspertką w dziedzinie fizyki cząstek elementarnych i nowoczesnych sposobów przesyłu energii - odparł, wstając. - Jestem pewien, że kiedy zajrzysz pod maskę, będziesz w stanie ich przekonać, że to autentyk.

Na taką propozycję liczyła. Nie wiedziała, co robić dalej, ale żeby zrobić cokolwiek, najpierw musiała wyjść z tej kabiny.

- Zwiedzimy statek? - spytała.

- Pokażę ci, co sprzedasz - odrzekł z uśmiechem. - Twoi mocodawcy będą pod wrażeniem, gdy im opowiesz, co zobaczyłaś.

- A co potem, gdy już dobijemy targu?

- Popłyniesz tym statkiem do Murmańska jak zwycięska bohaterka wracająca do domu.

Nie wierzyła mu, ale nie miała najmniejszego zamiaru tego okazywać.

- A co z twoimi przyjaciółmi Afrykanami? - zapytała. Słyszała kłótnię na jachcie motorowym i знаła nazwisko prezydenta Sierra Leone. - Nie będą źli?

Uśmiechnął się szerzej.

- Jesteś bystrzejsza, niż myślałem. Jak ci się zdaje, dlaczego zastrzeliłem tego czarnucha na jachcie i zostawiłem go w wodzie? Bo mnie zdenerwował? Nie. Chciałem, żeby doprowadził Amerykanów do Djemmy. I tak się stało. Grupa bojowa amerykańskich okrętów właśnie zajmuje pozycje. Przycisną go. Ja będę miał swój pokaz, a Djemma będzie zbyt zajęty barbarzyńcami u jego bram, żeby zrobić coś więcej, niż pomachać mi na pożegnanie.

Sięgnęła po butelkę i wypila następny łyk wody.

- Jeśli to, co mi pokażesz, spodoba mi się, powiem to mojemu rządowi. A wtedy zamienimy tę wodę na coś o lepszym smaku, na przykład na wino.

Zapewne wątpił w jej szczerść, ale widziała, jak na nią patrzy. Zrobi, co będzie mogła, żeby zburzyć jego spokój i pewność siebie.

ROZDZIAŁ 52

Kurt szybował od trzydziestu minut i był coraz bliżej tankowca. Małe zielone cyfry na owiewce wskazywały prędkość stu dwudziestu węzłów. Po następnych kilku minutach zobaczył

w oddali jasno oświetlony statek - wyglądał jak pomnik z białego marmuru w morzu czerni.

Dwie mile morskie od celu odczepił osłonę, którą zaryglo-

wał Joe. Odfrunęła w tył i gładki ślizg zaczął przypominać jazdę odkrytym porsche po autostradzie.

Kurt zwolnił do dziewięćdziesięciu węzłów i przeleciał nad tankowcem na wysokości dziesięciu tysięcy siedmiuset metrów.

Pokonał jeszcze pół mili, po czym włączył autopilota, który miał utrzymywać dziób skierowany w przód, a skrzydła w po-

ziomie. Zadowolony, że jest wystarczająco daleko, uwolnił nogi i ręce i został dosłownie wysany z szybowca.

Natychmiast znalazł się w swobodnym opadaniu i otworzył spadochron.

Szybowiec miał przebyć jeszcze kilka mil morskich, spaść do oceanu i utonąć. Obserwator z lornetką noktowizyjną nie zauważyłby tego, ale gdyby patrzył na niebo, mógłby dostrzec

Austina. Żeby zminimalizować to ryzyko, zarówno ubranie, jak i spadochron Kurta były czarne.

Na wysokości sześćsiuset metrów zatoczył szeroki łuk i nakierował się na nadpływający statek. Została mu minuta.

Trzydzieści sekund później, gdy od dziobu tankowca dzieliło go ćwierć mili morskiej w poziomie i dwieście siedemdziesiąt

metrów w pionie, Kurt uzmysłowił sobie poważną wadę swojego planu.

Mocne światła statku, dzięki którym łatwo było go zobaczyć i wziąć na niego kurs, teraz mogły się okazać bardzo niebezpieczne.

Blask lamp kwarcowych, który odbijał się od pomalowanego na biało pokładu, oślepiał Kurta. Co gorsza, mógł zostać zauważony już w momencie lądowania, jak ogromny nietoperz siadający na oświetlonym patio podczas wieczornego przyjęcia.

Świadomy swojego błędu, pociągnął mocno linki spadochronu, spowalniając opadanie. Skręcił w prawo, ku lewej burcie tankowca, i kontynuował schodzenie w dół.

Widział tylko jeden sposób, żeby wylądować niepostrzeżenie. Część głównego pokładu za nadbudówką tonęła w mroku. Kurt musiał pokonać w locie trzysta metrów płaskiej przestrzeni, skręcić za rufę i mieć nadzieję, że utrzyma wystarczającą prędkość, by dotrzeć nad ostatnie kilka metrów pokładu.

Wydawało się to niewykonalne. Ale miał do wyboru albo to, albo opadnięcie do oceanu, wezwanie pomocy i czekanie w wodzie co najmniej kilka godzin z nadzieją, że nie zwabi głodnych rekinów.

Szybował wzdłuż statku na wysokości stu dwudziestu metrów daleko od lewej burty. Zostało mu dwadzieścia sekund. Kiedy mijał nadbudówkę, zobaczył jakąś postać na mostku, ale żadnych obserwatorów. Wątpił, żeby ktoś na jasno oświetlonym statku mógł go zauważyć. Blask światel uniemożliwiał ludziom na pokładzie dostrzeżenie czegokolwiek w ciemności.

Gdy zaczął skręcać, dostał się w turbulencję powodowaną przez nadbudówkę, co groziło ujściem powietrza spod czaszy spadochronu. Na szczęście nic takiego się nie stało i wkrótce znalazł się za rufą.

Pod sobą widział koniec pokładu, spieniony kilwater i dwie sześciometrowe śruby wirujące z prędkością stu obrotów na minutę niczym ogromny mikser, który tylko czekał, żeby go posiekać.

Pochylił się do przodu, nabrał trochę szybkości i zaczął opadać. Pociągnął mocno za linki. Za późno. Pęd powietrza wokół statku odrzucił go do tyłu. Pokład się oddalił i Kurt opadł ku spienionej wodzie i strasznej śmierci.

Spróbował skrócić, ale wiatr się zmienił i poniósł go naprzód jak strzęp papieru za przejeżdżającym samochodem. Zbliżył się gwałtownie do rufy. Mignęły mu wielkie białe litery tworzące napis „ONYX” i spadł na otwartą przestrzeń między głównym a niższym pokładem.

Poczuł wstrząs, a potem poleciał do przodu, bo linki spadochronu zaczęły o coś wokół niego. Wylądował płasko na plecach i niemal natychmiast został szarpnięty do tyłu w stronę relingu. Turbulentne powietrze za statkiem ponownie wypełniło czaszę spadochronu, co groziło Kurtowi ściągnięciem z pokładu za burzę.

W tył, w przód i znowu w tył. Miał tego dość.

Nacisnął przycisk szybkiego rozpinania uprząży i spadochron pofrunął nad wodą. Trzepocząc na silnym wietrze, stopniowo malał w oddali, aż wreszcie całkiem zniknął w mroku za wielkim statkiem.

Kurt był na pokładzie. Mimo ryzyka i wbrew logice wylądował bezpiecznie na „Onyksie”. Pomyślał o długiej liście ostrzeżeń Joego i omal się nie roześmiał. Zawała wymienił wiele rozmaitych zagrożeń, ale nie wspominał ani o oświetlonych pokładach, ani o uskoku wiatru, ani o niebezpieczeństwie posiekania przez śruby statku.

Kurt rozejrzył się. Gdzie on właściwie wylądował? Otwarta przestrzeń przypominała mu achterdek lotniskowca, rozległą powierzchnię między pokładem głównym i hangarowym.

Kika drabin prowadziło w dół ku wodzie. Dwa włazy wyglądały na szczelnie zamknięte, a na lewo od niego stało parę rozpadających się leżaków i wiadro pełne petów. Na szczęście nikt nie siedział tu z papierosem podczas jego niezbyt zgrabnego lądowania.

Pewien, że nikt go nie widział, zdjął hełm i odłączył butlę tlenową. Zamachnął się i rzucił oba przedmioty za burzę.

Nie usłyszał plusku. Wiatr i kilwater zagłuszyły odgłos rozbryzgu wody.

Pozbywszy się zbędnego ekwipunku, Kurt skierował się do najciemniejszego kąta nieoświetlonej przestrzeni.

Przykłąknął na jedno kolano, wyjął z bocznej kieszeni berettę kaliber 9 mm i przykręcił tłumik do lufy.

Niewiele słyszał poza dudnieniem silników i buczeniem maszynarii, ale dostrzegł kątem oka, że klamka prawego włącznika się obróciła. Austin wcisnął się głębiej w ciemność niczym pajak próbujący się schować w szczeliny w betonie.

Włącznik się otworzył i na pokład wyszły dwie postacie, widoczne na tle światła padającego z wewnątrz. Kurt rozpoznał sylwetki kobiety i mężczyzny.

Postacie podeszły do relingu.

- Jesteś wyraźnie pod wrażeniem - rozległ się głos, który niewątpliwie należał do Andrasa.

Nie mogąc uwierzyć we własne szczęście, Kurt zacisnął mocniej dłoń na rękojeści beretty. A potem usłyszał drugi głos, również znajomy. To była Katarina.

- Nie wiem, jak udało wam się zbudować coś takiego w tajemnicy przed światem - mówiła. - Niechętnie to przyznaję, ale ta konstrukcja jest naprawdę niesamowita. Chyba powinnam ci podziękować za pokazanie mi jej, za jedzenie i za wino.

- Jak uważasz? Twoi mocodawcy będą zainteresowani? - spytał Andras.

- Tak. Sądzę, że będą zafascynowani informacjami, które im przekażę.

Kurtowi mąciło się w głowie, kiedy słuchał Katariny. Nie dziwił się, że najwyraźniej próbowała zdobyć zaufanie porywacza, by mieć szansę na odzyskanie wolności, ale jej słowa brzmiały, jakby chodziło o coś więcej.

Włącznik znowu się otworzył i jakiś mężczyzna przerwał im rozmowę.

- Połączenie radiowe do ciebie - powiedział do Andrasa. - Z Freetown. Pilne.

- Czas iść - rzekł Andras.

Poprowadził Katarinę do wjazdu, przepuścił pierwszą i wszedł za nią do środka. Plama światła powiększyła się na chwilę, a potem zmalala i znikła, gdy ciężkie stalowe drzwi zamknęły się ze szcękaniem.

Jeśli Kurt miał wcześniej jakieś wątpliwości, to teraz się ich pozbył. Rosjan nie interesowałby przypadkowy tankowiec. Statek musiał być czymś więcej, to zaś oznaczało, że wszystkie odchylenia od normy mają jakiś cel. I na pewno nie służą niczemu dobremu.

Austin wstał i podszedł do wjazdu, za którym Andras i Katarina zniknęli chwilę wcześniej. Położył dłoń na Idamce i obracał ją wolno, dopóki nie szcęknęła.

Uchylił drzwi i spojrzał w głąb korytarza. Nikogo nie zobaczył, więc otworzył wjazd szerzej i wśliznął się do środka.

ROZDZIAŁ 53

Gammy Trout stała obok męża w centrum operacyjnym USS „Truxton”. Aktywność na pokładzie wyraźnie się wzmogła w ciągu ostatnich kilku godzin.

Jednostki wchodzące w skład grupy bojowej przygotowywały się do walki. Z „Truxtona” i z flagowego okrętu grupy, lotniskowca „Abraham Lincoln”, wystartowały helikoptery. Krót-ko potem Gamay usłyszała wycie wystrzeliwanych z katapult

odrzutowców. Odgłos nie pozostawiał żadnych wątpliwości, mimo że „Lincoln” był w odległości pięciu mil morskich.

Jak dotąd jej i Paula o niczym oficjalnie nie poinformowa-
no, ale była pewna, że wkrótce dowiedzą się, co się dzieje.

Podszedł do nich kapitan „Truxtona” Keith Louden, niewy-
soki mężczyzna po pięćdziesiątce o wysportowanej sylwetce,
krótko przyciętych siwych włosach i bystrym spojrzeniu.

- Na pewno orientujecie się - zaczął - że właśnie rozpoczy-
namy działania przeciwko wrogowi, który zniszczył dwa z na-
szych satelitów jakąś bronią skonstruowaną na bazie akcelera-
tora cząstek.

- Czy jesteśmy tu bezpieczni? - zapytała Gamay, przypo-
mniawszy sobie spalone ciała na „Kinjarze Maru”.

- Tak - odparł kapitan. - Według ekspertów z Pentagonu
ta broń, w przeciwieństwie do pocisku - czy to karabinowego,
czy artyleryjskiego, czy nawet balistycznego - może razić tylko
w linii prostej, podobnie jak laser. Na obecnej pozycji nic nie

powinno nam grozić. Ale kiedy jakiś okręt albo samolot wylania się zza horyzontu, sprawa wygląda inaczej.

Uspokoiwszy Gamay, Louden opowiedział o wydarzeniach w Sierra Leone, o groźbach prezydenta tego kraju Djemmy Garanda i o zaplanowanej reakcji militarnej.

Mówiąc, zaprowadził Troutów do monitora z ekranem dotykowym, na którym widniał obraz zatoki z czterema platformami wiertniczymi. Krzywa biegnąca w poprzek ekranu pulsowała na czerwono.

- To jest horyzont - wyjaśnił kapitan. - Wszystko, co przekroczy tę linię, czy to będzie okręt, czy samolot, czy pocisk raketowy, zostanie spalone w ciągu kilku sekund.

Gamay przyjrzała się łukowi długości około czterdziestu mil morskich.

- Myślałam, że horyzont ma szesnaście mil - powiedziała.

- Nie zawsze - odrzekł Louden. - Jego długość zależy od tego, gdzie się stoi. Każdy żołnierz lubi być wysoko, bo wtedy widzi dalej. W tym wypadku, pani Trout, szerokość horyzontu zależy od tego, z jakiego miejsca i z jakiej wysokości oni strzelają.

Stuknął w ekran i ukazało się na nim zdjęcie jednej z platform wiertniczych.

- Główna konstrukcja na każdej platformie wznosi się ponad sto metrów nad powierzchnię. Krąg akceleratora cząstek ma średnicę dwudziestu czterech kilometrów. Wystrzał z przedniej platformy, czyli z przedniej części kręgu akceleratora, może sięgnąć o wiele dalej w Atlantyk niż z platformy najbliższej wybrzeża. W dodatku wysokość pozwala im strzelać do nas z góry.

- Jak łucznikiem z zamkowej wieży - wtrącił Paul.

- Dokładnie - przyznał kapitan. - Im wyżsi jesteśmy, z tym większej odległości mogą nas trafić.

- A konkretnie? - spytał Paul.

- Niszczyciel jest raczej niski - odparł Louden - ale wystajemy osiemnaście metrów nad powierzchnię. To oznacza, że mogą trafić w naszą nadbudówkę z odległości trzydziestu mil morskich, a w maszty radarowe z trzydziestu pięciu.

- A samoloty? - zapytała Gamay.

- Są w takim samym niebezpieczeństwie - odpowiedział kapitan. - Do lądowania na lotniskowcu podchodzi się jednak na pewnym pułapie, a w razie problemów pilot natychmiast podrywa maszynę, bo lepsze to niż uderzenie w pokład lub wodę. Tutaj byliby jednak wystawieni na bezpośredni ogień. Natomiast dla samolotów pasażerskich, lecących na dużej wysokości, strefa zagrożenia rozciąga się na przestrzeni co najmniej pięciuset kilometrów.

Gamay wzięła głęboki oddech i spojrzała na męża.

- Prawda jest taka - dodał kapitan - że jeszcze nigdy nie mieliśmy do czynienia z czymś takim.

- Jaki macie plan? - spytał Paul.

- Standardowa procedura to atak z powietrza - odpowiedział Louden. - Na początek pociskami manewrującymi. Ale tomahawki i harpoony nie osiągają prędkości dźwięku. F-18 rozwijają prędkość około dwóch machów, i też nie od razu po starcie.

Odwrócił się do ekranu z czerwoną linią horyzontu zdarzeń.

- Akcelerator taki jak ten - podjął - wystrzeliwuje strumień cząstek, który porusza się z prędkością bliską prędkości światła. To oznacza, że w czasie, w jakim ta wiązka pokona osiemdziesiąt kilometrów, nasze najszybsze pociski pokonają najwyżej pół metra.

Gamay wyobraziła sobie żołnierzy wyskakujących z okopów do natarcia na wrogów uzbrojonych w karabiny maszynowe. Nie była historykiem wojskowości, ale rozumiała, dlaczego podczas pierwszej wojny światowej zginęło tylu ludzi, a linia frontu prawie się nie przesuwała. Większość żołnierzy padała, zanim zdążyli przebyć dziesięć metrów. Teraz sytuacja wyglądała podobnie.

- Skoro samoloty ponaddźwiękowe i pociski manewrujące są za wolne, żeby zniszczyć tę broń, jak zamierzacie to zrobić? - zapytała.

Kapitan wskazał krąg i odparł:

- Zbudowali ten system pod wodą, żeby nikt go nie zobaczył. To jednak sprawia, że mają słaby punkt: można ich zaatakować pod powierzchnią morza, gdzie gęstość wody powoduje, że wiązka cząstek przestaje być skuteczną bronią.

- Macie w pogotowiu okręty podwodne? - spytał Paul.

Louden skinął głową.

- Każdej grupie bojowej lotniskowca towarzyszy kilku niewidocznych przyjaciół. My mamy dwa szturmowe okręty podwodne klasy Los Angeles, „Memphis” i „Providence”. „Memphis” zajął już pozycję piętnaście mil morskich od celu. Ich sonar wylapuje mnóstwo sygnałów odpowiadających sygnaturze akustycznej nagranej przez wasz zespół.

- Nie bardzo rozumiem, co z tego wynika - powiedziała zdezorientowana Gamay

- To, że nasi wrogowie mają co najmniej kilkanaście małych łodzi podwodnych, które patrolują wejście do tej strefy - wyjaśnił kapitan. - Jeśli wszystkie są uzbrojone, choćby tylko w parę torped każda, stanowi to poważny problem.

- Dwa okręty podwodne klasy Los Angeles powinny sobie z nimi poradzić - rzekł Paul.

- Niezupełnie - odparł Loudon. - Nasze okręty podwodne służą do zwalczania dużych jednostek rosyjskich i chińskich w głębinach morza, a ta broń jest usytuowana na płytkim obszarze szelfu kontynentalnego. Średnia głębokość w Czworokacie nie przekracza osiemnastu metrów. Dwie mile morskie dalej dno trochę opada i jest nawet mały kanion - wskazał oznaczając go linię na ekranie - ale poza tym wąwozem głębokość wynosi maksymalnie sześćdziesiąt metrów i zwiększa się dopiero w odległości dziesięciu mil. To ogranicza manewrowość naszych okrętów i daje przewagę tamtym.

Kapitan westchnął ciężko, zdjął czapkę i przyglądziwszy włosy, włożył ją z powrotem.

- Dowódca nie powinien wysłać swoich jednostek tam, gdzie będą bezbronne, ani kierować ich do operacji, do których

nie są przeznaczone. Zarazem jednak musi wiedzieć, kiedy trzeba złamać tę zasadę. Jeśli tamci mogą w jakikolwiek sposób zagrozić Stanom Zjednoczonym, to nie mamy innego wyjścia niż podjęcie ryzyka.

- Domyślam się, że powiedział nam pan to nie bez przyczyny - stwierdziła Gamay.

Louden skinął głową.

- Słusznie się pani domyśla - przyznał. - Możemy potrzebować waszej pomocy.

- Naszej pomocy?! - wykrzyknęła zdumiona.

Paul był nie mniej zaskoczony.

- A w czym moglibyśmy wyręczyć Marynarkę Wojenną Stanów Zjednoczonych? - spytał.

- Możecie zejść waszym batyskafem w głąb kanionu i podkraść się do nich niezauważenie - wyjaśnił kapitan.

Paul spojrział na żonę. Wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Zwrócił się do Loudena.

- Dlaczego nie może pan wysłać do kanionu jednego z okrętów podwodnych?

- Bo jest tam za ciasno - odpowiedział kapitan. - Blisko szczytu to zaledwie szczelina szerokości najwyżej sześciu metrów. Głębiej też są miejsca, gdzie nie przecisnie się żaden duży okręt podwodny.

Gamay drżała na całym ciele. Ona i Paul mieli tylko przesłuchać nagrania.

- Jesteście cywilami, więc nie mogę wydać wam rozkazu - ciągnął Louden. - Mogę tylko prosić. Żaden z moich ludzi nie potrafi pilotować waszego batyskafu, a nawet gdyby kogoś szybko przeszkolić, to kluczem do sukcesu będzie „Rapunzel”.

Paul znów zerknął na roztrzęsioną Gamay i pokręcił przecząco głową.

- Przykro mi, kapitanie, ale muszę odmówić. Na pewno pan wie, przez co właśnie przeszliśmy. Kiedy się zgodziliśmy do was przyłączyć, obiecałem żonie, że podczas pobytu na pokładzie nie będziemy narażeni na żadne niebezpieczeństwo. A mój

ojciec zawsze mi powtarzał: „Nie dawaj słowa, jeśli nie zamierzasz go dotrzymać”.

Kapitan nie krył rozczarowania.

- Rozumiem pańską prośbę - dodał Paul - ale nie mogę jej spełnić.

Louden nie nalegał.

- W takim razie poinformuję... - zaczął.

- Proszę zaczekać - przerwała mu Gamay.

Kapitan spojrzał na nią z nadzieją.

- Hu ludzi jest na naszych okrętach podwodnych? - spytała.

- Dwustu sześćdziesięciu jeden.

Dwustu sześćdziesięciu jeden ludzi, powtórzyła w duchu. Ciekawe, ilu z nich ma rodziny. Żony, mężów, dzieci. Skoro oni mają ryzykować wszystko, jak ona mogłaby tego nie zrobić? To przecież także jej kraj.

Popatrzyła na Paula, a on tylko skinął głową, jakby czytał jej w myślach, i zwrócił się do kapitana:

- Co mielibyśmy zrobić?

- Kiedy my ściągniemy na siebie ich ogień - wyjaśnił Louden - wy przepłyniecie przez szczelinę i wypuścicie waszego robota, do którego przymocujemy wcześniej sto piętnaście kilogramów materiałów wybuchowych. Poprowadzicie „Rapunzela” wzdłuż kręgu akceleratora, szukając słabego punkt w jakimś miejscu, gdzie jest dostarczana moc albo gdzie tunel wznosi się ku powierzchni. Ulokujecie tam robota i zdetonujecie ładunki.

- A potem? - zapytała Gamay.

- Potem my przejmujemy inicjatywę - odparł kapitan.

Gamay wzięła głęboki oddech. Robiło jej się słabo na samą myśl o wejściu do batyskafu, ale wiedziała, że musi to zrobić.

ROZDZIAŁ 54

Z berettą gotową do strzału Kurt Austin przemierzył dwunastometrowy korytarz i dotarł do klatki schodowej.

Jedna kondygnacja biegła w dół, druga w górę.

Spojrzał przez poręcz do góry, ale nie potrafił ocenić, jak wysoko prowadzą schody. Wyglądało na to, że na ostatni poziom nadbudówki, może nawet na dach, gdzie były różne anteny i nadajniki radarowe. Jakieś dziesięć pięter.

Popatrzył w dół.

Schody mogły sięgać zęzy na samym dnie kadłuba. Kurt domyślał się, że Katarina i Andras weszli na górę. Miał wielką ochotę rozprawić się z Andrasem, jednak ruszył w dół.

Cokolwiek krył w sobie „Onyx”, nie znajdowało się to w pomieszczeniach służbowych czy mieszkalnych ani nawet na mostku. Tkwiło zapewne pod pokładem, tam gdzie zbiorniki ropy, pompy i inne wnętrzości statku.

Dwa poziomy niżej Kurt natrafił na nieczynną przepompownię. Wśliznął się do środka.

Tankowce wielkości „Onyxa” miały rozbudowane systemy pomp. Statek transportujący miliony baryłek ropy musiał szybko ją załadować, wyładować, a także przemieścić. Kurt spędził pewien czas na kilku tankowcach, których przepompownie miały wielkość maszynowni. Tutaj było podobnie, ale...

Podszedł bliżej do głównych rurociągów. Ich powierzchnię oraz przyległą ścianę grodzi pokrywała warstwa szronu. Dotknął rury palcami. Była przeraźliwie zimna.

Z pewnością nie płynęła nią ropa.

Znalazł tablicę przyrządów z ekranem komputera. Na monitorze widniał tekst:

Kontrola przekazana na mostek.

Przejąć? T/N_____

Hasło:_____

System działał w trybie zdalnego sterowania. Kurt wolał z tym nie eksperymentować. Prawdopodobnie i tak nie uzyskałby dostępu, a próba włamania najpewniej zaalarmowałaby obsługę sterowni o obecności nieproszonego gościa.

Wycofał się do drzwi i przyłożył do nich ucho. Nie usłyszawszy niczego poza dudnieniem silników i generatorów, opuścił pomieszczenie.

Wrócił na klatkę schodową i zaczął schodzić. Miał zamiar literalnie zgłębić tajemnicę „Onyksa”.

Dwie kondygnacje niżej dobiegł go metaliczny szczepek. Zamarł w bezruchu.

Zerknął szybko przez poręcz i zobaczył dłoń dwa poziomy pod sobą. Przesuwała się po poręczu w górę. Usłyszał głosy i powolne kroki na stopniach.

- ...wiem tylko tyle, że chce uzyskać i utrzymać pełną moc - mówił jakiś mężczyzna.

- Tylko że w pobliżu nie ma żadnego statku - odrzekł drugi.

- Mnie nie pytaj - powiedział pierwszy - ale coś się dzieje. Jeszcze nigdy nie dostarczaliśmy stu procent.

Kurt chciał się dowiedzieć więcej, ale nie mógł zostać w tym miejscu. Na najbliższym podeście przeszedł przez drzwi i zamknął je za sobą najszybciej i najciszej jak mógł.

Hałas urządzeń był tu głośniejszy i Kurt się zorientował, że znalazł się dokładnie nad maszynownią. Przywarł do ściany, patrząc to na drzwi po prawej, to na korytarz po lewej.

Kroki w dole zbliżały się do jego poziomu. Nadal słyszał rozmowę mężczyzn, ale już nie rozróżniał słów. Odetchnął z ulgą, sądząc, że minęli już podest i wspięli się wyżej,

Nagle drzwi się otworzyły. Człowiek z ręką na klamce odwrócił się do swojego towarzysza, który nadal wchodził po schodach, i oznajmił:

- Nie mów nikomu, ale zamierzam zmyć się z tej łajby w najbliższym porcie.

Mężczyzna na schodach wybuchnął śmiechem.

- Przynajmniej do czasu, aż przepuścisz całą forszę, co?

Kurt wpatrywał się w otwarte drzwi.

Intruz stał w wejściu, tyłem do niego, i kontynuował rozmowę ze swym towarzyszem. Niechże facet wreszcie wejdzie albo wyjdzie, ale nie stoi w progu!

Śmiejąc się z żartu kompana, mężczyzna odwrócił się i stanął oko w oko z wyłotem tłumika beretty.

- Ani mru-mru - szepnął Kurt i gestem kazał mu wejść w głąb korytarza.

Mężczyzna należał do rasy kaukaskiej i pochodził przypuszczalnie z rejonu Morza Śródziemnego. Był chudy, miał krótkie kręcone czarne włosy i opaloną twarz pomarszczoną od nadmiaru słońca, choć wyglądał najwyżej na trzydzieści pięć lat.

Wykonał polecenie i zamknął za sobą drzwi.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Gremlinem - odparł Kurt. - Nigdy żadnego nie spotkałeś?

- Gremlina?

- Tak. Skradamy się i rozrabiamy. Ogólnie się naprzykrzamy.

Mężczyzna przełknął nerwowo ślinę.

- Zabijesz mnie?

- Nie, chyba że mnie do tego zmusisz - odrzekł Kurt i wskazał głową korytarz. - Idziemy. Poszukamy ci jakiegoś przytulnego miejsca do odpoczynku.

Mężczyzna ruszył przodem. Zachowywał się spokojnie, ale Austin wiedział, że w każdej chwili sytuacja może ulec zmianie. Drzwi na drugim końcu korytarza wyglądały zachęcająco.

- Otwórz - rozkazał.

Mężczyzna zrobił, co mu kazano, i wszedł do środka. Kurt za nim. Znaleźli się w wielkim pomieszczeniu o wysokości co najmniej dwunastu metrów.

Z rurociągów parowych było ciepło wypełniające całą przestrzeń. Kurt niemal natychmiast poczuł wilgoć na całym ciele. Dziwny miarowy pomruk wydobywał się z baterii generatorów. Równoległe białe rury krzyżowały się z niebieskimi, osłaniającymi przewody elektryczne. Niebieskie rury ciągnęły się wzdłuż pomostu, skręcały w górę i otaczały jasnozielony, wysoki na trzy piętra cylinder pośrodku pomieszczenia.

Kurt ruszył naprzód, popychając załoganta przed sobą. Z boku olbrzymiego cylindra zobaczył jakieś oznaczenia. Odczytał numer i rosyjskie słowo „Акула”, co potwierdziło jego obawy.

- To reaktor? - zapytał.

Członek załogi przytaknął.

Towarzyszający napisom po angielsku, francusku i hiszpańsku międzynarodowy symbol promieniowania rozwiewał wszelkie wątpliwości.

Kurt zajrzał za cylinder i zobaczył drugi, identyczny, w odległości mniej więcej sześćdziesięciu metrów.

- Zaginiony tajfun - mruknął pod nosem.

Wszystkie dowody wskazywały na to, że ktoś go kupił i upozorował jego zniknięcie. Okazało się, że Kurt częściowo miał rację; odgadł, co się stało, nawet jeśli się mylił co do celu. Ten okręt podwodny rzeczywiście przepadł i Andras ze swoimi nieznanymi współnikami stali się nowymi właścicielami, ale najwyraźniej bardziej interesowały ich reaktory niż kadłub.

Dlaczego? - zastanawiał się Austin. Po co komu reaktory jądrowe na tankowcu o maksymalnej prędkości siedmiu węzłów? Ma napęd dieslowski, dymi i śmierdzi, więc jeśli nie wykorzystują reaktorów do obracania śrub, to do czego?

- Do czego to jest? - spytał.

- Nie wiem, co oni robią - odparł załogant.

Kurt dzielił go ręką pistoletu w twarz i wycelował mu w oko.

- Nie kłam.
- Do akceleratora - powiedział mężczyzna.
- Do akceleratora cząstek? Tutaj, na tym statku?

Załogant milczał.

- Gadaj! - Kurt odciągnął kurek beretty. - Słyszałem, jak mówiłeś swojemu kumplowi, że ktoś potrzebuje więcej mocy. Dlatego przyszedłeś na ten poziom. Sądząc po ubraniu, jesteś mechanikiem, nie marynarzem pokładowym. Wiesz, co tu się dzieje. Albo mi to wyśpiewasz, albo zabierzesz swoje tajemnice do grobu.

Mężczyzna popatrzył na pistolet w rękach Kurta. Oblizał wargi i przemówił:

- Wykorzystują reaktory do zasilania akceleratora. Energia wydostaje się przez dziób tankowca. Może unieruchomić inny statek.

- Może zrobić więcej - powiedział Kurt. - Widziałem ciała spalonych żywcem ludzi i ich mózgi usmażone w czaszkach przez waszą zabawkę.

- Ja tylko obsługuję reaktory - usprawiedliwił się mechanik.

- Dobra wymówka. Dokąd szedłeś?
- Do dyspozytorni.
- Zaprowadź mnie tam - zażądał Kurt.

Mężczyzna jeszcze raz zerknął na pistolet i skinął głową. Podeszedł do pomostu, który biegł wokół reaktora, i zaczął się wspinać. Kurt ruszył za nim.

ROZDZIAŁ 55

Na górze pomost skręcał i oddalał się od reaktora. Prowadził do małej wysuniętej kabiny o stalowych ścianach i wysokich oszklonych oknach.

Załogant chwycił za klamkę i otworzył drzwi. Kurt wepchnął go za próg i wpadł za nim do środka.

Dwaj ubrani na biało mężczyźni patrzyli na ekran monitora. Jeden był w kombinezonie i wyglądał na mechanika. Kurt domyślił się po stroju drugiego, że to technik.

Po chwili wszyscy trzej stali pod ścianą.

Teraz Austin musiał wymyślić, co dalej.

Przysunął się do monitora, na który wcześniej patrzyli dwaj mężczyźni; ekran wyświetlał widok statku z boku.

- Schemat? - zapytał.

Jeden z techników skinął głową.

- Przewody zasilające - uściślił.

Kurt przyjrzał się dokładniej kolorowym ikonom i różnym napisom obok nich. Przy żółtym bloku widniały słowa „Prąd pierwotny”. Austin domyślił się, że to standardowa instalacja elektryczna statku. Niebieska ikona miała oznaczenie „Wysokie napięcie”. Kable biegły w dół w kierunku dna statku, tworzyły pętlę, wznosiły się blisko dziobu i wracały do śródokręcia. Na podstawie zdjęć, które oglądał z Joem, Kurt zorientował się, że podwyższone elementy łączą się z dziwnymi wypukłościami blisko lin kotwicznych i wybrzuszeniem w środkowej części statku.

- To jest ścieżka akceleratora? - spytał.

Mężczyźni zgodnie skinęli głowami.

- Biegnie wokół statku i wychodzi blisko dziobu - powiedział mechanik.

- Jasne - mruknął Kurt. Nie mógł uwierzyć, że nie skojarzył tego wcześniej.

Przecież wiedział, że „Onyx” stał w Sierra Leone, kiedy widziano tam Andrasa, i że w tym samym czasie dokonano załadunku YBCO na „Kinjarę Mara”, a jednak nie dostrzegł związku i nie domyślił się, że to na „Onyksie” była broń, która spaliła „Kinjarę”.

Teraz wydawało się to oczywiste, ale jedno nadal go zastanawiało. Gdzie znajdował się „Onyx” tego ranka, kiedy on dotarł z „Argo” na zaatakowany frachtowiec? Po ucieczce Andrasa i upozorowaniu przez niego własnej śmierci na motorówce, która eksplodowała, przeprowadzili dokładne poszukiwania, nie wypatrzyli jednak nic ani wzrokowo, ani nawet na radarze.

To oznaczało, że musiał być jakiś okręt podwodny.

Prawdopodobnie Andras i jego ludzie tuż przed wybuchem wyskoczyli za burtę, zanurkowali do małej łodzi podwodnej i weszli do niej przez jakąś służę powietrzną.

Tymczasem on i reszta załogi „Argo” koncentrowali się na eksplozji.

Ale jeżeli tajfun leżał gdzieś na złomowisku, to czego używali bandyci?

- Macie jakąś łódź podwodną? - zapytał.

Technik skinął głową.

- Są tu trzy.

- Czy któraś jest wystarczająco duża, żeby transportować ładunek?

Mechanik przytaknął.

- Bus. Ma trzydzieści trzy i pół metra długości. To w większości pusta przestrzeń.

Chyba że jest wypełniona tonami YBCO, pomyślał Kurt.

Jeśli się nie mylił, to „Onyx” spalił „Kinjarę Maru” i popłynął dalej. Andras musiał zabrać YBCO z „Kinjary” w nocy, załadować materiał na pokład busa i wysłać łódź podwodną na

spotkanie z „Onyxem” gdzieś daleko za horyzontem. Nie zdążył jednak zatopić frachtowca przed świtem i dlatego rano Kurt zauważył dym.

Pozostawała jeszcze jedna, bodaj najważniejsza kwestia. Jeśli „Onyx” służył za niszczyciela, to do czego Andras potrzebował pełnej mocy reaktorów? Jeśli Kurt dobrze usłyszał, w zasięgu nie było żadnego statku do spalenia akceleratorem cząstek.

Stuknął w ekran, żeby zrobić odjazd. Jego wzrok padł na duże skupisko przewodów wysokiego napięcia w samym środku statku, gdzie byłyby zbiorniki ropy, gdyby „Onyx” rzeczywiście ją transportował.

- Co to za bałagan? - zapytał, wskazując śródkręcie.

Mężczyźni milczeli.

- No, dalej - warknął Kurt, potrząsając wycelowaną w nich beretą. - Nie mam całego dnia.

- Nazywamy to Osią - odpowiedział w końcu mechanik.

- Osią? - powtórzył Kurt. - A cóż to takiego?

Mechanik sięgnął do ekranu, dotknął go i zrobił zbliżenie obwodów. Kurt skoncentrował się na obrazie i na chwilę stracił czujność. To wystarczyło.

Mechanik rzucił się na niego i złapał go oburącz za dłonie, w której trzymał pistolet. Kurt wyrwał rękę i walnął mężczyznę łokciem w brzuch, a potem przedramieniem w twarz. Ale załogant porwał z podłogi jakiś klucz nastawny. Zamachnął się nim na Kurta, celując w jego głowę. Chybił zaledwie o centymetry, bo Austin odskoczył do tyłu.

Kurt nacisnął dwa razy spust beretty, posyłając dwie kule w pierś załoganta. Mężczyzna poleciał do tyłu, upuścił z hałasem klucz i upadł.

Kurt błyskawicznie skierował broń w prawo. Za późno.

Technik zdążył włączyć alarm. Rozległo się wycie syreny i światła zaczęły błyskać.

Kurt już miał zastrzelić mężczyznę, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, że prawdopodobnie tylko on potrafi wyłączyć reaktory.

Kopnął go kolanem w spłot słoneczny, posyłając na ziemię, odwrócił się, dał nura za drzwi i popędził metalowym pomo- stem. Jego kroki odbijały się tak głośnym echem, że słyhać je było przez buczenie generatorów, ale nie miał czasu się skradać.

Gdy zbiegł do połowy schodów, usłyszał strzały.

Najpierw zobaczył rykoszet, a potem grupę mężczyzn przy drzwiach, którymi wszedł. Odpowiedział ogniem, zmuszając ich do ukrycia się, po czym przeskoczył przez poręcz. Wylądował na nogach i wystartował sprintem. Minał reaktory i popędził dalej w głąb statku.

Dotarł do jakichś drzwi, chwycił za klamkę i otworzył je. Ku jego zaskoczeniu, przywitał go podmuch zimnego powietrza.

Wpadł do środka i znalazł się pod ogromną kratownicą z wielkich połączonych ramion ułożonych w sposób, który przypominał mu stos krzeseł ogrodowych albo olbrzymią drabinkę gimnastyczną, która nie została zmontowana.

Wzdłuż każdego z ramion ciągnęły się setki szarych bloków, a między blokami biegły przewody wysokiego napięcia i oszronione rury i węże.

Pomieszczenie miało wysokość dziesięciu pięter, długość stu dwudziestu metrów i szerokość „Onyksa”. Kiedy Kurt pędził po metalowej podłodze, zauważył ogromne tłoki hydrauliczne połączone z układem ramion na zawiasach.

Domyślił się, że to Oś. Ale nadal nie miał pojęcia, co to znaczy.

Konstrukcja sprawiała wrażenie otwieranej, rozkładanej niczym wachlarz. Diagram na ścianie z ostrzeżeniem dla załogi, żeby trzymać się z dala od zawiasów, zdawał się to potwierdzać. Kurt przypuszczał, że uzbrojeniem „Onyksa” jest akcelerator cząstek, który biegnie wokół kadłuba i ma wylot blisko dziobu. Więc po co, do diabła, jeszcze to?

Cokolwiek to było, wydawało się ważniejsze dla mechaników niż akcelerator cząstek.

Zanim zdążył się dowiedzieć więcej, usłyszał kroki i po chwili otworzyły się drzwi na przeciwległym końcu pomieszczenia. Kurt zdał sobie sprawę, że jest otoczony. Spojrzał w górę. Kolejny pomost był dziesięć metrów nad nim.

Wspiął się ostrożnie na siłownik hydrauliczny i podciągnął na konstrukcję. Przypominało to wchodzenie po drabince gimnastycznej dla olbrzyma. Był prawie na górze, gdy przypadkowo dotknął jednej z rur z chłodziwem.

Natychmiast cofnął rękę i jakoś udało mu się nie stracić równowagi ani nie zakłóć z bólu. Zaciśnął zęby i spojrzał na dłoń. Skóra schodziła jak po oparzeniu, ale wiedział, co się stało: doznał odmrożenia.

Popatrzył na rurę i dostrzegł ledwo widoczny pod szronem napis: „Ciekły azot”. Wiedział, że magnesy nadprzewodzące muszą być ochładzane do bardzo niskich temperatur, żeby zachowywały swoje właściwości. Izolowana powierzchnia rury miała minus pięćdziesiąt sześć stopni Celsjusza, a sprężona i przepompowywana ciecz w środku aż sto dziewięćdziesiąt sześć stopni poniżej zera.

Zaczął się wspinać wyżej.

Nie dotykaj rur, powtarzał sobie, jakby odmrożona ręka nie była wystarczającym przypomnieniem.

Zanim dotarł do pomostu, zobaczył w dole ścigających go ludzi. Trzech podchodziło z jednej strony, pięciu innych z drugiej.

Wspiął się na pomost najciszej, jak mógł. Przez moment siedział nieruchomo, po czym zaczął się skradać wzdłuż kładki.

Posuwał się bezszelestnie, ale powodował wibracje i kawałek szronu odpadł, oderwał się jak sopel od linii wysokiego napięcia i roztrzaskał na podłodze z hałasem tłuczonego szkła.

- Tam, na górze! - krzyknął ktoś.

Kurt poderwał się do biegu. Usłyszał strzał, ale tylko jeden.

Gdyby się obejrzał, zobaczyłby, jak kierujący pościgiem łapie Strzelca i prawie go dusi za użycie broni w tym pomieszczeniu. Ale Kurt się nie odwrócił. Dotarł do drzwi na końcu pomieszczenia z Osią, otworzył je i zamknął za sobą.

Pędził naprzód, szukając jakieś kryjówki i sposobu na wyślanie wiadomości.

Był pewien, że ten statek miał właśnie podjąć jakieś działania. I że cokolwiek to będzie, nie spodoba się reszcie świata.

ROZDZIAŁ

Moskwa, Rosja

Łysol, wysoki rangą funkcjonariusz FSB, brylował w pozbawionym okien pokoju w wielkim monolitycznym gmachu nazywanym Łubianką, głównej kwaterze Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

Towarzyszyło mu kilku członków Politbiura, przedstawiciel rosyjskiej marynarki wojennej i generał Armii Czerwonej.

Łysol właśnie przekazał im treść wiadomości radiowej, jaką otrzymał od Katariny Łuskiej. Powiedziała, że jest na pokładzie statku z człowiekiem o imieniu Andras, który chce sprzedać

Rosji superbroń, dzięki której wyprzedzą o lata Amerykanów i Chińczyków.

Jeden z polityków nie krył sceptycyzmu.

- Dziwne, że nigdy nie słyszeliśmy o tej broni - rzucił drwiąco. - I mamy uwierzyć, że odkryła ją wasza początkująca agentka?

- Została porwana przez Andrasa - wyjaśnił Łysol. - Całe szczęście, że trzyma ją ze sobą. To on składa nam ofertę. Znamy go.

- Ze złej strony - zauważył generał.

- To prawda - przyznał Łysol.

- I żąda astronomicznej sumy - dodał członek Politbiura.

Łysol zbył to machnięciem ręki.

- Oczywiście nie zapłacilibyśmy mu tyle, ile chce. Niewielką część, najwyżej dziesięć procent. I tylko gdybyśmy uznali, że gra jest warta świeczki.

- Odnoszę wrażenie, że wasza agentka działa pod przymusem - powiedział generał.

- Owszem - potwierdził Łysol. Katarina użyła słownego szyfru, oznaczającego, że jest przetrzymywana wbrew swojej woli. Ale musiał jej oddać, że wybrała mniej alarmujące z dwóch sformułowań, co oznaczało, że jej zdaniem sytuacja może być do opanowania. Zaimponowała mu była olimpijka.

Głos zabrał przedstawiciel marynarki.

- Dobrze byłoby się przyjrzeć temu statkowi - stwierdził. - Jeśli okaże się interesujący, moglibyśmy zacząć negocjacje. A jeśli nie, po prostu spisalibyśmy Łuską na straty.

Łysol przeszył go wzrokiem. Młodsze pokolenie niewiele rozumiało. To go niepokoiło.

- Nie dostrzega pan istoty rzeczy. Andras zapowiedział, że zademonstruje skuteczność tej broni za niecałe pół godziny, biorąc na cel stolicę Stanów Zjednoczonych. Statek jest nieistotny. Musimy zdecydować, czy ostrzec Amerykanów.

W pokoju zapadła cisza. Nikt nie chciał się wypowiedzieć.

- Sytuacja jest bardzo delikatna - ciągnął Łysol. - Gdyby zagrożenie okazało się realne i wyszłoby na jaw, że wiedzieliśmy o tym wcześniej...

Nie musiał kończyć.

- Co pan proponuje? - zapytał członek Politbiura.

Łysol był w rozterce. Z jednej strony, nie miałby nic przeciwko temu, żeby zobaczyć potężny atak na dawnego wroga. Nigdy nie lubił Amerykanów i nie martwiło go, gdy wpadali w tarapaty. Zarazem jednak zdawał sobie sprawę, że reperkusje mogły być niewyobrażalne. Prawa niezamierzonych konsekwencji nie należało lekceważyć.

- Zawiadomić Amerykanów o niebezpieczeństwie - odparł w końcu. - Nie mówić o statku i zapomnieć o tej rozmowie.

Powiódł wzrokiem po zebranych. Wszyscy mieli władzę, ale bali się go, tak jak powinni.

- Co się stanie potem, będzie zależeć od nich - dodał.

- A statek?

- Jeśli nadarzy się okazja, skorzystamy z propozycji. Może zapłacimy Andrasowi, a może przeprowadzimy transakcję wymienną. To są szczegóły, które można rozważyć później.

Osiem tysięcy kilometrów dalej, pośrodku Atlantyku, Andras stał nad Katariną, która siedziała przy konsoli radiowej. W końcu usłyszała głos Łysola:

- Przekażcie Andrasowi, że tym razem nie jesteśmy zainteresowani uszkodzonym towarem.

Podniosła wzrok. Cokolwiek znaczyły te słowa, Andras zrozumiał. Skinął głową.

- On rozumie - powiedziała do mikrofonu.

- *Da* - odrzekł Łysol. - Dobra robota, Łuska. Czekamy na pani powrót.

Nie czuła się, jakby wykonała dobrą robotę. Stchórzyła przed bandytą, który ją porwał, groził jej i zabił majora Komarowa, a potem Kurta. A teraz brała udział w czymś, co miało spowodować śmierć setek tysięcy, może nawet milionów ludzi w jego kraju.

Co gorsza, nie widziała żadnego sposobu na powstrzymanie tego.

Nagle zaczęła wyc syrena, a kilka sekund później w drzwiach kabiny stanął zdyszany załogant.

- Co się, do cholery, dzieje? - zapytał ostro Andras.

- Problem w przedziale reaktorowym.

- Wyciek?

- Nie. Mamy intruza.

Andras się roześmiał.

- Intruza? Jesteśmy tysiąc dwieście mil morskich od najbliższego lądu.

- Wiem - odparł załogant. - Nie rozumiem, jak to się stało. Żadne statki ani łodzie nie zbliżyły się do nas. Sonar nie wykrył

żadnego okrętu podwodnego. Może to jakiś pasażer na gapę - zasugerował.

- To też niemożliwe - rzekł Andras z przekonaniem. - Bardziej prawdopodobne, że ktoś się upił i popełnia wielki błąd.

Katarina usłyszała gniew w jego głosie. Nie chciałaby być w skórze pechowego członka załogi.

- Nikogo nie brakuje - oznajmił mężczyzna. - Jeden z mechaników nie żyje, a inny został pobity przez jakiegoś amerykańskiego komandosa z siwymi włosami.

Katarina nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

Twarz Andrasa stężała.

- Z siwymi włosami? - warknął.

Załogant skinął głową.

- Tak - potwierdził.

- Austin - wymamrotał Andras.

Katarina miała nadzieję, że porywacz się nie myli.

Andras zauważył jej uśmiech i radosny błysk w jej oczach.

- Szkoda, że nie widzisz swoich oczu - rzucił drwiąco. - Są pełne nadziei. Żadna z ciebie agentka, skoro nie potrafisz ukryć emocji.

- Nie jestem agentką - powiedziała.

- Najwyraźniej. - Wydawał się zniesmaczony.

- Szukamy go - przerwał im załogant. - Ale przebiegł przez pomieszczenie z Osią i zniknął.

- To jest statek - przypomniał mu Andras. - Tu nie ma do-
kład uciec. Szukajcie dalej. Będę na mostku. Obstawcie wszystkie wejścia do Osi i reaktory. Strzelajcie do każdego, kto się tam zbliży. - Spojrzał na zegarek. - Mamy dziewiętnaście minut. Trzymajcie go na dystans do końca tego czasu. Potem sam go dopadnę.

Załogant skinął głową i wyszedł. Andras złapał Katarinę za nadgarstek i wywłókł na korytarz. Dwoje drzwi dalej otworzył jejabinę, rzucił ją na krzesło i ponownie związał. Najpierw ręce za oparciem krzesła, potem nogi.

- Miałem nadzieję na lepszą zabawę z tobą - powiedział - ale to będzie musiało poczekać. Bez obaw, już nie będziesz musiała udawać, że jesteś zainteresowana. Nie obchodzi mnie to.

Wpadł z kabiny, zatrzasnął drzwi i zarygłował je.

Jeśli mam spróbować ucieczki, pomyślała Katarina, to teraz albo nigdy.

Zaczęła się szarpać, próbując rozluźnić więzy, ale tylko zaciskała je mocniej. Rozejrzała się po kabynie. Nie dostrzegła nic ostrego: ani noża, ani rozcinacza do kopert, ani nożyczek. Nie zamierzała jednak się poddać.

Rozbijała krzesło i przewróciła się z nim na podłogę. Pociągnęła je, poruszając się jak gąsienica z kamieniem na grzbiecie, i mniej więcej w takim tempie. W końcu dotarła do małego biurka.

Na blacie stały dwa kieliszki i butelka wina, którą wypila z Andrasem w nadziei, że uspi jego czujność.

Leżąc przy biurku, zaczęła uderzać w nie barkiem. Kołysało się wolno, aż jeden z kieliszków spadł i się rozbił.

Obróciła się, żeby dosięgnąć któregoś z kawalków szkła. Poczula, jak kilka drobnych odłamków wbija się jej w przedramię. Zignorowała to. Musiała chwycić jakiś większy i zaokrąglony, żeby przeciąć nim liny.

Wreszcie dotknęła takiego. Złapała go niezgrabnie, kalecząc przy tym dłoń, ale zdołała go utrzymać w odpowiedniej pozycji. Przycisnęła szkło do liny najmocniej jak mogła i zaczęła nim poruszać tam i z powrotem.

Miała nadzieję, że odłamek przecina krępujące ją więzy, bo z każdym ruchem czuła, jak wbija się jej w rękę i powoduje, że dłoń i płace robią się coraz bardziej śliskie od krwi.

Bolało jak diabli, ale wolała wykrawać się na śmierć, niż zrezygnować.

Wciąż próbowała się oswobodzić, gdy rozległo się głuche uderzenie w drzwi, jakby ktoś na nie wpadł.

Po chwili usłyszała, jak się otwierają. Nie widziała ich, bo leżała tyłem, ale obawiała się, że to Andras wrócił. Co zrobi,

kiedy zobaczy, że próbuje przeciąć więzy? Zabije ją od razu czy po prostu zostawi, żeby umarła z upływu łowi?

Drzwi się zamknęły i coś ciężkiego upadło obok niej. Poczula na sobie dotyk rąk, nie zimny i groźny, lecz delikatny.

Odwróciła się.

Zamiast twarzy Andrasa zobaczyła łagodne niebieskie oczy i srebrzyste włosy.

- Kurt - wyszeptała.

Położył palec na ustach.

- Nie ruszaj się. Mocno krwawisz.

Rozwiązał Katarinę, chwycił jakąś ścierkę i obandażował jej dłoni.

Na korytarzu za jego plecami leżał martwy załogant z raną po pocisku w piersi. Katarina domyśliła się, że pilnował drzwi.

- Myślałam, że nie żyjesz - szepnęła.

- Kiedy cię zobaczyłem na podłodze z nadgarstkami całymi we krwi, pomyślałem to samo o tobie - odparł.

Pomógł jej usiąść.

- Oni wykorzystają ten statek do ataku na twój kraj - powiedziała. - Chcą zniszczyć Waszyngton za niecałe piętnaście minut.

- Jak? - spytał.

- Zbudowali ogromny akcelerator cząstek u wybrzeża Sierra Leone. Zamierzają wystrzelić w Waszyngton potężną wiązkę naładowanych cząstek, która przeczesze teren tam i z powrotem jak promień skanujący na ekranie komputera. Unicestwi każde urządzenie elektryczne w granicach miasta i spowoduje pożar wszystkiego, co się pali. Sieć gazowa eksploduje. Przechodnie na ulicach staną w ogniu. Setki tysięcy ludzi zginą lub zostaną okaleczone.

- Widziałem już skutki użycia tej broni. Ale jak zdołają to zrobić z tak dużej odległości?

- Na tym statku jest olbrzymie urządzenie elektromagnetyczne - wyjaśniła.

- Oś - przytaknął. - Widziałem je. Wiązka zostanie wysłana stąd?

- Nie - odparła. - Ze Sierra Leone. Ale przejdzie nad nami, a oni, wykorzystując całą moc wygenerowaną i przepływającą przez Oś, zakrzywią tor wiązki. Zamiast biec dalej w przestrzeń w linii prostej, osiągnie coś w rodzaju apogeum wysoko nad statkiem, a potem, pod działaniem siły magnetycznej, skręci z powrotem w dół i zostanie skierowana na stolicę twojego kraju.

- Jak bila odbita od bandy - powiedział Kurt. - Dlatego nazywają to Osią.

Katarina skinęła głową.

- Oni muszą być szaleni - stwierdził. - Wywołają wojnę światową.

Musiał ich powstrzymać, zanim będzie za późno. Kurt wstał, wyjął pusty magazynek z beretty i zastąpił go pełnym.

- Muszę się dostać do tego urzędnika.

Katarina podniosła się i stanęła przy nim.

- Oni czekają tam na ciebie - ostrzegła go. - Wiedzą, że przyjdiesz. Reaktory też obstawili.

Wyglądał na zdenerwowanego.

- Masz jakiś pomysł? - spytał.

Zastanowiła się. Była trochę przymulona z niewyspania i po wypiciu kilku kieliszków wina, ale po chwili wpadła na pewien pomysł.

- Chłodziwo - podsunęła.

- Ciekły azot? - spytał.

- Tak - potwierdziła. - Jeśli odetniemy dopływ azotu, magnesy szybko się nagrzeją powyżej temperatury roboczej. Stracą właściwości nadprzewodzące i urządzenie przestanie wytwarzać moc. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Widziała wyraz determinacji na twarzy Kurta. Nagle odwrócił się na dźwięk, który ona też usłyszała.

Drzwi kabiny otworzyły się gwałtownie i w progu stanął jakiś załogant.

- Mówiłem ci, żebyś jej pilnował na...

To były jego ostatnie słowa przed śmiercią, bo Kurt wpakował mu dwie kulki. Podbiegł do drzwi, ale za późno. Mężczyzna poleciał do tyłu na korytarz.

Upadł w przejściu. Zanim Kurt go dosięgnął, w głębi korytarza zabrzmiały krzyki.

Kurt strzelił w jedną stronę, potem w drugą.

- Chodź! - krzyknął do Katariny.

Wybiegła z kabiny i skręciła w prawo, kiedy on strzelał w lewo.

Kurt popędził za nią i chwilę później schodzili po drabinie.

- Znam drogę - powiedział, złapał Katarinę za rękę i pociągnął za sobą. - Miejmy nadzieję, że zdążymy.

ROZDZIAŁ 57

Paul Trout zajmował miejsce sternika, skulony jak koszykarz w kompaktowym samochodzie. Wprawdzie nowy batyskaf był jeszcze mniejszy niż „Grouper”, ale miał trochę większą wyso-

kość, więc oboje mogli siedzieć, a Gamay nie musiała sterować „Rapunzelem” na leżąco.

Siedzieli więc obok siebie i patrzyli przez małe bulaje przed nimi. Widok był niesamowity, mknęli bowiem z prędkością stu czterdziestu węzłów zaledwie trzy metry nad powierzchnią, zawieszeni pod Seahawkim SH-60 na huśtających się linach.

Mimo nocy widzieli grzywy fal poniżej.

Plan zakładał, że zostaną zrzućeni z powietrza na południu, jak najbliżej linii horyzontu zdarzeń. Stamtąd zanurkują do ka-
nionu, a potem wzniosą się do góry z ich małym zrobotyzowa-
nym bombiarzem.

Za dwadzieścia minut miał się rozpocząć pierwszy atak lotniczy. Nikt nie oczekiwał sukcesu operacji, liczono jednak na to, że manewry mylące eskadr myśliwców „Lincolna” odwrócą uwagę sił Djemmy Garanda i tym samym umożliwią Troutom wykonanie zadania.

- Minuta do punktu zrzutu - zawiadomił ich pilot śmigłowca.

- Przyjąłem - odrzekł Paul.

Nie miał nic do roboty. Wszystko było zapięte na ostatni guzik i w pogotowiu. Pozostało mu tylko czekać, aż pilot ich zrzućci, i mieć nadzieję, że nie zrobi tego przy prędkości stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Wzięłem zaopatrzenie - powiedział do żony.

- Jakże? - zdziwiła się. - To nie piknik.

Wskazał głową sprzęt nurkowy przymocowany do podłogi kokpitu elastycznymi linkami.

- Na wypadek gdybyśmy musieli powtórzyć ewakuację - wyjaśnił. - Tym razem będziemy mogli to zrobić bez pośpiechu.

Gamay uśmiechnęła się, a gdy po chwili dotarło do niej znaczenie słów męża, spojrzała na niego podejrzliwie.

- Pamiętasz?

- Tak - potwierdził. - Gdy tylko tutaj wsiadłem, wszystko sobie przypomniałem.

Przestała się uśmiechać.

- Szkoda.

- Dlaczego?

- Bo to było straszne.

- Przerazające, ale przeżyliśmy. Uważam to za jeden z naszych najbardziej spektakularnych wyczynów. Świetna historia do opowiadania wnukom.

Gamay pokiwała głową, ale wyraźnie bez przekonania. Paul rozumiał jej rozterkę.

Miał nadzieję, że nie będą musieli powtarzać tego spektakularnego wyczynu, gdyby jednak tak się złożyło, butle, maski i płetwy byłyby bardzo pomocne.

- Pół minuty do zrzutu - odezwał się pilot.

- Do dzieła - powiedziała Gamay pewnym głosem. - Wielu ludzi zginie, jeśli zawiedziemy.

- Dziesięć sekund - oznajmił pilot.

Gamay wzięła głęboki oddech.

Batyskaf zakolysał się w przód i w tył, kiedy zwolnili prawie do zera. Potem przez moment czuli nieważkość, a chwilę później wylądowali z pluskiem w morzu. Batyskaf był przygotowany do zanurzenia, więc fale zamknęły się nad nimi w ciągu kilku sekund.

Paul pchnął przepustnicę, dał ster w prawo i wprowadził batyskaf na kurs.

- Będziemy w kanionie za pięć minut - poinformował. -
Stamtąd to już niedzielna przejażdżka. Kwadrans w górę, a po-
tem do akcji wkroczy „Rapunzel”.

W sumie dwadzieścia minut. Niewiele, ale Paul wiedział, że
to będzie najdłuższe dwadzieścia minut w jego życiu.

ROZDZIAŁ 58

Djemma Garand stał w centrum dowodzenia piętnaście pięter nad powierzchnią morza. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego gra z Amerykanami osiągnęła punkt krytyczny. Zniszczył już dwa ich satelity i ogłosił, że przestrzeń powietrzna nad Afryką jest zamknięta dla satelitów szpiegowskich wszystkich

krajów, ale ostatnie meldunki jego dowódców sugerowały, że prawdziwa walka dopiero się zacznie.

- Amerykańska grupa bojowa lotnikowca jest dwieście mil morskich od naszego wybrzeża - poinformował zwierzchnik sił lądowych. - Nasz główny radar wykrył co najmniej dwadzieścia cztery nadlatujące samoloty.
- Co z okrętami podwodnymi? - zapytał Djemma.
- Jeszcze nic - odrzekł dowódca sił morskich. - Amerykańskie są bardzo ciche, ale jak wpłyną na pływny, to je usłyszymy i zaatakujemy.

Tego Djemma oczekiwał.

- Podnieście sieci przeciwtorpedowe - rozkazał. - I wyrzucie emiter.

Łodzie patrolowe pod platformą odpaliły silniki i pomknęły ku wejściu do zatoki. Jednocześnie z platform Czworoką-

ta uniosły się helikoptery uzbrojone w pociski przeciwpodwodne.

Wyglądały imponująco, ale byłyby dla Amerykanów tylko ruchomymi celami do ćwiczeń strzeleckich, gdyby broń energetyczna nie działała.

Milę morską przed platformą numer cztery z wody zaczęła się wynurzać długa pochylnia. Zatrzymała się sto metrów nad falami, wsparta na teleskopowych kolumnach jak most na filarach.

Na kołysce pośrodku pochylni leżała długa rura. U jej wylotu było półkole wypełnione nadprzewodnikami, które mogły nadać strumieniowi cząstek dowolny kierunek.

- Emiter włączony, moc dziewięćdziesiąt cztery procent - zawołał jeden z techników.

Stojący nieopodal Cochrane odczytał wskazania i skinął głową.

- Wszystko w porządku.

- Pociski raketowe - zameldował operator radaru. - Sześć nadlatuje z południa, dziesięć z zachodu, osiem z północnego zachodu.

- Wysłać wiązkę cząstek - rozkazał Djemma. - Zniszczyć je.

Uruchomiono kodujący program komputerowy. Gdy potężne radary namierzyły amerykańskie pociski, system kierowania ogniem zareagował automatycznie.

Walka wreszcie się zaczęła.

Djemma wiedział, że ma nikłe szanse na zwycięstwo. Aby wygrać tę wojnę, musiałby odeprzeć atak Amerykanów, a potem uderzyć na nich na ich ziemi. Musiałby dokonać czegoś, co nie udało się żadnemu krajowi od blisko dwustu pięćdziesięciu lat: zmusić Amerykanów do odwrotu.

Kiedy po chwili ciemny horyzont rozświetliły błyski licznych eksplozji, prezydent Djemma Garand uświadomił sobie, że przelał pierwszą krew.

Kilka tysięcy kilometrów dalej, w Pokoju Sytuacyjnym Pentagonu, ta sama grupa, która zebrała się dwanaście godzin wcześniej, obserwowała atak na Sierra Leone w czasie rzeczywistym.

Dirk Pitt jeszcze nigdy nie czuł takiego napięcia, częściowo dlatego, że nie miał żadnego wpływu na rozwój wypadków, ale

przede wszystkim dlatego, że dwoje jego ludzi, Paul i Gamay, brało udział w operacji.

Po stracie dwóch serii tomahawków i samolotu do zakłócania radaru rozpoczęto drugą fazę ataku.

Pitt śledził na ekranie, jak ikony oznaczające eskadrę samolotów F-18 Hornet zbliżają się do wybrzeża Sierra Leone z różnych kierunków. Maszyny spotykały się na wyobrażonej linii, horyzoncie zdarzeń. Zakładano, że wiązka cząstek może spalić wszystko, co przekroczy tę linię, ale należało to sprawdzić.

Kilka kilometrów od linii hornety wystrzeliły rakiety Harpoon, najszybsze pociski marynarki wojennej. Liczono na to, że jednoczesny atak z różnych stron uniemożliwi reakcję systemu, ale kiedy jedna rakietą za drugą przestawała przysyłać dane telemetryczne, Pitt zrozumiał, że drugie uderzenie też się nie powiodło.

U dołu ekranu wyświetlał się obraz z kamery pokładowej pocisku nadlatującego z południa. Trzy inne rakiety były w różnych odległościach przed nim, a każda podążała trochę innym kursem.

W oddali, na lewo od pocisku, pojawił się najpierw błysk, potem chmura i wreszcie ognisty łuk - smuga płonącego paliwa raketowego. Sekundy później nastąpiły dwa podobne wybuchy, tym razem na wprost i na prawo. Ekran rozjaśnił się na moment, potem pojawiły się na nim jakieś zakłócenia i wreszcie całkiem ściemniał.

- Co się stało? - zapytał Brinks, choć niewątpliwie znał odpowiedź.

- Już po pociskach - odparł jeden z operatorów.

Meldunki radiowe w tle potwierdzały, że piloci widzą to samo. Po chwili jeden z nich zgłosił problem.

- Mam awarię sterów... - zdążył powiedzieć, zanim sygnał zanikł.

Drugi pilot nadał podobny meldunek i jego radio też zamilkło.

- Potężne eksplozje, kierunek jeden pięć pięć - poinformował trzeci. - Straciliśmy dwie, może trzy maszyny...

Odezwał się dowódca eskadry:

- Przerwać akcję. Wycofać się.

Zanim wykonano jego rozkaz, zamilkły dwa następne radia, a po chwili dowódca potwierdził stratę pięciu maszyn.

- Najwyraźniej wyznaczaliśmy tę cholerną linię w złym miejscu - dodał.

Brinks poczerwieniał, żyły wystąpiły mu na szyi i wyglądał, jakby eksplozja groziła jego głowie. Niepewność ogarnęła wszystkich obecnych.

Okręty podwodne miały wyruszyć jako następne, jednocześnie z rozpoczęciem końcowego podejścia przez dwoje cywilów Dirka.

Kiedy czekali, do pokoju wszedł asystent wiceprezydenta Sandeckera. Powiedział mu coś i wręczył jakąś kartkę.

Wiceprezydent przeczytał wiadomość i podniósł wzrok, wyraźnie zdenerwowany.

- O co chodzi? - spytał Brinks.

- Wiadomość z Moskwy - odparł Sandecker.

- Z Moskwy? - zdziwił się Pitt.

Sandecker przytaknął.

- Twierdzą, że właśnie uzyskali informację o zbliżającym się ataku na Waszyngton przy użyciu broni energetycznej. Najwyraźniej tej samej, której nie udało nam się zniszczyć. Podobno ich źródło jest wiarygodne, a zagrożenie realne. Sugerują nam obronę lub ewakuację.

- Co, na litość boską... - zaczął Brinks.

- Jeśli informacja jest prawdziwa - przerwał mu wiceprezydent - atak nastąpi w ciągu najbliższych dziesięciu minut.

- Dziesięciu minut?!

- Ładnie z ich strony, że ostrzegli nas tak wcześniej - mruknął ktoś.

- Nie zdążymy ewakuować miasta w dziesięć minut - zauważył ktoś inny. - Ani nawet w dziesięć godzin.

- Trzeba wykorzystać Krajowy System Ostrzegania - padła propozycja. - Każemy ludziom ukryć się w schronach,

w piwnicach, w podziemnych garażach i w metrze. Jeżeli rzeczywiście dojdzie do ataku, będą tam bezpieczniejsi.

Brinks pokręcił głową.

- Ten rzekomy atak to jakiś ponury żart - powiedział z wyraźnym sarkazmem. - Jeśli zaczniemy krzyczeć, że niebo się wali, ludzie wpadną w panikę i w mieście zapanuje kompletny chaos. Jestem pewien, że nasi wrogowie właśnie tego chcą.

- A co, jeśli pan się myli i atak jednak nastąpi? - zapytał Pitt. - Pozwolimy ludziom umrzeć w błogiej nieświadomości?

Brinks stropił się, ale szybko odzyskał rezon.

- Garand mógł wygrać tę rundę, ale nie ma mowy, żeby zadał nam cios na naszej ziemi - odparł z przekonaniem. - Wszyscy nasi eksperci twierdzą, że jego broń może strzelać tylko wzdłuż linii prostej. Nie jest w stanie trafić w nic za horyzontem. Nawet F-18 były bezpieczne, kiedy wycofały się o kilka kilometrów.

Wiceprezydent powiódł wzrokiem po zebranych.

- Czy ktoś chce coś dodać? - spytał. - Bo jeśli tak, to teraz.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał naukowiec z NSA, szczupły mężczyzna w okularach bez oprawek.

- Jest jedna możliwość - powiedział niepewnie.

- Proszę mówić - zachęcił go Sandecker.

- Wiązkami cząstek celuje się i kieruje przy użyciu magnesów - wyjaśnił mężczyzna. - Czytałem ekspertyzę, z której wynika, że wyjątkowo silne pole magnetyczne wytworzone wzdłuż linii celowniczej mogłoby zagiąć strumień cząstek i przekierować na nowy cel. Innymi słowy, umożliwić strzelanie za róg.

Pittowi nie spodobało się to, co usłyszał. Wystąpił naprzód, choć to nie było jego miejsce.

- Co byłoby potrzebne, żeby trafić Waszyngton? - spytał.

Mężczyzna z NSA poprawił okulary i odparł:

- Ilość energii, jaką zużywa małe miasto, doprowadzona do jakiegoś urządzenia magnetycznego o ogromnej mocy.

- A gdzie musiałoby być to urządzenie?

- Mniej więcej w połowie odległości między emiterym bro-
ni i celem.

To czyniło zagrożenie mniej prawdopodobnym. Ale...

Pitt zwrócił się do pracownika Pentagonu, który obsługiwał
wyświetlacz taktyczny.

- Niech pan rozszerzy ekran i pokaże cały Atlantyk - po-
lecił.

Po chwili z lewej strony ekranu pojawił się zarys amery-
kańskiego wschodniego wybrzeża, a z prawej - Afryka i Europa
Zachodnia.

Grupa bojowa lotniskowca i Czworokąt nadal były ozna-
czone małymi ikonami tuż pod wyrzuczeniem Afryki Zachod-
niej.

- Teraz - powiedział Dirk - proszę mi pokazać pozycję libe-
ryjskiego tankowca „Onyx” ustaloną na podstawie ostatniego
meldunku Kurta Austina.

Kilka sekund później wszyscy zebrani w Pokoju Sytuacyj-
nym patrzyli z przerażeniem na jasnyniebieską ikonę, obok któ-
rej widniał napis: „Onyx, Liberia”. Znajdowała się na samym
środku ekranu, dokładnie w połowie odległości między Czwo-
rokątem u wybrzeża Sierra Leone a Waszyngtonem.

- Mój Boże! - wykrzyknął Sandecker. - Kiedy zaatakują
nasze okręty podwodne?

- Pół godziny zajmie im samo dotarcie do punktu, w któ-
rym będą mieć cel w zasięgu - odparł przedstawiciel marynarki
wojennej. - Nie zdołają temu zapobiec.

Sandecker skinął na asystenta.

- Zabierz prezydenta do schronu - rozkazał - i zarządzaj na-
tychmiastowe ogłoszenie alarmu przez Krajowy System Ostrze-
gania. Skontaktuj się z policją, wszystkimi służbami ratowni-
czymi i firmami energetycznymi. Niech ich ludzie się ukryją
i przygotują do awaryjnego wyłączenia zasilania. Będą nam po-
trzebni do przywrócenia porządku w mieście.

Kiedy wiceprezydent instruował asystenta, generał z sił
powietrznych zadzwonił do Andrews, przekazał wiadomość

i rozkazał start alarmowy. Inni wojskowi wydawali podobne polecenia swoim podwładnym. Zwykle cichy Pokój Sytuacyjny przypominał teraz centrum telemarketingu.

Pitt wysłał alarmowego SMS-a do całego personelu NUMA w okolicy. Potem zatelefonował do biura i powtórzył to samo ustnie.

Brinks usiłował dodzwonić się do żony. Dirk doskonale go rozumiał; cieszył się, że jego żona i dzieci pojechali kilka dni temu na Zachodnie Wybrzeże, gdzie powinni być bezpieczni.

Po kilkunastu bezskutecznych próbach Brinks schował komórkę i podszedł do Pitta. Poruszał się, jakby był w transie.

- Zgłasza się poczta głosowa - powiedział. - Akurat teraz.
- Niech pan próbuje dalej - doradził mu Dirk. - Do skutku.

Brinks skinął głową, ale nie sięgnął po telefon. Przez chwilę wpatrywał się w Pitta nieprzytomnym wzrokiem, po czym spytał cicho:

- Pański człowiek dostał się na ten statek?
- O ile wiem, udało mu się - potwierdził Dirk.

Brinks z trudem przełknął ślinę, a razem z nią swoją dumę.

- On jest naszą jedyną nadzieją - zdołał wykrztusić.

Dirk skinął głową.

Jeden człowiek na tankowcu pośrodku Atlantyku miał w swoich rękach los tysięcy, jeśli nie setek tysięcy ludzi.

ROZDZIAŁ 59

Na pokładzie „Onyksa” Kurt biegł, strzelał i pędził dalej.

Opróżnił drugi magazynek, załadował następny i kontynuował ucieczkę, popychając Katarinę przed sobą.

Zgubiwszy na chwilę pościg, dali nura do wnęki między dwoma pomieszczeniami magazynowymi. Kilka sekund póź-

niej usłyszeli dziwny dźwięk, podobny do tego, jaki się rozlega na okręcie podwodnym przed zanurzeniem.

- Co to? - zapytała Katarina.

- Nie wiem - odparł Kurt.

Ledwie to powiedział z radiowęzła popłynął komunikat:

„Rozstawianie Osi. Nie zbliżać się do śródookręcia. Powtarzam.

Nie zbliżać się do śródookręcia”.

- Czas nam się kończy - powiedziała Katarina. - Zostało najwyżej kilka minut.

- I posuwamy się w złą stronę - dodał Kurt.

Nie mieli wyjścia, każda napotkana grupka załogantów

zmuszała ich do zmiany kierunku. Odkąd opuścili kabinę, dotarli bliżej dziobu zamiast bliżej rufy.

Na szczęście załoga statku liczyła nie więcej niż stu ludzi.

Część musiała być na swoich stanowiskach, żeby zrealizować plan Andrasa, a sześciu załogantów już nie żyło.

Niestety przedział z Osią zajmował górną połowę statku i całą jego szerokość, więc jedynym sposobem na dostanie się do niego było przejście pod nim jednym z dolnych pokładów.

Alarm wył, nagrany komunikat się powtarzał, a Kurt widział oczyma wyobraźni, jak olbrzymie urządzenie w kształcie wachlarza, większe od boiska piłkarskiego, wyłania się z wielkich wrót na szczycie kadłuba „Onyksa”.

- Idziemy - zdecydował i ruszył dalej.

Katarina z trudem dotrzymywała mu kroku, ale nie skarżyła się.

Kurt znalazł drabinę, która prowadziła w dół i przez otwór w pokładzie. Zsunął się po niej ze stopami na bocznych krawędziach.

- Chodź - skinął na Katarinę.

Kiedy dołączyła do niego, zauważył, że prowizoryczny opatrunek na jej nadgarstku przesiąkł krwią.

Chciał dokładniej obejrzeć opatrunek, ale cofnęła rękę.

- Nic mi nie jest - zapewniła. - Nie zatrzymujmy się.

Zeszli po następnej drabinie na kolejny pokład. Kurt przystanął, słysząc odgłosy jakiejś maszynerii, która to włączała się, to wyłączała. Wpadł na pewien pomysł.

- Zaczekaj tu - polecił Katarinie i ostrożnie podkraść się naprzód.

Na zamkniętym włączniku widniał napis: „Stery strumieniowe”.

Katarina oparła się o ścianę i osunęła po niej.

- Nic mi nie jest - powtórzyła, kiedy Kurt ruszył z powrotem w jej stronę. - Po prostu... muszę trochę... odpocząć.

Nie mogła iść dalej, nie mówiąc już o pędzeniu przez statek na złamanie karku. A czas uciekał.

Alarm ucichł i kadłub tankowca zaczął lekko drżeć, jakby coś dużego zajmowało pozycję pod pokładem.

- Ile mamy czasu? - spytał Kurt.

- Minutę - odparła słabym głosem. - Może mniej.

Przewróciła się na bok. Nasączony krwią prowizoryczny bandaż wokół jej nadgarstka zostawił czerwony ślad na metalowym pokładzie.

Kurt nie mógł jej teraz pomóc. Musiał zneutralizować Oś, nim będzie za późno.

Zdjął z uchwytu na ścianie topór strażacki, rozbił nim zamek wjazdu przed sobą i wszedł do pomieszczenia, z którego dobiegał odgłos maszynierii.

W dole znajdowały się potężne silniki elektryczne dziobowych sterów strumieniowych. System działał w trybie utrzymywania kursu statku w linii idealnie prostej.

Kurt wiedział, że sterowanie strumieniem cząstek wymaga niezwyklej precyzji. Gdyby zdołał unieruchomić lub rozregulować stery strumieniowe, wiązka straciłaby spójność i nie trafiła w cel.

Djemma Garand obserwował pole walki ze swojego stanowiska w centrum dowodzenia na platformie numer cztery. Odparł dwa ataki Amerykanów i zmusił ich do odwrotu. Teraz zamierzał przejść do ofensywy.

- Przywrócić pełną moc wszystkich urządzeń! - rozkazał.

Stojący obok niego Cochrane miał taką minę, jakby wołał czmychnąć w najbliższe krzaki, niż tkwić tu w nadziei, że w razie sukcesu przejdzie do historii. Wykonał jednak rozkaz i zameldował:

- Wszystkie urządzenia obciążone w stu jeden procentach. Tunele magnetyczne zasilane i gotowe. Mieszanka cząstek ciężkich stabilna.

Spojrzał na ekran, na którym wyświetlały się dane telemetryczne z „Onyksa”.

- Oś na pozycji - oznajmił. - Może pan strzelić w dowolnym momencie.

Djemma upajał się sukcesem. Odparł atak amerykańskich rakiet i samolotów, a jego sonar wykrył dwa ich okręty podwodne wpływające na płyciznę. Powstrzymał ich, a teraz, zgodnie z zapowiedzią, sam zada im miazdzący cios.

System zostanie uruchomiony na jego rozkaz. W ciągu piętnastu sekund w tunelach ogromnego akceleratora wytworzy się ładunek, a ćwierć sekundy później wystrzeli wiązka energii, przejdzie nad „Onyxem” i zostanie skierowana w dół na Waszyngton.

Przez pełną minutę będzie penetrować stolicę Ameryki, sięgając śmierć i zniszczenie.

Spojrzał na Cochrane'a.

- Ognia - powiedział spokojnie.

W przedziale sterów strumieniowych na „Onyksie” Kurt znalazł to, czego szukał: grube przewody wysokiego napięcia, które widział w hali reaktorów. Przywołał z pamięci schemat. Niebieskie kable biegly przez akcelerator i wracały do Osi.

To była jedyna szansa. Podszedł do nich, zamachnął się toporkiem i puścił go w ostatniej chwili, by uniknąć porażenia prądem, kiedy ostrze przetnie przewody.

Wystrzelił snop iskier, oślepiający luk elektryczny przeskoczył w miejscu cięcia niczym sztuczna błyskawica i na całym statku zapadła ciemność.

Potężna siła rzuciła Kurta na pokład. Piekła go twarz. Przez kilka sekund w pomieszczeniu panowała całkowita ciemność. Silniki sterów zaterkotały głośno i zaczęły zwalniać. Po chwili włączyło się oświetlenie awaryjne, ale, ku wielkiej radości Kurta, nic więcej nie zadziało.

Miał nadzieję, że to wystarczy i że zdążył na czas.

Na mostku Andras zamarł w niemym zdumieniu. Zapanowała nieprzenikniona ciemność, w której znikł cały świat. Po kilku sekundach zaświeciły się żarówki awaryjnego oświetlenia.

W pierwszej chwili Andras przestraszył się, że to Oś spowodowała przeciążenie systemu. Postukał w pulpit sterowniczy urządzenia i nerwowo nacisnął przełącznik. Nie zauważył żadnej reakcji, nie rozbłysła nawet kontrolka zasilania.

Po chwili część podstawowych układów ożyła i Andras rozejrzył się z nadzieją.

- Działa tylko instalacja studwudziestowoltowa - poinformował go jeden z techników. - Wciąż brak wysokiego na-

pięcia. - Przewalał kilka przełączników, ale bez skutku. - Nie mamy zasilania sterów strumieniowych, Osi i akceleratora.

Andras pochylał się do przodu, żeby sprawdzić wzrokowo, co jest z Osią. Stała na pokładzie, rozłożysta jak korona olbrzymiego drzewa rosnącego jakimś cudem na śródookręciu, ale nie działała. Nie błyskały nawet czerwone światła ostrzegawcze.

Chwycił dżojstik, którym wcześniej podniósł Oś do właściwej pozycji, pomanipulował nim chwilę i odrzucił na bok z wściekłością.

- Niech cię szlag, Austin! - krzyknął.

Po chwili zastanowienia uświadomił sobie, że zasilanie można przywrócić. Musiał tylko mieć pewność, że Austin nie przetnie kabli drugi raz. Złapał karabin i sprawdził bezpiecznik.

- Niech ktoś zejdzie na dół i zrobi obejście przeciętych przewodów - rozkazał. - Spróbujemy jeszcze raz, jak wszystko będzie sprawne.

Technik skinął głową.

Człowiek stojący na przeciwległym skrzydle mostka spytał:

- Co powie dzieć Garandowi, jeśli się odezwie?

- Że... chybił.

Po tych słowach Andras wypadł ze sterowni z jedną myślą: muszę zabić Austina.

ROZDZIAŁ 60

Napięcie w Pokoju Sytuacyjnym Pentagonu sięgało zenitu.

Odgłos upadku przysłowiowej szpilki zabrzmiałby jak wystrzał armatni.

Jeden z członków personelu, przytrzymując dłonią tkwiącą w uchu słuchawkę, przekazał wiadomość.

- Potwierdzamy emisję z kierunku Czworokąta... Ciągła, co najmniej sześćdziesiąt sekund.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy patrzyli na ekran i czekali na to, co nieuchronnie miało nastąpić. W przeciwieństwie do siedemnastominutowego lotu pocisków balistycznych, to powinno trwać zaledwie mgnienie oka.

Dziesięć sekund później światło nadal się paliło, działały komputery.

Wszyscy zaczęli się rozglądać.

- No i co? - zapytał wiceprezydent Sandecker.

- Sieci telewizyjne wciąż nadają na żywo - odparła należąca do personelu kobieta. - Nie ma żadnego śladu uderzenia ani zniszczeń.

Twarz Brinksa zaczęła odzyskiwać normalny kolor. Odwrócił się do Pitta.

- Pańsl demu człowiekowi się powiodło - stwierdził z nadzieją.

- On się nazywa Austin - przypomniał Dirk.

- No cóż, niech pan mu podziękuje w imieniu moim i kraju - powiedział Brinks. - I przeprosi go ode mnie za moje idiotyczne gadanie.

Pitt skinął głową. Przypuszczał, że Kurt Austin będzie usatysfakcjonowany. Odwrócił się do przedstawicieli marynarki wojennej.

- Trzeba go zabrać z tamtego statku.
- Już działamy - odrzekł z uśmiechem jeden z oficerów.

Pitt był zadowolony z takiej odpowiedzi. Ale jeszcze nie wyszli na prostą.

Na monitorze błyskały ikony oznaczające USS „Memphis” i USS „Providence”. Meldowano, że okręty przystępują do walki.

USS „Memphis” podszedł do góry z głębin tuż za krawędzią szelfu kontynentalnego. Zajął pozycję i zaczął wysłać impulsy potężnym sonarem umieszczonym w dziobie.

Nie była to normalna procedura operacyjna, gdyż zdradzała pozycję okrętu, ale plan zakładał wywabienie w morze flotylli małych łodzi podwodnych Garanda, by umożliwić Troutom i „Rapunzelowi” przemknąć się za nimi do celu.

Dalszym skutkiem gwałtownej emisji sygnałów sonarowych byłaby dezorientacja, a nawet przerażenie przeciwnika.

W sterowni okrętu operator sonaru widział, że na razie wszystko przebiega zgodnie z planem.

- Pięć zbliżających się celów - zameldował. - Oznaczam je jako bravo jeden do pięć.

- Mamy namiary ogniowe? - spytał dowódca okrętu.

Oficer kierowania ogniem zawahał się. Jego komputer najpierw błyskał na zielono, że tak, a potem na czerwono, że nie.

- Te łodzie są takie małe i tak często zmieniają kierunek, że komputer nie może wygenerować namiaru.

- To strzelaj w trybie akustycznym - zdecydował kapitan. - Na mój znak.

- Gotowe.
- Ognia ze wszystkich wyrzutni.

W ciągu pięciu sekund sprężone powietrze wystrzeliło sześć torped Mark-48 z wyrzutni w śródkręciu „Memphisa”.

Po kolejnych pięciu sonarzysta usłyszał inny dźwięk.

- Torpedy w wodzie! - zawołał. - Kierunek zero cztery trzy i trzy pięć pięć. Co najmniej cztery.

Torpedy nadpływały z obu przednich kwadrantów, prawego i lewego. To im uniemożliwiało manewrowanie.

- Ster prawo na burt - rozkazał kapitan. - Maksymalne obroty, pełny wznios dziobowych sterów głębokości. Wypuścić wabiki.

Okręt skręcił, przyspieszył i wznosił się ku powierzchni. Wabiki przeznaczone do odciążenia zbliżających się torped zostały wyrzucone do wody.

Minęło dziesięć sekund, piętnaście dwadzieścia...

- Dawaj, dawaj - mruknął kapitan.

Okręt szybko się wznosił.

- Jedna chybiła - zameldował sonarzysta, a chwilę później oznajmił: - Jesteśmy bezpieczni.

Zdołali uniknąć trafienia, ale „Memphis” nie był tak zwrotny jak małe łodzie podwodne, z którymi walczył. Niczym niedźwiedź osaczony przez stado wilków, nie mógł się długo bronić. Jakby na dowód tego sonarzysta zawołał:

- Nowe cele, kierunek zero dziewięć zero.

- Pełny kąt w dół - rozkazał kapitan.

Seria eksplozji wstrząsnęła głębinami, gdy dwie z torped „Memphisa” trafiły w cele. Ale nie świętowali; mieli własne kłopoty.

- Dno szybko się zbliża - zameldował sternik.

- Wypoziomować - polecił kapitan. - Więcej wabików.

Kąt na dziobie zmaleł. Okrętem zakotyssa kolejna odległa eksplozja, ale w tym samym momencie sonarzysta odwrócił się do kapitana i pokręcił głową.

- Niedobrze - powiedział.

Chwilę później „Memphis” został trafiony. Kto nie siedział przypięty, wylądował na podłodze. Główne oświetlenie zgasło. Alarmy rozległy się na całym okręcie.

Kapitan wstał i spojrzął na tablicę uszkodzeń.

- Wynurzenie awaryjne - rozkazał.

„Memphis” opróżnił wszystkie zbiorniki balastowe i zaczął się wznosić.

Paul i Gamay Troutowie, znajdujący się w odległości wielu mil morskich, nie mogli zobaczyć na żadnym ekranie ani usłyszeć przez żadne radio, co się dzieje. Ale dźwięk rozchodzi się w oceanie dużo skuteczniej niż w powietrzu, więc echa eksplozji docierały do nich jedno po drugim jak odległe grzmoty.

Nie rozmawiali, mówili tylko to, co jest konieczne do nawigacji.

W końcu Paul zmniejszył prędkość batyskafu. Po zrzuceniu z helikoptera marynarki wojennej opuścili się na przeciwległy koniec kanionu i zawrócili w kierunku platform.

- Jesteśmy na głębokości sześćdziesięciu metrów - powiedział. - Jeśli system inercyjny się nie myli, platformy są niecałą milę od nas.

Gamay już aktywowała program sterujący „Rapunzelem”. Chciała mieć to za sobą jak najszybciej.

- Odłączam „pępowinę” - oznajmiła.

Poczuła, jak znów się poci mimo zimna. A potem poczuła dłoń Paula na swoim ramieniu. Masował je delikatnie.

Rozległa się następna seria eksplozji, dużo silniejszych i bliższych niż przedtem.

- Myślisz, że to jeden z naszych? - zapytała Gamay.

- Nie wiem - odparł Paul. - Nie myśl o tym. Po prostu rób, co musisz.

Dotarł do nich kolejny huk, ale przez swój wizjer widziała tylko ciemność.

Mijały sekundy.

- Daleko jeszcze? - spytała.

- Powinnaś być prawie na miejscu.

Gamay próbowała sterować robotem, lecz „Rapunzel” nie reagował tak, jak powinien.

- On się nie rusza - powiedziała do męża.

- Co się stało?

- Nie mam pojęcia.

Przestudiowała przekaz danych z małego robota.

- Silnik pracuje, ale on się nie rusza. Utknął.
- Jak to możliwe? - zapytał Paul.

Gamay zapaliła reflektor „Rapunzela” i natychmiast dostał odpowiedź na swoje pytanie.

- Zaplątał się w jakąś sieć.

Gamay dała wsteczny bieg, cofnęła robota o kilka metrów i zobaczyła, że sieć zwisa z góry.

- To sieć przeciwtorpedowa - stwierdził Paul. - Musimy być tuż przy platformie.

Gamay włączyła narzędzie tnące „Rapunzela”.

- Przecinam ją.

„Memphis” przebił powierzchnię, ale szybko nabierał wody. Padł rozkaz opuszczenia okrętu i załoga wydostawała się przez włazy do łodzi pneumatycznych lub po prostu do morza.

Ale ocaleni byli daleko po wewnętrznej stronie linii horyzontu zdarzeń. Gdyby przeciwnik chciał, mógłby usmażyć ich wszystkich jednym strzałem ze swojej broni.

Na „Onyksie” ponownie rozbłysły światła, ale stery strumieniowe nadal nie pracowały. Kurt miał nadzieję, że to oznacza brak wysokiego napięcia i Oś wciąż nie działa.

Wrócił do siedzącej w przejściu Katariny.

- Gotowa do jeszcze jednego biegu? - spytał.
- Chyba nie dam rady - odparła.

Przyjrzał się jej ręce. Krwawienie prawie ustało, rana wreszcie się zasklepiła.

- Chodź - zachęcił. - Jesteś mistrzynią. Dowiedz mi tego.

Popatrzyła mu w oczy i zacisnęła zęby. Pomógł jej wstać i ruszyli.

- Nadal chcesz się dostać do pompowni chłodziwa? - zapytała.

Skinął głową.

- Musimy unieszkodliwić to urządzenie, zanim znowu włączą zasilanie.

- Znam inną drogę do tego pomieszczenia - oznajmiła. -
Nie będą się spodziewać, że z niej skorzystamy.

Prowadziła go do wjazdu, który był szczelnie zamknięty.

Kurt ulcucnął i chwycił za koło ryglujące.

Po dwóch pełnych obrotach poczuł luz. Uniósł pokrywę i w przyćmionym świetle czerwonych lamp zobaczył drabinę opadającą w dół szybu, z głębi którego napływało lodowate powietrze. Przez moment miał wrażenie, że znalazł się u progu Dantejskiego Piekla, gdzie w niektórych kręgach panował wieczny mróz.

- Co jest na dole? - zapytał.

- Tunele akceleratora.

Już chciał powiedzieć, że to zbyt niebezpieczne miejsce, ale usłyszawszy tupot na metalowym pokładzie powyżej, zmienił zdanie.

Pomógł Katarinie wejść na drabinę, zszedł za nią i zamknął wjazd. Na dole zeskoczyli do tunelu.

Był podobny do tych w metrze, tylko węższy. Wzdłuż ścian, sufitu i podłogi biegły znajome przewody wysokiego napięcia i rury z ciekłym azotem. Rzędy lśniących szarych prostokątów - magnesów nadprzewodzących - ciągnęły się w dal i lekko skręcały na granicy pola widzenia.

Para oddechu Kurta zamieniała się w kryształki lodu. Przemarzał już do szpiku kości. Było tu jeszcze zimniej niż w pomieszczeniu z Osią.

- Na końcu tego tunelu - wyjaśniła Katarina - jest wjazd, przez który możemy się dostać na poziom pod pompownią chłodziwa.

Kurt uznał jej pomysł za doskonały. Był pewien, że załoga nie będzie ich szukać na dole. Katarina oparła się na jego ramieniu i ruszyli w głąb korytarza.

- A jeśli włączą to urządzenie? - spytał w pewnej chwili.

- To będziemy martwi, zanim zdążymy się zorientować, co się stało - odparła.

- Tym bardziej musimy się pospieszyć - stwierdził.

ROZDZIAŁ 61

Djemma Garand uświadomił sobie, że jego genialny plan zawiódł i grozi mu niebezpieczeństwo. Jego broń nie zniszczyła Waszyngtonu, Andras się nie zgłaszał, a członek załogi „Onyksa” właśnie zameldował o obecności komandosów na pokładzie.

Jakby tego było mało, nic nie wskazywało na odwrót otaczających go amerykańskich sił, mimo poważnych strat, jakie im zadawał.

- Gdzie jest Andras? - rzucił ostro do mikrofonu.
- Szuka Amerykanina - usłyszał w odpowiedzi.
- Co z urządzeniem?
 - Nadal nie działa. Nie mamy zasilania. - Załogant „Onyksa” sprawiał wrażenie spanikowanego.

Prezydent odłożył słuchawkę z mikrofonem. Wszystko skończy się fiaskiem; teraz to rozumiał.

Sięgnął po lornetkę i spojrzał w dal ponad falami. Jeden z amerykańskich okrętów podwodnych został trafiony i zmuszony do wynurzenia się. Drugi kontynuował walkę, prowadząc ogień spod wody.

Djemma zobaczył unoszące się na powierzchni pomarańczowe tratwy ratunkowe, na których schronili się członkowie załogi uszkodzonego okrętu.

Opuścił lornetkę i zwrócił się do Cochrane'a.

- Niech pan wyceluje w ich pozycję - polecił.

Naukowiec zawahał się.

- Zginiemy, panie Cochrane - rzekł prezydent Garand głosem wypranym z emocji. - Jedyne, co możemy teraz zrobić, to zabrać ze sobą tylu wrogów, ilu się da.

Cochrane cofnął się od pulpitu sterowniczego.

- Nie ma mowy - odparł stanowczo. - Jeśli chce pan stracić życie w płomieniach, pańska sprawa. Ja nie zamierzam tu umrzeć.

Djemma spodziewał się takiej reakcji. Wyciągnął swój stary pistolet, wycelował w pierś Cochrane'a i trzy razy nacisnął spust.

Mężczyzna upadł na plecy i znieruchomiał. Djemma strzelił do niego jeszcze kilka razy dla czystej przyjemności.

- I znów się pan pomylił, panie Cochrane - stwierdził.

Podszedł do pulpitu sterowniczego i spojrział groźnie na techników.

- Wycelować w tratwy i ognia! - rozkazał.

Gamay skończyła przecinać sieć i „Rapunzel”, w uprzęży z materiałami wybuchowymi, mógł ruszyć dalej.

- Kierunek dwa dziewięć zero - powiedział Paul.

Wyznaczyła kurs i przez chwilę rozważała zgłoszenie reflektora. Doszła do wniosku, że lepiej nie ryzykować natknięciem się na następne przeszkody, zwłaszcza że byli prawie na miejscu - widziała zarys podstawy jakiejś dużej konstrukcji.

Odchodził od niej wielki cylinder, przypominający gigantyczną rurę kanalizacyjną. Gamay domyśliła się, że to część akceleratora.

- Znaleźliśmy cel - powiedziała do męża.

- Chyba masz rację - rzekł Paul, wyraźnie podekscytowany. - Znajdź punkt połączenia cylindra z dnem morza.

Gamay, oświetlając mroczne głębiny reflektorem „Rapunzela”, doprowadziła robota do podstawy wielkiej rury.

- Co teraz? - zapytała.

- Zaklinuj go między dnem i początkiem wygięcia rury w stronę wyjścia z wody - instruował ją mąż. - Dzięki temu siła eksplozji będzie większa.

Gdy wykonała polecenie, Paul sięgnął po zapalnik, uniósł osłonę zabezpieczającą i nacisnął przycisk.

- Zegnaj, „Rapunzelu” - powiedziała Gamay, smutna, że musi rozstać się na zawsze z małym robotem.

Jej wizjer pociemniał, a dwie sekundy później fala uderzeniowa dotarła z dudnieniem do batyskafu. Trzęsła nim przez moment, po czym stopniowo osłabła.

Djemma obserwował, jak kolejne wskaźniki działania jego broni stają się czerwone, a potem zobaczył wielką erupcję wody i mułu tuż za emitorem. Uniesiona część tunelu akceleratora runęła do morza.

Niemal w tej samej chwili jeden z operatorów radaru zawołał:

- Nadlatują następne pociski! Minuta do uderzenia!

Djemma zignorował go. Wyszedł z centrum dowodzenia na platformę, w ciemną, wietrzną noc. Woda burzyła się w miejscu, gdzie zatonąła broń, która miała mu zapewnić czołowe miejsce wśród światowych przywódców.

Spojrzał na horyzont. Dostrzegł zbliżające się ogniste punkciki: wyloty dysz pocisków Harpoon. Nie miał dokąd uciec.

- Tak oto poniosłem klęskę - szepnął z emfazą. - Jak Hannibal przede mną.

Harpoony uderzyły prawie równocześnie. Wszystkie eksplozje stopiły się w jedną i prezydent Djemma Garand wyparował w kuli ognia widocznej z odległości wielu kilometrów.

ROZDZIAŁ 62

Kurt i Katarina szli w kierunku rufy „Onyksa”. Posuwali się wolno, bo Katarina słabła z sekundy na sekundę i ledwo powłóczyła nogami.

Tunel wypełniała gęsta biała mgła, mróz przenikał ich do szpiku kości. Ale nie zimno było największym zagrożeniem. Kurt wiedział, że przy braku wysokiego napięcia ciekły azot nagrzewa się i rozszerza, a gdy jego temperatura wzrośnie do stu dziewięćdziesięciu sześciu stopni Celsjusza poniżej zera, za-

czyna wrzeć. Układ chłodzenia z pewnością miał zawory bezpieczeństwa, odprowadzające gaz do tunelu.

Brnęli niemal po omacku przez lodowatą chmurę. Chwilami widoczność nie przekraczała metra.

Kurt jedną ręką podtrzymywał Katarinę, a drugą wodził po sklepieniu korytarza, szukając wjazdu prowadzącego na wyż-

szy poziom. W końcu trafił na zaokrąglone spojenie. Przesunął dłoń i wymacał zagłębienie z klamką.

- Nasza droga do ocalenia - powiedział, obracając koło ryglujące wjazd.

Gdy go otworzył, pomógł Katarinie wejść na drabinę. Zaczęła wspinać się po szczeblach. Już miał pójść w jej ślady, gdy dźwięk znajomego głosu przeciął gęstą mgłą niczym nóż.

- Austin!

Katarina zamarła w pół kroku.

- Idź - szepnął Kurt. - I nie czekaj na mnie.

Podjęła wspinaczkę, a Kurt spojrzął w głąb tunelu.

- Zdajesz sobie sprawę, że jesteś najbardziej wkurzającym facetem na świecie? - zapytał Andras, wciąż ukryty w oparach.

Kurt nie zwracał sobie głowy odpowiedzią. Padł na pokład i wycelował beretę w ścianę mgły.

Andras też nie tracił czasu; posłał w stronę wjazdu serię z automatu. Kule trafiały w stalowe przegrody, rykoszetowały i śmigwały w powietrzu niczym zabójcze osy.

Kurt leżał płasko na ziemi, więc wszystkie pociski przeszły nad nim, ale jęknął teatralnie i odezwał się takim głosem, jakby dostał:

- Nieważne, co ze mną zrobisz. Już po tobie.

Czekał na odpowiedź, lecz zamiast niej usłyszał skrzypienie pomostu. Najwyraźniej Andras zmieniał pozycję, kierując się w stronę, z której dobiegł jego głos. Bez wątplenia nie zbliżał się środkiem tunelu, tylko albo pełził po pokładzie, albo szedł, przywierając do przegrody po jednej lub drugiej stronie korytarza.

Kurt uznał, że udawanie rannego to najlepsza strategia.

- Ja... na twoim miejscu... zmyłbym się... stąd - wydyszał.

Andras nie dał się nabrać.

- Oddaj broń - zażądał zza zasłony gazu niczym niewidoczny zły duch.

Austin przemarzył do kości. Twarz miał tak zdrętwiałą, że ledwie ją czuł. Trzymał pistolet w zgrabiących rekach, łokcie opierał na pokładzie.

- Wypuść dziewczynę - powiedział. Przyłożył do ucha dłoń zgiętą na kształt anteny radionamiernika i czekał na odpowiedź.

- Jasne - głos Andrasa odbijał się echem w tunelu. - Wszyscy zostaną uwolnieni. Pożegnam ich kwiatami i fajerwerkami. A teraz pchnij do mnie pistolet po pokładzie!

- Spróbuję - wymamrotał Kurt łamiącym się głosem.

Powoli przesunął się w lewo, uderzył beretą o pokład, po czym przesunął pistolet po metalowym podłożu, udając, że go odpycha.

W tej samej chwili przetoczył się błyskawicznie na drugą stronę tunelu. Padły trzy strzały, pociski trafiły tam, gdzie przed chwilą leżał.

- Przykro mi, Austin - powiedział beznamiętnie Andras. - Nie ufam ci.

Znowu nacisnął spust. Ogień tryskający z lufy rozświetlał mgłę jak błyskawice chmury. Blask był zbyt rozproszony, żeby zdradzić pozycję Andrasa, lecz Kurt zauważył coś innego. Nie mógł widzieć pocisków, ale dostrzegł, że zostawiają cieniutkie smugi w gęstym lodowatym oparzę.

Oddał osiem strzałów w nieprzenikloną mgłę. Kiedy skończył, suwadło beretty zatrzymało się w tylnym położeniu. Magazynek był pusty.

Zapadła dręcząca cisza. Kurt wpatrywał się w mgłę z nadzieją, że zabił Andrasa.

Przeciwnik jednak nie upadł, bo to byłoby słychać. Nie odpowiadał też ogniem.

Kurt zaczął się niepokoić. Sprawdził, ile ma amunicji. W nieopróżnionym do końca zapasowym magazynku została tylko jedna sztuka.

Łałowował broń i zwolnił suwadło, mając świadomość, że ostatni nabój znalazł się w komorze.

Wreszcie usłyszał ruch. Odgłos był taki, jakby pijale włócił się chodnikiem. Z lodowego całunu z wolna wynurzyła się niewyraźna, upiorna postać. Andras sunął niezdarnie, ciągnąc za sobą nogę.

Kolbę karabinu trzymał pod pachą, celując niepewnie w pokład i Austina. Usta miał całe we krwi, co wskazywało na przestrelone płuco. Twarz zalewały mu czerwone strugi, spływające z głębokiej bruzdy na czubku głowy. Kurt myślał przez chwilę, że jego prześladowca upadnie, ale tak się nie stało.

Andras patrzył przed siebie oszalałym wzrodem człowieka, który nagle zdał sobie sprawę z własnej bezsilności. Zatrzymał się dwa metry od leżącego Kurta. Krwawa maska jego twarzy wyrażała zdumienie, że Austin przetrwał kanonadę bez jednego draśnięcia.

Kurt miał własny dylemat. Nie był pewien, czy jednym pociskiem zdoła skutecznie wykończyć Andrasa. Wiedział też, że gdy tylko naciśnie spust, Andras zacznie strzelać i z bliska podziurawi go jak sito.

Znaleźli się w impasie.

Kurt podniósł się z pokładu. Dzieliły ich zaledwie dwa metry i celowali w siebie nawzajem. Trzymając beretę w prawej dłoni, lewą sięgnął do kieszeni po nóż. Ten sam, który już trzykrotnie przekazywali sobie z rąk do rąk. Nie mógł rozłożyć ostrza, mimo to spróbował go użyć.

Rzucił nóż Andrasowi. Najemnik złapał go zręcznie i uśmiechnął się, rozpoznając swoją własność.

- Koniec amunicji, Austin? Szkoda, że nie otworzyłeś noża, zanim go rzuciłeś. - Odzyskał pewność siebie i uniósł wolno karabin do strzału.

Kurt go ubiegł. Wycelował błyskawicznie w rurę z ciekłym azotem tuż nad głową Andrasa i nacisnął spust. Ciecz wytrysnęła pod wysokim ciśnieniem prosto na rękę z karabinem i prawą stronę ciała Andrasa.

Broń upadła i pękła uderzając o pokład. Andras zatoczył się na ścianę tunelu. Przyglądał się tępo, jak jego ramię, dłoń i palce kruszą się na tysiąc kawałków niczym kryształowy wazon roztrzaskujący się na podłodze. Krzyk bólu uwięził mu w gardle.

W ciągu kilku sekund azot zaczął wypełniać tunel. Pokrył Andrasa, zamrożonego już jak bryła lodu, i rozprzestrzenił się w głąb korytarza, gdy Kurt dobiegł do wjazdu i podciągnął się na drabinę.

Lodowata mgła ścigała go niczym fala przyboju, ale wspinał się najszybciej jak mógł i zdołał uciec.

Zatrzasnął za sobą wjazd, zaryglował go i położył się na plecach, żeby odetchnąć po raz pierwszy od wielu godzin.

Jednak już po minucie wstał i zaczął szukać Katariny. Siedziała przy schodach, licząc jedynie na cud.

- Jak tam? - zapytał.

Odwróciła się, spojrzała na niego i rozpromieniła.

- Kurt. Ile to już razy myślałam, że nie żyjesz?

- Na szczęście to Andras nie żyje.

W jej radosnym uśmiechu Kurt dostrzegł cień niedowierzania.

- Na pewno?

Skinął głową.

- Widziałem na własne oczy, jak rozpadał się na kawałki.

ROZDZIAŁ 63

Dotarli do tych samych schodów, którymi Austin zszedł kilka godzin wcześniej. Kurt uniósł wzrok. Nie było mowy, żeby Katarina mogła pokonać osiem kondygnacji w górę.

- Jest stąd inne wyjście? - zapytał.

Przytaknęła.

- Tędy - poprowadziła go obok schodów.

Dwadzieścia metrów dalej znajdowały się drzwi. Kurt je otworzył. Zobaczył basen i przycumowane do metalowego postumotu trzy łodzie podwodne. Dwie z nich wyglądały bardzo podobnie do XP-4, którą uratował tydzień temu. Trzecia była o wiele większa i domyślił się, że to Bus.

Zauważył, że mniejsze łodzie, przypominające XP-4, mają przyczepione do burt torpedy, które wyglądają zupełnie jak pływaki.

Obok nich stał osiemnastometrowy jacht motorowy, na którym Andras więził Katarinę.

- Tutaj weszłam na statek - powiedziała.

Kurt poszukał panelu do obsługi wrót.

- Jesteśmy powyżej linii wodnej? - spytał.

Skinęła głową.

Nacisnął włącznik, ale urządzenie było martwe. Nadal brakowało wysokiego napięcia. Znalazł ręczny mechanizm i przestawił dźwignię. Coś w rodzaju kabestanu zaczęło się obracać i wrota ruszyły w dół siłą grawitacji.

Chwilę później oboje siedzieli w jednej z XP-4 i wypływali w ciemność nocy.

Kurt uznał, że po zabiciu Andrasa uszkodzeniu instalacji wysokiego napięcia i spowodowaniu wycieku ciekłego azotu do tunelu akceleratora cząstek w pełni zasłużył na miano gremlina, ale miał jeszcze coś w zanadru.

Zrobił zwrot, zatoczył łulc i ustawił łódź dziobem do rufy „Onyksa”.

Obie torpedy pomknęły w kierunku śrub i steru tankowca.

Eksplozja była oślepiająca. Kurt niemal natychmiast zobaczył, jak rozmywa się kilwater statku. Śruby zostały zniszczone lub odpadły, a woda prawdopodobnie zalewała dolny pokład.

Tankowiec nie tonął. Torpedy były małe, a statek wielkości „Onyksa” musiałby nabrać ogromne ilości wody, żeby pójść na dno. Uszkodzenia na rufie nie były śmiertelne, ale tankowiec został unieruchomiony. Nie mógł już popłynąć do Rosji czy Chin ani do żadnego innego nieprzyjaznego kraju.

Kurt zawrócił łódź podwodną i zaczął oddalać się od „Onyksa”. Przez następne trzy godziny oboje zmagali się z sennością, ale tuż po świcie zostali zauważeni przez śmigłowiec amerykańskiej marynarki wojennej, który zszedł w dół i podjął ich na pokład.

Kurt był ciekaw, jak wygląda sytuacja.

Od ratownika medycznego dowiedział się, że w Waszyngtonie wybuchła panika, ale nic się nie stało. Walka u wybrzeża Sierra Leone dobiegła końca. Są ofiary w ludziach, lecz niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Kurt spytał, czy nie doszło do jakiejś tajemniczej katastrofy starego rosyjskiego samolotu transportowego, i odetchnął z ulgą, otrzymawszy odpowiedź przeczącą.

Zainteresował się losem zaginionych naukowców, ale tym razem ratownik powstrzymał go gestem.

- Nic panu nie zagraża, ale musi pan teraz przestać mówić.

Kurt zrozumiał.

Popatrzył z troską na Katarinę, kiedy przelatywali obok spowitego dymem „Onyksa”, na którym roilo się teraz od ame-

rykańskich marines. Śmigłowiec wziął kurs zachód i rozpoczął półtoragodzinny powrót na macierzystą fregatę raketową.

Dobre wiadomości sprawiły, że Kurt poczuł spokój, jakiego nie zaznał od tygodni. Odprężenie i zmęczenie działały uśmierzająco, a rytmiczny odgłos wirnika kołysał go do snu. Zamknął oczy i już po chwili wpadł w objęcia Morfeusza.

EPILOG

W pierwszych dniach po incydencie kula ziemska zdawała się obracać nieco wolniej. Sytuacja w Sierra Leone ustabilizowała się dzięki pomocy sił pokojowych ONZ-u i oddziałów wojskowych Unii Afrykańskiej. Wielu więźniów politycznych uwolniono, łącznie z bratem Djemmy Garanda, którego teraz proszono o pomoc w utworzeniu rządu koalicyjnego.

Porwani naukowcy zostali odnalezieni i wrócili do swoich krajów. Kilku było rannych, ale tylko jednego zabito. Amerykańskie siły ekspedycyjne poniosły straty w ludziach. Trzydzieści jeden osób - mężczyzn i kobiet - z załogi „Memphisa” poległo lub zaginęło. Jedenastu lotników - pilotów i operatorów radaru - straciło życie. Ale ich ofiarność i wysiłki cywilów z NUMA zapobiegły katastrofie.

Nie zanotowano ani jednego zgonu po ogłoszeniu alarmu w Waszyngtonie. Były dziesiątki wypadków samochodowych i setki rannych, ale ludzie zachowywali spokój, gdy starali się dotrzeć w bezpieczne miejsca.

Po powrocie do Stanów Kurt dochodził do siebie. Oglądał mnóstwo wiadomości i podejmował gości w osobach Joego Zavali, Troutów i Dirka Pitta.

Joe godzinami opowiadał mu o swoich przygodach z załogą iła-76 po wylądowaniu w Tangerze. Paul i Gamay relacjonowali własne przeżycia, nie tak beztroskie, ale niewątpliwie będące powodem do dumy. Kurt zauważył, że Troutowie nie przestają się trzymać za ręce.

Dirk Pitt pogratulował im wszystkim wykonania dobrej roboty, po czym zaczął podsumowywać koszty: „Barracuda”, mikrolot, zniszczenie boisk Radża w Singapurze i zaginiony leopard.

- Nie chcę nawet wiedzieć, dlaczego musimy płacić za schwytanie młodego leoparda - powiedział.

Kurt już otworzył usta, żeby to wyjaśnić, ale zrezygnował.

Jaki to miałyby sens?

Następne pozycje na liście zajmowały czarter ła-76, wyko-
rzystanie szybowca desantowego i międzynarodowa akcja usu-
wania ropy, która wyciekła z „Onyksa” na skutek ataku torpe-
dowego Kurta.

Kiedy Dirk doszedł do końca listy, się uśmiechnął.

- Z wiekiem nauczyłem się kilku rzeczy. Jedną z nich jest
taka, że dostajesz to, za co płacisz. Ty i Joe jesteście jak moje
zabytkowe samochody. Drodzy, szkodliwi dla środowiska i czę-
sto kłopotliwi. Ale jesteście warci każdego centa.

Gdy tylko Kurt był w stanie, skontaktował się z Katariną
i umówił z nią na Santa Marii.

Po wyjściu wszystkiego na jaw rządy Stanów Zjednoczo-
nych i Rosji zgodziły się, że przedmioty znalezione na pokła-
dzie constellation są własnością narodu rosyjskiego. Obie stro-
ny uznały, że byłoby właściwe, gdyby Kurt Austin i Katarina
Łuska nadzorowali ich wydobywanie.

Katarina rozpromieniła się, kiedy zobaczyła Kurta, i poca-
lowała go namiętnie, mimo iż całkiem spora widownia obser-
wowała ich spotkanie.

Kilka dni później wyszli w morze wycarterowaną łodzią
nurkową wraz z przedstawicielami rządów Rosji i Stanów Zjed-
noczonych.

Po jednym próbnym nurkowaniu popłynęli na dół po ku-
fry z nierdzewnej stali. Gdy uwalniali je palnikami z samolo-
tu, Kurtowi przypominała się ewakuacja Joego z „Barracudy”.
Zdawał sobie sprawę, że nie uratowałiby się, gdyby ta stara ma-
szyna z butlą tlenową w środku nie zatonała tutaj.

Ładunek wydobyty z constellation przyczepili do pływaków, które napelnili powietrzem ze swoich akwalungów, po czym Kurt wrócił do środka i dotarł do kokpitu.

Sięgnął po nieśmiertelniki na szyi drugiego pilota, zdjął je delikatnie i wypłynął z samolotu.

Wynurzył się i wspinał na łódź nurkową. Katarina już przecinała zamknięcie jednego z kufrów z nierdzewnej stali.

Puściło i upadło na pokład. Otworzyła wieko.

Skrzynie spoczywały wiele lat na dnie morza, więc mimo uszczelnienia osad i woda dostały się do środka. Zobaczyli tylko mętną toń, ale Katarina zanurzyła w niej rękę i wyjęła naszyjnik z wielkich białych pereł.

Położyła go na pokładzie i znów sięgnęła do kufra. Tym razem wyciągnęła tiarę, która wyglądała na wysadzaną brylantami.

Przedstawiciel Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego, który stał z boku, podszedł bliżej i delikatnie wziął klejnot z rąk Katariny.

- Niesamowite - rzekł z uśmiechem. - I prawie niewiarygodne. Ale teraz już pewne. To tiara Anastazji, córki cara Mikołaja II. Sfotografowano ją w niej w tysiąc dziewięćset piętnastym roku. Zniknęła wraz z wieloma innymi kosztownościami po obaleniu cara.

Kurt spojrział na Rosjanina.

- Myślałem, że wszystkie carskie skarby odnaleziono.

- Tak i nie - odparł historyk. - Po uwięzieniu wiele klejnotów zaszyli w ubraniach, żeby je ukryć przed strażnikami. Do Anastazji i jej siostr strzelano bez skutku, bo ich stroje były tak wypchane drogimi kamieniami, że niemal kuloodporne.

- Domyślam się, że tamte macie - powiedział Kurt. - Więc skąd się wzięły te?

- Car miał tak ogromny majątek, że nigdy całego nie skatalogowano - wyjaśnił mężczyzna. - Z przyczyn politycznych rząd radziecki utrzymywał, że wszystko zostało znalezione, zebrane i przekazane narodowi. Rząd rosyjski kontynuował tę far- sę,

ale wiele zdjęć z epoki pokazuje nigdy nieodkryte skarby. Długo sądzono, że przepadły na zawsze. Kto by pomyślał, że znajdują się właśnie tutaj?

Kurta nie obchodziło, że kosztowności wrócą do Rosji, zastanawiał się tylko, jak opuściły Moskwę.

- Jak tu trafiły? - spytał.

- Mogę to wytłumaczyć - rozległ się drżący głos.

Austin odwrócił się. Kiedy on i Katarina byli pod wodą, na pokład wszedł nowy mężczyzna. Kurt wiedział, kto to jest, i sam poprosił, żeby go odnaleziono i zaproszono tutaj.

Podszedł do mężczyzny i uściśnął mu dłoń.

- Przedstawiam państwu Hudsona Wallace'a - zwrócił się do pozostałych.

Wallace musiał dobiegać dziewięćdziesiątki, ale wciąż wyglądał na faceta, który może nieźle przyłożyć, jeśli nadepnie mu się na odcisk. Miał na sobie jaskrawoczerwoną hawajską koszulę, jasnobrązowe szorty bojówki i żeglarskie buty.

Utkwił wzrok w Katarinie i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mój drugi pilot i ja zabraliśmy pewnego gościa z Sarajewa - zaczął swoją opowieść. - Uchodząc politycznego nazwiskiem Tarasów.

- To był przestępca - wtrącił się rosyjski historyk. - Wiele lat wraz z trzema innymi żołnierzami ukradł te kosztowności, zakopał je, a potem chciał wywieźć do Ameryki.

- Dla jednych przestępca, dla innych bojownik o wolność - odparł Wallace. - W każdym razie wydostaliśmy go stamtąd i przerzuciliśmy na Santa Marię, gdzie mieliśmy zatankować i przelecieć ocean. Ale uziemił nas sztorm i ich agenci nas znaleźli.

Pokręcił smutno głową.

- Tarasów dostał kulę w plecy. Mój drugi pilot, Charlie Simpkins, też zginął. Ja zostałem ranny. Udało mi się wystartować, ale potężna burza, awaria silników i upływ krwi pokonały mnie. Straciłem kontrolę nad maszyną i samolot spadł do morza. Do dziś nie mogę sobie przypomnieć, jak udało mi się przeżyć.

- Częściowo z powodu tej historii uwierzyliśmy w tę mistyfikację - powiedział Kurt.

Wallace się roześmiał.

- W tamtych czasach takie rzeczy ciągle się zdarzały. Przyrządy się obładzały, wskaźniki zamarzały, nie sposób było odróżnić górę od dołu.

- Ale dlaczego zawiodły silniki? - spytała Katarina.

- Sam nie mogłem tego zrozumieć - odrzekł Wallace. - Utrzymywaliśmy je w doskonałym stanie. Potem mnie olśniło. Padało przez trzy pełne doby. Zatankowaliśmy „connie” z naziemnych zbiorników i chyba zassaliśmy sporą ilość wody, kiedy na dzień przed odlotem braliśmy prawie dwa tysiące litrów paliwa. Po prostu cholerny pech.

Spojrzał na tiarę i naszujnik.

- Przez minione sześćdziesiąt lat często się zastanawiałem, co było w tych kufrach. Pewnie są wypełnione po brzegi.

- Będzie pan mógł zobaczyć to wszystko w muzeum - zapewniła go Katarina.

- Nie, dziękuję - odparł Wallace. - Przyjechałem tu po coś znacznie cenniejszego. - Odwrócił się do Kurta. - Udało się panu je wziąć?

Austin sięgnął do kieszeni i wyjął nieśmiertelniki drugiego pilota. Wallace popatrzył na nie takim wzrokiem, jakby były zrobione ze szczerego złota.

- Ludzie z naszej marynarki wojennej zjawia się tu jutro - powiedział Kurt. - W przyszłym tygodniu Charlie zostanie pochowany na Arlington. Będę tam.

- Pan?

Kurt potwierdził skinieniem głowy.

- Pański drugi pilot zginął tutaj przed laty i spoczął we wraku na dnie oceanu - wyjaśnił. - Ale w pewnym sensie dzięki temu ja mogłem uratować mojego przyjaciela. Obaj będziemy na pogrzebie. Jesteśmy mu to winni. I nie tylko to.

- Po tylu latach wreszcie wróci do domu - rzekł Wallace cicho, wyraźnie wzruszony.

Kurt przytaknął.

- Do zobaczenia na cmentarzu - powiedział Wallace, uśmiechnął się do Katariny i wrócił do motorówki, którą przy-
płynął. Znalazłszy się na pokładzie, uniósł wieniec i delikatnie
rzucił go do wody.

Trzy dni później, po zakończeniu akcji i dwóch dobach re-
laksu z Katariną, Kurt był z powrotem w Stanach.

Katarina nie chciała się przyznać, ale Austin podejrzewał,
że podobała się jej rola szpiega. Obiecali sobie ponowne spo-
tkanie w przyszłości i był ciekaw, czy nastąpi ono zgodnie ze
starannie ułożonym planem, czy też przypadkiem w jakimś za-
kątku świata, gdzie będzie się rozgrywać kolejna międzyar-
dowa intryga. Tak czy inaczej, już nie mógł się doczekać, kiedy
znowu zobaczy uroczą Roasjankę.

Prosto z lotniska pojechał do centrali NUMA, ale nie za-
stał tam nikogo w weekend. Znalazł tylko wiadomość od Joego,
żeby wracał do domu.

Skorzystał z tej rady i wrócił do swojej przystani łodziowej
nad Potomakiem.

Zdziwił się, gdy poczuł zapach grillowanych steków dolatu-
jący z jego własnego tarasu. Poszedł na tyły przystani.

Joe i Paul stali na tarasie, a na kanapie obok siedziała Gamay.

Paul zapalił gazowy grill Kurta i smażył na nim najpraw-
dziwsze wołowe steki. Na stoliku w rogu stały butelka merlota
i chłodziarka z piwem, a koło nich leżały jakieś prospekty tury-
styczne. Joe bawiał się na tablicy suchościeralnej.

Gamay wstała i uściskała Kurta.

- Witaj w domu.

- Wiecie, że to mój dom, a nie noclegownia - mruknął, ale
nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Roześmiali się, a Kurt przerzucił prospekty i zorientował się
w temacie.

Joe wręczył mu zimną bohemię, taką samą, jaką gwizdnął
kapitanowi „Argo”.

Troutowie sączyli wino.

- Co tu się dzieje? - spytał Kurt takim tonem, jakby przyłapał ich na spiskowaniu.

- Planujemy wspólną podróż - oznajmił Joe.

- Nie sądzicie, że i tak spędzamy wystarczająco dużo czasu razem? - zażartował Kurt.

- To będą wakacje - powiedziała Gamay. - Żadnych ucieczek, żadnych strzelanin, żadnych eksplozji.

- Naprawdę? - Kurt wypił łyk piwa. - A dokąd się wybieramy?

- Cieszę się, że spytałeś - odrzekł Joe i podszedł do tablicy, na której widniały trzy pozycje. Przy każdej był postawiony jeden ptaszek.

- Wszyscy już głosowaliśmy - wyjaśnił Paul - ale możemy wypuścić tylko czarny dym.

- Więc mój głos zdecyduje - domyślił się Kurt.

- *Correcto* - potwierdził Joe. -1 nie sugeruj się tymi wszystkimi razami, kiedy uratowałem ci życie.

Kurt podszedł do tablicy i zerknął na przyjaciela.

- Albo tymi wszystkimi razami, kiedy przysporzyłeś mi kłopotów.

Przyjrzał się propozycjom.

- Ośmiodniowe safari na wielbłądach w Maroku - przeczytał głośno pierwszą, obok której widniało imię Paula. - Siedziałeś kiedyś na wielbłądzie, Paul?

- Nie, ale...

- Osiem minut mogłoby być zabawne, ale osiem dni... - Kurt pokręcił głową.

Paul wyglądał na zawiedzionego. Gamay i Joe uśmiechnęły się.

Kurt spojrział na drugą propozycję.

- Piesza wędrówka Doliną Śmierci. - Przeniósł wzrok na Gamay. - Dolina Śmierci? To trochę za ponure, nie uważasz?

- Daj spokój - zaprotestowała. - Tam jest pięknie.

Joe uniósł ręce w triumfalnym geście.

- Wstrzymaj się, partnerze - ostudził go Kurt. - Nawet nie wiem, czy Gobi w ogóle się zalicza do wakacyjnych miejsc.

- Jasne, że tak - zapewnił Joe. - Widziałem reklamę: „Oto, co się robi na Gobi”.

Kurt skrzywił się.

- Chyba powinni jeszcze nad tym popracować.

- Tam jest sucho - przypomniał mu Joe. - Nie ma gdzie utonąć, zamarznąć ani zniszczyć sobie najlepszej koszuli od Armaniego.

Kurt uśmiechnął się szerzej na myśl o Zavali w koszuli od Armaniego na środku pustyni. Zorientował się, że jego przyjaciele żartują, ale było jedno suche, słoneczne miejsce, w które zawsze chciał się wybrać.

- Głosuję na Australię - oświadczył. - Ayers Rock, skaczące torbacze i foster.

Patrzyli na niego przez chwilę, kompletnie osłupiali.

- Skaczące torbacze? - powtórzyła Gamay.

A potem jedno przez drugie zaczęli tłumaczyć, dlaczego Australia odpada. Zanim wreszcie ucichli, Kurt dopił piwo.

- Okej - powiedział Paul. - Spróbujmy jeszcze raz.

Joe wytarł tablicę i nagryzmolił na górze: „Runda 2”. Tymczasem Kurt usiadł na drugiej kanapie, sięgnął po następne piwo i zapatrzył się na spokojną rzekę.

Kiedy Gamay, Paul i Joe wymieniali różne gorące i suche miejsca, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Siedział wśród przyjaciół na słonecznym tarasie i podziwiał wspaniały widok, sącząc zimne piwo. Chwilowo nie potrafił wymyślić żadnego innego miejsca, w którym chciałby teraz być.